

SEBASTIAN FITZEK

bestseller
gwiazdy
thrillerów



kolekcjoner OCZU

Bawi się w najstarszą zabawę świata: w chowaniego.
Bawi się twymi dziełami,
Daje ci 45 minut na ich znalezienie.

Najpierw zabija matkę, następnie ukrywa dziecko i daje ojcu 45 godzin na jego znalezienie. Po tym terminie dziecko ma zginąć.

Taka jest metoda działania przestępcy. Po wyznaczonym czasie dziecko umiera w swojej kryjówce. Ale na tym groza się nie kończy: w znalezionych zwłokach za każdym razem policja stwierdza brak lewego oka.

Kolekcjoner oczu nie pozostawia po sobie żadnych przydatnych dla śledztwa śladów. Ale pewnego dnia zgłasza się tajemniczy świadek: Alina Gregoriev, niewidoma bioenergoterapeutka, która przez dotyk potrafi wejrzeć w przeszłość swoich pacjentów. Kobieta jest niemal pewna, że jej pacjent jest właśnie poszukiwanym mordercą.

„Nowy bestseller Sebastiana Fitzka - mistrza obłędu”.

Brigitte

„Talent Fitzka polega głównie na jego niezwyklej odwadze w wymyślaniu zwrotów akcji w opowiadanych historiach”.

Der Spiegel

„Fitzek pisze stylem przejrzystym, przenikającym do głębi i wciąga czytelnika już od pierwszych stron. Jego powieści pobrzmiewają echem jeszcze długo po przeczytaniu ostatniej strony”.

John Katzenbach



Sebastian Fitzek cieszy się dużym uznaniem zarówno krytyków, jak i czytelników. Po opublikowaniu serii bestsellerów: *Terapia*, *Makabryczna gra*, *Śmierć ma 143 cm wzrostu*, *Klinika* i *Odłamek*, stał się niekwestionowaną niemiecką gwiazdą thrillerów psychologicznych. Jego książki zostały przetłumaczone na ponad 20 języków, zakupiono do nich prawa filmowe.

Sebastian Fitzek

Kolekcjoner oczu

Przełożyła: Barbara Tamas

Tytuł oryginalny: *Der Augensammler*

Pamięci Rudigera Krekla

To fantastyka zmieniają świat, nie dusigrosze.

Gra jest eksperymentowaniem z przypadkiem.

Novalis

It's the end where I begin.

The Script

Alexander Zorbach (ja)

Zdarzają się historie, które są jak spirale śmierci i wbijają się zardzewiałym końcem coraz głębiej i głębiej w świadomość tego, kto musi ich wysłuchać. Nazywam je *perpetuum mobile*. Historie, które nigdy się nie zaczęły i nigdy się nie kończą, ponieważ traktują o wiecznym umieraniu.

Czasem opowiadają je pozbawieni skrupułów ludzie, aby rozkoszować się przerażeniem widocznym w oczach swoich słuchaczy i koszmarami, jakie z pewnością wywołują, kiedy w nocy człowiek leży sam w łóżku i wpatruje się w sufit, ponieważ nie może zasnąć.

Tego rodzaju *perpetuum mobile* można czasem znaleźć pomiędzy okładkami i wtedy trzeba szybko zatrasnąć książkę, żeby stamtąd nie uciekły. Już na początku radzę wam, nie czytajcie dalej!

Nie wiem, jak natrafiliście na tę opowieść, wiem tylko, że nie była przeznaczona dla was. Protokół grozy nie powinien nikomu wpaść w ręce. Nawet waszym największym wrogom.

Uwierzcie mi, bo mówię to z doświadczenia. Nie mogłem zamknąć oczu. Nie potrafiłem odłożyć książki. Ponieważ historia człowieka, któremu łzy płynęły z oczu jak krople krwi - historia człowieka, który przyciskał do siebie zwinięty toból ludzkiego mięsa, mięsa, które zaledwie kilka minut wcześniej oddychało, kochało i żyło - ta historia nie jest filmem, legendą, książką.

Ta historia jest moim fatum.

Moim życiem.

Ponieważ człowiekiem, który w apogeum swoich męczarni zorientował się, że agonია dopiero się zaczęła - tym człowiekiem jestem ja.

Ostatni rozdział. Zakończenie

Ach śpij, kochanie,

Jeśli gwiazdkę z nieba chcesz, dostaniesz...

- Powiedz jej, żeby przestała - wrzasnął dowódca bezpośrednio w moje prawe ucho.

Czego pragniesz, daj mi znać,

Ja ci wszystko mogę dać...

- Ma natychmiast przestać śpiewać tę cholerną piosenkę.

- Dobra, dobra. Wszystko jasne. Już wiem, co mam zrobić - odpowiedziałem do malutkiego mikrofonu, który technik z oddziału specjalnego przyczepił kilka minut wcześniej do mojej koszuli i przez który utrzymywałem łączność z dowódcą. - Jeśli dalej będzie pan tak wrzeszczał, wyrwę ten przeklęty guzik z ucha, zrozumiał pan?

Zbliżałem się do środka kładki dla pieszych nad A100. Autostrada miejska, jedenaście metrów pod nami, była teraz zamknięta w obu kierunkach - raczej aby chronić kierowców niż obłąkaną kobietę, która stała oddalona ode mnie o długość autobusu.

- Angelique? - krzyknąłem głośno jej imię. Z krótkiej odprawy w prowizorycznym sztabie oddziału wiedziałem, że ma trzydzieści siedem lat, wcześniej dwa wyroki za uprowadzenie dzieci, za co spędziła w zakładzie zamkniętym co najmniej siedem z ostatnich dziesięciu lat. Niestety, cztery tygodnie temu jakiś mądrała psycholog sporządził ekspertyzę, w której rekomendował jej powrót na łono społeczeństwa.

Wielkie dzięki, panie kolego. Dzięki panu mamy teraz ten cały pasztet!

- Podejdę trochę bliżej, jeśli nie ma pani nic przeciwko

- powiedziałem i uniosłem ręce. Zero reakcji. Opierała się o zardzewiałą balustradę, jej skrzyżowane na piersiach dłonie tworzyły kołyskę. Od czasu do czasu lekko kołysała się do przodu, a wtedy jej łokcie wysuwały się poza balustradę.

Drżałem zarówno z napięcia, jak i z zimna. Co prawda temperatura nawet nie zbliżała się do zera, co było dość dziwne jak na grudzień, ale w moim odczuciu dorównywała temperaturze panującej w

Jakucku. Spędziłem zaledwie trzy minuty na wietrze i już prawie odpadły mi uszy.

- Halo, Angelique?

Pod moimi ciężkimi butami zatrzeszczał żwir i wtedy po raz pierwszy odwróciła głowę w moim kierunku, bardzo powoli, jak na zwolnionym filmie.

- Nazywam się Alexander Zorbach i chciałbym z panią porozmawiać.

Bo to moja praca. Dzisiaj jestem negocjatorem.

- Czy to nie jest piękne? - zapytała tym samym monotonnym śpiewnym głosem, którym nuciła kołysankę.

Ach śpij, kochanie...

- Czy moje dziecko nie jest cudowne, przecudowne?

Potwierdziłem, chociaż z daleka ledwie widziałem, co przyciska do szczupłego torsu.

Mógł to być zarówno wałek pod głowę, złożone prześcieradło, jak i szmaciana lalka. Jednak nie dopisało nam tyle szczęścia. Potwierdziła to kamera termowizyjna. Trzymała w ramionach coś żywego, coś ciepłego. Jeszcze tego nie widziałem, lecz słyszałem.

Płakało sześciomiesięczne dziecko. Trochę wycieńczone, ale jeszcze ciągle płakało.

Jak do tej pory była to najlepsza wiadomość tego dnia.

Zła wiadomość była taka, że niemowlę miało przed sobą zaledwie kilka minut życia.

Nawet gdyby ta obłąkana kobieta nie zrzuciła go z kładki.

Do diabła, Angelique. Tym razem wybrałaś sobie pod każdym względem niewłaściwe dziecko.

- Jak ma na imię ten słodki bobas? - ponownie spróbowałem nawiązać z nią rozmowę.

Po spartolonej aborcji kobieta nie mogła mieć dzieci. Właśnie z tego powodu postradała rozum. Już trzeci raz uprowadziła cudze niemowlę i podawała je za swoje. I po raz trzeci zauważyli to przechodnie w pobliżu szpitala. Dzisiaj już po półgodzinie kurier rowerowy zwrócił uwagę na bosą kobietę z płaczącym dzieckiem stojącą na kładce.

- Jeszcze nie ma imienia - powiedziała Angelique. Proces wyparcia zaszedł tak daleko, że w tej chwili z całych sił wierzyła, iż dziecko w jej ramionach naprawdę było jej ciałem i krwią. Nawet nie próbowałem jej przekonywać, wiedziałem, że to nie miało sensu. Jeśli nie pomogło jej siedmioletnie intensywne leczenie, mnie na pewno nie udałoby się zrobić tego w siedem minut - ale też nie to było moim zamiarem.

- Co pani powie na Hansa? - zaproponowałem. Teraz dzieliło mnie od niej najwyżej dziesięć metrów.

- Hans? - Zdjęła jedną rękę z zawiniątka i rozchyliła kocyk. Ulżyło mi, kiedy usłyszałem, jak dziecko zaczęło ryczeć.

- Hans, ładnie brzmi - powiedziała Angelique, zapominając o sobie. Zrobiła mały krok do tyłu i teraz nie stała już tak blisko poręczy. - Jak Szczęśliwy Hans.

- Tak - przyznałem jej rację i ostrożnie zrobiłem następny krok do przodu.

Dziewięć metrów.

- Albo jak Hans z innej bajki.

Odwróciła się do mnie i spojrzała pytającym wzrokiem.

- Jakiej innej bajki?

- No, tej o nimfie wodnej Ondynie.

Żeby być dokładnym, była to raczej germańska saga, a nie baśń, ale w tej chwili nie miało to znaczenia.

- O Ondynie? - Uniosła kącik ust. - Nie znam.

- Nie? Aha, w takim razie muszę ją pani opowiedzieć. Jest przepiękna.

- Co pan zamierza? Czy już całkiem panu odbiło? - krzyknął dowódca w moim prawym uchu, co zignorowałem.

Osiem metrów. Krok po kroku przesuwałem się na jej pole karne.

- Ondyna była istotą boską, nimfą tak przecudnej urody jak żadna inna. Zakochała się do szaleństwa w rycerzu Hansie.

- Słyszysz, mój skarbie? Jesteś rycerzem!

Niemowlę skwitowało to głośnym krzykiem.

A więc jeszcze oddycha. Dzięki Bogu.

- Tak, ale rycerz był tak przystojny, że latały za nim wszystkie kobiety - kontynuowałem. - I niestety zakochał się w innej i zostawił Ondynę.

Siedem metrów.

Poczekalem, aż znów usłyszę skrzeczenie dziecka, i mówiłem dalej:

- To tak rozgniewało ojca Ondyny, boga morza Posejdoną, że rzucił przekleństwo na Hansa.

- Przekleństwo? - Angelique przestała się kołysać.

- Tak. Od tej pory Hans nie mógł sam bezwiednie oddychać. Musiał się na tym koncentrować. - Głośno nabrałem w płuca zimnego powietrza i mówiąc, stopniowo je wypuszczałem. - Wdychać. Wdychać. Wdychać. Wdychać.

- Moja klatka piersiowa unosiła się i opadała demonstracyjnie. - Hans umarłby, gdyby chociaż raz zapomniał o oddychaniu.

Sześć metrów.

- Jak kończy się ta baśń? - zapytała podejrzliwie Angelique, kiedy ostrożnie próbowałem zbliżyć się do niej na długość samochodu. Przy czym wydawało się, że bardziej nie podobała jej się moja bliskość niż to, jaki obrót przybrała bajka.

- Hans robi wszystko, żeby nie zasnąć. Walczy ze zmęczeniem, ale w końcu zamyka oczy.

- Umiera? - spytała bezdźwięcznie. Z jej wycieńczonej twarzy ustąpiły ostatnie oznaki radości.

- Tak. Ponieważ we śnie niechybnie zapomni oddychać. A to oznacza jego śmierć.

Coś zatrzeszczało mi w uchu, jednak tym razem dowódca trzymał gębę na kłódkę. Tutaj na dworze nie było słyhać nic prócz oddalonego szumu ruchu ulicznego.

Wysoko nad naszymi głowami leciało na wschód stado czarnych ptaków.

- To nie jest ładna baśń. - Angelique lekko zachwiała się do przodu, teraz całym ciałem kołysała mocno przyciśnięte do piersi niemowlę. - Nie podoba mi się.

Wyciągnąłem do niej rękę i podszedłem jeszcze bliżej.

- To prawda, nie jest. I w zasadzie nie jest też baśnią!

- A czym?

Zawiesiłem głos, znów czekałem na jakąkolwiek oznakę życia małego. Nic nie słyszałem. Tylko ciszę. Miałem sucho w ustach, kiedy jej to powiedziałem.

- To prawda.

- Prawda?

Energicznie potrząsnęła głową, już się domyśliła, co chciałem teraz powiedzieć.

- Angelique, proszę mnie posłuchać. Dziecko na pani rękach cierpi na klątwę Ondyny, chorobę nazwaną tak od bajki, którą właśnie pani opowiedziałem.

- Nie!

A jednak.

Tragizm sytuacji polegał na tym, że nie zaserwowałem jej jakiegoś taktycznego kłamstwa. Klątwa Ondyny jest rzadkim zaburzeniem centralnego układu nerwowego. Dotknięte nią dzieci duszą się, kiedy wbrew własnej woli nie koncentrują się na oddychaniu. Klątwa Ondyny jest ciężką, zagrażającą życiu chorobą. W wypadku Tima (tak w rzeczywistości nazywało się niemowlę), aby dostarczyć małemu organizmowi dostateczną ilość tlenu, wystarczało oddychanie w fazach czuwania. Trzeba go było respirować tylko wtedy, kiedy spał.

- To jest moje dziecko - znów zaprotestowała Angelique swoim sennym głosem.

Ach śpij, kochanie...

- Niech pan tylko popatrzy, jak grzecznie śpi w moich ramionach.

O Boże, nie. Miała rację. Dziecko przestało wydawać jakiegokolwiek odgłosy.

Jeśli gwiazdkę z nieba chcesz...

- Tak, to pani dziecko, Angelique - powiedziałem dobitnie i zbliżyłem się o jeszcze jeden metr. - Nikt temu nie zaprzecza. Ale ono nie może zasnąć, rozumie pani? W przeciwnym razie umrze, tak jak Hans w bajce.

- Nie, nie, nie! - Uparcie potrząsała głową. - Moje dziecko nie było złe. Nie zostałyby przeklęte.

- Oczywiście, na pewno nie. Ale jest chore. Niech pani da mi chłopca, a lekarze go wyleczą.

Teraz znajdowałem się tak blisko niej, że czułem słodkavo-zjełczały zapach jej nieumytych włosów. Zapach psychicznego i cielesnego zaniedbania, którym był przepojony jej tani dres do joggingu.

Odwróciła się do mnie i pierwszy raz mogłem rzucić okiem na dziecko. Na jego lekko zaczerwienioną, na jego drobną... na jego *śpiącą* buzię. Wystraszony spojrzałem na Angelique. I wtedy zrozumiałem.

- Cholera, nie, nie rób tego! - w moim uchu ryknął głos dowódcy, którego do tej chwili w ogóle nie słyszałem. - Zejdź stamtąd. Schodź!

To i następne zdania wywnioskowałem z protokołu z akcji, który okazał mi przewodniczący komisji śledczej.

Dzisiaj, kiedy minęło siedem lat od dnia, w którym moje życie legło w gruzach, nie jestem już pewny, czy rzeczywiście to widziałem.

To.

To coś w jej spojrzeniu. Wyraz najczystszej, całkowicie rozpaczliwego poznania samej siebie. Wtedy byłem pewny.

Nazwijcie to przeczuciem, intuicją, jasnowidztwem. Co będzie, to będzie, i wszystkimi zmysłami poczułem, że w sekundzie, kiedy Angelique odwróciła się do mnie, uświadomiła sobie swoją

chorobę psychiczną. Poznała samą siebie. Wiedziała, że jest chora. Że dziecko nie należy do niej. I że już nigdy go nie odzyska, jeśli trafi w moje ręce.

- Stój, ani kroku dalej.

Dzięki treningom bokserskim miałem dość doświadczenia, żeby wiedzieć, na co trzeba zwracać uwagę, kiedy człowiek chce z wyprzedzeniem wyczuć ruchy przeciwnika. Na jego barki! A barki Angelique poruszały się w kierunku, który dopuszczał tylko jedną interpretację, zwłaszcza że teraz powoli wyciągała przed siebie rękę.

Trzy metry. Jeszcze tylko przekłute trzy metry.

Chciała zrzucić dziecko z kładki.

- Opuścić broń. Powtarzam: natychmiast opuścić broń.

I dlatego nie zwracałem uwagi na głos w moim uchu, tylko wycelowałem pistolet prosto w jej czoło.

I strzeliłem.

Najczęściej budzę się z krzykiem w tym momencie i przez chwilę cieszę się, że to wszystko jest tylko sennym koszmarem. Dopóki nie wyciągnę ręki i na drugiej połowie łóżka obok mnie nie wyczuwam dotykiem pustki. Dopóki nie przypominę sobie, że te zdarzenia naprawdę miały miejsce. Martwię się, że straciłem pracę, rodzinę i zdolność do przespania nocy bez budzenia się z powodu dręczących koszmarów.

Od owego strzału żyję w strachu. Czystym, zimnym i przenikającym do szpiku kości strachu. Posilam się koncentratem z moich snów.

Wtedy na wiadukcie zabiłem człowieka. I aczkolwiek wmawiam sobie, że dzięki temu mogłem uratować inną duszę, jestem pewny, że to równanie nie da się rozwiązać. No bo jeśli wtedy się myliłem? Co by było, jeśli Angelique nie zamierzała targnąć się na życie dziecka? A może wyciągnęła rękę tylko po to, żeby podać mi dziecko? W chwili, w której wystrzelony przeze mnie pocisk roztrzaskał jej czaszkę. Tak szybko, że jej mózg nie zdążył wysłać impulsu, aby jeszcze bardziej rozluźniła rękę. Tak szybko, że mogłem złapać dziecko, zanim wyslizgnęło się z jej martwych dłoni.

Ale jeśli wtedy na wiadukcie zabiłem niewinnego człowieka?

Wówczas, byłem tego w stu procentach pewny, któregoś dnia będę musiał zapłacić za swój błąd.

Wiedziałem to. Nie wiedziałem tylko, że ten dzień nadejdzie tak szybko.

I znów odwiedziłem z moim synem miejsce, o którym mówiło się, że w całym Berlinie dzieci nie mają lepszego do umierania.

- Serio? Helikopter? - powiedziałem, wskazując podbródkiem na otwarty papierowy karton, który wniosłem do długiego korytarza. - Dobrze się zastanowiłeś? Bądź co bądź jest to heli z powerboostem Captain Jacka.

Julian przytaknął gorliwie, kiedy obiema rękami ciągnął po linoleum wypchaną torbę z IKE-i.

Kilka razy oferowałem mu pomoc, ale koniecznie chciał sam przetaszczyć przez szpital ciężki pakunek. Typowy przypadek stanu „jestem już dość silny”, który osiągają wszyscy chłopcy gdzieś pomiędzy etapem „chcę, ale nie sam” a „możecie mnie wszyscy...”

Jedyne, co mogłem zrobić, aby nie urazić jego dumy, to tylko iść trochę wolniej.

- Już go nie potrzebuję! - powiedział stanowczo. Potem zaczął kaszleć. Najpierw brzmiało to, jakby się tylko zakrztusił, potem kaszel stawał się coraz bardziej gardłowy.

- Wszystko w porządku, mały? - Wziąłem od niego pakunek.

Już kiedy pojechałem po niego do domu, moją uwagę przykuła jego zaczerwieniona twarz, ale Julian sam przydźwigał ciężki pakunek do ogrodu, i przyjąłem, że ten wysiłek tłumaczył jego spocone dłonie i sklezione na karku mokre włosy.

- Czy jeszcze ciągle jesteś przeziębiony? - spytałem zatroskany

- Nie, już jest dobrze, tato. - Odtrącił moją dłoń, którą chciałem dotknąć jego czoła.

Wtedy znów zakaszlał i rzeczywiście, teraz kaszel brzmiał trochę lepiej niż wcześniej.

- Czy mama była z tobą u lekarza?

Może powinniśmy kazać cię przebadać, skoro już jesteśmy w szpitalu?

Julian potrząsnął głową.

- Nie, tylko... - Chłopiec zaciął się i poczułem, jak ogarnia mnie wściekłość.

- Tylko co?

Odwrócił się ode mnie w poczuciu winy i złapał uchwyty torby.

- Chwileczkę, chyba nie byliście znów u tego szarlatana?

Przytaknął nieśmiało, jakby się przyznawał, że coś nabroił. Tylko że tym razem w ogóle nie było w tym jego winy. Winę ponosiła matka, która coraz bardziej schodziła na ezoteryczną złą drogę i wolała ciągać naszego syna do sprawiającego cuda hinduskiego guru niż do lekarza od gardła, nosa i uszu.

Dawno temu, kiedy właśnie zakochałem się w Nicci, jej spliny jeszcze mnie bawiły, nawet frapowało mnie, kiedy chciała odczytywać przyszłość z linii mojej dłoni albo kiedy wyjawiała mi, że we wcześniejszym wcieleniu była grecką niewolnicą. Jednak z upływem lat jej nieszkodliwe dziwactwa przeistoczyły się w kompletnego bzika, który zapewne częściowo przyczynił się do tego, że zerwałem z nią najpierw duchowy a następnie fizyczny kontakt. Przynajmniej chętnie to sobie wmawiam, żeby nie ponosić wyłącznej winy za rozpad naszego małżeństwa.

- Co ten znach... ten szaman powiedział? - zapytałem i podszedłem do syna. Kosztowało mnie dużo wysiłku, żeby mój głos nie brzmiał agresywnie. Julian mógłby to odnieść do siebie, a przecież nie ponosił winy za to, że jego matka nie wierzyła w klasyczną medycynę ani w teorię ewolucji.

- On uważa, że mam nieprawidłowo naładowane czakramy.

- Czakramy?

Krew uderzyła mi do głowy

No jasne, czakramy. Dlaczego sam na to nie wpadłem? Prawdopodobnie to one spowodowały że dwa lata temu msz syn złamał nadgarstek podczas jazdy na skateboardzie - zrobiłem Nicci niemy wykład. Już wtedy z pełną powagą pytała chirurgów, czy nie można by zastąpić narkozy hipnozą.

- Powinieneś czegoś się napić - powiedziałem, żeby zmienić temat, i wskazałem na automat z napojami. - Co chcesz?

To jasne. Colę.

Nicci urwałaby mi głowę, na pewno.

Moja jeszcze-żona w zasadzie robiła zakupy wyłącznie w sklepach ekologicznych oraz w działach ze zdrową żywnością w supermarketach i z całą pewnością zawierająca kofeinę lemoniada nie znalazłaby się na jej liście zakupów.

No tak, ale nie ma tu herbaty z kopru włoskiego, pomyślałem i pomacałem kieszenie marynarki, szukając portmonetki. Niespodziewany głos za moimi plecami, młody, a już zużyty, podziałał na mnie tak, że aż mną wstrząsnęło.

- Co za niespodzianka, Zorbachowie!

Pielęgniarka z blond włosami, którą dość enigmatycznie pamiętałem jeszcze z czasu naszej wizyty w ubiegłym roku, a to z powodu frapującego piercingu w górnej wardze, zmaterializowała się jakby z niczego i teraz stała na szpitalnym korytarzu z kolorowo pomalowanym wózkiem, którym rozwoziła herbatę.

- Cześć, Moni - powiedział Julian, który najwidoczniej również ją rozpoznał. Posłała mu

wyuczony uśmiech „mali pacjenci są moimi kumplami”. Potem jej wzrok padł na naszą torbę.

- Tak dużo w tym roku?

Przytaknąłem z roztargnieniem, ponieważ wciąż nie mogłem znaleźć portfela.

Proszę, tylko nie to! Wszystkie dokumenty, karty kredytowe, nawet karta magnetyczna, bez której nie dostanę się do biura.

Przypomniałem sobie, że miałem go wczoraj przed automatem z napojami stojącym w redakcji. Mógłbym przysiąc, że z powrotem włożyłem go do kieszeni marynarki. Teraz przepadł jak kamień w wodę.

- Tak, co roku jedna zabawka więcej - mruknąłem pod nosem i w tym samym momencie zezłościłem się, że w moim głosie zabrzmiało tak wyraźnie poczucie winy. Na pierwszy rzut oka mogło to wyglądać jak przydział według jakiegoś rozdzielnika, ale w rzeczywistości zawsze lubiłem kupować synowi prezenty. Oczywiście bardziej wartościowy pod względem pedagogicznym byłby drewniany traktor niż świecący w ciemności pistolet na wodę, który siostra wyjęła z torby z IKE-i. Ale określenie „wartościowy pedagogicznie” było argumentem, którym już ja aż nadto męczyłem swoich rodziców, a oni za żadne skarby nie chcieli pojąć, że potrzebuję walkmana albo roweru BMX dlatego, że wszyscy moi koledzy już to mają. Nazwijcie mnie powierzchownym, lecz chciałem oszczędzić synowi takiego losu outsidera, co nie znaczy, że kupowałem mu każdy bzdet tylko dlatego, że brakowało mu czegoś do kompletu. Ale też nigdy nie wysyłałem go z pustymi rękami na darwinowską bitwę o przeżycie, jaką codziennie na nowo staczał na szkolnym dziedzińcu.

Moni tymczasem przyglądała się ostrożnie lalce Spidermana.

- Uważam za rzecz godną najwyższego podziwu to, że chcesz się rozstać z tymi wszystkimi wspaniałymi zabawkami - powiedziała i uśmiechnęła się do mojego syna.

- Nie ma sprawy. - Julian odpowiedział jej uśmiechem.

- Chętnie to robię.

Powiedział prawdę. Chociaż był to mój pomysł, żeby raz w roku uprzątnąć jego pokój, zanim otrzyma na urodziny nową dostawę zabawek, natychmiast przystał na tę propozycję.

- Robimy coś dobrego i jednocześnie zyskujemy więcej miejsca! - powtórzył moje słowa i od razu zabrał się do dzieła. I tak narodził się nasz „Dzień Promyka Słońca”. Tak właśnie go nazwaliśmy. Dzień, w którym ojciec i syn taszczą stare zabawki do hospicjum dziecięcego i rozdają je małym pacjentom.

- To na pewno dla Tima - powiedziała z uśmiechem pielęgniarka i odłożyła Spidermana do innych zabawek. Potem pożegnała się i poszła w swoją stronę.

Popatrzyłem za nią i stwierdziłem ku mojemu zdumieniu, że z trudem udawało mi się powstrzymać łzy.

- Wszystko w porządku? - zapytał Julian i spojrzał na mnie. Już się przyzwyczaił, że z jego ojca

robił się bek, kiedy przekraczał próg oddziału „Promyk Słońca” na drugim piętrze. On sam nigdy tu nie płakał. Prawdopodobnie dlatego, że śmierć była dla niego czymś bardzo odległym i niewyobrażalnym. Ale na mnie hospicjum dla ciężko chorych, umierających dzieci zawsze robiło bardzo przygnębiające wrażenie. Oczywiście można by założyć, że ktoś, kto już zastrzelił innego człowieka, był trochę oziębiały - zwłaszcza ja, który po zwolnieniu z policji zarabiałem na życie jako policyjny reporter. Od czterech lat pracowałem dla największej i zarazem najbardziej krwiożerczej gazety w mieście, gdzie pisałem o najokrutniejszych morderstwach popełnianych w Niemczech, i przez ten czas zdobyłem nawet pewnego rodzaju uznanie. Jednak im więcej pisałem o najstraszniejszych okrucieństwach tego świata, tym mniej byłem gotów akceptować śmierć. A już w ogóle, kiedy chodziło o śmierć niewinnych dzieci, które chorowały na białaczkę, niewydolność serca albo klątwę Ondyny.

Tim!

- Tak nazywa się chłopiec, którego wtedy uratowałeś, tak?

Przytaknąłem i ostatecznie zrezygnowałem z poszukiwania portfela. Jeśli miałem szczęście, leżał na siedzeniu mojego volvo, choć najprawdopodobniej gdzieś go zgubiłem.

- Zgadza się. Ale to nie on. Ten tylko tak samo się nazywa.

Tim, którego porywaczkę zastrzeliłem, regularnie przysyłał mi kartki na Boże Narodzenie. Takie, do jakich zmuszają rodzice: kulfoniaste litery i słowa, których żadne dziecko dobrowolnie by nie wypowiedziało. Kartki, które przyczepia się na lodówce i na które nie zwraca się uwagi, dopóki same nie spadną na podłogę. Ale bądź co bądź były oznakami życia, które pokazywały mi, że mimo ciężkiej choroby Tim prowadzi w miarę normalne życie w domu swoich rodziców, a nie dożywa ostatnich dni w hospicjum dla dzieci.

- Mama mówi, że od tamtego wypadku na wiadukcie nie jesteś już stary.

Wtedy na wiadukcie.

Czasem słowa opisują cały wszechświat. Na przykład „kocham cię” albo „jesteśmy rodziną”. Kombinacja niewinnych liter, które nadają sens twojemu życiu. Potem padają zdania, które go ponownie odbierają. „Wtedy na wiadukcie” należało definitywnie do tej drugiej kategorii. Gdyby to nie było takie smutne, człowiek mógłby śmiać się z tego, że w kręgu rodziny zachowujemy się jak postacie z książek o Harrym Potterze, kiedy mówimy „już ty wiesz kto”, zamiast nazywać rzeczy po imieniu. Angeliq, kobieta umyślowo chora, której odebrałem życie, stała się moim osobistym Voldemortem.

- Julianie, idź już do świetlicy, gdzie czekają na nas dzieci, okay? - Ukląłem, żeby być na wysokości jego oczu.

- Ja tylko szybko sprawdzę, czy nie zostawiłem portfela w samochodzie.

Julian przytaknął bez słowa.

Odprowadziłem go wzrokiem, aż zniknął za rogiem, i słyszałem jeszcze stąpanie jego tenisówek

oraz szuranie ciężkiej torby.

Potem odwróciłem się, wyszedłem ze szpitala i już nigdy tam nie wróciłem.

Volvo stało w porannym zimowym półmroku pod olbrzymim kasztanowcem rosnącym przed kliniką, dlatego przekręciłem kluczyk w stacyjce, żeby zapalić światło nad siedzeniem pasażera. Szukałem wszędzie: pod nogami, na tylnej kanapie, pod stertą starych gazet obok mnie. Chyba niczego nie nienawidziłem podczas prowadzenia samochodu tak bardzo jak wypchanych kieszeni spodni, dlatego z reguły rzucałem klucze, komórkę i portfel na siedzenie pasażera, zanim jeszcze usiadłem za kierownicą. Rytuał, który najwidoczniej tym razem złamałem. Ponieważ nie znalazłem niczego oprócz długopisu i napoczętej paczki gumy do żucia. Przełożyłem gazety na podłogę i zajrzałem nawet do szpar w tapicerce. Nic. Portfel przepadł jak kamień w wodę.

Następnie jeszcze raz sprawdziłem pod siedzeniami, otworzyłem schowek na rękawiczki, chociaż byłem pewny, że nigdy nie chowałem tu niczego poza skanerem, służącym do podsłuchiwania policyjnego radia. Na początku mojej kariery reportera za każdym razem, kiedy słyszałem głosy byłych kolegów, miałem wrażenie, jakby ktoś wbijał we mnie szpilkę. Później przyzwyczałem się, rozumiałem, że już do nich nie należę. Zresztą moja szefowa, Thea Bergdorf, zatrudniła mnie wyłącznie z powodu mojej znajomości środowiska i dostępu do poufnych informacji. Niepisanym warunkiem umowy o pracę było słuchanie radia policyjnego zawsze podczas jazdy samochodem. Zwłaszcza w dni, kiedy liczyliśmy się z najgorszym. A więc ustawiłem skaner tak, aby włączał się automatycznie po przekręceniu kluczyka, i dlatego syczące urządzenie migotało w schowku jak bożonarodzeniowa choinka.

Właśnie zamierzałem skończyć poszukiwania i wrócić do Juliana, kiedy usłyszałem głos, który sprawił, że natychmiast zapomniałem o zgubionym portfelu.

- ... Westend, Kühlen Weg, róg Alte Allee...

Zajrzałem do schowka, następnie pogłośniłem skaner.

- Powtarzam. Jeden-zero-siedem przy Kühlen Weg. Jednostki mobilne K04 wkroczyć do akcji.

Mój wzrok powędrował do zegara na desce rozdzielczej.

Cholera. Och nie, tylko nie to.

Jeden-zero-siedem. Oficjalny kod oznaczający znalezienie ciała.

KO4.

Zaczęła się czwarta runda gry kolekcjonera oczu.

(jeszcze 44 godziny i 38 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Tobias Traunstein (lat 9)

Ciemność. Czerń. Nie, nie czerń.

To niewłaściwe słowo.

To nie było takie jak lakier na nowym samochodzie taty. Również nie takie jak plamista ciemność, która przeszywa oczy, kiedy się je nagle zamknie. I nie była to też ta okropna mroczna czerń znana z nocnych wędrówek, które odbywał z panią Quandt. Ta tutaj była inna. Jakaś gęściejsza. Jakby zanurzył się w beczce z olejem i otworzył oczy.

Tobias znów otworzył powieki.

Nic.

Ciemna dziura wokół niego była jeszcze bardziej nieprzenikniona niż las otaczający obóz wakacyjny, na który pojechał ze swoją klasą ostatniego lata. Inaczej niż w Postfenn nie było tu poświaty księżycy ani świateł latarki, kiedy szukali znaków na leśnej drodze podczas podchodów w Grunewaldzie. Tutaj nie czuło się zapachu ziemi, liści, odchodów dzików, a Lea, straszna beksa, nie trzymała się jego ręki ani nie kuliła się przy każdym szeleście i trasku. Tutaj w ogóle nie było słyhać żadnych odgłosów, które mogłyby napędzić strachu jego bliźniaczej siostrze. Tutaj, obojętne gdzie to *tutaj* było, nie było... *niczego*.

Niczego poza paraliżującym bezgranicznym strachem. Bo chociaż wiedział, że ciemność nie ma ręki (tak jak od doktora Hartmanna, swojego nauczyciela plastyki, wiedział, że czerń nie była kolorem, lecz po prostu tylko brakiem światła), czuł się tak, jakby czerń trzymała go w mocnym uścisku.

Ciągle nie wiedział, czy stoi, czy leży. Być może nawet wisiał głową w dół, co wyjaśniałoby ucisk w głowie, i dlatego był w bojowym nastroju. Albo *pijany*, jak mawiał jego ojciec, kiedy wracał do domu po pracy i kazał mamie, żeby napuściła mu wody do wanny.

Toby nigdy nie odważył się zapytać, co właściwie znaczyło *pijany*. Tata nie lubił, kiedy jego dzieci chciały za dużo wiedzieć. Tej lekcji nauczył się podczas urlopu. Dwa lata temu, we Włoszech, kiedy

przy kolacji jeszcze raz zapytał, czy *caldo* naprawdę oznacza zimny. Tata upomniął go, żeby wreszcie przestał zadawać głupie pytania, a surowe spojrzenie mamy ostrzegało, że lepiej nie wątpić w ojca znajomość włoskiego. Ale nie mógł powstrzymać się od uwagi, że w takim razie każdy kran w hotelu musi być zepsuty, ponieważ z tych z napisem *caldo* leciała tylko ciepła woda. Tata nie wytrzymał i trzepnął go w twarz. Po tym policzku w restauracji przestał zadawać za dużo pytań, lecz to okazało się jeszcze większym błędem. Teraz nie wiedział, co oznacza *pijany*, nie miał pojęcia, dlaczego jest mu tak niedobrze i dlaczego nie może się poruszać. Wydawało mu się, że jego stopy i głowa tkwią w zacisku śrubowym, ponadto całkiem stracił czucie w rękach.

Nie, nie tak. Czuł je jeszcze do ramion i być może odrobinę poniżej, gdzie nagle zaczęło go okropnie swędzieć, jakby jego najlepszy przyjaciel Kevin grał z nim w „tysiąc szpilek”. Kevin, ten szpaner, który właściwie miał na imię Konrad, ale groził, że spuści manto każdemu, kto nazwie go tym „pedalskim imieniem”.

Kevin, Konrad, zasraniec...

Wszystko poniżej łokci, a więc to, co normalnie zawsze leżało na prawo, na lewo i przed nim, dyndało albo wisiało, jego przedramiona, nadgarstki, dłonie (*cholera, gdzie są moje dłonie?*), wszystko to znikło.

Chciał krzyczeć, ale miał za sucho w ustach i w ogóle w całym gardle. Zdobył się jedynie na nędzne skrzeczenie.

Dlaczego nic mnie nie boli ? Dlaczego nie pływam we krwi, skoro mam obcięte dłonie? Amputowane albo jak to się tam nazywa. Cholera, o to też nie zapytałem.

Do nosa Toby'ego wdarł się nieświeży zapach, słodkawy jak zjełczałe masło, tylko nie tak bardzo intensywny. Minęła krótka chwila, zanim się zorientował, że zacisk, w którym leżał, musiał być otoczony ścianami, od których odbijał się jego brzydki oddech. Po dłuższej chwili poczuł bezgraniczną ulgę, kiedy odnalazł swoje dłonie. Pod plecami.

Jestem związany. Nie, to nie tak. Jestem unieruchomiony.

Myśli kłębiły mu się w głowie.

W każdym razie leżę na moich rękach.

Gorączkowo myślał, co ostatnio robił, zanim się tu znalazł. Tu w tym niczym. Ale w głowie chlupotała mu tylko fala bólu, która, jak się wydawało, całkowicie wypłukała pamięć.

Ostatnie, co zapamiętał, to że wieczorem grali w salonie w tenisa, w tę walniętą grę komputerową, podczas której musiał jak jakiś głupek skakać po pokoju i w którą zawsze wygrywała Lea. Potem mama zaprowadziła ją do łóżka. A teraz był tutaj. Tutaj, w tym *niczym*.

Toby przełknął ślinę i nagle jego strach stał się jeszcze większy. Tak duży że nie zauważył śmierdzącej strugi pomiędzy nogami. Strach, że zostanie żywcem pogrzebany, sprawił to, co nie do końca zdziałała ciasnota niewidzialnego więzienia. Sparaliżował go.

Zrobiło mu się niedobrze, tak jak wtedy podczas długiej jazdy samochodem, kiedy chciał

poczytać, i tata się wkurzył, ponieważ musiał się zatrzymać. Wstrzymał oddech, żeby nie zwymiotować, kiedy nagle...

Cholera, co...?

Toby obracał językiem w ustach i natrafił na obce ciało.

O Boże, co to jest ?

Ta rzecz przykleiła się do górnego podniebienia jak chips ziemniaczany, który mocno się do niego przyssał. Tylko że powierzchnia tej rzeczy była twardsza i gładsza.

I zimniejsza.

Dalej przesuwiał językiem po tej rzeczy i poczuł, jak w ustach zbiera mu się coraz więcej śliny. Intuicyjnie oddychał tylko przez nos i powstrzymywał drażniącą potrzebę przełykania. Tak długo, aż obce ciało z lekkim cmoknięciem odkleiło się od podniebienia i poczuł je na języku.

I wtedy już wiedział. Nawet gdyby Toby nie mógł sobie przypomnieć, *jak* się tu znalazł, *kto* go tu przywłókł i *dlaczego* tu przetrzymuje, nawet jeśli nie miał najmniejszego pojęcia, czym w ogóle była ta ciemna *nicość*, która go otaczała, to przynajmniej rozwiązał tę jedną zagadkę.

Moneta.

Zanim Tobias Traunstein został wrzucony do najciemniejszego lochu na świecie, ktoś włożył mu do ust monetę.

(jeszcze 44 godziny i 31 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Alexander Zorbach (ja)

- Ty nieczuły, nieodpowiedzialny, egoistyczny dupku.

- W obrzydliwy i bezczelny sposób zapomniałeś.

Mój głos brzmiał spokojnie, dużo spokojniej niż zawsze, kiedy kłóciłem się z moją jeszcze-żoną. Jeszcze, ponieważ podczas naszego ostatniego spotkania postanowiliśmy się rozwieść. Teraz Nicci powtórzyła zdanie, które tamtego wieczoru wbiła mi do głowy:

- Czasem naprawdę zadaję sobie pytanie, jak w ogóle mogłam kiedyś się z tobą związać!

Dobre pytanie. Proszę o pomoc publiczność!

Mówiąc poważnie, zupełnie nie rozumiałem, co kobiety widzą we mnie. Nawet na wydziale psychologii, gdzie poznaliśmy się z Nicci, studiowała masa mężczyzn, którzy byli bardziej atrakcyjni, wyżsi i z pewnością bardziej szarmanccy. Mimo to wybrała mnie. Nie mogło chodzić o mój wygląd zewnętrzny. Nie cierpię oglądać się na zdjęciach. Z dwustu fotek, na których jestem uwieczniony, nie wstydę się najwyżej jednej. Przeważnie zdjęcia są poruszone albo prześwietlone, nie widać na nich, że mój podbródek powoli się podwaja. Dawniej często porównywano mnie z Nicolasem Cage'em z powodu smutnego spojrzenia, obecnie nasze podobieństwo ogranicza się co najwyżej do rzadkich włosów. Od moich trzydziestych urodzin co roku dokładam kilogram do wagi ciała. Mimo że unikam fast foodów i biegam dwa razy w tygodniu. Kiedyś Nicci trafiła w sedno, nazywając mnie na początku naszego związku „obiektem miłości”. Jak wymagający renowacji oldtimer: dość stary, żeby skasować premię za złomowanie, ale mimo usterek zbyt atrakcyjny, żeby po prostu wymienić go na nowszy model. W tym punkcie jej opinia oczywiście zmieniła się od tamtej pory

- Który ojciec zostawia swojego dziesięcioletniego syna samego w hospicjum dla umierających dzieci? - zapytała wściekle.

Nawet nie zadałem sobie trudu, żeby wyjaśnić jej, że Julian okazał pełne zrozumienie, kiedy zadzwoniłem do niego z samochodu, prosząc, aby dzisiaj sam rozdał prezenty, ponieważ zdarzył się nagły wypadek. W każdym razie musiałem pojechać na miejsce przestępstwa i trudno byłoby ciągnąć

tam ze sobą dziesięcioletniego chłopca.

- A która matka wysłała syna z bronchitem do szamana? - odwzajemniłem się.

Cholera, co bym teraz dał za papierosa.

Nieświadomie złapałem się za prawe ramię, gdzie miałem przyklejony plaster antynikotynowy. Słuchawkę trzymałem pomiędzy brodą i barkiem.

- To jest poniżej wszelkiej krytyki, Alex - powiedziała Nicci po krótkiej przerwie. - Nawet nie dałeś Julianowi pieniędzy na taksówkę.

- Bo musiałem zgubić gdzieś portfel. Na Boga. Czasem coś się nie układa.

Czasem nawet uprowadza się i morduje dzieci.

- W twoim świecie, Alex - odpowiedziała. - W twoim świecie nieszczęścia zdarzają się jedno po drugim, ponieważ masz te wibracje.

- Proszę cię, nie zaczynaj znowu...

Ręce mi drżały i próbowałem się uspokoić, dlatego jeszcze mocniej chwyciłem kierownicę. Odkąd próbowałem rzucić palenie, wewnętrzny niepokój stał się jeszcze silniejszy.

Mimo swędzącego plastra na mięśniu trójgłowym.

- To twoja negatywna energia. Ty wprost przyciągasz zło - powiedziała prawie litościwie.

- Tylko o nim piszę. Relacjonuję fakty. Ponieważ po mieście krąży psychopata, który niszczy rodziny w tak okrutny sposób, że nawet ten szmatławiec, dla którego pracuję, nie ma odwagi opublikować wszystkich szczegółów.

On gra w najstarszą na świecie dziecięcą grę: w chowanego. I gra tak długo, aż rozbije całą rodzinę. Gra aż do śmierci.

Moje spojrzenie padło na leżącą na siedzeniu pasażera starą gazetę z nagłówkiem, który sam wymyśliłem:

Kolekcjoner oczu znów atakuje!

Znaleziono trzecie martwe dziecko.

Podobnie jak mój wcześniejszy zawód negocjatora, tak samo nowa praca w gazecie często doprowadzała mnie do granic wytrzymałości, jednak przypadek kolekcjonera oczu, który mordował matki uprowadzonych dzieci i dawał ojcom tylko kilka godzin na odnalezienie dzieci, zanim uduszą

się w kryjówce, gdzie je więził, nadał nowy wymiar okrucieństwu. A fakt, że psychopata za każdym razem usuwał ze zwłok dziecięcych lewe oko, definitywnie rozbijał granice wyobraźni.

- Negatywne myślenie znajduje odbicie w rzeczywistości - Nicci dalej wykladała profesorskim tonem. - Myśl pozytywnie, a będą cię spotykać rzeczy pozytywne.

Tymczasem dotarłem do zjazdu na Messedamm na obwodnicy miasta i liczyłem wstecz od dziesięciu, ale to nie działało. Już przy siedmiu wypadłem z roli.

- Myśleć pozytywnie? Czy całkiem cię pogięło? Kolekcjoner oczu rozegrał już trzy partie swojej gry.

Sześć ofiar: trzy matki, dwie dziewczynki, jeden chłopiec.

- Chyba nie wierzysz, że ten czubek na tym poprzestanie, jeśli teraz zjadę na pobocze i zanucę wesołą piosenkę? Nie, jeszcze lepiej: może po prostu zwrócę się z zamówieniem do wszechświata, tak jak jest napisane w książce, która leży na twojej szafce nocnej - powiedziałem zirytowany.

- Albo zadzwonię na tę astrologiczną gorącą linię, na którą wydajesz majątek. Być może na jej drugim końcu jakaś gospodyni domowa spojrzy w fusy od kawy i odczyta z nich, gdzie ukrywa się kolekcjoner oczu?

Odsunąłem komórkę od ucha, żeby zidentyfikować dobijającego się do mnie drugiego rozmówcę.

- Nie rozłączaj się, proszę - powiedziałem i z wdzięcznością odebrałem drugą rozmowę.

- Cześć, Alex. To ja, twój ulubiony wolontariusz.

Frank Lahmann.

Gdyby złapał mnie w lepszym momencie, zapytałbym go: Ulubiony wolontariusz? A co, wywalili cię z roboty? - ale nie miałem nastroju do żartów, więc przestałem na zwięzłym:

- Cześć.

- Niechętnie przeszkadzam ci w poobiedniej drzemce, Zorbach, ale Thea pyta, czy przyjdiesz na kolegium redakcyjne o dwunastej.

Większość moich redakcyjnych kolegów miała problemy z przemądrzałym sposobem bycia Franka, ja po prostu nie znosiłem tego dwudziestoletniego chłystka - być może dlatego, że ze względu na wiek nadawaliśmy na różnych falach. Większość młokosów, którzy ślęczeli w naszej redakcji, robiła to z mylnych powodów: uważali, że praca w mediach jest cool, i mieli nadzieję, że kiedyś znajdą się w centrum uwagi, jak artykuł, nad którym pracują. Z Frankiem było inaczej. Dla Franka dziennikarstwo nie było zawodem, lecz powołaniem, w którym prawdopodobnie wyżywałby się nawet wtedy, gdyby nasza gazeta płaciła mu jeszcze mniej. Jeśli chodzi o nadgodziny, które bez umiaru brał na ochotnika, jego grafik dorównywał czasowi pracy somalijskiego robotnika rolnego.

Kiedy dawniej czytałem w powieściach słowa: „Znajduję w tobie swoje własne odbicie!”, zawsze przewracałem oczami i pomijałem strony z tymi bzdurami.

Kiedy cztery tygodnie temu w pomieszczeniu z kopiarkami znalazłem śpiwór Franka, przyłapałem się na takiej samej myśli. Mój wolontariusz przypomniiał mi o okresie szkolenia zawodowego w policji. Byłem całkowicie opętany, chorobliwie pracowity i częściowo pozbawiony należnego szacunku dla swojego mentora.

- Powinienem cię uprzedzić, że byłoby lepiej, gdybyś na kolegium przedstawił kilka faktów, i to nie takich, które już od dawna pojawiają się na pasku na stronach internetowych konkurencji. Bo inaczej, cytuję Smoka dosłownie, „będzie klaskanie, ale nie aplauz”.

Frank był jeszcze bardziej nakręcony niż zwykle, jak ktoś, kto właśnie spał, lecz za żadną cenę nie chce dać tego po sobie poznać. Przypuszczalnie przyczyną były niezliczone ilości kubków kawy, które zapewne dzisiaj już wlał w siebie.

Kolegium redakcyjne.

Jęknąłem cicho.

- Przekaż naczelnej, że dziś nie dam rady.

Znowu...

- O rany, człowieku - powiedział i roześmiał się. - Dostaniesz za swoje. Ale Thea wyładuje złość na mnie i wyśle mnie na doroczną konferencję prasową wędkarzy muchowych, niech to szlag.

- Możesz o tym zapomnieć. Potrzebuję cię dzisiaj.

Frank zakaszłał nerwowo. Prawdopodobnie spojrzał ponad monitorem do biura naczelnej i przybrał minę, jakby właśnie planował spisek.

- Jakie są rozkazy, panie prezydencie? - wyszeptał.

- Podejź do mojego biurka. W którejś szufladzie, chyba w dolnej, jest pięćdziesiąt euro i karta kredytowa. Obwiązane gumką.

Przez chwilę słyszałem tylko szum i typowe odgłosy dochodzące z hali redakcyjnej.

- Jest tylko dwadzieścia euro, ty łgarzu. I zielony Amex, nawet nie złoty.

- Musisz mi je natychmiast przywieźć. Zgubiłem portfel, a w samochodzie świeci się już rezerwa.

- Twój portfel? O kurczę.

Usłyszałem skrzypienie biurowego krzesła i przed oczami ukazał mi się widok Franka siadającego przy moim biurku i przybierającego charakterystyczną dla niego postawę, kiedy rozmawiał przez telefon: komórka wciśnięta pomiędzy obojczyk i brodę, oba łokcie na stole i dłonie splecione na krótko ostrzyżonym karku.

- Czy w portfelu było przynajmniej zdjęcie dziecka?

Juliana?

- Co? Nie. - Byłem trochę zmieszany.

- To źle. Bardzo źle.

Odchrząknął, pewna oznaka, że zaraz zacznie swój monolog. Ponieważ kierowca jadącego przede mną minibusa bez powodu zmienił pas, rozproszyłem się i przegapiłem okazję, aby zdusić w zarodku wykład Franka.

- Według badań przeprowadzonych na Uniwersytecie Hertfordshire zgubione portfele są częściej zwracane właścicielom, jeśli znajduje się w nich coś osobistego. Fotografie dzieci, żony albo na przykład małych szczeniąt.

- To rzeczywiście bardzo ciekawe - powiedziałem, ale wydawało się, że nie wyczuł ironii w moim głosie.

- Celowo rozrzučili dwieście czterdzieści portfeli, żeby zobaczyć, które z nich wrócą...

- Frank, wystarczy, okay? Naprawdę nie mam czasu na te pierdoły. - Wreszcie dotarłem do niego.
- Bierz pieniądze i w drogę. - Podałem mu adres i skończyłem rozmowę słowami: - I pośpiesz się.
Myślę, że znów się zaczyna.

Połączenie jakby nagle zamarło i obawiałem się już, że wjechałem do strefy, w której nie było zasięgu, kiedy na drugim końcu coś cicho zaszeleściło.

- Kolekcjoner oczu? - zapytał Frank.

- Tak.

- Cholera - wyszeptał. Był jeszcze za młody i za mało doświadczony, żeby rutynowo i obojętnie komentować takie wiadomości. Ale miał jedną cechę, którą w nim ceniłem. Wiedział, kiedy kończył się czas na głupie wywody.

Rok temu wyłowiłem Franka z zalewu kandydatów i przeforsowałem jego osobę wbrew woli Thei Bergdorf, która wolałaby przyjąć szarmanckiego bubka z monachijskiej Szkoły Dziennikarstwa, a nie „wymoczka”, jak zauważyła, rzuciwszy okiem na jego fotografię.

- Ten wygląda jak chłopak z opakowania sucharów, gdziekolwiek się pojawi, nikt nie potraktuje go poważnie.

Ale Frank Lahmann, ubiegając się o pracę, jako jedyny nie przedstawiał swojego życiorysu, lecz artykuł. Raport na temat najcięższych zaniedbań wobec osób chorych na demencję w prywatnych domach starców został wydrukowany na czwartej stronie. Poza tym Frank był absolutnym asem w wyszukiwaniu informacji, nawet jeśli przy każdej odpowiedniej i nieodpowiedniej okazji chciał przemycić bezużyteczną wiedzę, którą zdobywał, szperając w serwisach agencji informacyjnych, bibliotekach i internecie.

- Spotkajmy się za kwadrans - powiedziałem i wróciłem do połączenia z Nicci, która ku mojemu zaskoczeniu ciągle czekała na linii.

- Posłuchaj, przykro mi, że musisz teraz jechać po Juliana - spróbowałem, używając bardziej uprzejmego tonu. Deszcz znów przybrał na sile, temperatura ledwie przekraczała punkt zamarzania, a przede mną włókł się mężczyzna w kapeluszu. - Obiecuję ci, że to się już nigdy nie powtórzy. Ale naprawdę mam teraz robotę.

Nicci westchnęła. Wydawało się, że ona również trochę ochłonęła.

- Och, Alex. Co się z tobą stało? Mógłbyś pisać o tak wielu sprawach. Na przykład o szczęściu i miłości. Albo o ludziach, których ofiarne bezinteresowne uczynki oraz myśli zmieniają świat.

Przejechałem obok osiedla działkowego, do końca asfaltu, i ulica zmieniła się w wyboistą leśną drogę. Dawniej często grywałem tu w tenisa, więc dobrze znałem tę okolicę. Droga nie łączyła się z Kühlen Weg, ale w takich razach jak ten lepiej nie zjawiać się nieoczekiwanie przed drzwiami frontowymi.

- Ale to zajście wtedy...

Na wiadukcie...

- ... coś w tobie zniszczyło. Co prawda zostałeś uniewinniony od wszystkich zarzutów, lecz w głębi duszy czujesz się winny, mam rację? Przecież roztrząsaliśmy to już iks razy: działałeś w stanie wyższej konieczności. Bezsprzecznie miałeś rację. Istnieje nawet amatorskie nagranie wideo, które potwierdza twoje zeznania.

Potrząsnąłem głową, nie mówiąc ani słowa.

- Zamiast zaakceptować wskazówkę daną ci przez los i zmienić swoje życie, do dzisiaj bez przerwy ścigasz przestępców. Co prawda już bez pistoletu, za to z dyktafonem i długopisem. Ciągłe szukasz jakiegoś nieszczęścia - powiedziała Nicci trzęsącym się głosem. - Powiedz mi, dlaczego? Co cię tak fascynuje w śmierci, że zaniedbujesz swoje dziecko, rodzinę, a nawet siebie samego?

Ręce mi drżały i znów kurczowo ścisnąłem kierownicę.

- Czy dlatego, że chcesz się ukarać? Szukasz zła, ponieważ prawdopodobnie sam uważasz siebie za złego człowieka?

Wstrzymałem oddech i nic nie powiedziałem, lecz wpatrywałem się w przednią szybę i rozmyślałem. Kiedy wreszcie chciałem coś odpowiedzieć, zorientowałem się, że kobiety, o której sądziłem, że tylko śmierć mogłaby nas rozłączyć, nie było już na linii.

Leśna droga była wydeptanym traktem dla koni. Po lewej stronie ciągnął się rząd mieszczkańskich altanek ogrodowych, po prawej znajdowały się korty tenisowe klubu Borussia. Zignorowałem zakaz wjazdu wszelkiego rodzaju pojazdów mechanicznych i powoli skręciłem za róg chybotającym się na wybojach volvo.

Rzeczywiście nie jest dobrze, pomyślałem, kiedy dwieście metrów dalej zobaczyłem gromadę służbowych samochodów z włączonymi kogutami, które blokowały dojazd do Kühlen Weg...
rzeczywiście nie jest dobrze, że w cudacznym sposobie postrzegania świata przez Nicci tkwi źdźbło prawdy.

Wycofałem samochód i zaparkowałem przy pokrytym błotem ogrodzeniu z drucianej siatki, które oddzielało leśną drogę od pustych kortów tenisowych.

Nie bez powodu byłem z nią tak długo, mimo przeciwności, mimo wiecznych kłótni o wychowanie dziecka i plany życiowe. Od pół roku żyliśmy w separacji, ale oczywiście ciągle była mi bliższa niż wszyscy pozostali dorośli ludzie na tej planecie.

Wysiadłem z samochodu, podniosłem klapę bagażnika, wyjąłem walizkę leżącą pod sportową torbą i otworzyłem ją.

Przejrzała mnie, pomyślałem, ubierając się w odzież ochronną, która miała zapobiec zostawianiu śladów na miejscu przestępstwa: śnieżnobiały kombinezon ze sztucznego tworzywa i jasnozielone plastikowe kalosze, które włożyłem na rozczłapane buty firmy Timberland.

Przyciągam zło.

Nieodparcie.

I nie wiem dlaczego.

Zamknąłem bagażnik i wyrząłem na drogę prowadzącą do miejsca przestępstwa. Potem skręciłem i zniknąłem w lesie.

(jeszcze 44 godziny i 6 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Philipp Stoya

(szef wydziału zabójstw)

Stoya spojrział w oczy denatki i wydawało mu się, że słyszy jej krzyk. Czuł nieme zarzuty, przed którymi dziekan medycyny sądowej zawsze ostrzega swoich studentów: nawet jeśli komuś uda się zachować dostateczny dystans wobec przerażenia, które na widok trupa od czasu do czasu ogarnia nawet doświadczonych oficerów śledczych; nawet jeśli sprofanowanego ludzką ręką, zgwałconego i zamordowanego ciała, unieszkodliwionego jak odpadek, pozostawionego na pastwę insektów, dzikich zwierząt i pogody, nie próbowało się traktować jak osobnika ludzkiego, lecz dowód w sprawie. Nawet wtedy nie można było nie usłyszeć zarzutu, jaki zwłoki wykrzykiwały do osoby, która je znalazła. Krzyczały oczami.

Philipp Stoya chciał się odwrócić i zatkać uszy, ponieważ dzisiaj krzyk był wyjątkowo głośny.

Młoda kobieta była bosa i ubrana tylko w cienki szlafrok, pod którym nie miała majtek ani stanika. Lucia Traunstein leżała brzuchem na trawie, w ogrodzie za domem, kilka kroków od szopy na narzędzia w kształcie prostopadłościanu, gdzie przed południem znalazł ją jej mąż. Miała szeroko rozłożone nogi i wystawiała na widok całkowicie ogolone łono. Jednak to, co tutaj zaszło z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością, nie miało nic wspólnego ze zbrodnią na tle seksualnym.

Zaginione bliźnięta Tobias i Lea oraz stoper w ręku Lucii mówiły coś innego.

Językiem umysłowo chorego kolekcjonera oczu, pomyślał Stoya.

Najokrutniejsza seria morderstw od czasu zakończenia wojny zaczęła się trzy miesiące temu, kiedy Peter Strahl, czterdziestodwuletni murarz, chciał w weekend odwiedzić swoją rodzinę po dwóch tygodniach spędzonych na dużej budowie we Frankfurcie. Jego małżeństwo od lat cierpiało z powodu regularnych okresów nieobecności ojca rodziny, który tym razem spędził wyjątkowo długi czas na montażu. Jako rekompensatę przyniósł kwiaty dla żony i plastikową lalkę dla Karli. Jednak nie zdołał już wręczyć obu prezentów. Żonę ze skreconym karkiem znalazł w przedpokoju. W ręku trzymała przedmiot, który później okazał się stoperem; popularnym w handlu modelem, przeważnie sprzedawanym w Niemczech.

Kiedy człowiek z sekcji zabezpieczania śladów chciał wyjąć sportowy chronometr z dłoni kobiety, uruchomił wsteczne odliczanie. Cyfrowy wyświetlacz ruszył. Czas zaczął biec do tyłu.

Na początku pomyślano o bombie, dlatego natychmiast ewakuowano wszystkich dwanaścioro lokatorów z czynszowej kamienicy w Treptow. Ale w końcu wyszła na jaw okrutna prawda, ultimatum dotyczyło Karli. Mała zniknęła bez śladu i już nie pojawiła się żywa. Ani policji, ani zrozpaczonemu ojcu nie udało się znaleźć kryjówki, do której psychopata zaciągnął dziewczynkę. Kryjówki, w której po upływie 45-godzinnego ultimatum została zamordowana.

Przynajmniej takie wyniki przyniosła sekcja zwłok. Mała Karla na pewno nie umarła w miejscu, gdzie ją znaleziono, na polu na peryferiach Marienfelde, ponieważ nie było tam wody. Taka opinia wynikała z faktu, że dzieci się udusiły, co, jakkolwiek by na to patrzeć, odpowiadało prawdzie. Oczywiście dla dobra śledztwa zatajono istotne wyniki obdukcji: ofiary się utopiły. W pianie, która tworzy się u tonących po odruchowym zaczerpnięciu wody do tchawicy, znaleziono ślady zanieczyszczonej wody użytkowej. Ponieważ identyczna sytuacja dotyczyła wszystkich ofiar, założono, że kolekcjoner oczu uprowadzał wszystkie dzieci do tego samego miejsca. Analiza wody, jak również zanieczyszczenia na skórze nie mówiły o naturalnej wodzie, co raczej nie ograniczało zakresu poszukiwań kryjówki. W grę wchodził każdy dom z basenem w piwnicy.

Wystarczyłaby nawet przekłęta wanna, pomyślał Stoya.

Ustalono tylko jedno: ani Karla, ani Melanie, ani Robert, późniejsze dziecięce ofiary, nie zostali zamordowani na łonie przyrody. *I również nie tam zostały pozbawione lewego oka.*

- Zabiję go. - Stoya usłyszał za plecami napięty głos, kiedy nieruchomo klęczał przy zwłokach. Nawet śmierci nie udało się odebrać Lucii atrakcyjnego wyglądu, zahartowanego dietą i ćwiczeniami fitness, którym często charakteryzują się kobiety mające dużo starszych, dużo brzydszych i - o czym nie można zapomnieć - dużo bogatszych mężów.

Jako właściciela największej sieci pralni w Berlinie Thomasa Traunsteina z pewnością było stać na znacznie więcej niż tylko willę. I na pewno na więcej niż kobietę taką jak Lucia.

- Zabiję tego sukinsyna. Przysięgam!

Kolega, który pochylał się nad nim z tyłu, ledwie mieścił się pod namiotem, który technicy postawili w ogrodzie zaledwie kilka minut temu. Mike Scholokowsky miał prawie dwa metry wzrostu i był tego rodzaju przyjacielem, do którego człowiek dzwoni, kiedy przy przeprowadzce potrzebuje pomocy kogoś, kto jest w stanie wnieść lodówkę na piąte piętro.

- Albo ją - mruknął cicho Philipp Stoya. Kolana mu zatrzęszczały, kiedy powoli wstawał, nie spuszczać wzroku z martwej kobiety.

- Ha?

- Zabijesz *jego*, Scholle. Albo *ją*. Jeszcze nie znamy płci sprawcy.

Wszystkie ofiary, zarówno kobiety, jak i dzieci, nie były szczególnie duże ani silne. A więc morderca nie musiał przełamywać większego oporu. Brak jakichkolwiek śladów walki wskazywał,

że sprawca wykorzystywał moment zaskoczenia. Osoba odpowiedzialna za śmierć Lucii Traunstein oraz uprowadzenie Tobiasa i Lei mogła być mężczyzną lub kobietą, chyba że działali w zespole. Aż tyle zdradził im profesor Adrian Hohlfort, psycholog kryminalistyczny, który współpracował z nim przy tej sprawie. Aż tyle, ale niestety niewiele więcej.

Scholle pociągnął nosem, potarł podwójny podbródek i wlepił wzrok w kobietę, której głowa była groteskowo skręcona po kątem 90 stopni. *Skręcenie karku.* Jeszcze jeden dowód wskazujący na wzorzec postępowania kolekcjonera oczu.

Szeroko otwarte oczy zmarłej omijały obu funkcjonariuszy i ze zdumieniem wpatrywały się w zasnucone chmurami niebo.

Nie, one nie patrzą. One krzyczą.

- Do diabła, jest mi wszystko jedno. - Scholle wprost wypluwał słowa w zimne powietrze. - Nawet jeśli to będzie jakaś przeklęta zakonnica, i tak ją zabiję.

Stoya nie zaprotestował. Chociaż jego obowiązkiem jako szefa szóstego wydziału zabójstw było nakłanianie swojego asystenta do większego panowania nad emocjami. Tymczasem powiedział tylko:

- A ja ci w tym pomogę.

Już dłużej nie mogę. Mam tego wszystkiego dosyć. Tym razem musieli wygrać rundę tej perwersyjnej gry w chowanego i złapać kolekcjonera oczu, zanim upłynie termin ultimatum i jakiś następny jogger potknie się o zwłoki uduszonego dziecka.

Zwłoki dziecka, któremu zboczeniec usunął lewe oko... O Boże, co za dzień.

Stoya spojrzął na Schollego, który z wściekłości najchętniej rozerwałby namiot, i znów musiał przyznać, że nakręcały go inne motywy niż jego partnera.

Scholle chciał zemsty On sam chciał tylko lepszego życia. Cholera, już ponad dwadzieścia lat ścigał aspołeczne świnię i w nagrodę za to w wieku czterdziestu kilku lat wyglądał jak zgniłe jabłko. Plamista cera, zmarszczki pod podkrążonymi oczami i łysy placek na potylicy Cena, jaką człowiek płaci za długotrwały stres i brak snu. Wszystko to nie byłoby problemem, gdyby praca przynajmniej przekładała się na stan konta, co z reguły przekonuje kobiety do tego, żeby nie zwracać większej uwagi na wygląd zewnętrzny mężczyzny. Ale nic z tego. Ciągle był singlem, a na ogół przestępcy, których ścigał, w godzinę zarabiali więcej niż on przez cały miesiąc.

Scholle chce zemsty. Moim celem jest kariera.

Tak, do jasnej cholery, w przeciwieństwie do wszystkich innych nie był na tyle szczery, aby to otwarcie przyznać. Stoya nie chciał już obiema rękami grzebać się w gównie. Jego celem była posada dyrektorska ze stałym czasem pracy, lepszą pensją i dużym biurkiem, za którym można wygodnie posadzić tyłek.

Przecież inni mogą klęczeć w deszczu przy zwłokach nagiej kobiety.

Jednak w tej chwili od celu, który sobie wyznaczył, dzieliły go lata świetlne i nie zanosiło się na

to, że wkrótce będzie mógł odtrąbić sukces i cały szczęśliwy ogłosić, że już nigdy więcej nie musi wkładać munduru. W jednym i drugim wypadku różne motywy, ale przynajmniej Stoi i Schollemu przyświecał ten sam cel.

- Musimy znaleźć tego szaleńca.

Stoya szukał zdrętwiałymi palcami w kieszeniach spodni małej plastikowej torebki. Gdy tylko przyjechał medyk sądowy, który już przez telefon dowiedział się o szczególnych okolicznościach sprawy, Stoya wszedł do willi, gdzie mężem zamordowanej zajmował się psycholog, i zamknął się w łazience. Miał nadzieję, że w torebce zostało dość towaru, który przez następnych czterdzieści pięć godzin musiał utrzymać go na chodzie...

Co, do diabła...?

Stoya usłyszał coś w swoim otoczeniu, zanim to zobaczył. Był to dźwięk deszczu, który w odległości dwóch metrów od namiotu nie padał już na leśne podłoże, lecz na twardą powierzchnię. Na ubranie. Dokładniej mówiąc, na biały kombinezon ochronny, jaki noszą technicy z sekcji zabezpieczania śladów.

- Cholera, co tu robi ten dupek? - zapytał Scholle. Jego bezsilna wściekłość na kolekcjonera oczu wreszcie znalazła piorunochron. Reporter, który im się przypatrywał, stojąc w zasięgu słyszalności, już od dawna był dla jego kolegi cierniem w oku. Alexander Zorbach wszedł na działkę od strony Grunewaldu i stał teraz przy ogrodzeniu z mężczyzną, który wydawał się o głowę niższy i dużo młodszy od niego.

Fritz, Frank albo Franz. Stoya jak przez mgłę przypominał sobie, że kiedyś na konferencji prasowej Zorbach przedstawił mu swojego asystenta.

- Spieprzaj stąd - wrzasnął Scholle i sięgnął po komórkę, ale Stoya uspokajająco położył rękę na jego ramieniu.

- Daj spokój, ja to załatwię.

Stoya naciągnął na głowę kaptur puchowej kurtki i wyszedł na ulewny deszcz. Chociaż z każdym krokiem wzbierała w nim złość, był zadowolony, że mógł na chwilę zapomnieć o swoim marnym losie.

- Czego tu szukasz? - zapytał, kiedy podszedł do stojącego przy ogrodzeniu Zorbacha, którego lokaj trzymał się w odległości kilku metrów. - Do jasnej cholery, co tu robisz?

Nie podał mu ręki, nie wyszedł także do niego przez furtkę na zewnątrz, żeby poszukać schronienia pod jednym z drzew.

- Powiedz tylko, czy jestem pierwszy? - zapytał Zorbach. W jego głosie przynajmniej nie wyczuwało się triumfu, raczej zdziwienie. Odkąd Stoya go znał, Aleksowi nigdy nie zależało, żeby wysuwać się na pierwszy plan. Zawsze chodziło mu tylko o dotarcie do prawdy. I przeciwnie niż wielu jego kolegów swoich dokładnie udokumentowanych artykułów nigdy nie podpisywał pełnym nazwiskiem, lecz tylko anonimowym skrótem. I tak wszyscy wiedzieli, kto kryje się za A. Z.

- Tak, jesteś pierwszy, i ciekawi mnie, jak ci się to udało.

Zorbach roześmiał się z przymusem. Miał całkiem mokre włosy i zaczerwienione z zimna dłonie, ale wydawało się, że nie robi mu to różnicy

- Daj spokój. Jak długo już się znamy, Philipp? Przecież nie chcesz usłyszeć, że przechodziłem tędy przypadkiem.

- Jasne. W kaloszach policyjnych i kombinezonie ochronnym.

Stoya potrząsnął głową. *Przypadek*. Tradycyjna wymówka dziennikarskich hien, ponieważ podsłuchiwanie policyjnego radia było z oczywistych względów zabronione.

- Nie, Alex. Tym razem to nie przejdzie. Chcę znać prawdę. I nie wyjeżdżaj mi teraz ze swoją zasraną intuicją.

Zorbach był fenomenem. Już wtedy, kiedy jeszcze razem pracowali, delikatne wyczucie jego kolegi czasem budziło w Stoi grozę. Chociaż Alex nie ukończył studiów z psychologii, był najlepszym negocjatorem w policji. Jego empatia, umiejętność szanowania nawet najdrobniejszych niuansów emocjonalnego zachowania innych ludzi obrosły legendą. Wielka szkoda, że ta historia na wiadukcie ostatecznie doprowadziła go do zguby.

- Nie rozumiem, co masz na myśli - powiedział Zorbach i otarł z brwi krople deszczu. - Przecież dobrze wiesz, że cały czas śledzę tę sprawę, od samego początku. Nie piszę nic, co mogłoby wam zaszkodzić. Przeciwnie, staram się ci pomóc, poza tym myślałem, że mamy umowę.

Stoya skinął głową twierdząco i ze sztucznego futra, którym był obsyty brzeg jego kaptura, spadły grube krople deszczu. Co prawda Zorbach został oficjalnie wydalony ze służby w policji, jednak wciąż panowała pomiędzy nimi owocna symbioza. Jeszcze teraz, siedem lat po tym zajściu, spotykali się w nieregularnych odstępach czasu.

I jakże często w trakcie tych nieoficjalnych spotkań, kiedy rozmowa schodziła na bieżące sprawy, poruszał decydujące wątki, dzięki którym jego śledztwo posuwało się do przodu.

Z wdzięczności i ze względu na starą znajomość i solidarność zawodową Alex cieszył się uprzywilejowaną pozycją i zawsze dostawał ważne informacje trochę wcześniej niż inni reporterzy.

Dzisiaj jednak jego były kolega posunął się o krok za daleko.

- Dość tej zabawy Alex. Powiedz mi prawdę. Dlaczego tu przyjechałeś?

- Przecież wiesz.

- Powiedz mi.

Zorbach westchnął.

- Cholera, podsłuchałem w policyjnym radiu.

- Nie rób mnie w balona.

- Co ci jest? O co ci chodzi?

Stoya mocno złapał go za ramię.

- To ja cię pytam. Powiedz mi wreszcie, w co tu się bawisz!

Alex zbladł. Kącik jego ust zadrżał nerwowo, a on sam próbował bez przekonania uwolnić się z uchwytu Stoi.

- Nie pleć bzdur, chłopie. Zgłosiliście jeden-zero-sie-dem.

Stoya gwałtownie potrząsnął głową.

- Po pierwsze, już nie używamy tego kodu. Po drugie, od czasu znalezienia ostatniego ciała obowiązuje nas rozporządzenie wewnętrzne, aby w sprawie kolekcjonera oczu komunikować się wyłącznie poprzez bezpieczne łącza. Jeśli o tym napiszesz, opinia publiczna nas zmiażdży. Czy naprawdę myślisz, że tego rodzaju drażliwe informacje przekazujemy sobie przez zwykłe radio policyjne, żeby trafiały do uszu każdego radioamatora hobbysty?

Z oddali dobiegały pomruki grzmotów i niebo jeszcze bardziej pociemniało.

- Nie zalewasz? - zapytał z niedowierzaniem Zorbach i przejechał ręką po mokrych włosach.

- Nie. To nie mogło być policyjne radio. Niczego nie przekazaliśmy. - Stoya wpatrywał się w

niego podejrzliwie i było widać, że aż kipi z wściekłości. - Teraz odpuść sobie swoje gierki, Alex, i powiedz mi prawdę: skąd, do diabła, tak szybko się dowiedziałeś, że znaleźliśmy tu ciało?

(jeszcze 13 godzin i 57 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Alexander Zorbach (ja)

- Jest coraz gorzej - powiedziałem i błądziłem wzrokiem po gabinecie lekarskim. - Teraz słyszę głosy!

Już podczas pierwszej wizyty zadawałem sobie pytanie, na co idą wszystkie pieniądze, które zostawiają tu w klinice liczni prywatni pacjenci. Pokryte plamami mury z piaskowca sprawiały, że już z zewnątrz zakład psychiatryczny wyglądał na bardzo zaniedbany. Wnętrze szpitala jeszcze bardziej potrzebowało remontu. Podczas dotychczasowych wizyt spotykałem się z lekarzem w trzech gabinetach, za każdym razem innym, które różniły się wyłącznie wielkością i przebarwieniem zacieków ciągnących się od sufitu po ścianach aż do zmatowiałego linoleum na podłodze.

- Nie studiowałem tak długo jak pan, doktorze Roth. Nie doszedłem więc do zaburzeń posttraumatycznych, dlatego pytam pana: Czy to może mieć z tym coś wspólnego?

Z tym, że siedem lat temu zastrzeliłem kobietę?

Ordynator za biurkiem popatrzył na mnie uważnie i nic nie odpowiedział. Doktor Martin Roth był niezwykle utalentowanym słuchaczem, ta umiejętność doskonale predysponowała go do zawodu psychiatry. Ku mojemu zdziwieniu zaczął się łagodnie uśmiechać. Nie przypomniałem sobie, żeby kiedykolwiek robił to podczas naszych spotkań. I wydawało mi się, że wybrał do tego bardzo nieodpowiedni moment.

Kiedy siedząc na krześle, nerwowo zakładałem nogę na nogę i marzyłem o papierosie, uśmiechnął się jeszcze szerzej, dzięki czemu wyglądał młodziej niż zwykle. W trakcie naszego pierwszego spotkania wziąłem go za studenta, a nie eksperta, który kilka lat temu trafił na czołówkę mojej gazety w związku z leczeniem słynnego na całe Niemcy psychiatry Viktora Larenza.

Podobnie jak wielu innych ludzi nie doceniałem go wcześniej. Ale jeśli człowiek spodziewa się ujrzeć koryfeusza w dziedzinie trudno uleczalnych zaburzeń osobowości, raczej dziwi się na widok nastolatka: Roth nie miał zmarszczek na twarzy, jego cera była prawie różowa, a białka oczu lśniły jeszcze jaśniej niż nowy T-shirt, który nosił pod przylegającą do ciała koszulką polo. Jedyne rzadkie włosy i wyłysiałe skronie wskazywały na jego zaawansowany wiek.

- Na początek niech pan się uspokoi - powiedział w końcu i wyjął cienką teczkę ze stojącej obok pleksiglasowej przegródki. - Nie ma powodu do zmartwienia.

Nie ma powodu do zmartwienia ?

- Wczoraj w radiu policyjnym słyszę głosy, których w rzeczywistości w ogóle nie było, a pan mówi mi, że nie mam powodu do zdenerwowania?

Przytaknął i otworzył teczkę.

- A więc dobrze, przeanalizujmy to jeszcze raz. Po zejściu na wiadukcie poddał się pan leczeniu. Cierpiał pan wtedy na silne zaburzenia percepcji.

Chrząknąłem twierdząco.

Moje koszmary wlewały się do mojego życia.

Nie mógłbym tego lepiej opisać. Najpierw czułem nosem, potem słyszałem, a na samym końcu widziałem rzeczy, które przedtem prześladowały mnie w koszmarnych snach. Przy czym nie zawsze chodziło o kobietę i dziecko na wiadukcie. Dwa tygodnie po tej tragedii śnił mi się na przykład piorun, który w sekundowych odstępach czasu uderzał coraz bliżej mnie. Boso biegłem po życie, kaleczyłem się o odłamki szkła, igły i zardzewiałe blaszane puszki, którymi była wybrukowana droga. O wiele za późno zauważyłem, że piorun zagnał mnie na hałdę śmieci, a na jej środku sterczało lśniące złotem drzewo, pod którym szukałem schronienia.

Unikaj wierzb.

We śnie płakałem, ponieważ nie potrafiłem rozpoznać, co to było za drzewo, na które się wdrapałem.

Ustępuj przed dębami.

Byłem pewny, że wpadłem w pułapkę. W każdej chwili spodziewałem się śmiertelnego uderzenia.

Szukaj buków.

Drżącymi palcami obmacywałem korę i wtedy stało się coś przerażającego. Drzewo się zmieniło. Kora zmiękła, nabrała galaretowatej konsystencji. Do moich palców przyczepiło się coś lepkiego. Kiedy zobaczyłem, że są to robaki, które wiły się już nie tylko w mojej dłoni, lecz po całym ciele, zacząłem krzyczeć. A kiedy zobaczyłem, że drzewo i razem z nim cała hałda była formacją złożoną z chrząszczy, czerwi i glist, obudziłem się z krzykiem.

Ale również po przebudzeniu w moim pokoju czuło się zgniły smród wysypiska śmieci. Podbiegłem do okna, otworzyłem je na oścież, jednak w dalszym ciągu nie mogłem normalnie oddychać. Do sypialni nie wtargnęło świeże powietrze, lecz nowy, nie mniej ohydny zapach. I chociaż na dworze był słoneczny, bezchmurny letni poranek, z nieba uderzył piorun i trafił w drzewo przed oknem. Drzewo eksplodowało i rozpadło się na tysiące robaków z których utworzyła się konwulsyjnie drgająca rzeka. Rzeka zalała trawnik i obrała kurs na nasz dom.

W chwili, w której robaki pełzły do mnie po fasadzie, coś złapało mnie od tyłu i odrzuciło od okna. Nicci.

Mój krzyk ją obudził i śmiertelnie przeraził. Później mówiła, że potrzebowała bitej godziny, żeby mnie uspokoić.

- Wtedy od razu ustawiono panu leki - kontynuował doktor Roth i dalej kartkował moją kartę chorobową.

- Przepisano panu neuroleptyki, pana stan się poprawiał i dwa lata później symptomy całkiem ustąpiły.

- Aż do wczoraj.

- Nie.

Doktor Roth podniósł wzrok znad karty chorobowej, na jego ustach znów igrał ten sam obcy uśmiech.

- Nie? - zapytałem zdziwiony.

- Widzi pan, znam pana dość krótko, więc nie mogę postawić końcowej diagnozy. Nie chcę też kwestionować omamów, które pana dręczą. Tylko bardzo wątpię, czy ma pan naturę schizofrenika.

- Dlaczego?

- Nie chcę wyciągać zbyt pochopnych wniosków. Proszę dać mi czas do jutra, wtedy będę znał wyniki analizy krwi i będę wiedział, czy potwierdzi się moje podejrzenie.

Skinąłem głową, nie wiedząc, co mam o tym sądzić. Każdy inny pacjent z pewnością ucieszyłby się z przypuszczeń Rotha i ja też chciałem wierzyć, że istnieje niegroźne wyjaśnienie moich objawów. Ale jeśli nie miałem zaburzeń percepcji, oznaczałoby to, że...

... naprawdę słyszałem te głosy. A w takim razie nawiązałem kontakt z kolekcjonerem oczu...

Kiedy to do mnie dotarło, usłyszałem w prawym uchu dźwięk, jakby ktoś blisko mojej głowy uderzył w kamerton. Próbowałem się uśmiechnąć i wstałem, żeby na pożegnanie podać rękę doktorowi. Jednak nie mogłem się skoncentrować. Kiedy wyszedłem z gabinetu, chciałem wrócić, żeby poprosić go o receptę na jakiś środek nasenny, ponieważ ostatniej nocy ledwie zmrużyłem oczy, lecz wtedy w kieszeni spodni zawibrowała moja komórka.

Zadzwoń do mnie!, brzmiała treść esemesa i piszczenie w moim uchu znowu przybrało na sile.

Szybko. Dopóki nie jest za późno.

Patrząc wstecz, myślę, że w ten sposób rozpoczął się wyścig ze śmiercią.

- Co jest?

Frank odebrał telefon po pierwszym dzwonku i poznałem po głosie, że był bardziej zdenerwowany ode mnie.

- Boję się.

Strach? Nie przypominałem sobie, żeby kiedykolwiek mówił o swoich uczuciach. Zazwyczaj starał się jakimś frywolnym powiedzonkiem odwrócić uwagę od prawdziwego podłoża własnych emocji. Na przykład swój artykuł o znęcaniu się nad starymi ludźmi w domach opieki zatytułował *Opowieść o starym mięsie*. Jednak pomiędzy wierszami można było wyczytać jego wściekłość i rozpacz, zwłaszcza we fragmencie mówiącym o chorej na demencję kobiecie będącej w terminalnym stadium raka piersi, której ze względu na koszty prawie nie podawano środków przeciwbólowych. „*A komu ona może się poskarżyć? Jej dzieci przychodzą tylko raz na tydzień, a wtedy ona już nic nie pamięta*”. Frank cytował cyniczną pielęgniarkę, poznaną podczas zastępczej służby wojskowej, którą odbywał w tym podupadłym domu. Wiedziałem, że w głębi duszy bardzo się ucieszył, kiedy po opublikowaniu jego reportażu cały personel został wymieniony, chociaż nigdy nie przyznałby mi się to tego.

- Gdzie jesteś? - zapytał pośpiesznie.

- Zbieram informacje - powiedziałem i wyszedłem z kliniki przez drzwi obrotowe. Do tej pory o moich problemach zdrowotnych wiedziała jedynie Nicci i tak powinno zostać. - Wielkie nieba, co się stało?

- Na pewno wiesz, że dziewięćdziesiąt procent wszystkich pomyłek sądowych bierze się z błędnych poszlak.

- Choć tym razem oszczędź mi tego wykładu i przejdź do rzeczy. O co chodzi?

- O twój portfel.

Cholera. Złapałem się za głowę. W tym całym wczorajszym zdenerwowaniu kompletnie zapomniałem zastrzec swoje karty kredytowe.

- Pytała o mnie policja? - zapytałem i spojrzałem w pochmurne listopadowe niebo. W czasie mojej wizyty u doktora Rotha temperatura wyraźnie spadła, ale przynajmniej przestało padać.

- Byli tu w redakcji, kiedy nie mogli cię złapać ani na komórkę, ani w domu.

A więc dlatego Stoya ustawicznie do mnie wydzwaniał, kiedy jechałem do doktora Rotha. Zamierzałem do niego oddzwonić dopiero po spotkaniu z psychiatrą.

- Nie mów mi, że ktoś wyczyścił mi wszystkie konta.

- Gorzej.

Gorzej? Co gorszego można zrobić z czyimś portfelem niż oskubać jego właściciela ?

- O rany, człowieku, lepiej nie proś, żebym ci powiedział.

Szukałem swojego samochodu na parkingu przed kliniką, który zapełnił się około południa.

- Upiłeś się?

- Przypadkiem podsłuchałem coś, kiedy chciałem przynieść sobie kawę i przechodziłem obok biura Thei.

Thea Bergdorf? O czym policja mogła rozmawiać z naczelną naszej redakcji?

- Nie wkurzaj mnie, Frank, i powiedz wreszcie, o co chodzi?

- A więc jeśli dobrze podsłuchałem, oni znaleźli twój portfel i jest w nim wszystko. Nawet gotówka.

Jakiś kretyn zaparkował terenówkę tak blisko mojego volvo, że jeśli nie chciałem zarysować mu lakieru, musiałem wsiąść drzwiami od strony pasażera.

- Przecież to dobra wiadomość - powiedziałem.

- Gówno prawda, nie. Znaleźli twój przeklęty portfel blisko miejsca przestępstwa. Gdzieś w ogrodzie.

Właśnie wyjmowałem z kieszeni kluczyk do samochodu, kiedy znieruchomiałem.

W pobliżu miejsca przestępstwa?

To niemożliwe. Nagle rozmowa wydała mi się całkowicie nierealna. Nie mogłem, nie, nie *chciałem* uwierzyć w to, co właśnie powiedział mi mój wolontariusz.

- W jakim ogrodzie? - zapytałem, chociaż mogła być tylko jedna odpowiedź.

- Tam, gdzie znaleźli matkę - wyszeptał Frank.

- Ofiarę czwartej rundy gry kol...

W środku słowa „kolekcjoner” przerwałem rozmowę.

W końcu wcisnąłem się jednak przez drzwi kierowcy. Niby z jakiej racji miałbym przejmować się kimś, komu nie chciało się prawidłowo zaparkować swojej terenówki? Mógłby przynajmniej złożyć zewnętrzne lusterka, skoro już musiały być wielkie jak rakietka tenisowa.

Zmuszałem się, aby przestrzegać ograniczenia prędkości na terenie należącym do kliniki. Ale gdy tylko go opuściłem, dodałem gazu i pognałem wzdłuż Potsdamer Strasse.

Myśl. Musisz pomyśleć.

Do tej pory nie wyróżniałem się w życiu szczególnie rozważnym zachowaniem. Zaledwie kilka miesięcy temu zadarłem z poważnym klientem reklamującym się w naszej gazecie. Producent żywności chciał mi zapłacić za nieopublikowanie ohydnych zdjęć, zrobionych po kryjomu w jego rzeźni. Na jednym z nich było widać, jak z przepełnionego transportu jego pracownicy wyciągają krowę, używając do tego windy linowej zaczepionej o wywichniętą przednią kończynę zwierzęcia. Zapłacił mi pięćdziesiąt tysięcy euro gotówką. Wówczas zamieściłem fotografię, jak było zaplanowane, na pierwszej stronie, i przekazałem „pieniądze za milczenie” fundacji działającej na rzecz obrony praw zwierząt. Nasza gazeta straciła jednego z większych reklamodawców, a ja otrzymałem nagrodę od Związku Dziennikarzy oraz upomnienie od Thei.

Od dawnych problemów, którym najczęściej zawdzięczałem swoje rozgorączkowanie, moja obecna trudna sytuacja różniła się w jednym ważnym punkcie: nie wiedziałem, co takiego zrobiłem, aby wywołać lawinę, która właśnie się zbierała, by wkrótce przetoczyć się nade mną.

W redakcji zjawiła się policja. Całkiem logiczna reakcja. Sytuacja, w której sprawca wraca do miejsca, gdzie popełnił przestępstwo, nie jest czystą hollywoodzką kalką. Kiedy słyszę o kimś, kto pokazuje się tam, gdzie znaleziono ciało, chociaż to miejsce znają wyłącznie śledczy, zaczynam zbierać o nim informacje.

A przecież był jeszcze portfel. Już kilka godzin wcześniej, w szpitalu, sprawdziłem wszystkie kieszenie. W żadnym razie nie mógł wypaść mi ze spodni w willi Traunsteinów, zwłaszcza że miałem na sobie biały kombinezon sekcji zabezpieczania śladów, który był tak zrobiony, żeby nawet nitka z ubrania nie mogła zanieczyścić miejsca przestępstwa. I Stoya widział mnie w tym stroju. W najlepszym wypadku mógł założyć, że umyślnie wyrzuciłem tam portfel. Najgorszy wypadek, który czynił ze mnie podejrzanego, był o wiele bardziej oczywisty.

Mój mózg przypominał torebkę z popcornem, którą włożono do mikrofalówki. Niezliczone myśli strzelały mi pod sklepieniem czaszki i pękały, zanim zdążyłem je pochwycić. Wcześniej czy później stawiłbym się na policję na przesłuchanie, ale najpierw musiałem sobie wszystko poukładać. Musiałem się uspokoić i porozmawiać z kimś, komu ufałem.

Wziąłem do ręki telefon i próbowałem dodzwonić się do Charlie. Jak to się często zdarzało, tym razem też nie odebrała komórki, a nie zdradziła mi innych numerów, zresztą podobnie jak

prawdziwego imienia.

Zwykle oddzwaniała, gdy tylko znalazła sposobność, lecz dzisiaj nie miałem cierpliwości, żeby czekać na dogodny moment, kiedy w pobliżu nie było jej męża, dlatego spróbowałem jeszcze raz. Znów zgłosiła się anonimowa poczta głosowa.

Niech to szlag, gdzie się podziewasz?

Już od wielu dni nie rozmawiałem z Charlie.

Nasz romans, jeśli w ogóle można to tak nazwać, zaczął się dokładnie tego samego dnia, kiedy Nicci oznajmiła mi, że chce się rozwieść. Okoliczności naszego pierwszego spotkania były równie absurdalne, jak niezręczne.

Mógłbym teraz tłumaczyć się zawartością alkoholu we krwi, która przekroczyła krytyczny poziom zaledwie kilka godzin po definitywnym rozpadzie mojego małżeństwa. Tego dnia z pewnością dużą rolę odegrał pomysł, aby zemścić się na wszystkich wiarołomnych kobietach tego świata. Później, kiedy wszedłem do klubu, raczej odniosłem wrażenie, że sam siebie ukarałem.

Rozebrałem się w wyłożonej glazurą przebieralni i zamknąłem swoje rzeczy w szafce, próbowałem sobie wmówić, że ten wieczór zapoczątkuje nową erę Zorbacha. Ale kiedy przestąpiłem próg pomieszczenia, w którym był bar, i szukałem wolnego miejsca przy kontuarze, zdałem sobie sprawę, że jestem po prostu śmieszny.

Pierwszy raz przyszedłem do klubu swingowego, a mimo to czułem się, jakbym już był tu sto razy. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak sobie wyobrażałem: czerwone burdelowe światło, meble, które równie dobrze pasowałyby w pizzerii, i ściany ozdobione naiwnymi aktami. Strzałki wskazywały drogę do sauny, piwnicy dla sadomasochistów i jacuzzi. Zaraz obok wisiała tabliczka z napisem: „Kto chce się popieprzyć, musi być miły”.

Nad barem, który stanowił centralny punkt pomieszczenia, wisiał mały telewizor z ekranem ustawionym tak, że osoby zabawiające się ze sobą w specjalnie urządzonym kącie na prawo od niego mogły oglądać filmy pornograficzne. Podczas mojej pierwszej wizyty większość powleczonych lateksem materacy była wolna, za to kilka par i pojedynczy mężczyźni siedzieli przy barze. Prawie wszyscy mieli na nogach klapki i owinięte ręcznikami biodra.

Ku mojemu zdziwieniu większość gości nie wyglądała tak źle, jak się spodziewałem. Jedna młoda para była nawet zdecydowanie atrakcyjna, jak również smukła blondynka, która przyszła prosto spod prysznicą z mokrymi włosami i usiadła obok mnie. Później miałem się dowiedzieć, że Charlie właśnie uprawiała seks jednocześnie z dwoma mężczyznami i chciała tylko wypić ostatniego drinka, zanim wróci do domu do swojego nic niepodejrzewającego męża. Od razu zauważyła, że jestem tu pierwszy raz, i równie szybko przejrzała kłamstwo, które sobie przyszykowałem, w razie gdybym spotkał w środku kogoś znajomego.

Z całkowicie irracjonalnego powodu czułem się niezręcznie, zdradzając jej swoje prawdziwe motywy. Prawdopodobnie dlatego, że nie chciałem, aby taka ładna kobieta myślała, że potrzebuję chodzić do klubu swingowego.

Uśmiechnęła się.

- A więc zbierasz tu informacje dla swojej gazety, jasne. A ja jestem z urzędu pracy.

Chociaż rodzice uświadomili mnie, kiedy byłem jeszcze mały, z wielkim trudem koncentrowałem się na naszej rozmowie. Ponieważ Charlie była kompletnie nagusieńka, kiedy tłumaczyła mi, że ona też ciągle myśli, że tak naprawdę „nie pasuje” do tego miejsca. Ale w końcu jest kobietą, która ma swoje potrzeby seksualne, a jej mąż już od dawna z nią nie śpi. Potem oprowadziła mnie po pomieszczeniach na zapleczu, pokazała pokój lustrzany, w którym kilka par wymieniało się partnerami, następnie zaprowadziła mnie do lustra weneckiego, przed którym onanizowało się kilku mężczyzn, a po drugiej stronie pieściły się dwie kobiety.

Tego wieczoru nie uprawialiśmy seksu. Tak samo jak we wszystkie inne dni, które minęły od tamtej pory.

Nasz związek był czysto platoniczny, co w świetle okoliczności regularnych spotkań prawie ocierało się o schizofrenię. Ponieważ Charlie stanowczo domagała się, żeby nasze spotkania odbywały się w tym samym klubie swingowym.

- Nigdzie indziej ludzie, których spotykasz, nie są tak dyskretni.

I tak spotykaliśmy się znowu i znowu, i nasze coraz bardziej ożywione rozmowy schodziły na coraz bardziej intymne tematy, w najprawdziwszym sensie tego słowa, nawet jeśli miejsce spotkań nie najlepiej się do tego nadawało.

Kiedy inni goście kopulowali, rozmawialiśmy godzinami, i tak stopniowo dowiedziałem się, że jej mąż zdobył pokaźny majątek dzięki chłopskiemu sprytowi. Owa żyła złota między innymi służyła mu do tego, żeby upijać się do nieprzytomności najdroższymi alkoholami i podkreślać swoje nieokrzesane chamstwo. Zmienił się już krótko po ślubie. Stał się bardziej kapryśny, agresywny, coraz bardziej narastała w nim chorobliwa zazdrość i bez przerwy podejrzewał ją o zdradę, chociaż jeszcze rok temu był pierwszym i jedynym mężczyzną w jej życiu. Powątpiewał nawet w to, że jest ojcem swoich dzieci, a z drugiej strony groził, że odbierze jej dzieci, jeśli będzie chciała się rozwieść. Kiedy pewnego razu ją uderzył i nazwał kurwą, postanowiła wreszcie odpłacić mu za obelgi. Pierwszy raz poszła do klubu.

Był to akt czystej desperacji; tym bardziej zdziwiła się, gdy stwierdziła, że nowe, swobodne towarzystwo bardzo jej się podoba. Postawa, którą nie do końca rozumiałem. Przeciwnie, im częściej się spotykaliśmy, tym bardziej czułem, że wkrótce nasze rozmowy już mi nie wystarczą. I kiedyś nie będę mógł zignorować palącego bólu w żołądku, gdy znów zobaczę ją samą w klubie. Stało się to, czego za wszelką cenę chciałem uniknąć: zrobiłem się zazdrosny. Gdybym się nie pilnował, szybko bym się zakochał.

- Proszę, spróbuj jeszcze raz później - zażyczył sobie komputerowy głos poczty głosowej Charlie, kiedy po raz trzeci przycisnąłem klawisz powtórnego wybierania. Z wściekłością rzuciłem komórkę na siedzenie pasażera.

Kiedy tak cię potrzebuję, pomyślałem i skoncentrowałem się na drodze.

Nasze równie liczne, jak osobliwe spotkania sprawiły, że stałem się kimś w rodzaju powiernika Charlie. Psychologiem, który od czasu do czasu przeprowadza terapeutyczne sesje w tak dobranym miejscu, żeby jego pacjentka mogła zabawić się z jakimś sympatycznym partnerem seksualnym, podczas gdy jej powiernik zadowalał się barem i szklanką dżinu z tonikiem.

Słuchałem cię godzinami. Czekałem na ciebie.

Dzisiaj ja potrzebuję twojej rady, ale szybko odrzuciłem pomysł, aby pojechać do klubu i sprawdzić, czy jej tam nie ma.

Mam to w dupie.

Nie pierwszy raz musiałem radzić sobie sam. Potrzebowałem jedynie miejsca, gdzie mógłbym się uspokoić. Gdzie mógłbym pomyśleć. Miejsca, gdzie nikt by mnie nie znalazł, dopóki nie będę tego chciał.

W skrócie, musiałem uciec tam, gdzie ostatni raz ukryłem się dwa lata temu, po tym, jak próbowałem zabić swoją matkę.

(jeszcze 11 godzin i 51 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Półtorej godziny później, i tym samym trochę za wcześnie, spadł pierwszy śnieg. Gdyby spadł chociaż kilka minut później, moje volvo zostawiłoby mniej rzucające się w oczy ślady opon na leśnej drodze. Co prawda wątpiłem, żeby ktoś jechał za mną stąd do Nikolskoe. Pagórkowaty obszar leśny pomiędzy Berlinem a Poczdamem był popularnym miejscem wycieczek. Ale na szczęście nie w zimie, kiedy zarówno przystań promu na Pfaueninsel, jak i obie restauracje były zamknięte.

Przedtem wpadłem jeszcze do mojego mieszkania i zrobiłem zapas ravioli w puszkach oraz wody mineralnej. Poza tym w mojej „torbie na nagłe przypadki”, leżącej teraz w bagażniku, znajdowała się bielizna na zmianę, niezarejestrowana na mnie rezerwowa komórka na kartę (używałem jej od czasu do czasu, kiedy rozmawiałem z informatorami, których aparaty mogły być podsłuchiwane przez policję) oraz laptop.

W jaki sposób mój portfel znalazł się na miejscu przestępstwa? Cholera, jak ja się tam znalazłem?

Pytania, na które próbowałem znaleźć odpowiedzi, zadawałem sobie tak długo, aż dotarłem do mojego schronienia. Oczywiście nie udało mi się znaleźć.

Nie mogłem ich ignorować, tak samo jak migającej automatycznej sekretarki w mieszkaniu, na której zdenerwowany Stoya zostawił kilka wiadomości. Na dodatek prosił mnie, żebym osobiście zgłosił się na komisariat, co nasuwało przypuszczenie, że do tej pory nie wydano na mnie nakazu aresztowania.

Krótką rozmowa telefoniczna ze zbulwersowaną redaktorką naczelną również nie wniosła nic nowego.

- Do diabła, gdzie pan się podziewa? - przywitała mnie przez telefon Thea Bergdorf, jeszcze bardziej szorstkim głosem niż zazwyczaj.

- Niech pani powie Stoi, że wpadnę do niego, kiedy znów będę w Berlinie - poprosiłem ją. Zanim mi odpowiedziała, usłyszałem, jak zamyka szklane drzwi do hali redakcyjnej, żeby mogła jeszcze bardziej wsiąść na mnie.

- Teraz niech pan natychmiast ruszy dupę i wraca do redakcji, kochasiu. Tu nie chodzi wyłącznie o pana, ale o reputację naszej gazety. Czy pan wie, co pomyślą ludzie, kiedy tylko nabiorą podejrzeń, że być może istnieje jakiś związek pomiędzy naszym czołowym reporterem i kolekcjonerem oczu?

Trudno się dziwić, że jego artykuły były tak dobrze udokumentowane. Przecież sam tworzył fakty.

Oczywiście zdawałem sobie z tego sprawę. Dlatego było takie ważne, żebym nie wszedł do jaskini lwa nieprzygotowany. Z własnego doświadczenia wiedziałem, co by się stało, gdyby na początku policja wstrzeliła się w podejrzanego. Na dodatek w byłego policjanta, którego skłonność do przemocy została oficjalnie potwierdzona w jego aktach. Media, na czele z gazetą, która mnie później zawiesiła, fetowały mnie jak bohatera, co wtedy znosiłem z wielkim trudem, podobnie jak niezliczone przesłuchania przed komisją śledczą i prokuratorem.

Zaparkowałem samochód kilka metrów za Moorlakeweg, przy tablicy informującej o chronionym obszarze poboru wody i wysiadłem.

Ścieżkę, która zaczynała się dziesięć metrów na wschód od tablicy, odkryła przypadkiem moja matka. Chciała pójść na spacer do kościoła Nikolskoe, ale po drodze zrobiło się jej niedobrze i musiała natychmiast się zatrzymać. Kiedy ucisk w skroniach ustąpił, dokładniej przyjrzała się miejscu, w którym zwymiotowała. I wtedy odkryła wąską, zapomnianą leśną drogę, trochę szerszą od małodrożowego samochodu, niezaznaczoną na żadnej mapie i zatarasowaną przez leżący w poprzek duży pień drzewa.

W Berlinie jest dużo ładnych miejsc nad wodą. Miejsc, gdzie człowiek zapomina, że znajduje się w środku milionowego miasta, na przykład kiedy siedzi się na plaży i ponad wodami jeziora błądzi wzrokiem po Pfaueninsel. Problemem jest tylko to, że te miejsca nigdy nie są odosobnione. Kiedy tamtego dnia droga zaprowadziła moją matkę do niewielkiego, prawie nietkniętego kawałka brzegu, wiedziała, że znalazła rarytas, oazę w środku wielkiego miasta. Być może przyczynił się do tego fakt, że tutaj nagle przestawała boleć ją głowa, dlatego chciała zachować w tajemnicy to schronienie i nie powiedziała o nim nikomu oprócz mnie. Wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, że nie cierpiała z powodu migreny, lecz chorowała na czerwienicę, nieuleczalną chorobę, która powodowała gęstnienie krwi i zatykała żyły oraz tętnice.

Kiedy zabrała mnie tam pierwszy raz, stwierdziłem, że niewielkim wysiłkiem da się przetoczyć ten pień na bok. Znacznie bardziej przeszkadzały krzaki dzikich jeżyn, które rozrosły się po obu stronach drogi, i trzeba było mieć się na baczności przed ich kolcami.

Dzisiaj, lata później, odwróciłem się do mojego samochodu, którego reflektory ciągle się świeciły, żebym mógł cokolwiek zobaczyć w zapadających ciemnościach. Niezliczone tysiące płatków śniegu wirowały w matowożółtych stożkach światła, co tworzyło bajkową scenerię. Reflektory zaczęły migotać i ten niepokój przeniósł się na mnie. Badawczo rozejrzałem się dookoła.

Wydawało się, że nie ma tu innej żywej istoty poza jednym dzikiem, który dwadzieścia metrów dalej szperał pyskiem w leśnym poszyciu. Nawet wszechobecny miejski zgiełk znikł, jakby ktoś po prostu wyłączył ścieżkę dźwiękową z odgłosami ruchu drogowego.

Dość. Nie ma na co czekać.

Naparłem na wilgotny pień drzewa, który z głośnym młaśnięciem oderwał się od ziemi i z łatwością dał się odsunąć na bok.

Kiedy już się upewniłem, że nadal nikt mnie nie obserwuje, ponownie wsiałem do volvo i bardzo

wolno wjechałem do lasu. Kolczaste gałęzie krzaków jeżyn skrobały po lakierze na samochodzie jak paznokcie po tablicy szkolnej. Z korony drzewa oderwały się grudki śniegu i spadły na przednią szybę. Włączyłem wycieraczki. Po kilku metrach znów wysiadłem, aby zatrzeć pozostawione przez siebie ślady. Przyturlałem pień na poprzednie miejsce, wysunąłem do przodu gałęzie jeżyny i byłem pewny, że nikt nie zauważy sekretnej drogi, zwłaszcza że w tym miejscu nie było żadnego powodu, aby się rozglądać. Zgodnie z drogowskazem utwardzone szlaki turystyczne, kościół, restauracja i cmentarz znajdowały się dobry kilometr stąd. To nie było miejsce spędzania wolnego czasu, nawet nie było tu parkingu. Jeśli ktoś się tu zatrzyma, to tylko przypadkiem, tak jak wtedy moja matka.

Wróciłem do samochodu i powoli pojechałem dalej. Za ciasnym zakrętem w lewo zatrzymałem auto. Wysiadłem i używając szwajcarskiego scyzoryka, zdjąłem tablice rejestracyjne. Żeby mój sponiewierany samochód sprawiał wrażenie wraka, który jakiś sprawca zanieczyszczenia środowiska bez skrpułów porzucił w lesie. Leśnicy pewnie powiadomią urzędy, ale podczas takiej paskudnej pogody zapewne pokazują się tu równie często jak robotnicy leśni. Poza tym nie zamierzałem tu prezimować. Wszystko, czego potrzebowałem, to jeden, dwa dni spokoju.

Włożyłem tablice z numerami do bagażnika, wziąłem laptop oraz torbę sportową i ruszyłem coraz bardziej zwężającą się drogą. Droga składała się z ciasnych zakrętów, dość stromo biegła w dół i musiałem uważać, żeby moje buty nie straciły przyczepności z ziemią; zwłaszcza na oblodzonych korzeniach drzew, które przy końcu drogi tworzyły coś w rodzaju schodów i były bardzo niebezpieczne. Na szczęście pomyślałem o latarce, mogłem więc zobaczyć przeszkody, a także mokre jodłowe gałęzie, jeszcze zanim otarły mi się o twarz. Droga wydała mi się dłuższa niż ostatnim razem, prawdopodobnie miała na to wpływ ciężka torba, którą niosłem zawieszoną na ramieniu. Kiedy spojrzałem na zegarek, pokazywał dopiero 18.42. A więc potrzebowałem tylko kilku minut, aby zejść do wody.

To tu.

Zawsze kiedy stawałem na brzegu, docierało do mnie, jak duży duchowy balast przywlekałem tu ze sobą.

Moja kryjówka.

Miejsce, w którym udało mi się zostawić tragedię tak daleko za sobą, że dzisiaj znów mogłem jako tako prowadzić normalne życie. Nawet przy minus dwóch stopniach i gęstych opadach śniegu od razu poczułem się bezpieczny.

Odpowiedzialność za moje nagłe dobre samopoczucie Nicci na pewno zrzuciłaby na magiczne siły i pogańskie pola energetyczne. Według mnie istnieje dużo bardziej banalne wytłumaczenie: tutaj, w tej ukrytej zatoce, nigdy nie spotkało mnie nic złego. Przeciwnie. Spędzałem tutaj najpiękniejsze godziny mego życia, sam ze sobą, nie tłumacząc się nikomu.

Dlatego przychodziłem tu zawsze, kiedy czułem, że życie wymyka mi się z rąk. Jeszcze kiedy pracowałem w policji, zrealizowałem szalony pomysł, kupiłem starą łódź mieszkalną i tu ją zakotwiczyłem.

Kilka kroków przede mną w świetle latarki ukazała się mała pudełkowata drewniana łódka.

Kotwiczyła w wąskiej bocznej odnodze jeszcze węższej zatoki, ukryta w gęsto rozrośniętych gałęziach kilku wierzb, których liście tworzyły rodzaj naturalnego zadaszenia, i była zupełnie niewidoczna od strony wody.

- Znowu tu jestem - powiedziałem i postawiłem torby. Stary rytuał, który ustanowiła moja matka. Wtedy, kiedy miała jeszcze dość siły, żeby mi towarzyszyć, zawsze mówiła te słowa, zbliżając się do brzegu.

Znowu tu jestem.

Powitanie ledwie wyszeptałem, a mimo to mój głos rozszedł się po wodzie. Wkrótce woda zamarznie, a wówczas będzie jeszcze mniej prawdopodobne, że ktoś tu zabłądzi.

Tu, do tego miejsca, którym nie dzielę się z nikim. Do mojego schronienia, którego adresu nikt nie zna, nawet moja rodzina.

Oczywiście było nad wyraz głupie, że mimo iż byłem dorosłym mężczyzną, pomysł tajemnej kryjówki ciągle wydawał mi się czymś romantycznym. Już jako dziecko budowałem pod swoim wysokim łóżkiem jaskinie z poduszek i koców i wydawało mi się, że jestem jedynym człowiekiem na świecie. Wtedy marzyłem o samotnych wyspach, domach, które sam zbudowałem na wierzchołkach najwyższych drzew. Prawdopodobnie ta zatoka przypominała mi wszystkie kryjówki, w których dawniej chowałem się jedynie w moich fantazjach. Dlatego w późniejszych latach tajemniczość tego miejsca stała się dla mnie czymś oczywistym.

Przez długi czas było mi niezręcznie przyznać się przyjaciom, że w weekendy wolałem samotnie rozmyślać na łonie przyrody niż przyłączać się do rozmów kibiców w zakamarkach stadionu olimpijskiego. Później stwierdziłem, że posiadanie takiego tajemnego miejsca, gdzie nikt nie będzie mnie szukał, kiedy bez usprawiedliwienia nie wykonuję swojej pracy, po prostu mnie uspokaja. Pierwszy raz poczułem palącą potrzebę podzielenia się z kimś tajemnicą, kiedy poznałem Nicci, w pierwszej fazie zakochania, kiedy człowiek wciąż tęskni za swoim partnerem, nawet wtedy, gdy z nim śpi. Obiecałem jej romantyczną wycieczkę, chciałem zawiązać jej oczy i zaprowadzić do „mojej zatoki”, gdzie jej pierwsze spojrzenie miało paść na oświetloną pochodniami łódź mieszkalną.

Ale plan wziął w łeb. W połowie drogi mój garbus wyzionął ducha, rozkraczył się na środku skrzyżowania. Tak zwyczajnie, zupełnie bez powodu, jak stwierdził człowiek z automobilklubu, wzruszając ramionami. Nie umiał znaleźć przyczyny, a ten skurczybyk, który jeszcze nigdy mnie nie zawiódł, zapalił od razu, gdy tylko przekręciłem kluczyk w stacyjce. Nazwijcie mnie idiotą. Nazwijcie mnie ezoterykiem. Być może trochę szalony sposób patrzenia na świat Nicci nie był mi całkiem obcy, jak zawsze sądziłem. W każdym razie potraktowałem to jako znak.

Nie. Nie powinienem tam nikogo przyprowadzać.

Oddychałem zimnym powietrzem i omiatałem światłem latarki poplamioną drewnianą burtę łodzi.

Łajba nie była od wieków używana i bałem się, że potrwa jakiś czas, zanim uruchomię generator. W najgorszym razie musiałbym zadowolić się świecami i kocherem turystycznym. Co do ogrzewania, w kajucie stał stary piec na drewno, a zamknięty system kanalizacyjny działał również

bez prądu.

Właśnie znów chciałem sięgnąć do kieszeni i raptem radykalnie zmienił się mój stan psychiczny. Uczucie spokoju i zadowolenia zniknęło w jednej chwili. Jeszcze nigdy tu tego nie przeżyłem. W napięciu zbliżyłem się do łodzi. Napięcie przerodziło się w strach, a ten rósł z każdym krokiem, który zbliżał mnie do brzegu. Najpierw uznałem mój strach za irracjonalny, ponieważ nie umiałem wytłumaczyć sobie jego przyczyny, ale wtedy to zobaczyłem.

Żar.

To dlatego nagle chciałem uciec. *Daleko od mojej kryjówki. Od miejsca, którego nikt nie zna.*

Oprócz osoby, która właśnie wewnątrz łodzi zapaliła papierosa.

Na potrzeby mojego pierwszego artykułu w nowej roli policyjnego reportera pozwolono mi przeprowadzić wywiad ze starszym małżeństwem, do którego domu dokonano włamania. Powiedzieli mi, że najgorsza w tym wszystkim nie była kradzież cennych przedmiotów ani nawet strata niezastąpionych dóbr niematerialnych, takich jak zdjęcia, pamiątki z podróży i pamiątki. Najgorsze było to, że od tej pory czuli wstręt przed przestąpieniem progu własnego mieszkania.

„Kiedy te łotry przetrząsały nasze szuflady grzebały w naszej pościeli, a nawet kiedy oddychały powietrzem w naszych czterech ścianach, naruszyli naszą sferę intymną.

Tak mówił 72-letni mężczyzna, a jego żona trzymała go za rękę i przytakiwała przy każdym słowie.

„Nie okradziono nas, lecz zostaliśmy zgwałceni”.

Wtedy sądziłem, że ich reakcja była straszliwie przesadzona. Teraz, kiedy próbowałem bezszelestnie przejść przez reling, zrozumiałem, co starsi państwo starali mi się powiedzieć.

Ktokolwiek czekał na mnie w ciemności łodzi, zburzył poczucie bezpieczeństwa, które do tej pory zawsze mnie tu witało.

Rozłożyłem dłuższe ostrze szwajcarskiego scyzoryka, po cichutku zszedłem po schodkach na środkowy pokład. W razie czego miałem jeszcze jeden przedmiot do obrony, podłużną latarkę.

Mocne deski zatrzeszczały, kiedy stanąłem na ostatnim schodku przed kabiną, którą po wielu tygodniach amatorskiego majsterkowania przerobiłem na pokój mieszkalny i pracownię.

Jeśli włamywacz ciągle znajdował się w głównej kabinie, odciąłem mu drogę ucieczki, chyba że wyskoczyłby do jeziora przez jedno z dużych okien szczelinowych. Poza tym nie było innej możliwości, aby na dłuższą metę tu się ukryć.

Moja łódź nie była większa od przestronnego garażu. Obok małego kambuza i jeszcze mniejszej toalety na środkowym pokładzie mieściły się dwie leżące naprzeciwko siebie kabiny, przy czym właśnie stałem przed bardziej zabałaganioną, przez którą trzeba było przejść, jeśli chciało się dostać do położonej na dziobie sypialni. W głównych drzwiach wejściowych, których nigdy nie zamykałem, mniej więcej na wysokości głowy, była szyba, przez którą teraz ostrożnie zajrzałem do środka.

Poza czerwonym punktem, który jak robaczek świętojański unosił się w lewym kącie pomieszczenia, w kabinie panowała całkowita ciemność. Łódź cumowała w swojej naturalnej kryjówce, osłonięta drzewami i krzakami, tak że z trudem znalazłem klamkę.

Wstrzymałem oddech, słyszałem kołatanie własnego serca i nastawiłem się na konfrontację fizyczną. Kiedy poczułem się uzbrojony, gwałtownie otworzyłem drzwi, wskoczyłem do środka i

wrzasnąłem ze wszystkich sił:

- RĘCE DO GÓRY!

W tej samej chwili zapaliłem latarkę i poświeciłem na rozkładaną sofę, która stała tuż pod oknem wychodzącym na jezioro.

Liczyłem się ze wszystkim: z bezdomnym, który na mojej łodzi urządził sobie przytulisko na zimne dni, albo nawet ze Stoyą, któremu w jakiś sposób udało się znaleźć moją kryjówkę, zanim tu dotarłem.

Ze wszystkim.

Tylko nie z tym.

- Cholera, człowieku. Popieprzyło cię czy co? - zwymyślała mnie młoda, całkiem nieznana mi kobieta, która w kompletnej ciemności siedziała rozparta na mojej sofie. - Najpierw po drodze do tego miejsca padam na pysk niezliczoną ilość razy, a teraz pan przestraszył mnie tak, że mało mi serce nie stanęło.

Uniosłem prawą rękę i poświeciłem jej prosto w twarz. Ku mojemu zdziwieniu nie zaczęła mrugać ani nie zasłoniła oczu w odruchu obronnym. Nieznajoma, którą oceniłem na niecałe trzydzieści lat, spokojnie siedziała i ze stoickim spokojem patrzyła w moją stronę.

- Kim pani jest, do diabła? - zapytałem i już na końcu języka miałem dwa następne pytania: Czego pani tu szuka? Jak pani mnie znalazła?

- No, wreszcie raczył pan przytaszczyć swoją dupę.

Miała głęboki, trochę chrypiący głos, co pasowało zarówno do papierosa, jak i do raczej męskiego sposobu siedzenia. Szeroko założyła nogę na nogę tak, że jej lewa stopa opierała się o prawe kolano.

- Twierdzi pan kategorycznie, że to sprawa życia i śmierci, a później każe mi tu czekać bite cztery godziny...

Postukała palcem w duży zegarek na rękę, z podniesionym z jakiegoś powodu szkiełkiem, tak że dotykała palcami odsłoniętych wskazówek.

- ... a teraz, jak się wydaje, jest pan na dodatek urżnięty.

Byłem całkiem zmieszany i przesunąłem snop światła latarki z twarzy na resztę jej ciała. Nosiła obcisłe, poszarpane na kolanach džinsy, których nogawki były schowane w czarnych butach spadochroniarskich. Zamiast zimowej kurtki włożyła jeden na drugi kilka swetrów. O ile mogłem ocenić w ciemności, jej ubiór był dość niezwykły, ale zadbany.

- Czy my się znamy? - zapytałem niezdecydowanie.

- Nie - zrobiła krótką przerwę. - Dlatego tu jestem.

Ogarnęło mnie nieprzyjemne wrażenie, że mam do czynienia z osobą chorą umysłowo. Nie tak daleko był Wannsee-Heim, podobnie jak klinika dla osób z zaburzeniami psychosomatycznymi.

No ładnie, jeszcze tylko tego brakowało.

Jak, na Boga, mam wywieźć stąd psychicznie chorą kobietę, nie wywołując sensacji?

Prawdopodobnie już jej szukają.

- Niech pani posłucha, ja też nie wiem, kim pani jest. A więc proszę, żeby pani natychmiast opuściła moją...

W środku zdania wzdrygnąłem się i podświadomie zrobiłem krok do tyłu.

Cholera, co to było?

- Wszystko w porządku? - zapytała nieznajoma, przy czym nic nie było w porządku.

Do diabła, właśnie coś się poruszyło obok sofy. Widocznie tajemnicza kobieta nie była jedyną osobą, która zakradła się na moją łódź.

- Czego pani chce ode mnie? - zapytałem. Na samą myśl o tym, że zaraz spojrzę w twarz drugiego intruza, moje tętno zaczęło bić jak szalone.

- Co pan plecie? - zapytała takim tonem, jakby wątpiła w moją poczytalność. - Przecież dzwonił pan do mnie.

- Ja?

Absurdalność tego, co powiedziała, lekko przytłumiła mój strach. Ona sama również sprawiała wrażenie trochę zdezorientowanej.

- Pan Alexander Zorbach, dziennikarz?

Skinąłem głową, ale trochę zdenerwowana powtórzyła pytanie, być może dlatego, że w ciemności nie mogła zobaczyć mojej twarzy.

- Tak, to ja. Ale nie dzwoniłem do pani.

Nikt nie mógł tego zrobić. Ponieważ nikt oprócz mnie nie wiedział o tym miejscu. Nikt oprócz...

Westchnęła i odgarnęła włosy z czoła.

- A w takim razie kto przekazał mi, jak się tu dostać, do tego zadupia?

Nikt oprócz mojej matki. Ale już od wielu lat tylko maszyny utrzymują ją przy życiu.

Otworzyłem usta, nie wiedząc, co chcę powiedzieć, ponieważ nie znajdowałem wytłumaczenia tej całej sytuacji. Jednak zanim coś wykrztusiłem, w beładnym stosie pytań znalazłem pierwszą odpowiedź.

Naraz pojąłem, *kto* jeszcze zakradł się na łódź razem z tą kobietą. Albo mówiąc dokładniej: *co*.

Snop światła mojej latarki powędrował w dół, na lewo od sofy, i objął uchwyt na podłodze. Uchwyt należał do szorów, w które był zapięty pies. *Labrador* albo *golden retriever*. Nie byłem całkiem pewny. Za to stało się dla mnie jasne coś innego, co w zasadzie było niemożliwe. Podeszedłem blisko sofy i zaświeciłem latarką kobiecie prosto w oczy.

Ożeż ty...

Nie było wątpliwości. Wszystko do siebie pasowało: otwarty zegarek, pies w szorach, jej wypowiedź, że po drodze często się potykała.

O co tu chodzi?

Znalazłem odpowiedź - ale teraz już w ogóle nie potrafiłem sobie wytłumaczyć, jak ta bezimienna kobieta dostała się na moją łódź.

Wiedziałem tylko, że nawet ani razu nie mrugnęła, kiedy świeciłem w jej zamglone oczy.

Ponieważ kobieta, która znalazła moją kryjówkę, była niewidoma.

Wiatr na zewnątrz przybrał na sile, fale uderzały w nieregularnych odstępach o kadłub łodzi. Kiedy tu przyszedłem, śnieg padał jeszcze bezgłośnie i nic nie zapowiadało zbliżającej się burzy. Teraz pokład zaczął się kołysać pod moimi nogami i słysząc było pluskanie wody o burtę.

- Lepiej już pójdę - powiedział mój tajemniczy gość, kiedy zapaliłem staroświecką lampę naftową, którą zawsze napełniałem po brzegi i wieszałem na gzymsie okna, zanim opuszczałem łódź.

- Zaraz, zaraz, nie tak szybko.

Żółte światło lampy naftowej, którą postawiłem na stoliku przed niewidomą, migotało i wywoływało grę cieni w całej kabinie.

Przy spojrzeniu z bliska musiałem skorygować moją pierwszą ocenę jej wieku. Kobieta miała najwyżej dwadzieścia pięć lat, raczej trochę mniej. Mój wzrok powędrował na jej mocno zabrudzone buty. Ich boki były ozdobione kolorowymi rysunkami nagiej Japonki, co dobrze do niej pasowało, ponieważ gładka cera, wysokie czoło i szeroko rozstawione oczy nadawały jej twarzy subtelny azjatycki wyraz. Najbardziej frapujące w jej aparycji były niezliczone rastaloki ufarbowane na jaskrawoczerwony kolor.

Mój ojciec na pewno powiedziałby o niej, że jest punkiem. Matka prawdopodobnie byłaby bardziej tolerancyjna w ocenie, przy czym skrycie niepokoiłaby się, czy włosy takiej ładnej dziewczyny nie zniszczą się od ciągłego farbowania.

- Ja też będę zadowolony, jeśli pani szybko stąd zniknie

- powiedziałem. - Ale najpierw musi pani odpowiedzieć na parę pytań.

- Na przykład?

Kto do pani dzwonił? Kto pani powiedział, jak tu się dostać? I co pani sobie obiecywała po spotkaniu mnie tutaj?

- Zaczniemy od tego, jak pani się nazywa.

- Alina.

Poszukała ręką czarnego plecaka i postawiła go pomiędzy swoimi długimi nogami.

- Nazywam się Alina Gregoriew i naprawdę mam już po dziurki w nosie tego dnia.

Z jej ust wydobywała się para i dopiero teraz uświadomiłem sobie, jak zimno było tu w środku. Kiedy już będę sam, muszę koniecznie rozpaść w piecu na węgiel drzewny.

- Czego pani chce ode mnie? - zapytałem.

- Niech pan jeszcze raz zanotuje, panie reporterze: to pan namówił mnie do tego oddziału samobójców.

Alina imitowała rozmowę telefoniczną, używając przedmiotu trzymanego w dłoni, i małpowiała wyimaginowanego rozmówcę:

- Niech pani pojedzie autobusem do Nikolskoer Weg. Proszę trzymać się tej samej strony ulicy, iść do pierwszej przecznicy i skręcić w prawo.

To niemożliwe, pomyślałem, kiedy dokładnie opisywała drogę, którą sam przemierzyłem zaledwie kilka minut temu.

- Stamtąd idzie się do rozwidlenia. Następnie dalej, aż do belki zagradzającej drogę, blablabla...

Zupełnie niemożliwe...

- To nie byłem ja - oświadczyłem, walcząc ze sobą, aby zachować spokój.

Kto jeszcze oprócz mnie wie o tym miejscu ?

I kto mógłby chcieć robić sobie żarty ze mnie i z tej niewidomej kobiety?

Zmieszałem się i nieufnie zmierzyłem wzrokiem kobietę siedzącą na sofie.

- Przecież musi pani *słyszeć*, że nie jestem osobą, która do pani telefonowała.

- Dlaczego?

- No, bo pani...

- Bo jestem *ślepa*? - zapytała i gorzko się uśmiechnęła. - Naprawdę oczekiwałabym trochę lepszego wykształcenia po dziennikarzu śledczym. - Potrząsnęła głową z udawanym rozczarowaniem. - To, że wszyscy niewidomi mają lepszy słuch, jest głupim przesądem. Na pewno jesteśmy skoncentrowani, ponieważ nie rozpraszają nas bodźce optyczne, i inne zmysły często rekompensują brak wzroku. Ale to automatycznie nie robi z nas nietoperzy, a poza tym z każdym niewidomym jest inaczej. - Złapała za uchwyt przy uprząży swojego psa i wstała. - Ja na przykład mam tylko dobry słuch przestrzenny. Po odbiciach własnego głosu orientuję się, że tutaj, w środku, pomiędzy mną a sufitem z ledwością zmieściłaby się skrzynka na butelki po piwie. Wiem też, że po mniej więcej czterech krokach grzmotnę o drewnianą ścianę.

A jednak ma słuch jak nietoperz, pomyślałem, lecz nic nie powiedziałem.

- Ale rozpoznawanie głosów jest u mnie bliskie zera -kontynuowała. - Mam już problem, kiedy na ulicy ktoś się ze mną przywita, mówiąc „cześć” albo „to ja”. Często potrafię przyporządkować głos do osoby dopiero po dłuższej rozmowie. Mam tak nawet z dobrymi przyjaciółmi i długoletnimi pacjentami.

- Pacjentami? - zapytałem zdziwiony i patrzyłem, jak Alina wyciąga trzymany w ręku podłużny przedmiot, który okazał się teleskopową laską dla niewidomych.

- Jestem fizykoterapeutką.

Po omacku szukała laską nóg stolika.

- Prędzej poznam człowieka po jego ciele niż po głosie.

- Delikatnie pociągnęła uchwyt przy psiej uprzęży. - Idziemy, TomTom. Do wyjścia.

TomTom?, pomyślałem i byłem trochę speszony dziwnym poczuciem humoru dziewczyny. Uznałem, że to błazeństwo nazwanie psa, pomocnika niewidomej, terminem oznaczającym system nawigacyjny.

Pies zareagował natychmiast.

- Zaraz, zaraz. Nie tak szybko... - powiedziałem, kiedy Alina chciała ominąć mnie łukiem. - Pozwolę pani odejść dopiero wówczas, kiedy pani mi powie, po co pani przyszła. Mogło być tak, że mężczyzna, który do pani zadzwonił...

... i podał się za Aleksandra Zorbacha. I który z jakiegoś powodu znał moją kryjówkę...

- ... że ten mężczyzna panią tu zwabił. Ale to jeszcze nie wyjaśnia, dlaczego dała się pani w to wpuścić.

Na dodatek w pani stanie, pomyślałem.

- A więc co pani obiecał za spotkanie ze mną w tym miejscu?

Alina zatrzymała się i odpowiedziała trochę zmęczonym głosem, jakby opowiadała mi wszystko już tysiąc razy.

- Uważałam, że przyście tutaj było moim obowiązkiem. Żebym później nie musiała czynić sobie wyrzutów, że przynajmniej nie próbowałam zrobić wszystkiego. A ponieważ znam pana artykuł, panie Zorbach, pomyślałam, że rzeczywiście zadzwonił pan do mnie, ponieważ zainteresowało pana moje zeznanie.

- Jakie zeznanie?

Światło lampy naftowej nie dosięgało jej i nie mogłem wyczytać uczuć malujących się na jej twarzy. Ale i tak nie wiedziałem, jak dalece to w ogóle było możliwe u niewidzących ludzi.

- Wczoraj byłam na policji i powiedziałam im wszystko, co wiem. Jednak ci idioci nie wzięli tego serio. Musiałam składać zeznania przed jakimś tępakiem, który nie miał nawet własnego biura.

- Proszę mówić, o co chodzi!

Westchnęła.

- Jak już powiedziałam, jestem fizykoterapeutką. Zazwyczaj zajmuję się stałymi klientami. Ale wczoraj przyszedł do mojego gabinetu ktoś obcy, nie miał nawet umówionej wizyty. Narzekał na silne bóle w rejonie kręgów lędźwiowych.

- I? - zapytałem z narastającą niecierpliwością.

- A więc zaczęłam go masować. Ale ledwie zaczęłam, musiałam przerwać zabieg.

- Dlaczego?

Fala zatrzęsała łodzią. Wyjrzałem przez okno na jezioro, gdzie nie było nic oprócz ciemności.

- Z tego samego powodu, dla którego rozmawiamy ze sobą. Naraz uświadomiłam sobie, kim był ten mężczyzna.

- Kim? - Żołądek mi się skurczył, jeszcze zanim usłyszałem odpowiedź.

- No tym, o kim ostatnio pan tak dużo pisał.

Przerwała na chwilę, podczas której poczułem jeszcze większy chłód.

- Jestem prawie pewna, że wczoraj robiłam masaż kolekcjonerowi oczu.

Suche drewno brzozone wpadło z głośnym sykiem do pieca, który rozpałiłem na poczekaniu, kiedy udało mi się przekonać Alinę, aby została.

Dała mi *jeszcze dziesięć minut*, musiała zdążyć na autobus, który odwiózłby ją do śródmieścia, a ten kursował tylko raz na godzinę. Nie doszedłem jeszcze do tego, aby zaproponować, że odwozę ją do domu moim volvo. Po prostu nie wiedziałem, co mam począć z nią i z tą całą sytuacją.

Przymknąłem zakopconą szklaną szybkę małego pieca. Migotanie ognia w lampie naftowej oraz w piecu wytwarzało teraz ciepłe światło, którego widok zawsze działał na mnie kojąco, kiedy wycofywałem się do tego miejsca.

Żeby popracować. Albo pomyśleć...

Tym razem nie chciało nadejść uczucie błogości, z którym zazwyczaj siadałem przy małej sekreterze, bezpośrednio przy oknie wychodzącym na las. Byłem bardziej zdenerwowany niż w chwilach tuż przed oddaniem tekstu do druku, kiedy jeszcze wystukiwałem ostatnie linijki i musiałem walczyć jednocześnie z zegarem i nałogiem nikotynowym, który regularnie dawał o sobie znać po kilku godzinach wyteżonej pracy, odkąd Thea wprowadziła w redakcji zakaz palenia.

- Kawę? - zapytałem i podszedłem do małego kambuza na przodzie kabiny. Kuchnia była raczej małym barem z dwiema szafami wnękowymi i zlewozmywakiem.

- Czarną - padła lakoniczna odpowiedź. Alina sprawiała wrażenie o wiele spokojniejszej niż ja, chociaż podobnie jak mnie, również jej musiało huczeć w głowie od mnóstwa pytań. Bądź co bądź była w lesie samiuteńka jak palec z całkowicie nieznanym człowiekiem.

I była niewidoma!

Zapałiłem gazowy palnik kempingowy.

- Powiedziała pani, że rozpoznała kolekcjonera oczu? - zapytałem, szukając w szafkach kawy rozpuszczalnej. Starłem się, aby w moim głosie nie wyczuła najmniejszej oznaki drwiny, co nie przyszło mi łatwo. - Czy to znaczy, że nie jest pani całkowicie niewidoma?

Odkąd moja matka straciła wzrok wskutek udaru mózgu, wiedziałem, że wiara w to, iż każdy ślepiec żyje w absolutnej ciemności, jest bardzo rozpowszechnionym błędem. W Niemczech oficjalnie uznaje się kogoś za niewidomego, jeśli widzi o dwa procent mniej niż zdrowy człowiek. A te dwa procent mogą bardzo wiele znaczyć dla osoby dotkniętej ślepotą, nawet jeśli nie rozumiałem, jak Alina, która była dotknięta prawie stuprocentową ślepotą, mogła twierdzić, że widziała kolekcjonera oczu.

Cztery kobiety, troje dzieci - siedem trupów w zaledwie sześć miesięcy. A nawet nie ma jeszcze

portretu pamięciowego seryjnego mordercy!

Potrząsnęła głową.

- A jak jest z sylwetkami, cieniami i resztą? - zapytałem.

- Nie. Nie widzę konturów, kolorów, błysków światła i tym podobnych. Wszystko się skończyło. To znaczy... - Zawahała się. - Wszystko oprócz wrażliwości na jasność i ciemność. Przynajmniej to mi zostało.

Zostało.

A więc nie była ślepa od urodzenia.

Woda w aluminiowym garnuszku stojącym na kocherze zaczęła wrzeć, wsypałem do niej dwie łyżki kawy w proszku i zamieszałem.

- Przed chwilą, kiedy zaświecił mi pan w oczy, poczułam, że zrobiło się jasno. To jest tak, jak kiedy światło pada przez bardzo grubą zasłonę. Nie można nic przez nią zobaczyć, ale wyczuwa się zmianę.

Uśmiechnęła się.

- To mi bardzo pomaga na co dzień. Mogę na przykład rozróżniać pory dnia. Zresztą głównie z tego powodu zawsze siadam w samolocie przy oknie. Przeważnie stewardesy nie rozumieją dlaczego. Kiedyś jedna chciała mnie już przesadzić, ale pokazałam jej ptaka. Nie ma nic piękniejszego od intensywności światła nad chmurami, nie uważa pan?

Skwitowałem jej pytanie skinieniem głowy, chociaż musiałem przyznać, podczas ostatniego lotu samolotem w ogóle nic nie widziałem przez okno. Pięćdziesięciminutowy lot do Monachium wykorzystałem, aby przygotować się do wywiadu.

Zdjąłem z kochera garnuszki z kawą i podszedłem do stolika, gdzie postawiłem go obok popielniczki.

- Kolekcjoner oczu. - Zawahałem się, siadając na starym skórzanym fotelu, który stał w rogu z prawej strony tapczanu. - Jak pani go rozpoznała?

Jak, jeśli wszystko, co pani widzi, jest cieniem na pani siatkówce?

Uśmiechnęła się.

- To pytanie za milion euro, mam rację?

Nie odpowiedziałem. Po tysiącach wywiadów rozwinąłem w sobie instynkt, który mówił mi, kiedy partner w rozmowie będzie mówił dalej sam z siebie, a kiedy zadać mu dodatkowe pytanie.

- Zobaczymy, jak długo będzie pan mnie jeszcze słuchał, jeśli od razu odpowiem. Wczoraj policja traktowała mnie, jakbym była stuknięta. Najpierw nie chcieli mnie dopuścić do śledczych.

Ugryzła się w górną wargę i mówiła dalej:

- Szczerze mówiąc, nie mogę wziąć im tego za złe. Sama ledwie w to wierzę.

- W co pani nie wierzy?

Słysząc było, jak nabiera powietrza w płuca. Potem złapała się obiema rękami za tył głowy i wpatrzyła w sufit.

- To jest takie nie fair. Cholera, nie chcę tego.

- Czego?

Alina nie odpowiedziała.

- Czego pani nie chce? - zapytałem powtórnie po chwili.

- Od czasu, kiedy to mnie spotkało, od wypadku, w którym straciłam wzrok, walczyłam o to, żeby nie traktowano mnie jak osoby upośledzonej.

Westchnęła.

- Mieszkaliśmy wtedy w USA, w Kalifornii, gdzie mój ojciec pracował jako inżynier na wielkich budowach. Był upartym Niemcem, który ożenił się z jeszcze bardziej upartą Amerykanką rosyjskiego pochodzenia. Oboje odmówili posłania mnie do szkoły specjalnej tylko dlatego, że już nie mogłam ich widzieć. Dopiero po pół roku rodzice dostali zgodę na to, abym mogła chodzić razem z moją widzącą przyjaciółką do Hollywood Elementary.

Zaśmiała się cicho, a ja złożyłem palce, którymi zazwyczaj bębniłem w podłokietnik.

Dopiero po dłuższej chwili uświadomiłem sobie, jak niedorzeczne były moje obawy, przecież ona nie mogłaby pomyśleć, że umieram z niecierpliwości.

- Zresztą przekazali mi w spadku syndrom „szukania guza przy każdej okazji” - powiedziała, wykonując rozładowujący napięcie gest, który zapewne miał podkreślić, że raczej nie byłoby jej tutaj, gdyby wciąż nie pakowała się w ryzykowne awantury. - Jestem przypadkiem, który psychologowie nazywają ślepotą całkowitą. Dość szybko nauczyłam się jeździć na rowerze, chodzić bez laski, tylko z psem, gdy to możliwe, ostatniej zimy nawet jeździłam na nartach. Cholera, robię, co mogę, aby tylko ludzie nie traktowali mnie jak trędowatej. A teraz przydarzyła mi się ta główniana historia.

Złożyła ręce na kolanach i mocno zacisnęła powieki.

- To nie ma związku z tym, że jestem niewidoma, okay? Dawniej ciągle próbowałam komuś się zwierzyć. Matce, babci, bratu. Nikt mi nie wierzył. Przyjaciele myśleli, że chcę z nich zakpić. Matka bardzo się martwiła i wysłała mnie do psychologa dziecięcego. Którego wtedy okłamałam. Powiedziałam mu, że wszystko to wymyśliłam, żeby być bardziej ważna. Cholera, jestem już wystarczająco napiętnowana jako niewidoma. Nie chciałam dodatkowo uchodzić za wariatkę i nigdy więcej nikomu o tym nie powiedziałam.

- O czym? - przynagliłem ją.

- Milczałam prawie dwadzieścia lat, wie pan? I z pewnością trzymałabym buzię na kłódkę jeszcze dwieście lat, gdyby nie chodziło o dzieci.

Znów znaleźliśmy się w punkcie, w którym wtrącone pytanie raczej zahamowałoby potok słów, niż go przyśpieszyło.

- Mam dar.

Wstrzymałem oddech. Zmusiłem się, by się nie wtrącić.

- Wiem, że to brzmi, jakbym była pomyłona. Nie jestem nawet ezoteryczką. Ale jest, jak jest.

Co za dar?, pomyślałem.

- Potrafię widzieć przeszłość.

- Co takiego?

Zbyt wiele, abym mógł zapanować nad sobą. Zezłościłem się na siebie, że w ogóle otworzyłem usta, i liczyłem się z tym, że zburzyłem nastrój i Alina znów zamknie się w sobie.

- Tak, są chwile, kiedy naprawdę chciałabym znów móc widzieć. Choćby tylko po to, żeby zobaczyć wyraz pana twarzy. Założę się, że przygląda mi się pan, jakbym była istotą nie z tego świata.

- Nie robię tego - skłamałem, bardzo powoli potrząsnąłem głową i poprosiłem ją, żeby kontynuowała.

- Jako fizjoterapeutka wyspecjalizowałam się w shiatsu.

Shiatsu?

Jak przez mgłę przypomniałem sobie masaż, który Nicci zafundowała mi na moje trzydzieste piąte urodziny. Cieszyłem się na mocne dłonie, które natrą mnie pachnącym olejkiem oraz kremami i wygniotą z karku dokuczliwe skurcze przy łagodnej muzyce chilloutowej. Zamiast tego znalazłem się na twardej podłodze dużej sali, w której odbywała się zbiorowa terapia. Stara koścista Chinka zaczęła wykręcać moje kończyny na wszystkie możliwe strony i mocno uciskała poszczególne punkty mojego ciała tak mocno, że pot zalewał mi oczy. Do energetycznego masażu uciskowego nie używała wyłącznie palców, lecz również całego ciała, a więc kolan, łokci, pięści, a nawet brody. To wszystko raczej mnie rozciągnęło, niż odprężyło. Na koniec byłem pewny, że ledwie uniknąłem poprzecznego porażenia.

- To mi się zdarza bardzo rzadko i do dzisiaj nie wiem, przy kim albo kiedy tak się dzieje. Faktem jest, że czasem potrafię zobaczyć przeszłość człowieka, którego dotykam.

Aha.

Tym razem trzymałem w garści i siebie, i głos, który zabrzmiał całkowicie neutralnie, kiedy ją zapytałem:

- I wczoraj znów to się zdarzyło?

Skinęła głową.

- Wczoraj masowałam tego mężczyznę, ale musiałam przerwać. Ponieważ ledwie go dotknęłam, miałam wrażenie, jakby przeszła mnie błyskawica. Zrobiło się jasno, jaśniej niż we wspomnieniach obrazów z czasów przed wypadkiem, który odebrał mi wzrok.

Odchrząknęła.

- I wtedy błyskawica znikła i zobaczyłam, co on zrobił. Z dzieckiem, które już ogłuszył, i z kobietą.

Uniosła głowę i doznałam nierealnego uczucia, że Alina przenika mnie wzrokiem.

- Cholera, zobaczyłam, jak on łamie jej kark.

- Pani to *widziała*?

Piec wydzielał przytulne ciepło i ku mojemu zdumieniu stwierdziłem, że pragnę powrotu ostrego chłodu, który przywitał mnie przy wejściu do łodzi. Teraz było mi gorąco, drapało mnie w gardle, a jakby było mało tych wszystkich zbytków, poczułem lekki ucisk z tyłu lewej skroni, oznaka zaczynającej się migreny.

Alina przytaknęła.

- Jak już mówiłam, nie jestem ślepa od urodzenia. Gdybym była, nie potrafiłabym wyobrazić sobie światła, kolorów i kształtów. W moich snach nie pojawiałyby się obrazy, lecz tylko zapachy, szmery i oczywiście uczucia.

Zdziwiony stwierdziłem, że jeszcze nigdy nie myślałem o tym, jakie sny miewają niewidomi. I uświadomiłem sobie, że ludzie, którzy nigdy nic nie widzieli, muszą żyć w zupełnie innym świecie niż ja. Gdybym zamknął teraz oczy i wsłuchał się w wiatr, fale oraz szum gałęzi, mimo ciemności miałbym jasne wyobrażenie wody, drzew w lesie i kształtu starego skórzanego fotela, na którym siedziałem. Mój mózg zastąpiłby obrazy, których w tej chwili nie widziałem, wspomnieniami. Wspomnieniami rzeczywistości, której, co zrozumiałe, brakowało osobie niewidomej od urodzenia i której nie mogła sobie przyswoić.

Odwróciłem się od Aliny, skoncentrowałem się na kroplach wody spływających po szybie i zastanawiałem się, jak mógłbym wyjaśnić niewidomemu, co to jest śnieg, jeśli nie zna on nawet znaczenia słowa „biały”.

- Ale kiedyś widziałam.

Wyrwała mnie z zadumy

- Jeśli nawet minęło od tamtej pory dwadzieścia lat i moje wspomnienia wyblakły, jak twarz mojego brata albo widok z okna w naszej kuchni, przez które wyglądałam zawsze, kiedy padał deszcz. Tak, nie pamiętam nawet deszczu ani kałuż, do których tak bardzo lubiłam wskakiwać.

Zrobiła krótką przerwę, w tym czasie szukała ręką kubka z kawą, który do tej pory nietknięty stał na stoliku pomiędzy nami. Minęła chwila, zanim znalazła uchwyt i przeniosła kubek do ust. Trzymała kubek przy brodzie i mówiła dalej, przy czym nie wypła nawet łyka.

- Jedyne obrazy, który niezatarcie wrył mi się w pamięć, to moi rodzice. Są jedynymi twarzami, których z pewnością nigdy nie zapomnę, i jestem z tego powodu wdzięczna, a jednocześnie wściekła.

- Wściekła?

Alina sprawiała wrażenie nieobecnej, kiedy odpowiedziała:

- W moich snach i wizjach wszyscy ludzie wyglądają tak samo. Wszyscy mają rysy twarzy moich rodziców. To mi bardzo cięży, może mi pan wierzyć. Ponieważ przeważnie śnię mi się koszmary. Widzę rzeczy tak straszne, że normalni ludzie musieliby po nich przejść psychoterapię.

W końcu wypła duży łyk i cicho westchnęła.

- Jest to tak, jak kiedy śni się panu mężczyzna, który wkłada kobiecie na głowę plastikową torbę i patrzy, jak ona się dusi. Naprawdę źle się robi dopiero wówczas, kiedy kobieta, której wychodzą na wierzch oczy, łapczywie chwyta powietrze, ale czuje w ustach tylko smak plastiku... - Przełknęła ślinę.
- Kiedy ta kobieta ma tkliwe spojrzenia i ciepłe usta mojej matki, które teraz rozpaczliwie błagają o litość. Ale morderca nie poluzowuje drucianej pętli, za pomocą której zaciągnął torbę wokół jej szyi, ponieważ jest umyślowo chorym sadystą. Chociaż wygląda dokładnie tak samo jak mój ojciec, który codziennie rano odprowadzał mnie do przedszkola, a wieczorem opowiadał bajki na dobranoc.

Poczułem, że nie mogę wykrztusić słowa, i chrząknąłem.

- Ale to nie sen sprowadził panią tutaj? - zapytałem ostrożnie.

- Nie. - Z powrotem postawiła kubek na stole. - Nie wiem, jak mam to nazwać. Może wizja. Albo raczej retrospekcja.

Retrospekcja?

- Skąd pani zna to określenie?

- Być może się pan zdziwi, panie Zorbach, ale mam telewizor. I nawet z niego korzystam, chociaż staje się to coraz bardziej uciążliwe. Dawniej udawało mi się całkiem dobrze śledzić akcję, teraz przez pierwszych dziesięć minut zawsze słyszę tylko muzykę i szumy. Sądzę, że filmy stają się coraz bardziej optyczne, czy to możliwe?

Być może. O tym też nigdy nie myślałem.

- Dlatego często zapraszam Johna, starego amerykańskiego przyjaciela, który podobnie jak ja od czterech lat mieszka w Berlinie. Niestety jest gejem, więc nic nie ma między nami, ale on przynajmniej widzi. I zawsze opowiada mi, co się dzieje. Od niego wiem, że na filmach akcja czasem przeskakuje do tyłu. Kolor obrazu się zmienia, wszystko płynie wolniej. A czasem jest tylko krótki błysk, flashback, mam rację?

Uśmiechnąłem się potakująco.

- Takie flashbacki znam zresztą z pierwszej ręki.

Uniosłem brwi.

- Czy bierze pani narkotyki?

- Rzadko. - Wskazała na swoje oczy - Niektórzy niewidomi chodzą do terapeutów, ale przeważnie

próbują sami dawać sobie z tym radę. Przeważnie unikam kontaktów z mężczyznami, ale raz, kiedy to nie zadziałało, sięgnęłam po wypróbowany lek wpływający na psychikę.

Roześmiałem się i dałem jej do zrozumienia, że pojąłem, co chciała mi powiedzieć. Przed kilkoma miesiącami pisałem artykuł o LSD. Halucynogen wprowadzono na rynek w połowie ubiegłego wieku jako środek służący do leczenia psychiatrycznego. Dopiero w latach siedemdziesiątych rozpoznano, jak bardzo jest niebezpieczny, i zakazano prowadzenia dalszych badań.

- Teraz wiem, co pan myśli - powiedziała z uśmiechem. - Nic dziwnego, że stara widzi duchy przodków, jeśli regularnie daje sobie w żyłę. Ale twardych narkotyków już nie używam, a w ostatnich tygodniach nie zapaliłam nawet jointa. Mimo to wiem, o czym mówię. Kiedy wczoraj masowałam kolekcjonera oczu, miałam flashback. - Postukała się w czoło. - Byłam w nim. W jego głowie. I zobaczyłam, co zrobił.

Pochyliłem się do przodu i nie bardzo wiedziałem, jak się zachować. Instynkt radził mi, aby w tym miejscu przerwać naszą rozmowę. Jednak jej słowa obudziły we mnie coś więcej niż tylko dziennikarską ciekawość.

W mojej karierze reportera już nieraz miałem do czynienia z ekscentrycznymi rozmówcami, nic dziwnego, że wyspecjalizowałem się w nierozwikłanych przypadkach zabójstw. Rozmawiałem ze złamanymi psychicznie ofiarami, chorymi umysłowo maniakami seksualnymi, którzy zapewniali o swojej niewinności i prosili mnie, żebym poskromił dręczące głosy w ich głowach. Kiedyś nawet przeprowadzałem wywiad z małym chłopcem w szpitalu, który twierdził, że w poprzednim życiu był seryjnym mordercą. Ku zdumieniu adwokata dziesięcioletek udowodnił swoją okrutną wersję i zaprowadził policję do miejsca, gdzie znaleziono zwłoki ludzi zamordowanych dokładnie w taki sam sposób, jak dzieciak wcześniej opisał. Ku wielkiemu ubolewaniu Nicci nie było w tym niestety nic nadprzyrodzonego. Dlatego nie miałem wątpliwości, że istniało również logiczne wytłumaczenie fantastycznych wynurzeń Aliny.

Tak jak musiało istnieć wytłumaczenie, dlaczego słyszałem głosy w policyjnym radiu. Jak to się stało, że na miejscu przestępstwa znaleziono mój portfel. I dlaczego ktoś podszył się przede mną, aby zwabić do mnie do lasu niewidomą kobietę.

Najprawdopodobniej kłamała albo była umysłowo chora.

Na przykład na schizofrenię?

- Alino, co pani dokładnie widziała, kiedy robiła pani masaż kolekcjonerowi oczu? - kontynuowałem najbardziej tajemniczy wywiad mojego życia.

- Od początku miałam złe przeczucia. Mężczyzna przedstawił się jako Tim i anonimowo zarejestrował się na mojej stronie internetowej, wypełniając formularz w zakładce „kontakt”.

Tim? Poczułem skurcz w żołądku.

- To niemożliwe - wyszeptałem mimowolnie, na co ona zaprotestowała.

- Dziwi się pan, że niewidomi korzystają z internetu? - Uśmiechnęła się pobłaźliwie. - Istnieją specjalne programy, które na głos czytają nam strony, o ile są prawidłowo zaprogramowane. Poza tym mój komputer ma czytnik z alfabetem Braillea, który pod palcami zamienia tekst w pismo dla niewidomych.

W trakcie tej wypowiedzi Alina macała ręką po stoliku. Najpierw pomyślałem, że chce napić się kawy, potem uświadomiłem sobie, że szuka zapalniczki. Podałem jej ją i zdziwiłem się, jakie ma zimne palce, kiedy jej dotknąłem. Ja sam miałem uczucie, że płonę.

- Proszę wrócić do swojego pacjenta - poprosiłem.

Do kolekcjonera oczu.

- Kiedy przyszedł, prawie się nie odzywał - powiedziała Alina i wyjęła nienapoczętą paczkę papierosów z plecaka, który z powrotem postawiła przy swoich stopach. Pies wydawał się równie jak ja zainteresowany obserwowaniem, jak zręcznymi ruchami zrywa banderolę, wysuwa papierosa z pudełka i wkłada go do ust.

- Tylko wychrypiał, powiedział, że ma zapalenie strun głosowych i nie może mówić. Większy problem miał z plecami. Przedzwiagał się. - Od razu przyszedł mi na myśl widok człowieka, który niesie nieruchome ciało do kryjówki.

Otoczyła mnie chmura dymu i przypomniałem sobie o bezużytecznym plastrze antynikotynowym na ramieniu, który chętnie zamieniłbym teraz na prawdziwego papierosa.

- Poszłam do łazienki, żeby umyć ręce, i kiedy wróciłam, grzmotnęłam się bosą stopą o ciężki wazon do kwiatów.

Alina zaciągnęła się intensywnie. Coś irytowało mnie w jej mimice, ale w tej chwili nie byłem w stanie powiedzieć, co to było.

- Z bólu straciłam panowanie nad sobą - ciągnęła. - i cała się trzęsłam. Ponieważ jeszcze nigdy nie straciłam zmysłu orientacji w swoim gabinecie. Jak to się mówi, rozeznaję się tam z zamkniętymi oczami. - Uśmiechnęła się. - Dzisiaj zadaję sobie pytanie, czy to nie był test.

- Na co?

- Być może mężczyzna chciał sprawdzić, czy naprawdę jestem ślepa.

W takim razie sprawca byłby kompletnym paranoikiem, pomyślałem. Do tej pory policja nie dysponowała jego portretem pamięciowym i ani jednym świadkiem. Dlaczego kolekcjoner oczu poszedł na pewniaka właśnie do niewidomej, skoro jeszcze nikomu widzącemu nie udało się go zidentyfikować?

Alina jakby usłyszała moje myśli i mówiła dalej:

- Z drugiej strony często zdarza się, że ludzie, którzy nie za dobrze mnie znają, są nieuważni. Już trzy razy musiałam zmienić sprzątaczkę, ponieważ niezbyt ściśle przestrzegała moich poleceń, aby za nic w świecie niczego nie przestawiać.

Odwróciła głowę w moją stronę i przez chwilę wydawało się, jakby szukała kontaktu wzrokowego.

- Nie chciałam niczego dać poznać po sobie i zataiłam ból - ciągnęła dalej. - Przypuszczalnie już w tamtej chwili wyczułam, że z tym facetem jest coś nie tak, i jak najszybciej chciałam to skończyć. - Westchnęła i znów zaczęła niespokojnie trzepotać powiekami. - Na początku masażu shiatsu klękam za pacjentem, który siedzi po turecku na materacu. Z tej pozycji stymuluję łokciem meridian od karku w dół do barków.

Uśmiechnąłem się twierdząco, przeżyłem na własnej skórze to bolesne doświadczenie.

- Celem tego masażu jest zlikwidowanie blokad i uwolnienie energii życiowej. Do tej pory sporo ludzi pokpiwało z tej metody, ale dawniej mało kto wierzył w akupunkturę, a dzisiaj nawet kasy chorych za nią płacą.

Kasy płacą również za leczenie kanałowe, a mimo to nie robię tego na ochotnika.

- Jakkolwiek rzecz się ma, zazwyczaj kładę potem pacjenta na plecach i zaczynam właściwy masaż.

- Ale do tego nie doszło?

- Nie. Ponieważ nagle poczułam coś, czego zawsze doświadczam w życiu w nieregularnych odstępach czasu, tylko że tym razem było to o wiele gorsze.

- Co się stało?

- Myślę, że muszę wyczuwać dotykiem, kiedy po trwających długie lata ciemnościach to znów wychodzi na jaw. Ugniatałam jego ramiona i nagle moje oczy przeszyły stroboskopowe błyski. Wywołały naprzemienną grę ciemnych strzępów i jasnych plam światła. Na początku była ona tak rażąca, że najpierw bardziej to słyszałam, niż widziałam.

- Co pani słyszała?

- Głos kobiety

- Pani matki?

- Nie, nie sędzę. Tak dokładnie nie zwróciłam na to uwagi. Byłam zbyt przerażona uczuciami, które mnie nagle ogarnęły.

- Co powiedziała ta kobieta?

Alina odłożyła papierosa do popielniczki i sięgnęła po kubek z kawą.

- To było bardzo dziwne. Myślę, że rozmawiała przez telefon ze swoim mężem, słyszałam pikanie, takie samo, jak kiedy przełączam telefon na tryb głośnomówiący. Potem kobieta zaśmiała się i powiedziała: „Sorry, ale mam mały mętlik w głowie. Właśnie bawię się z naszym synem w chowanego. I wiesz, co jest w tym najgłupsze, nie mogę go nigdzie znaleźć”.

- Śmiała się? - zapytałem poirytowany.

- Tak, ale nie wesoło. Raczej nerwowo i sztucznie. Tak jak śmieje się człowiek, kiedy właściwie zbiera mu się na płacz.

- Jak zareagował jej mąż?

- Wpadł w panikę i powiedział tylko: „O Boże. Jak mogłem być taki ślepy? Jest już za późno”.

- Jest już za późno?

Skinęła głową.

- I wtedy podniósł głos. Jego głos drżał z rozpacz, kiedy powiedział: „W żadnym razie nie wchodzić do piwnicy.

Słyszysz mnie? Nie wchodzić do piwnicy”. - Wypiła łyk kawy. - W tym momencie błyski światła ustały i zobaczyłam pierwsze niewyraźne zarysy mojego otoczenia. Niech pan wyobrazi sobie prześwietloną fotografię, właśnie taki obraz mi się ukazał.

Zastanawiałem się, jak wpadła na to porównanie, kiedy niepytana podsunęła mi odpowiedź.

- Tak pewne medium opisywało kiedyś w programie telewizyjnym swoje wizje i jakoś zrozumiałam, co miało na myśli.

Za szybą pieca zatrzeszczało brzoźowe polano.

- Mężczyzna w telefonie powiedział: „Nie wchodzić do piwnicy”? - znów podjąłem wątek, kiedy Alina zrobiła dłuższą przerwę, w czasie której nerwowo przeczesywała palcami włosy.

- To były jego słowa.

- Co stało się potem?

- Potem kobieta odwróciła się do mnie i spojrzałam w oczy swojej matki.

- Odwróciła się do pani? - zapytałem zmieszany.

- Tak. Zawsze tak jest, kiedy to się zdarza. Nie wiem dlaczego, sędzę, że kiedy dotykam niektórych naładowanych silną energią ludzi, czuję, jakbym się w nich wślizgiwała. Jest tak, jakbym dotykała ciemnej tajemnicy ich duszy.

Mówiąc to, trochę odwróciła się ode mnie i wydawało się, że patrzy przez okno. Mój wzrok podążył za jej pustym spojrzeniem w ciemność.

- A więc widzi pani swoje wizje oczami... - Zawahałem się i przez chwilę nie mogłem uwierzyć, że chciałem zadać tak zwariowane pytanie.

Wykorzystała tę przerwę, aby dokończyć zaczęte przeze mnie zdanie:

- Tak - powiedziała i znów odwróciła głowę w moją stronę. - *Byłam* kolekcjonerem oczu. Wszystko, co się zdarzyło, począwszy od tamtego momentu, widzę jego oczami.

W tej chwili uderzyła o burtę łodzi większa fala i w jej aluminiowym kubku zabręczała łyżeczka do kawy.

Lampa naftowa zamigotała pod wpływem wiatru, który z gwizdem szukał drogi przez szpary w oknach.

- Co stało się potem? - zapytałem, kiedy szkwał się uspokoił.

Alina mówiła teraz szybciej, jakby chciała zrzucić ciężar z piersi.

- Zorientowałam się, że stoję za niedomkniętymi drewnianymi drzwiami i że cały czas zaglądam przez szparę do pokoju, w którym kobieta rozmawia przez telefon.

- A co ona zrobiła później?

- To, czego zabronił jej mąż.

Nie wchodzić do piwnicy.

- „Skarbie, przestraszyłeś mnie”, powiedziała i zrobiła krok w stronę drzwi, za którymi stałam. I wtedy stało się coś strasznego.

Alina zamknęła powieki i przewróciła oczami. TomTom uniósł łeb i nastawił uszu, jakby wewnętrzny niepokój jego pani przeniósł się na niego.

- Wskoczyłam zza drzwi i owinęłam przewód wokół jej szyi. Zmartwiała ze strachu. - Alina miała ochrypły głos. Pociągnęła nosem, zanim cicho wyszeptała: - I wtedy złamałam jej kark.

Nieświadomie wstrzymałem oddech i wydawało się, że Alina również dyszy, kiedy powiedziała:

- Usłyszałam odgłos, jakbym zgmiotła jajko. Umarła natychmiast.

- Co pani zrobiła ze zwłokami? - zapytałem i przyłożyłem dłonie do skroni. Ból głowy był jeszcze do zniesienia, ale musiałem szybko coś wziąć, w przeciwnym razie dolegliwość za chwilę przekroczy granicę krytyczną i na parę godzin uczyni mnie niezdolnym do walki.

- Wywlokłam je na zewnątrz, ciągnąc za przewód. Wszystko poszło tak szalenie szybko, jakby ktoś w mojej głowie puścił w ruch kamerę przystosowaną do robienia przyśpieszonych zdjęć. To jest typowe dla moich snów na jawie.

- Dokąd zabrała pani zmarłą? - zapytałem niecierpliwie.

- Zaciągnęłam ją przez salon do drzwi na taras, a potem do ogrodu. Tu było znacznie zimniej, śnieg chrząścił mi pod nogami. W końcu zostawiłam ją blisko płotu, koło małej szopy

- Tak po prostu?

- Nie. Nie tak po prostu. - Wypiła ostatni łyk kawy. - Najpierw włożyłam jej coś do ręki.

- Co?

- Stoper.

Wszystko jasne.

Moja cierpliwość była dostatecznie długo wystawiana na próbę i teraz nie mogłem się już powstrzymać. Wszystko, co opowiedziała mi Alina do tej pory, mogła wyczytać z dzisiejszych gazet. Wystarczyłoby nawet kilka moich starszych artykułów. Nie było tajemnicą, że zamordowana kobieta na krótko przed śmiercią rozmawiała przez telefon z mężem.

Wykazało to sprawdzenie jej billingu, a atmosferę podgrzały jeszcze poranne wiadomości, wybijając na pierwszy plan nośny tytuł: *Ostatnie pożegnanie przed śmiercią? Co prawda nie przytoczono żadnych szczegółów z przebiegu rozmowy, ale Alina mogła je sobie wymyślić. A sprawa ze stoperem od dawna nie była tajemnicą. Już przy pierwszym morderstwie technik od zabezpieczania śladów obawiał się, że kiedy poruszył ciało kobiety, sam niechcący uruchomił wsteczne odliczanie. Potem wyszło na jaw, że stoper miał zaprogramowany prosty timer włączający się automatycznie o ustalonej przez kolekcjonera oczu godzinie, o której, jak zakładał, jego ofiara zostanie znaleziona. Nie była to zbyt dokładna metoda jak na człowieka, który do tej pory nie zostawił żadnych nadających się do wykorzystania śladów oprócz kilku włókien z ubrania. Po znalezieniu drugich zwłok minęły cztery godziny, zanim wystartowało śmiertelne odliczanie. Kiedy policja trzeci raz zabezpieczała miejsce, w którym kolekcjoner oczu popełnił kolejne przestępstwo, zegar w ręku zmarłej tykał już od czterdziestu minut.*

- Niech zgadnę... - powiedziałem i nie miałem trudności, aby ukryć sarkazm: - Odliczanie było

nastawione na dokładnie czterdzieści pięć godzin!

- Nie.

- Nie?

Wlepiłem wzrok w papierosa, który powoli wypalał się w popielniczce.

Każde dziecko wie o ultimatum.

Pisały o tym wszystkie gazety. Byłem pierwszą osobą, która mogła o tym napisać, kiedy sześć tygodni temu Stoya przekazał mi tę wiadomość, abym ją opublikował.

Alina cmoknęła językiem i TomTom podniósł łeb.

- Wiem, co pan myśli. Ale jest pan w błędzie. Gazety, radio, internet, wszystkie media podają nieprawdę. To było czterdzieści pięć godzin i siedem minut. - Odstawiła pusty kubek i wstała z sofy. - Czterdzieści pięć godzin i dokładnie siedem minut. A teraz czas na mnie. Muszę już iść.

(jeszcze 10 godzin i 47 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

- Do diabła, gdzie ty się podziewasz? - w moim uchu zaszczekał głos Stoi. Za żadne skarby nie chciałem mu tego zdradzić, dopóki nie zrozumiem, w jakiej grze uczestniczę.

Wyszedłem na pokład łodzi, żeby móc bez przeszkód porozmawiać przez telefon. Wcześniej namówiłem Alinę na drugi kubek kawy, obiecując jej, że odwiozę ją do domu. Na dworze było tak ciemno, że nie widziałem nawet lustra wody

- Nie mogę ci tego powiedzieć... - zacząłem, lecz Stoya natychmiast mi przerwał.

- Ale ja mogę. Dobrze wiem, gdzie jesteś, po uszy w gównie, mój przyjacielu. I pogrążysz się w nim jeszcze bardziej, jeśli natychmiast nie przyjdiesz do mnie na komisariat, żeby wreszcie odpowiedzieć na parę pytań.

Co zgubiłeś na miejscu przestępstwa?

Dlaczego znaleźliśmy tam twój portfel?

- Okay, obiecuję - powiedziałem. - Niedługo wpadnę. Ale teraz potrzebuję od ciebie jednej informacji.

Stoya roześmiał się z konsternacją.

- Cholera, człowieku. Na ostatniej odprawie Scholle zaproponował, że weźmie cię w obroty. Masz szczęście, że tak dobrze się znamy i że nie poszedłem od razu do prokuratora. Jeśli teraz chcesz wciągnąć mnie w jakieś pieprzone dziennikarskie gierki, koniec z naszą przyjaźnią.

Zrobiło mi się zimno. W jednej chwili całkowicie straciłem poczucie czasu i nie wiedziałem, jak długo rozmawiałem z tajemniczą nieznajomą. W każdym razie od mojego przybycia temperatura na zewnątrz wyraźnie spadła. Skóra na twarzy naprężyła mi się jak po oparzeniu słonecznym i samo oddychanie sprawiało ból.

- Uspokój się i powiedz mi tylko, czy wczoraj była u ciebie niewidoma kobieta, która twierdziła, że coś wie o kolekcjonerze oczu.

- Niewidoma? - zapytał Stoya po krótkiej przerwie, kiedy wiatr trochę przycichł i mogłem go lepiej zrozumieć.

- Do diabła, odkąd wy, pismaki, uczyniliście z kolekcjonera oczu postać kultową, podobnie jak z Hannibala Lectera, nie mogę opędzić się od wszystkich pomyśleń z Berlina i okolic. Opowiadają mi historie, dzięki którym mógłbyś zrobić karierę cyrkową. Wczoraj w nocy w naszym komisariacie pojawił się pracownik pomocy społecznej, który chciał mi wcisnąć informację, że jego nieżyjąca żona otworzyła mu drzwi do mieszkania.

Wiatr dmuchnął mi śniegiem prosto w twarz.

- A więc czy Alina Gregoriev rzeczywiście była u ciebie? - zapytałem powoli.

- Być może.

Wytarłem z czoła topniejące płatki śniegu.

- Okay, w takim razie powiedz mi jeszcze jedno...

- To już drugie pytanie.

- Ultimatum.

- O co chodzi? - zapytał niecierpliwie Stoya.

- Czy to możliwe, że mnie okłamałeś?

Cisza. Przez krótką chwilę nie słyszałem niczego oprócz szumu smaganych wiatrem gałęzi i pluskania fal o kadłub łodzi. I wtedy Stoya syknął gniewnie do słuchawki:

- Do czego zmierzasz?

Poczułem skurcz w żołądku jak wczoraj, kiedy w policyjnym radiu usłyszałem kod jeden-zero-siedem.

Ogólnie przyjętą praktyką policyjną było wstrzymywanie albo zmienianie istotnych dla sprawy informacji, żeby zdemaskować fałszywych informatorów i w ten sposób wyeliminować wszelkiej maści pasożytów.

Ale tutaj nie mógł zaistnieć taki przypadek. Jeśli bowiem niewidoma miała w tym punkcie rację, znaczyłoby to, że...

- Siedem minut - powiedziałem i poczułem, jak ręka, w której trzymałem telefon, zaczęła drżeć. - Zostało jeszcze czterdzieści pięć godzin i siedem minut.

Aż ojciec znajdzie kryjówkę. Aż dziecko umrze.

- Teraz dobrze mnie posłuchaj - usłyszałem głos byłego kolegi mówiącego do mnie z oddali. - Najpierw zjawiasz się ni stąd, ni zowąd na miejscu zbrodni, potem znajdujemy tam jeszcze twój portfel, a teraz jesteś w posiadaniu informacji, których nie znają nawet moi najbliżsi współpracownicy.

Nie wymyśliłem tego. Ona mi to powiedziała. Alina, niewidomy świadek, który potrafi zajrzeć w przeszłość.

Kiedy usłyszałem ostatnie zdanie Stoi, zrobiło mi się jeszcze zimniej.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że w tej chwili stałeś się naszym głównym podejrzanym?

(jeszcze 10 godzin i 44 minuty

do wygaśnięcia ultimatum)

Alexander Zorbach (ja)

Kiedy przerwałem rozmowę ze Stoyą i z powrotem zszedłem pod pokład, trochę się zdziwiłem, że Alina jeszcze tu była. Chociaż nie miała możliwości, aby niezauważona wymknąć się obok mnie z łodzi.

Na ten ziąb. W targaną wiatrem ciemność.

Ale jej zniknięcie byłoby tylko kolejnym ogniwem łańcucha niewytłumaczalnych zdarzeń, które spotkały mnie w ostatnich godzinach.

Skąd wiedziała o dodatkowych siedmiu minutach?

Kiedy wszedłem do stęchłego ciepła kabiny mieszkalnej, Alina w dalszym ciągu siedziała na tapczanie i pieszczotliwie drapała swojego psa. TomTom wyraźnie to lubił i leżąc na boku, wyprostował wszystkie cztery łapy, żeby jego pani miała lepszy dostęp do piersi i brzucha.

- Możemy już iść? - zapytała, nie podnosząc wzroku, i uświadomiłem sobie, że właśnie tego rodzaju drobnostki często wywołują u ludzi widzących niepewność w kontaktach z niewidomymi.

Większość informacji przekazujemy nie słownie, lecz mową ciała. Spojrzenia, gesty, ruchy, a nawet lekkie ściągnięcie kącików ust mogą wyrażać cały kalejdoskop emocji, które niekiedy podkreślają to, co zostało powiedziane, ale często mogą również oznaczać coś całkiem przeciwnego. Dotyczy to przede wszystkim postawy ciała. W normalnych sytuacjach niegrzecznie jest nie patrzeć w oczy osobie, z którą się rozmawia, i choć wiedziałem, że moja rozmówczyni była niewidoma, poczułem się dotknięty, kiedy Alina stała zwrócona do mnie jedynie profilem. Potem zrozumiałem, że w logiczny sposób nadstawiała ucha.

- Niedługo trzeba nakarmić TomToma i ja też jestem głodna. Dobrze byłoby, gdybym wkrótce poszła do domu.

- Mam jeszcze tylko jedno pytanie - powiedziałem, ale w gruncie rzeczy nie wiedziałem, od czego mam zacząć.

Skąd pani wie o ultimatum? Nikt nie potrafi wejrzeć w przeszłość, a więc po co wymyśliła pani tę głupią historię? I dlaczego wciąga mnie pani w swoje szaleństwo?

Alina zaśmiała się cicho i uniosła głowę.

- Najpierw potraktował mnie pan jak włamywaczkę, a teraz bardzo pan sobie ceni moje towarzystwo.

Odwzajemniłem jej śmiech i postarałem się, aby mój głos zabrzmiał swobodnie.

- Czysto dziennikarskie zainteresowanie.

Uniosła brwi i nagle zrozumiałem, co mnie dotychczas drażniło w jej zmieniającym się wyrazie twarzy i postawie.

Fakt, że Alina na ogół porozumiewała się za pomocą mimiki i gestów. Według mnie radość i smutek, a nawet wyrzucanie rąk w górę po wygranym biegu sztafetowym były wrodzonym sposobem zachowania. Ale jak przedstawiała się sprawa ze stanami pośrednimi? Ze wstrętem, smutkiem, obrzydzeniem albo, jak w tej chwili, z wyrazem nerwowej niecierpliwości, który właśnie pojawił się na twarzy Aliny? Mój niewidomy sprzedawca owoców w Kreuzkölln prosił mnie kiedyś, żebym zwracał mu uwagę, gdy będzie zbyt ponury.

Najczęściej był tylko skoncentrowany, w żadnym razie nie zagniewany. Od tamtej rozmowy wychodzę z założenia, że mimika jest rezultatem procesu uczenia się polegającego na obserwowaniu innych. Alina jednak dysponowała tak wieloma niewerbalnymi formami wyrazu, że moja teoria nie mogła być prawdziwa.

Chyba że ona kłamie tylko w sprawie kolekcjonera oczu...

- Czy możemy omówić pana pytania po drodze? - zapytała, a ja potrząsnąłem głową, mimo że chętnie przystałbym na jej propozycję. Ja też chciałem wynieść się stąd jak najszybciej. Chociaż prawdopodobieństwo, że Stoya namierzył mój telefon, wydawało się bardzo małe, ponieważ kilka chwil temu byłem zaledwie świadkiem i nie znajdowałem się jeszcze na liście poszukiwanych przestępców. Ale odkąd pojawiła się tu Alina, już nie czułem się w tym miejscu bezpieczny. Moim problemem było tylko to, że ciągle miałem za mało informacji, żeby wiedzieć, jaki krok powinienem zrobić w następnej kolejności.

- W tej chwili jest zbyt niebezpiecznie na dworze - powiedziałem zgodnie z prawdą. Co kilka sekund ciężkie gałęzie waliły o ziemię i wolałbym poczekać, aż pogoda trochę się uspokoi.

Przestała głaskać psa.

- No dobrze, co chce pan jeszcze wiedzieć?

Skąd tak naprawdę wiedziała pani o tej łodzi?

Co pani ma wspólnego z kolekcjonerem oczu ?

Czy naprawdę jest pani niewidoma?

- Zacznijmy tam, gdzie pani przerwała - zaproponowałem również po to, aby uporządkować swoje myśli.

Od zabójstwa. Od chwili, kiedy złamała pani kark kobiecie i zaciągnęła ciało do ogrodu.

- Co stało się potem?

- Ma pan na myśli potem, jak wcisnęłam stoper do ręki tej kobiety?

Wydawało mi się, że przez jej twarz przebiegł cień. Miała zamknięte oczy i silnie zaciśnięte usta, co sprawiało, że na jej twarzy malowało się napięcie.

- Poszłam do szopy na narzędzia - zaczęła powoli, jakby sprawiało jej trudność wydobyć z zakamarów pamięci bardzo odległych w czasie wspomnień.

- Była drewniana, nie blaszana, poczułam to, ponieważ wbiła mi się drzazga, kiedy odsuwałam zasuwkę. Poza tym kiedy weszłam do środka, poczułam zapach żywicy.

Zrobiła krótką przerwę, w czasie której nerwowo skubała palcami prawej dłoni lewy kciuk.

- Zwinięty kłębek na podłodze wyglądał jak stary dywan, lecz było to jeszcze jedno ciało. Trochę mniejsze i lżejsze niż ciało kobiety, która leżała teraz martwa na trawniku.

- Czy jeszcze żyło?

- Myślę, że tak. To był mały chłopiec. Przynajmniej tak mi się wydaje, ponieważ pachniał jak mój brat Ivan, którego twarzy niestety już prawie nie pamiętam. Ale zapachu ciasta i ziemi, którym pachniał, kiedy się razem kąpaliśmy, nigdy nie zapomnę. Czuję go zawsze, kiedy śnią mi się mali chłopcy.

Albo kiedy ich porywasz.

- Czy może pani opisać jego twarz?

- Nie, przecież pan wie, że jedyne twarze, które pamiętam, to twarze moich rodziców.

Przeprosiłem, że jej przerwałem, i poprosiłem, żeby mówiła dalej.

- Zniosłam małego do samochodu, który stał za płotem na skraju lasu. Myślę, że był wczesny ranek, zaraz po wschodzie słońca. Nagle dookoła znów zrobiło się ciemno i już myślałam, że moje wizje się skończyły. Potem zapaliły się dwa czerwone światła w bagażniku samochodu, do którego włożyłam chłopca.

- A co z dziewczynką?

- Jaką dziewczynką? - Alina sprawiała wrażenie szczerze zdziwionej. - Nic o tym nie wiem.

- Proszę? - zapytałem osłupiały. - Po raz pierwszy kolekcjoner oczu uprowadził rodzeństwo. Dużo o tym pisały gazety.

- Których nie mogę czytać, gdyby to panu umknęło.

- Jest jeszcze radio i telewizja.

- I internet. Dziękuję za wskazówkę.

- Aha, w takim razie musiało do pani dotrzeć, że policja szuka *dwojga* zaginionych. Tobiasza i Lei, są bliźniakami.

- Ale nie dotarło, okay?

TomTom uniósł łeb, zaalarmowany złością w głosie swojej pani.

- Wczoraj poszłam od razu na policję i tam też wypytywano mnie tym samym wrednym tonem, którym teraz pan przemawia. Od razu wiedziałam, uważają mnie za wariatkę, i kiedy wróciłam do domu, byłam tak wściekła, że cały świat mógł mnie pocałować w dupę. Rozsiadłam się przed telewizorem z butelką wina i starałam się wyciszyć, oglądając stare filmy Edgara Wallacea. Tak długo, aż urżnięta usnęłam i dzisiaj obudził mnie jakiś kretyn, który umówił się ze mną tutaj, w tej dziczy - Parsknęła wściekle przez nos. - A ja, głupia krowa, od razu tu przyleciałam, tylko po to, żeby drugi raz dać się zrobić w konia.

Lampa naftowa zamigotała i przypomniała mi, że już najwyższy czas, aby zajrzeć do generatora, jeśli za chwilę nie chciałem siedzieć z moim niesamowitym gościem w całkowitych ciemnościach.

- I ja mam pani uwierzyć? - zapytałem.

Alina chwyciła pałąk przy szorach psa i wstała.

- Do diabła, przecież i tak pan myśli, że kłamię. Ale gdybym rzeczywiście tylko wymyśliła moją historię, czy naprawdę bym się tak kiepsko przygotowała?

Miała rację. To mogło wydać się dziwne, lecz fakt, że nic nie wiedziała o uprowadzonej dziewczynce, podkreślał jej wiarygodność. Nikt, kto chciałby strugać waźniaka za pomocą zmyślonych zeznań, nie popełniłby tak poważnego błędu, pomijając drugą ofiarę.

Jeśli nie była to część niezrozumiałego dla mnie planu.

- Mogę powiedzieć tylko to, co widziałam - oświadczyła i włożyła plecak.

Ja także wstałem, trochę zbyt gwałtownie, ponieważ naraz zakręciło mi się w głowie. Ból głowy osiągnął teraz takie natężenie, że nie dało się go opanować środkami sprzedawanymi bez recepty. Na szczęście gdzieś pomiędzy wszystkimi gratami na siedzeniu pasażera musiało leżeć napoczęte opakowanie maxaltu.

- Proszę poczekać - powiedziałem i rozmasowałem kark. Tym razem Alina zrezygnowała z laski i całkowicie zaufała swojemu psu, który chciał delikatnie przeprowadzić ją obok mnie. Wykonałem powstrzymujący ją gest, którego nie mogła zobaczyć, mocno złapałem ją za rękaw swetra.

- Co? - zapytała tylko i odwróciła do mnie głowę. Po raz pierwszy byliśmy tak blisko siebie, że poczułem dyskretny zapach jej perfum. Lekki i nie tak cierpki, jakbym się spodziewał.

- W takim razie dlaczego marnuje pan ze mną czas, jeśli i tak mi pan nie wierzy?

Chciałem udzielić dłuższej odpowiedzi na jej uprawnione pytanie. Powiecie, że często przeprowadzałem wywiady z ludźmi, którym początkowo nie wierzyłem i którzy potem wyprowadzali mnie z błędu. I że sprawdzanie źródła nie byłoby marnowaniem czasu, zwłaszcza jeśli to źródło dostarczało tak niezwykłych informacji jak Alina. Ale nagle wszystko rozplynęło mi się przed oczami, czułem się, jakbym godzinami wpatrywał się w migoczący ekran. Ponadto z powodu bólu głowy było mi niedobrze, a więc ograniczyłem się do jednego pytania, dzięki któremu mogłem ostatecznie odkryć, ile prawdy zawierają stwierdzenia Aliny:

- Dokąd zabrała pani chłopca?

(jeszcze 10 godzin i 40 minut
do wygaśnięcia ultimatum)

Tobias Traunstein

Ściany jego więzienia były ... *miękkie*?

Tobias ugniatał dłonie, żeby się upewnić, czy czucie w palcach go nie myli, co było bardzo prawdopodobne, ponieważ w tej chwili jego zmysły zajmowało coś całkowicie innego: *pragnienie*. Nie miał pojęcia, jak długo był nieprzytomny, musiały to być godziny. Może dni. Ostatni raz obudził się z podobnym pieczeniem w gardle w Nowy Rok, po tym jak przez cały sylwestrowy wieczór obżerał się tymi cholernymi chipsami. Ale wtedy nie było to takie dokuczliwe jak teraz.

I wtedy też nie eksplodowały mi ręce.

Nie wiedział, co go obudziło. Ogromne pragnienie czy uporczywy pulsujący ból w rękach, jakby przez tydzień na nich leżał.

Minęła chyba cała wieczność, zanim przetoczył się na bok w tej ciemnej ciasnocie i uwolnił dłonie od ciężaru własnego ciała (*dłużej niż trwa lekcja matmy ze starym Hertlem*), a wtedy krew gwałtownie wdarła się do zdrętwiałych członków. Zaczął się drapać, tam gdzie go najbardziej paliło: po ramionach, stawach łokciowych i nadgarstkach. Przede wszystkim nadgarstki piekły go tak jak wtedy, kiedy szukał piłki w ogrodzie sąsiada i wsadził rękę w przekłętą pokrzywy.

- Wolno ci tylko klepać, nie drapać - przypomniał sobie upomnienie matki. - Do diabła, mam, to nie działa nawet przy ukłuciu komara, a teraz tak mnie cholernie boli, że najchętniej zdarłbym skórę z kości.

Zgiął palce prawej dłoni tak, że przypominały szpony, przyłożył dłoń do lewego nadgarstka, na wysokości miejsca, gdzie bada się puls, i głęboko oddychał.

Tylko klepać, nie drapać.

Srać na to. Wrył się paznokciami głęboko w ciało i stęknął z ulgą, kiedy swędzenie trochę osłabło. To uczucie odwróciło jego uwagę nawet od pragnienia. Chociaż na kilka sekund. Ledwie przestał się drapać, ogień znów buchnął płomieniem, wróciło kłujące pieczenie, które w tej chwili bardziej doprowadzało go do szaleństwa niż nieprzenikniona ciemność.

- Halo? - krzyknął i przestraszył się brzmienia własnego głosu.

Zasmarkany i zapłakany.

Nie chciał płakać. I tak byłoby dość kłopotliwe, gdyby jego przyjaciele odkryli, że narobił w spodnie, jak go stąd wyciągną. Najpóźniej za dziesięć minut, kiedy Jensowi i Kevinowi znudzi się ta zabawa. Bo to na pewno była zabawa - idiotyczny, szczeniacki wybryk.

No i co, ty mały zasrańcu? Przestań beczeć.

Kevin zawsze przechwalał się kroplami z apteki swoich rodziców, powodującymi utratę świadomości. Teraz z pewnością je wypróbowali, żeby się na nim odegrać.

Wszystko przez to, że po lekcji pływania schował kąpielówki Kevina w przebieralni dla dziewcząt. Ale to było przynajmniej śmieszne. Nie to co tutaj, to było po prostu tylko...

Tobias próbował się przeciągnąć i nacisnął łokciami boczne ściany. Ponownie zdziwił się, że ściany się ugięły. Czy ci idioci wpakowali go do namiotu?

Nie. To coś było na to za ciasne. Poza tym powierzchnia nie była gładka i w dotyku nie przypominała gumowej ani plastikowej plandeki. Materiał był dużo bardziej szorstki, raczej jak gruby dywan, tapeta albo...

Albo worek?

Tobias znów zaczął szlochać, ponieważ przypomniał sobie horror, który Jens puścił kiedyś na wideo podczas dużej przerwy. Jego rodzice byli bardzo bogaci (*ojciec ciągle powtarza, że zarabiają na szybach samochodowych tak dużo, że mogliby się podcierać banknotami*) i dlatego Jens był pierwszy w klasie, którego rodzice kupili najnowszego iPhone'a, można nim było w kilka sekund ściągać filmy wideo i inne takie.

Od razu pierwszego dnia spotkali się wszyscy za salą gimnastyczną i Jens z dumą pokazał im fragment filmu, na którym kilkoro nastolatków wsadzało do worka nagą dziewczynę. Dziewczyna wierzgała, broniła się rękami i nogami, ale w końcu znalazła się w środku, a oni mocno zawiązali worek. Na początku Toby śmiał się razem z innymi, ponieważ naprawdę wyglądało to tak, jakby pod materiałem szalało kłębowisko węży. Kiedy jednak potem mężczyzna z papierosem w ustach, śmiejąc się, wylał na worek wykonujący konwulsyjne ruchy kanister benzyny, zrobiło mu się niedobrze. Tobias odwrócił się na pięcie i wrócił na szkolny dziedziniec. Sam.

Prawdopodobnie teraz zrobią to samo ze mną. Ponieważ okazałem się takim tchórzem i nie patrzyłem.

- Dobra, wygraliście - krzyknął w ciemność i wyobraził sobie, jak Jens i Kevin właśnie zasłaniają usta, żeby nie usłyszał ich śmiechu.

- No już, wypuście mnie.

Brak odpowiedzi.

Rozpaczliwie wcisnął obie pięści w materiał na wysokości głowy i poczuł, jak pot spływa mu po czole. Miał przyśpieszony oddech, jak po biegu na 400 metrów, a przecież w ostatnich minutach

wcale się tak bardzo nie zmęczył.

Tutaj w środku niewiele można zrobić. Tylko się bać.

Tobias wciągnął nosem smarki i głęboko oddychał. Jednocześnie palcami, które ciągle piekły go tak, jakby tajały po bitwie na śnieżki, macał miękkie ściany wokół siebie.

Na szczęście ściany nie były mokre, nie czuł również zapachu benzyny, a więc darowali sobie tę część wideo.

Jak do tej pory.

Naraz napotkał coś zimnego. Mały kawałek metalu, który nad nim wisiał, przy bocznej krawędzi jego trumny z materiału, gdzieś na wysokości pępka. To było tak duże jak jedna z tych zapalniczek firmy Zippo, które jego ojciec zawsze napełniał w weekendy.

Cholera, nawet w dotyku przypomina zippo.

Tylko że to na pewno nie była zapalniczka, ponieważ ten rodzaj zapalniczek miał pokrywkę, którą można było otworzyć, i kółko, którym się kręciło.

I to na pewno nie one zwisały nad nim w ciemności.

Tobias wstrzymał oddech, żeby nie rozpraszał go szmer własnego dyszącego oddechu. Potem, kiedy obmacywał górną powierzchnię obcego ciała i natknął się na mały wieszak, wiedział już, co trzyma w dłoni.

To jest zamek. Taka mała brązowa kłódka do łańcucha, którym przypinam rower.

Zakaszłał ze zdenerwowania. Jeszcze nie był pewny, co oznacza to odkrycie, ale, do diabła, bądź co bądź *było* to odkrycie. Pierwszy raz miał coś w ręku; w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa. Coś, co, być może, pozwoli mu się stąd wydostać.

Czy to jest jakiś test? Czy wystawiacie mnie na próbę?

Tobias niecierpliwie potrząsnął zamkiem, lecz nic nie wskórał, niezależnie od tego, w którą stronę szarpał.

Nic na siłę!, ponownie usłyszał głos matki i tym razem poszedł za jej radą. Ostrożnie obmacał przedmiot i kiedy dotykał jego spodu, nagle przestał być pewny, czy to rzeczywiście był zamek. No bo gdzie, do diabła, znajdowała się dziurka?

Pipka, jak Kevin nazywał szczelinę, do której wkłada się klucz.

Co prawda wyczuł tam szparę, ale była ona o wiele za prosta i za gładka. Tylko nacięcie, w którym mieścił się jego paznokieć, podobne jak w dużej śrubie.

Dobra, skoncentruj się. Nieważne, że nie ma tu szpary. Przecież i tak nie masz klucza. Śruba jest dużo lepsza. Być może trzeba ją tylko odkręcić, a wtedy...

Zakaszłał, zastanawiał się, czy znów zapomniał o oddychaniu. Tu, w środku, ciągle brakowało mu powietrza.

...a wtedy wpadnie tu światło i będę mógł wyrwać się z tego cholernego worka albo materiału i znów normalnie oddychać.

Ale jak? Czym odkręcić śrubę w tym czymś?

Wetknął paznokieć kciuka w nacięcie na spodzie i próbował przekręcić, lecz osiągnął jedynie tyle, że przy czwartej próbie spod paznokcia trysnęła krew.

Cholera. Potrzebny mi śrubokręt. Albo nóż.

Zaśmiał się histerycznie.

No jasne, Jens i Kevin zostawili ci nóż, żebyś mógł przeciąć materiał.

Tobias znów zakaszłał i naraz zrozumiał, dlaczego się tak poci, dlaczego pali go w gardle i dlaczego był coraz bardziej wyczerpany: *Kończy mi się powietrze. Uduszę się, uduszę, jeśli szybko nie znajdę czegoś twardego, co będę mógł włożyć do tej przeklętej szczeliny. Chwila...*

Zamknął oczy i starał się równomiernie oddychać.

Coś twardego.

Znów poczuł mrowienie w palcach, kiedy przypomniał sobie o monecie w ustach, którą ponad godzinę temu z odrazą wypluł w ciemność.

(jeszcze 10 godzin i 19 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Alexander Zorbach (ja)

- Nie wiem, dokąd zabrałam chłopca - powiedziała Alina i wzięła mnie pod rękę, żebym pomógł jej wejść po schodach i następnie sprowadził z łodzi po wąskim trapie. Wiatr trochę osłabł.

Jaka ona jest chuda, przemknęło mi przez głowę, kiedy weszliśmy do lasu. Mimo grubego swetra czułem pod nim jej żebra i mogłem dwa razy owinąć palcami jej nadgarstek. Przystanęliśmy na chwilę, żebym mógł zogniskować matowe światło latarki, które prześlizgnęło się po nogawkach jej spodni. Zauważyłem zeskorupiałe z brudu rozdarcie pod kolanem, które umknęło mi w pogrążonej w półmroku kajucie i które najwidoczniej powstało na skutek upadku w drodze na łódź.

- Gdybym wiedziała, gdzie jest chłopiec, na pewno nie byłabym taka durna, żeby szukać pana w lesie - powiedziała, podczas gdy ja próbowałem iść obok niej, co było prawie niemożliwe na wąskiej ścieżce. - Wtedy mogłabym udowodnić policji, że nie jestem wariatką.

Im bardziej oddalaliśmy się od brzegu, tym las stawał się gęściejszy. Wiatr i deszcz ledwie się tu przedostawały, za to z gałęzi nad naszymi głowami spadał śnieg i przykrywał niebezpieczne, pokryte lodem miejsca na drodze. Dwa razy omal sam nie skręciłem nogi, raz nie zdążyłem przytrzymać Aliny żeby się nie potknęła, kiedy uderzyła ją w twarz gruba gałąź jodłowa, ponieważ za późno poświeciłem latarką. Znów zadałem sobie pytanie, jaką siłę woli musi mieć niewidomy człowiek, żeby wybrać się na taką eskapadę, nawet jeśli wie, że ma u boku wytresowanego psa przewodnika. TomTom powoli, lecz skoncentrowany szedł ścieżką pod górę i nie dawał się zbić z tropu trzeszczącym gałęziom ani innym odgłosom. Okolica była znana z dużej ilości dzików, które zimą przemierzały lasy w poszukiwaniu pożywienia. Ale nawet gdybyśmy wpadli na trop odyńca, lisa albo na jakieś inne dzikie zwierzę, to i tak retriever ani na sekundę nie zboczyłby z drogi i na pewno doprowadziłby nas całych i zdrowych do mojego volvo.

- To jest jak film - powiedziała Alina, kiedy już uwolniła się z mojego uchwytu i wsiadła do samochodu bez mojej pomocy. Uruchomiłem silnik i cofając, obserwowałem, jak wyjęła chusteczkę do nosa z plecaka, który potem rzuciła na tylną kanapę obok TomToma. Chustką wytarła najpierw moką twarz, następnie próbowała jako tako wytrzeć do sucha mokre od śniegu włosy.

Jak film?

Ewidentnie czekała, że skomentuję jej stwierdzenie, a więc zrobiłem jej tę przyjemność, kiedy złotym tempem cofałem samochód. Jeszcze tylko kilka metrów, potem i tak musiałem wysiąść, żeby

przetoczyć na bok barierę, która blokowała moją sekretną drogę dojazdową.

- O czym pani mówi? - zapytałem.

- O moich retrospekcjach. Tak wyobrażam sobie film. Tylko że w mojej głowie nie da się tak łatwo przewijać do przodu i cofać taśmy.

- Tylko co? Jak wobec tego przywołuje pani swoje wspomnienia?

- Wcale nie przywołuję.

Dojechaliśmy do kolczastych zarośli, które maskowały wyjazd na Nikolskoer Weg, i nacisnąłem hamulec.

- Nie rozumiem tego. Dopiero co ze szczegółami opisała mi pani, co kolekcjoner oczu robił, zanim włożył chłopca do bagażnika.

Skinęła głową i dygocząc z zimna, objęła się ramionami. Przy tej temperaturze stare ogrzewanie potrzebowało jeszcze pięciu minut, aby w środku znów zrobiło się ciepło.

- Nie mam pojęcia, dlaczego tak dobrze pamiętam tylko pierwsze minuty wizji. Potem film się urywa, obrazy tracą ostrość, brakuje w nich całych sekwencji. Śmieszne jest to, że czasem luki się wypełniają i po iluś dniach przypominam sobie następne sceny. Ale nie wiem dlaczego? To wszystko dzieje się samoistnie, nie potrafię sama przywołać brakujących obrazów, rozumie pan?

Nie, nie rozumiem. Chwilowo chyba nic nie rozumiem. Nie wiem, dlaczego w ogóle pani tu jest. Nie rozumiem też, jak to możliwe, że naraz stałem się głównym podejrzanym w sprawie najokrutniejszych zabójstw wszech czasów.

Zamiast jej odpowiedzieć, znów wysiadłem i wyładowałem wściekłość na pniu drzewa, który jednym szarpnięciem odrzuciłem na bok.

Do diabła, chciałem się tu odseparować, żeby nabrać trochę dystansu wobec tego szaleństwa, w które z niewiadomego powodu byłem wciągany *A teraz tkwię w tym bagnie jeszcze głębiej niż przedtem.*

Wytarłem brudne dłonie o dzinsy i wsiadłem do samochodu, w którym czuło się zapach mokrego psa.

Najchętniej złapałbym Alinę za ramiona i wytrząsnął z niej prawdę: *Kto cię przysłał? Czego naprawdę chcesz ode mnie?*

Ale głos wewnętrzny mówił mi, że byłby to najgorszy sposób na rozplątanie gąszczu pytań kłębiących się w mojej głowie.

A poza tym coś musi być w tej historii. Bądź co bądź Stoya potwierdził istnienie ultimatum.

Połknąłem maxalt z opakowania, które wzięłem z siedzenia pasażera, zanim Alina wsiadła do samochodu. Następnie wycofałem na Nikolskoer Weg. Moja kryjówka i tak była spalona, więc tym

razem nie trudziłem się zacieraniem śladów.

- Jeszcze raz od początku - powiedziałem, kiedy wyjechaliśmy na ulicę. - Pani wizje są jak film. A ten się urywa, kiedy pani zaciąga chłopca do samochodu.

- Nie.

- Nie?

Odwróciłem się do niej. Alina znów miała zamknięte powieki i sprawiała wrażenie całkowicie spokojnej, jakby spała.

- Nie całkiem. Na przykład bardzo dobrze pamiętam, jak wsiadłam do samochodu i jak włączyło się radio, kiedy zapaliłam silnik. - Ugryzła się w dolną wargę, potem mówiła dalej: - The Cure śpiewali *Boys don't cry* i sprawdziłam w lusterku wstecznym, czy mam jakąś szramę albo zadrapanie, ale ujrzałam tylko śmiejącą się twarz mojego ojca, który w rytm melodii bębnił o kierownicę. - Przełknęła ślinę. - Do diabła, jak ja nie znoszę widoku mojego ojca zawsze wtedy, kiedy jakiś dupek robi komuś krzywdę.

Przez kilka chwil nie było słyhać nic oprócz terkotania diesla, kiedy jechaliśmy wyludnioną aleją w kierunku Zehlendorf. Na pewno podano ostrzeżenie przed burzą, które berlińczycy wyjątkowo traktowali bardzo poważnie.

- Co było dalej? - zapytałem, kiedy musieliśmy zatrzymać się na czerwonym świetle.

- Nie mam pojęcia. Teraz zaczynają się dziurawe miejsca w filmie. Pamiętam jeszcze, że przez chwilę jechaliśmy pod górę, było dużo zakrętów, potem samochód znów się zatrzymał i wysiadłam.

- Co pani wtedy zrobiła?

- Absolutnie nic. Po prostu tylko stałam i przyglądałam się.

- Przyglądała się pani? - Ruszyłem z miejsca.

- Tak. Nagle coś ciężkiego znalazło się w moich dłoniach, przypuszczam, że była to lornetka albo coś podobnego. W każdym razie wszystko najpierw rozplynęło się przed moimi oczami, a potem nagle ujrzałam, co rozgrywało się kilkaset metrów pod nami.

- Co pani zobaczyła? - Ledwie mogłem uwierzyć, że poważnie zadaję to pytanie niewidomej.

Alina na moment odwróciła się do TomToma, który zaczął ziać, i uspokajająco dotknęła jego rozczochranego łba.

- Zobaczyłam samochód. Pędził ulicą w dół, potem zahamował, zarzuciło go i zatrzymał się na podjeździe. Wyskoczył z niego mężczyzna, potknął się i przez chwilę na czworakach pełzł pod górę zaśnieżoną żwirową drogą. Potem na krótko znikł za drzewem i ponownie pojawił się bezpośrednio przed szopą na narzędzia. Widziałam, jak jego usta wykrzywiają się do krzyku, kiedy odwrócił głowę i z płaczem runął na ziemię, dokładnie w miejscu, gdzie położyłam ciało jego żony.

Zamknęła oczy, jednak nie dość szybko, żeby powstrzymać łzy. Przed nami jechał mały samochód terenowy, w blasku jego czerwonych świateł hamowania łzy przypominały grube krople krwi, które spływały jej po policzkach.

- Wielki Boże, cały czas walił się pięściami po głowie. Wciąż i wciąż. Nie słyszałam, co krzyczał, ponieważ był za daleko, ale wtedy...

- Co?

- Wtedy nawiązał ze mną kontakt.

- Jak?

Zbliżaliśmy się do skrzyżowania Drei Linden i postanowiłem, że pojedę prosto w kierunku Steglitz.

- Mężczyzna wstał i spojrzał w moją stronę.

- Chwileczkę. - Chwyciłem się za kark. - Czy on wiedział, gdzie pani jest?

- Tak, miałam nierealne uczucie, jakbyśmy byli współnikami. Jednak znajdowałam się bardzo daleko od niego i kiedy ze strachu oderwałam oczy od lornetki, jego postać była tylko małym punktem w oddali.

- Ale *on* panią widział?

- Tak mi się wydawało.

Tępy ucisk za skronią stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Lekarstwo na migrenę nie wykazywało ani śladu działania.

Czy na przykład mogło być tak, że zaistniał kontakt pomiędzy kolekcjonerem oczu i Traunsteinem, ojcem uprowadzonych dzieci?

Minęliśmy wjazd Avus w kierunku Charlottenburga. Spojrzałem w lusterko wsteczne, droga za mną była pusta, nadepnałem więc na hamulec i wycofałem się Potsdamer Chaussee tak szybko, jak tylko mi pozwalał mój samochód.

- Co pan zamierza? - zapytała Alina, która oczywiście zauważyła nagłą zmianę kierunku jazdy

- Nadłożymy kawałek drogi - powiedziałem, po czym włączyłem prawy kierunkowskaz i skręciłem na autostradę miejską.

Być może kolekcjoner oczu nie bawi się sam w swoją perwersyjną grę w chowanego.

Była tylko jedna możliwość, aby się tego dowiedzieć.

(jeszcze 10 godzin do wygaśnięcia ultimatum)

Philipp Stoya

(szef wydziału zabójstw)

- Według hollywoodzkiego scenariusza seryjni mordercy są średnio inteligentni, nigdy nie są Afroamerykanami i bardzo rzadko, tylko w wyjątkowych wypadkach są kobietami.

Profesor Adrian Hohlfort siedział na swoim chromowanym wózku inwalidzkim i wyglądał całkiem inaczej, niż znało się go z telewizji. Nie uśmiechał się, jego siwe włosy były niedbale uczesane z przedziałkiem, brakowało również czarnego krawata, który do tej pory wkładał do każdego talk-show. Nawet się nie ogolił, prawdopodobnie dlatego, że wśród dzisiejszej publiczności nie było nikogo, kto po występie chciałby kupić jego książkę *Seryjny morderca i ja*, która od siedemdziesięciu jeden tygodni znajdowała się na listach bestsellerów.

- Zabijają wyłącznie w obrębie swojej grupy etnicznej i są przede wszystkim amerykańskim fenomenem. Cała ta wiedza opiera się rzekomo na badaniach naukowych FBI. A wszystko to jest głównie warte.

Stoya rzucił ostrzegawcze spojrzenie Schollemu, który siedział przy stole po jego lewej stronie i prawdopodobnie tłumił ziewanie. W przeciwieństwie do swojego partnera, uważającego profiling za hokus-pokus, Stoya ufał wiedzy sześćdziesięciolatka, który w czasie swojej kariery naukowej osobiście przesłuchiwał licznych seryjnych przestępców.

Daleko liczniejszą grupę niż Zorbach.

Prywatnie nie pałał zbyt dużą sympatią do sparaliżowanego psychologa. Ale jego zawodowe umiejętności były nie do podważenia. Nawet jeśli ich poprzednie spotkania w ostatnich tygodniach nie wniosły nic nowego, to dawniej często okazywały się bardzo pomocne. A teraz mieli wreszcie konkretne podejrzenie i w związku z nim chcieli usłyszeć opinię eksperta.

- Profesorze Hohlfort, ostatnio pan powiedział, że powinniśmy szukać przeciętnego osobnika, który jest raczej zamknięty w sobie i trzyma się na uboczu.

- Tak jest. Niech pan zapomni o Hannibalu Lecterze. Jest on wymysłem pisarza i ma mniej więcej tyle wspólnego z rzeczywistością, ile ja z biegaczem przez płotki.

Hohlfort dał lekkiego klapsa felgom wózka inwalidzkiego i tylko on zaśmiał się ze swojego żartu.

- Seryjni mordercy są przegranymi naszego społeczeństwa. Nie szukamy wybitnych antybohaterów, lecz kogoś, kto użala się nad własnym losem. Człowieka niszowego, jak ja go nazywam. Na zewnątrz całkowicie normalnego, raczej niepozornego; w środku jednak kompletnie nieobliczalnego.

Stoya zrobił bezsensowną notatkę na leżącym przed nim bloczku papieru.

- Czy on może być dziennikarzem?

Hohlfort wzruszył ramionami.

- Seryjni mordercy wykonują najrozmaitsze zawody, pracują na stacjach benzynowych, są kierowcami autobusów albo prawnikami, układają puszki w supermarketach albo są urzędnikami.

Profesor rzucił kpiące spojrzenie partnerowi Stoi.

- Być może pracują nawet w policji.

Scholle stęknął i odwrócił się do kolegi.

- Philipp, chodź, marnujemy tu tylko czas. Mądrości wujka są mniej więcej tak samo konkretne jak mój horoskop.

Nawet jeśli te pogardliwe słowa rozżłościły profesora, nie dał tego poznać po sobie. Oparł łokcie na podłokietnikach wózka, z beztronską miną odwrócił dłonie na zewnątrz i pokazał je policjantom.

- Nie jestem tu po to, żeby wykonać za was robotę, moi panowie. To wy jesteście oficerami śledczymi, nie ja.

- Spojrzał na Stoyę wzrokiem, który mówił, że nawet najlepszy profiler, czyli kryminolog wykorzystujący wiedzę psychologiczną do chwytania przestępców, nic nie wskóra, jeśli policji nie uda się znaleźć kryjówki, w której kolekcjoner oczu przetrzymywał i mordował uprowadzone dzieci.
- Nie mam też komputera, który mógłby pan nafaszerować informacjami, żeby po naciśnięciu klawisza wypluł pasujący profil sprawcy - dodał Hohlfort. - Mogę jedynie dostarczyć panu jeszcze jeden element puzzli. A pana zadaniem jest położyć go w odpowiednim miejscu.

Stoya rzucił Schollemu surowe spojrzenie, potem poprosił profesora, żeby kontynuował wypowiedź, a ten nie dał się długo prosić. Czasami lubił dzielić się z innymi swoją nieprzebraną wiedzą. Pod warunkiem, że nikt jej nie kwestionował.

- Wracając do pańskiego pytania o zawód sprawcy...

- Hohlfort wpatrywał się w niewidoczny punkt na pozbawionym wszelkich ozdób suficie i zrobił zadumaną minę.

- Oto co mogę powiedzieć na ten temat: kolekcjoner oczu lubi planować i prawdopodobnie ma zawodowo do czynienia z projektami, które mają ściśle wyznaczone terminy. Jest przyzwyczajony do tego, żeby doprowadzać do końca sprawy w ustalonym czasie.

Stoya pomyślał o kubku do kawy na redakcyjnym biurku Zorbacha, na którym widniał napis: *kreatywni nie mają normowanego czasu pracy tylko deadlines.*

- I sprawca dysponuje bodaj bardziej niż elementarną znajomością medycyny.

Stoya niechętnie skinął głową. Oczy nie były usuwane profesjonalnie, ale też nie po partacku, a sprawca tak dozował środek odurzający, że działał do wygaśnięcia ultimatum. Brak zewnętrznych znamion przemocy wskazywał na to, że dzieci były nieprzytomne, kiedy zostały utopione. Stoya wciąż próbował pocieszać się tą myślą, co mu się jednak nie udawało.

- W każdym razie już dawno odstąpił od planowania swoich czynów - Hohlfort kontynuował wykład profesorskim tonem. - Inaczej przebieg wydarzeń nie byłby taki rutynowy, schematyczny. Możemy założyć, że sprawca już przed wielu laty zwrócił na siebie uwagę.

Na przykład kiedy zastrzelił kobietę na wiadukcie?

- Mam pytanie - wtrącił Stoya w trakcie jednej z niewielu przerw w wykładzie profesora. - Czy kolekcjoner oczu poprzez swoje czyny może przetrwać traumę?

Hohlfort przytaknął gwałtownie:

- Założyłbym się nawet, że sprawca był leczony psychiatrycznie. Niestety, do tej pory nie zostawił nadających się do wykorzystania śladów DNA ani odcisków palców. A więc nie mamy innego wyjścia i musimy działać klasyczną metodą eliminowania sprawców. A jej punktem wyjścia jest decydujące pytanie o motyw!

Profesor po raz pierwszy pokazał swój telewizyjny uśmiech i unióśł obie ręce, jakby chciał się poddać.

- Tutaj opuszczę twarde naukowy grunt i wejść na grząskie pole spekulacji.

Dla Schollego zabrzmiało to jak końcowy gwizdek i zbierał się, żeby z trudem unieść z krzesła swoje masywne ciało. Stoya dał partnerowi do zrozumienia, aby cierpliwie jeszcze trochę poczekał. On też chciał już iść, w znacznym stopniu dlatego, że powoli kończyło się działanie proszku, który wciągnął dziesięć godzin temu, i teraz pilnie potrzebował nowego kopa. Ale to musiało poczekać.

Najpierw muszę być pewny że rzeczywiście podążamy we właściwym kierunku.

W przeciwieństwie do Schollego, według którego winny został już ustalony, wyobraźnia podpowiadała Stoi, że jego były kolega mógł być odpowiedzialny za najohydniejszą serię morderstw w jego karierze. Kiedy Zorbach pojawił się nagle na miejscu przestępstwa, kiedy znaleziono tam jego portfel, chociaż wszystkie kieszenie przykrywał szczelny kombinezon, a na dodatek dysponował konkretną wiedzą na temat sprawcy, Stoya uważał go w tej chwili za najpoważniejszego kandydata. Fakt, że z jednej strony znał on szczegóły ultimatum, choć z drugiej nie istniały żadne dane dotyczące modus operandi, czyli utopienia dzieci, Scholle uznał jedynie za „taktkę psychopaty, który i tak nigdy nie zrozumie zdrowego umysłu”.

Dla Stoi było to zbyt proste, mimo to oczywiście popierał poszukiwania Zorbacha, które już szły pełną parą. W tej chwili przeprowadzano rewizję w jego mieszkaniu i szukano volvo. Znalezienie go

było tylko kwestią czasu. Czasu, który Stoya musiał teraz wykorzystać, aby przygotować się do przesłuchania Zorbacha.

- Proszę, niech pan pospekuluje - dlatego poprosił profesora i spojrział na zegarek.

Niecałe dziesięć godzin.

- Co dokładnie kolekcjoner oczu chce osiągnąć swoimi morderstwami?

(jeszcze 9 godzin i 41 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Alexander Zorbach (ja)

Nic na sennym osiedlu na skraju Grunewaldu nie wskazywało na to, że zaledwie kilka godzin temu popełniono tu brutalne przestępstwo. Wydawało się, jakby świeży śnieg przykrył nie tylko dachy, ulice i ogródki przed domami, lecz również pamięć o okrutnym czynie. Gdybym o nim nie wiedział, uważałbym to miejsce za najbezpieczniejsze na świecie. Okolica, gdzie rodzice nadają swoim dzieciom imiona, które nie dziwiłyby nikogo nawet w katalogu IKE-i: Tombte, Sören, Noemi, Lars-Alvin, Finn. Dzieciom, którym ściśle limituje się czas oglądania telewizji i na które nie czeka się, aż wrócą z boiska do gry w piłkę nożną, tylko z lekcji gry na fortepianie, podczas gdy dorośli dyskutują przy ogrodzeniu o najlepszych nawozach do trawy i o tym, który sąsiad znów pozwolił psu zrobić kupę na drodze wewnętrznej i jej nie uprzętnął, chociaż zarząd gminy wszędzie poustawiał te niebieskie skrzynki z jednorazowymi torebkami. Okolica, gdzie w ubiegłym roku największym skandalem było to, że stary Becker z Zikadenweg pojawił się na ulicznym festynie z dwadzieścia lat młodszą Azjatką. *A teraz to!* Jechałem żółwim tempem i patrzyłem w oświetlone okna. W kilku stały już pierwsze bożonarodzeniowe dekoracje: ręcznie malowana figurka dziadka do orzechów, drewniana szopka, jednobarwne łańcuchy światełek. Nic kolorowego i jaskrawego jak w dzielnicach biedaków, nie było tu Świętych Mikołajów na dachach ani reniferów z lampek halogenowych przed garażami. W Westend obchodzono święta z rezerwą.

I nudnie, jeśli wolno mi wyrazić swoje zdanie.

- Spotkajmy się na Kühlen Weg - powiedziałem do komórki.

- Masz na myśli miejsce przestępstwa? - Frank nie zdziwił się, że znów musi grać rolę mojego chłopca na posyłki.

- Dokładnie tam.

- A o co chodzi tym razem?

- O twój samochód.

- O nie, przyznaj się, że teraz nie mówisz poważnie. - Frank zaśmiał się sztucznie. - Uciekasz, mam rację?

- Nie. Jestem tylko ostrożny.

- Nie gadaj, nie jestem głupi. Przecież wiem, dlaczego Thea i reszta szefostwa siedzą właśnie w sali konferencyjnej. Policja depta ci po piętach i teraz nie wiedzą, czy mają odrzucić twój artykuł, czy dać go na pierwszą stronę.

Zorbach podejrzany o morderstwo. Jak bardzo nasz najlepszy reporter zbliżył się do kolekcjonera oczu ?

Miałem przed oczami nagłówki i podejrzewałem, że Thea planuje ucieczkę do przodu, podczas gdy kierownictwo firmy szacowało uszczerbek na wizerunku i koszty procesu cywilnego, w razie gdybym później pozwał gazetę o odszkodowanie za utratę dobrego imienia.

Gdyby udało mi się udowodnić moją niewinność.

- Nie bez powodu musiałem przyrzec Big Mamie Thei, że natychmiast dam jej znać, gdy tylko zadzwonisz - powiedział Frank.

- Nie rób tego.

- Spokojna głowa. Gram w twojej drużynie, a więc nic nie powiem. Ale nie dam ci też mojego samochodu tylko dlatego, że twój stał się zbyt gorący.

Jego ostatnia uwaga przypomniała mi, jakim jestem idiotą, ponieważ zapomniałem ponownie przykręcić tablice rejestracyjne. Jak dotąd miałem więcej szczęścia niż rozumu. Jeśli chciałem wykorzystać czas, jaki mi został, zanim mnie znajdą, musiałem natychmiast zacząć postępować bardziej rozsądnie. To znaczy postarać się o samochód, który jeszcze nie figurował na liście poszukiwanych pojazdów.

- Dlaczego po prostu nie zgłosisz się na policję? - zapytał Frank. - Jeśli jesteś niewinny, nic ci nie zrobią.

Problem w tym, że nie potrafię im wyjaśnić, dlaczego byłem na miejscu przestępstwa, jak się tam znalazł mój portfel i skąd wiem

o ultimatum.

- Pytanie na pytanie: co byś zrobił, gdyby nagle zgłosił się do ciebie świadek, który twierdzi, że widział ostatnie morderstwo kolekcjonera oczu?

- Zalewasz?

Przemilczałem, że moim świadkiem było niewidome medium, kobieta, która przejechała ostatnie kilometry na siedzeniu obok mnie z głową opartą o szybę ze zmęczenia. Prawdopodobnie wycieczka na moją łódź była dla niej bardziej męcząca, niż chciała się do tego przyznać.

- Człowieku, to byłby artykuł stulecia.

O tak, to byłaby prawdziwa bomba. Nie uwierzysz...

- A więc przyprowadź mi swój samochód.

Frank westchnął.

- Zaraz, zaraz. Rzęch należy do mojej babci. Zabije mnie, jeśli tylko zarysuję jej toyotę.

- Dobra, Frank, poddaję się. Spotkajmy się za dziesięć minut. - Dojechałem do końca ulicy i rozłączyłem się.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziałem do Aliny, kiedy zaparkowałem volvo dwoma kołami na brukowanym chodniku.

Zatrzymaliśmy się przed frontowym wejściem do małej willi. W ogrodzie willi Thomas Traunstein znalazł wczoraj przed południem zwłoki swojej o czternaście lat młodszej żony, Lucii. Ceglany dom otynkowany na kremowożółty kolor, z pokrytym sitowiem garażem, był jedynym budynkiem przy całej ulicy i nie paliło się w nim światło. Było ciemno, choć oko wykol. Nawet podświetlany numer domu był wyłączony.

Alina przeciągnęła się i ziewnęła. Potem podciągnęła rękawy kilku swetrów, aby odsłonić zegarek, i otworzyła pokrywkę cyferblatu.

- Po co tu przyjechaliśmy? - zapytała sennie.

- Żeby się dowiedzieć, czy pani już tu kiedyś była.

Otworzyłem drzwi i do samochodu wtargnęła fala lodowatego powietrza. TomTom podniósł się na tylnej kanapie i zaczął ziać.

- Chce się pan dowiedzieć, czy już kiedyś widziałam to miejsce w moich wizjach? Tak?

Przednia szyba zaparowała od jej oddechu.

Tak. Dlaczego nie nazywamy szaleństwa po imieniu? Chcę wiedzieć, czy niewidomy świadek widział tu morderstwo.

Wysiadłem. Oczy zaczęły mi łzawić, kiedy stanąłem pod wiatr i patrzyłem w kierunku, gdzie ulica przechodziła w leśną drogę prowadzącą wzdłuż szeregu boisk sportowych prosto do Teufelssee.

Ina Teufelsberg.

Przywołałem we wspomnieniach opis Aliny i zapytałem:

- Ile czasu zajęło pani dotarcie na wzgórze?

- *Wiem tylko, że przez chwilę jechaliśmy pod górę, było dużo zakrętów...*

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała. - Czy ma pan poczucie czasu, kiedy pan śni?

Nie. Ale ja nie uprowadzam małych dzieci w swoich snach.

Uniosłem głowę i spojrzałem ukośnie w czarnoszare niebo, w stronę, gdzie, jak zakładałem, powinien znajdować się Teufelsberg. Wzgórze jest dawnym składowiskiem odpadów, zagłuszonym przez lasy i łąki rumowiskiem usypanym z gruzów domów zburzonych podczas drugiej wojny światowej. Obecnie służy jako teren rekreacyjny berlińczykom, którzy chodzą tam na spacer, puszczają latawce albo zjeżdżają z niego na sankach. Zastanawiałem się, czy z wierzchołka wzgórza widać w świetle dziennym ogród Traunsteinów. W ciemności go nie widziałem, ale wydawało mi się, że nawet gdybym miał lornetkę, Teufelsberg i tak znajdował się o wiele za daleko.

No a co ty sobie myślałeś, ty idioto?, zapytałem sam siebie w duchu i odwróciłem się do willi. *Czy naprawdę sądziłeś, że w zwariowanej opowieści niewidomej tkwił cień prawdy?*

Oparłem się plecami o samochód i zastanawiałem nad następnym krokiem. Ogród był otoczony tylko niskim płotem, który w moich najlepszych latach z łatwością bym przeskoczył. Również dzisiaj nie powinienem mieć z tym większego problemu.

- Nie chcę psioczyć - powiedziała Alina za moimi plecami - ale dochodzi dziewiąta, a ja jeszcze nie jestem w domu. TomTom jest głodny i musi zrobić kupę. - Zaśmiała się. - Ja zresztą też.

Uśmiech Aliny nie pozostawiał wątpliwości, do czego odnosiła się jej ostatnia uwaga.

- Niech pani tu poczeka, to nie potrwa długo.

- Dokąd pan idzie? - usłyszałem jeszcze jej wołanie, ale już przeszedłem na drugą stronę wąskiej ulicy, minąłem garaż i skierowałem się do lasu. Po kilku metrach skręciłem w lewo w wąską ścieżkę, właściwie przesiekę, którą wydeptali spacerowicze i rowerzyści i która biegła równolegle do tylnego ogrodzenia działki. Jeszcze dziesięć kroków i zatrzymałem się.

Stałem tu już wczoraj, w ulewnym deszczu, oddalony zaledwie o rzut kamieniem od domku na narzędzia, którego pochyły płaski dach był teraz pokryty grubą warstwą śniegu.

Stałem oddalony o kilka metrów od miejsca, gdzie Lucia Traunstein leżała na trawie, które było w dalszym ciągu ogrodzone taśmą zabezpieczającą. Ekipa od zabezpieczania śladów również nie zwinęła jeszcze namiotu rozbitego nad miejscem znalezienia ciała. Z tej odległości nie widziałem, czy drzwi do szopy były zaryglowane, ale nie miałem co do tego wątpliwości.

- *Była drewniana, nie metalowa, poczułam to, ponieważ wbiła mi się drzazga, kiedy odsuwałam zasuwkę. Poza tym kiedy weszłam do środka, poczułam zapach żywicy.*

Zmrużyłem oczy, lecz w ciemności nie widziałem, czy opis szopy Traunsteinów w wydaniu Aliny odpowiadał prawdzie.

I wtedy...

Potrząsnąłem pomalowanym na zielono metalowym płotem, którego podpory były zakotwiczone w betonie w ziemi, żeby dziki nie mogły przeryć się pod ogrodzeniem. Górne końce były uformowane w falę i wygięte do przodu, co nie ułatwiało, ale również nie uniemożliwiało przejścia na drugą stronę. Właśnie chciałem postawić stopę na płocie i się podciągnąć, kiedy z boku usłyszałem klekotanie. Odgłos się powtórzył, kiedy puściłem płot. Odwróciłem się w prawo i

jeszcze raz potrząsnąłem płotem, żeby się upewnić.

Nie było wątpliwości. Poszedłem wzdłuż płotu i wtedy zobaczyłem: furtka do ogrodu nie była zamknięta. To znaczy była, ale ktoś przesunął rygiel poza listwę ościeżnicową, tak że nie trafiał do otworu w ościeżnicy.

Jak to możliwe? To jest miejsce przestępstwa.

Nawet jeśli wszystkie ślady zostały już zabezpieczone, nigdy nie powinno być ono tak łatwo dostępne.

Zdziwiony odsunąłem butem furtkę i spojrzałem na ziemię.

Ślady stóp na trawie, które ciągnęły się na tył szopy, mogli zostawić różni ludzie. Ojciec, który popędził do lasu, żeby szukać swoich dzieci, policjant albo funkcjonariusz z sekcji zabezpieczania śladów, który chciał się upewnić, że ogrodzenie działki było dobrze zamknięte, i przy okazji popełnił błąd. Nawet dla całkiem świeżych śladów na śniegu, które prowadziły tylko w jedną stronę, z pewnością było niewinne wyjaśnienie.

Chyba że pochodziły od nieznanej osoby, której latarka właśnie zabłysła na parterze willi, około dwudziestu metrów od altanki.

Ani śladu drewna. Do produkcji użyto wyłącznie metalu i plastiku, oczywiście była zasuwa. Zastanawiałem się przez chwilę, czy to miało jakieś znaczenie, że wizje Aliny przynajmniej w tym punkcie nie zgadzały się z rzeczywistością, i wtedy moją uwagę znów odwróciło migoczące światło za dużym oknem balkonowym wychodzącym na taras.

Aby ktoś nie pomyślał, że jestem włamywaczem, nie zachowując środków ostrożności, podszedłem prosto do willi. Ktoś, kto pochylony przemyka ukradkiem do budynku, bardziej rzuca się w oczy przypadkowo wyglądającemu przez okno sąsiadowi niż człowiek, który stawiając duże kroki, pewnie maszeruje po trawniku.

Dopiero kiedy zbliżyłem się do okna, przywarłem do występu muru i zajrzałem do wnętrza willi przez cienką firankę. Od razu skorygowałem swoje pierwsze podejrzenie. To nie była latarka. To nie był włamywacz. Światło migoczące w nieregularnych odstępach, które widziałem z szopy, pochodziło z projektora przymocowanego do wyłożonego drewnem sufitu w salonie. Oprócz filmu na płóciennym ekranie nie było tam innego źródła światła.

Nie zauważyłem jeszcze, co to za kobieta usiadła na sofie ustawionej w kształcie litery U, żeby...

... no *żeby coś widzieć?*

Zmrużyłem oczy, lecz ekran nad kominkiem był cały czas szary. Szedł na nim źle oświetlony czarno-biały film: poruszone obrazy, na których tylko przy odrobinie wyobraźni można było rozpoznać przestronną łazienkę z dwiema umywalkami, sedesem i bidetem oraz kabinę prysznicową. Potem ktoś umyślnie albo przez nieuwagę położył coś przed obiektywem kamery, *prawdopodobnie ręcznik*, w każdym razie łazienka znikła i dlatego salon Traunsteinów był teraz pogrążony w ciemności.

Właśnie zastanawiałem się nad następnym krokiem, kiedy usłyszałem chichot. Chichot przebrzmiał bardzo szybko, na dodatek stłumiło go zamknięte okno, choć był na tyle głośny, że zrobił wrażenie całkowicie nieodpowiednie do sytuacji. Śmiech był tu nie na miejscu, nie w salonie człowieka, któremu zamordowano żonę i wprowadzono dzieci, któremu zostało zaledwie kilka godzin, aby odzyskać je jeszcze żywe.

Projektor znów rzucił jaśniejszą wiązkę światła na ekran i teraz niewidoczny operator ograniczył się tylko do martwej łazienkowej armatury. Ręcznik znikł i kamera filmowała pod takim kątem, że było widać narożną wannę, w której siedziała odwrócona plecami do obiektywu kobieta i upinała sobie wysoko włosy.

Zanim się zorientowałem, co mnie zaniepokoiło w tym filmie, na ekranie pojawiły się nagie męskie pośladki i zasłoniły prawie całe pole widzenia. Chichot, który już przedtem był lekko frywolny, nabrał jednoznacznego brzmienia, kiedy mężczyzna wszedł do wanny i zaczął masować ramiona kobiety. Jego pochylone lekko do przodu ciało wskazywało na to, że nie zadowolony się tylko

ramionami.

Nagle poczułem się brudny jak podglądacz, który wdarł się do intymnej sfery obcego człowieka i niewiele brakowało, żeby przekroczył próg, za którym powrót do uczciwego życia stawał się niemożliwy. Kiedyś czułem się już tak podle, zaraz po ślubie, kiedy Nicci brała niesłychanie dużo nadgodzin i obudził się we mnie irracjonalny strach, że mogłaby mieć romans. Moja wersja paniki zamkniętych drzwi. Już trzymałem w ręku komórkę, którą Nicci zawsze kładła na szafce na buty w przedpokoju. Nie wiedziałem, co mnie powstrzymywało od przejrzenia jej esemesów. Dzisiaj, wiele lat później, cieszyłem się, że tego nie zrobiłem, nawet jeśli nigdy nie potrafiłem pozbyć się lekkiego zwątpienia w jej wierność. Zachowałem przyzwoitość, a to było dla mnie dużo ważniejsze. Tym bardziej byłem teraz przykro dotknięty tym, że na miejscu rodzinnej tragedii zaglądam przez okno do salonu i przyłapuję pana domu, jak ogląda na dużym ekranie prywatny film pornograficzny.

Nawet jeśli nie widziałem do tej pory Traunsteina, miałem prawie stuprocentową pewność, że opróżniona do połowy butelka bourbona na szklanym stoliku obok skórzanego fotela należała do niego, jak również stojąca obok butelki przepełniona popielniczka.

Podszedłem do drzwi balkonowych i niezdecydowany zatrzymałem się przed nimi. Wahałem się, jak wtedy, kiedy niewiele brakowało, abym otworzył kłapkę w telefonie Nicci i poszukał menu wiadomości. Dzisiaj, wiedziałem to, posunąłbym się o krok dalej.

Być może przyprowadziły mnie tutaj tylko urojenia niewidomej kobiety pomyślałem, wyciągając rękę. Być może Alina jest po prostu tylko postrzelona i ojciec nie ma nic wspólnego z zaginięciem swoich dzieci.

Spodziewałem się, że drzwi będą zamknięte, mimo to przekręciłem zimną mosiężną gałkę.

Ale coś tu jest podejrzone.

Potem, kiedy ku mojemu zdziwieniu drzwi się uchyliły i bezgłośnie otworzyły do środka, wymyśliłem tanią wymówkę na usprawiedliwienie mojej ciekawości. *Byłbym złym dziennikarzem, gdybym nie zgłębił problemu do końca.*

Rozpoznałem Thomasa Traunsteina w chwili, kiedy się do mnie odwrócił. Był ubrany w ten sam garnitur, w którym wystąpił wczoraj po południu przed dziennikarzami, żeby prosić ludzi o pomoc w poszukiwaniu swoich dzieci. Teraz jasnobrązowa dwurzędowa marynarka wyglądała tak, jakby w niej spał. Klapy były wymięte i w wielu miejscach poplamione, co nie pasowało do wizerunku właściciela największej sieci pralni w Berlinie.

Chociaż nie tak bardzo nie pasowało, jak cała sceneria w tym miejscu.

Początkowo Traunstein nie usłyszał mojego wejścia. Dopiero kiedy chrząknąłem i wymówiłem jego nazwisko, zareagował trochę niezręcznie, próbując wstać z głębokiego fotela z oparciem.

Bezskutecznie. Połowa butelki bourbona pozbawiła go całej siły.

- Co się dzieje? - wymamrotał, przeciągając słowa, kiedy przed nim stanąłem. Ze zmętnianych od alkoholu oczu wзираła naiwna agresja pijaka, który tylko szuka pretekstu, aby wszcząć bójkę.

- O to samo ja mogę zapytać pana - odpowiedziałem, spoglądając na ekran, na którym film stawał się coraz bardziej jednoznaczny. Kobieta w wannie odwróciła się teraz, przycisnęła głowę do mężczyzny na wysokości bioder i położyła dłonie na jego pośladkach. Do tej pory nie było widać nic, czego telewizja nie pokazywała już po południu, lecz to nie odbierało filmowi gorszącego charakteru. Oglądanie filmów pornograficznych we własnych czterech ścianach na pewno nie było zabronione, nawet jeśli człowiek kilka godzin temu został wdowcem i wiedział, że jego dzieci znajdują się w rękach szaleńca.

To nie jest zabronione. Ale także nie jest właściwe.

- Nie ma pan nic lepszego do roboty? - zapytałem.

Przejechał ręką po rozczochranych sterczących włosach i wybałuszył na mnie oczy, przy czym nie byłem pewny, czy niczego nierozumiejący wzrok to reakcja na moje pytanie, czy na tego, kto, do diabła, stoi w jego salonie.

- Pan sobie życzy? - zapytał po dłuższej przerwie. Ja tymczasem rozglądałem się za kuchnią, gdzie mógłbym zaparzyć kawę, aby mężczyzna znów stanął na nogi.

- Musimy porozmawiać - wyjaśniłem zwięźle.

- O czym? - odszczeknął. Zamrugnął zmęczony i nawet nie próbował wytrzeć zaślinionego podbródka.

- O tym, czy może pan wie coś, co doprowadzi nas do człowieka, który zamordował pańską żonę.

Czy na krótko przed morderstwem rozmawiał pan z nią przez telefon. Czy rzeczywiście ostrzegął pan

jq, żeby nie wchodziła do piwnicy.

- Lucia była kurwą! - mężczyzna wyrzucił z siebie gwałtownie, ciężko dysząc. - Plugawą kurwą.

Wzdrygnąłem się, jakby Traunstein spoliczkował mnie swoimi nienawistnymi słowami.

- Tylko się pieprzyła. - Sięgnął po pilota leżącego na stoliku obok i, jak na swój stan, z zadziwiającą dokładnością pogłośnił o jeden ton. Stękanie nie pozostawiało wątpliwości, co obie osoby wyprawiały w wannie.

- Mój dom - wybełkotał Traunstein. - To jest mój dom. Moja łazienka. Moja żona. - Zaśmiał się histerycznie.

- Nawet moja zasrana kamera. Ale ten fiut tam... - wykonał pogardliwy ruch ręką w kierunku ekranu, na którym owłosione pośladki mężczyzny znów zajęły cały obraz to nie jestem ja.

- Niech pan posłucha, pana małżeńskie problemy nic mnie nie obchodzą - próbowałem go uspokoić.

Właściwie w ogóle nic mnie tu nie obchodzi. Ja tylko gonię za wizjami niewidomej.

- Ale czy nie powinien pan pomóc szukać swoich dzieci?

- Lei? Toby'ego? Do diabła.

Najpierw pomyślałem, że się przesłyszałem, lecz wtedy Traunstein powtórzył swoje słowa i splunął na podłogę.

- Zasrane bachory! One nie są moje!

Upuścił pilota i naraz udało mu się podźwignąć z fotela. Z ręką na oparciu stał na chwiejnych nogach i patrzył mi w oczy. Znajdował się na skraju załamania nerwowego.

- Nie są moje. Rozumiesz?

Nie, nie rozumiałem. Żeby być szczerym, w tej chwili w ogóle nic nie rozumiałem. Prawda miała rozjechać mnie z niepohamowaną siłą kilka sekund później, mniej więcej w chwili, kiedy Traunstein też zaczął powoli rozumieć.

- Do diabła, wiem, kim jesteś - wychrypiał jeszcze z wahaniem, potem gruntownie zmierzył mnie wzrokiem.

Na pewno coś niepokojącego powoli torowało sobie drogę przez jego przesłonięty alkoholem tok myślenia. Rysy twarzy Traunsteina zmieniły się, napięły jak reszta jego do tej pory wiotkiego ciała.

- Znalazłem dzisiaj twój portfel. Widziałem dowód osobisty.

Skinąłem głową. Nie żeby przytaknąć, lecz dlatego że również w mojej głowie puzzle powoli zaczęły układać się w całość.

Teraz wiedziałem, dlaczego już na tarasie zaniepokoił mnie chichot kobiety. Dlaczego osobowość Traunsteina wydała mi się taka znana, chociaż jeszcze nigdy nie stanąłem z nim oko w oko. To nie było konieczne, ponieważ znałem go z tak wielu opowieści, że miałem wyrobiony jego złożony negatywny obraz, który we wszystkich szczegółach zgadzał się z rzeczywistością. Nawet jego wulgarne słownictwo mnie nie dziwiło.

- *Lucia była plugawą kurwą. A te parszywe bachory nie są moje.*

- Do diabła, ty jesteś tym pismakiem, który kiedyś zastrzelił kobietę. A teraz masz na sumieniu moją żonę!

Traunstein stał teraz tak blisko mnie, że czułem jego zgniły oddech, mieszankę whisky i papierosów.

- To byłeś ty. Ty to zrobiłeś.

Odwróciłem się i widok ekranu dał mi ostatnią iskierkę potwornej pewności.

Jej wizerunek nie został do tej pory opublikowany. Być może dlatego, że większą uwagę przyciągały fotografie jej uprowadzonych dzieci i prasa wolała zostawić zdjęcie ciała kobiety na dni, kiedy nie będzie nowych informacji o kolekcjonerze oczu. Albo, być może, po prostu je przeoczyłem, w końcu w ostatnich godzinach zniknąłem z horyzontu.

Cholera, za bardzo zajmowałem się sobą.

Kobieta wyszła z wanny. Znow rozpuściła długie, wysoko upięte włosy, które opadły do przodu na jej małe piersi, i kiedy zaśmiała się do kamery, widok ten odebrał mi całą radość.

Dobry Boże, proszę, nie pozwól, żeby to była prawda, pomyślałem i zrozumiałem, dlaczego nie odpowiadała na moje telefony. Już nigdy nie spotkamy się w podejrzanym przybytku rozkoszy, już nigdy nie będziemy prowadzić naszych intymnych rozmów.

Już nigdy nie zakochamy się w sobie.

Chciałem jednocześnie płakać i krzyczeć, ale obojętne, co bym zrobił, nic by to nie zmieniło.

Charlie była martwa.

A ja wkrótce poszedłbym jej śladem, gdyby trafił mnie pocisk z broni, z której jej mąż właśnie we mnie mierzył.

(jeszcze 9 godzin i 17 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Philipp Stoya

(szef wydziału zabójstw)

Hohlfort był w swoim żywiole. Na jego twarzy znów pojawił się zadufany uśmiezek znany z talk-show i mimo kalectwa wydawał się na wskroś szczęśliwym człowiekiem. Szczęśliwym dlatego, że mógł zapoznawać mało doświadczonych policjantów ze swoimi teoriami dotyczącymi motywów i przebiegu przestępstwa. Stoya zastanawiał się, czy kiedyś znajdzie trochę czasu i spokoju, aby wykorzystać swoje zawodowe doświadczenie do napisania książki. Dzisiaj każdy idiota pisze biografię, rozdaje autografy na targach książki i nadstawia głowę do kamery. Dlaczego również jemu nie mogłoby być dane podreperowanie stanu konta i, co też nie było bez znaczenia, swojego wizerunku w oczach opinii publicznej, gdy tylko rzuci tę cholerną robotę?

- Z dużą dozą pewności możemy przyjąć, że podłożem charakterystycznej fazy morderstwa było kluczowe zdarzenie, prawdopodobnie jakieś traumatyczne przeżycie. Często sprawcy byli w dzieciństwie dręczeni, znęcano się nad nimi albo wykorzystywano seksualnie.

- No jasne, kolekcjoner oczu jest właściwie ofiarą. Standardowa wymówka każdego przestępcy - skwitował sarkastycznie Scholle. Wstał, żeby trochę przykręcić ogrzewanie. W sali konferencyjnej komisariatu, gdzie nie było okien, nastawienie odpowiedniej temperatury sprawiało ogromną trudność. W lecie dodatkowo zamontowana klimatyzacja sprawiała, że było tu przeraźliwie zimno, zimą natomiast w przegrzanym pomieszczeniu człowiek dostawał bólu głowy

- To prawda, niemal każdy przestępca wywodzi się ze środowiska patologicznego i dlatego ta ogólna wiedza niewiele nam pomaga. - Hohlfort wziął do ręki teczkę, którą postawił obok wózka inwalidzkiego, i położył na kolanach. Szybkimi ruchami otworzył ją i wyjął gruby skoroszyt z aktami, otworzył go i położył przed sobą na stole. - Na szczęście dzięki tym okaleczeniom zyskujemy ważne punkty zaczepienia.

Odwrócił akta tak, żeby Stoya i Scholle mogli zobaczyć potworne zdjęcia ofiar morderstw.

Jakbym kiedykolwiek mógł zapomnieć o tych małych ciałach

i pustych oczodołach, Stoyę rozzłościł ten teatralny gest profesora.

- Punkty zaczepienia? - nakazał Hohlfortowi, aby był bardziej konkretny.

- Każdy przestępca ma swój cel. Dla normalnego człowieka może być on niezrozumiały, ale mimo to istnieje. W wypadku kolekcjonera oczu jest on nawet oczywisty.

- To przecież jasne - wybuchnął Scholle i z wściekłością pokazał na akta. - Jest sadystycznym pedofilem. Odczuwa rozkosz, kiedy dręczy małe dzieci.

- Błąd. Przeciwno tej teorii przemawia brak jakichkolwiek śladów seksualnego wykorzystywania ofiar. - Hohlfort potrząsnął głową jak belfer. - A przestępstwo na tle seksualnym nie tłumaczy usuwania lewych gałek ocznych, mam rację?

Co prawda pytanie było skierowane do Schollego, którego profesor teraz jawnie obserwował, ale odpowiedzi udzielił mu Stoya:

- Przestępcy, którzy zakrywają oczy swoim ofiarom, dokonują najczęściej tej symbolicznej czynności, chcąc cofnąć to, co się stało. Nie mogą znieść widoku swojego czynu i zamiast sami zamknąć oczy, zamykają je ofiarom.

- W takim razie kolekcjoner oczu wycinałby *obie* gałki oczne - odparował Hohlfort i podniósł zdjęcie pierwszej ofiary, małej Karli Strahl, aby pokazać je obu śledczym. Stoya ledwie się pohamował, żeby się nie odwrócić, i zamiast tego wlepił wzrok w opaloną w solarium twarz starego profilera.

- Czyli zbiera trofea? - zapytał Scholle.

Hohlfort z rozbawieniem wykrzywił wąskie usta.

- Trofea, pamiątki, nagrody, to zawsze są pierwsze przypuszczenia, które profiler bierze pod uwagę w tanich kryminałach, jeśli ofierze brakuje jakiejś części ciała. - Energicznie potrząsnął głową. - Nie, myślę, że zmyliła nas nazwa kolekcjoner oczu. On nie jest kolekcjonerem.

- No to kim?

- Raczej nazwałbym go transformatorem. Sprawca wytwarza określony stan. Zmienia naturę dzieci, transformuje je w kiklopy.

- Ki... co? - Scholle znów usiadł, oparł się i zaczął się kiwać na krześle.

- Być może spotkał się pan z bardziej znanym określeniem, cyklop. Jest to postać z mitologii charakteryzująca się tym, że ma tylko jedno oko.

Hohlfort zwilżył językiem górną wargę. Stoi przyszła na myśl jaszczurka.

- Z pewnością jest pan świetnie obeznany z mitologią grecką. - Profesor spojrzął na Schollego i ciągnął z zarożumiałym uśmiechem na ustach: - Mimo to pozwolę sobie na małą dygresję.

Schował zdjęcie zamordowanej Karli i zamknął akta.

- Pierwszymi i chyba najbardziej znanymi cyklopami były dzieci Uranosa i Gai, przy czym Gaja, jak wszyscy wiedzą, była Matką-Ziemią. Z Uranosem, bogiem nieba, spłodziła trzech cyklopów. Ale

ojciec, czyli Uranos, znienawidził swoje dzieci. Znenawidził je tak, że... - profesor zrobił krótką przerwę, aby następne słowa nabrały większego ciężaru - ... ukrył dzieci!

- Gdzie? - Przez krótką chwilę Stoya miał wątpliwości, czy rzeczywiście powinni dalej marnować czas na brutalnej treści wywody Hohlforta, teraz sparaliżowany profesor znów przykuł jego uwagę.

- Głęboko w ziemi - powiedział profesor. - Ukrył dzieci w Tartarze. Bogowie tak nazywali część świata podziemnego położoną poniżej Hadesu.

Stoya bezwiednie skinął głową, co wywołało aprobatę Hohlforta.

- Widzę, że zrozumiał pan paralelę.

- Co się stało z jednookimi dziećmi? - zapytał Scholle, który na krótko przestał bujać się na krześle.

- Zostały uwolnione osobiście przez Zeusa, najważniejszego ze wszystkich greckich bogów. Cyklopi tak się ucieszyli z tego ratunku, że podarowali Zeusowi błyskawice oraz pioruny

- Pana ogólna wiedza, profesorze, jest naprawdę imponująca, ale...

- ... czy da się przełożyć pańskie rozważania na teorię, którą moglibyśmy się konkretnie posłużyć?
- Stoya dokończył zdanie Schollego, zanim ten zrobiłby to prawdopodobnie dużo bardziej nieuprzejmie.

Hohlfort uśmiechnął się zadowolony z siebie i nagle wydał się tak pełen werwy, że Stoya wcale nie byłby zdziwiony, gdyby profesor po prostu zerwał się ze swojego wózka.

- Powiedziałbym nawet, że mam coś więcej niż tylko teorię. Daję panom bardzo, bardzo ważny punkt zaczepienia.

Hohlfort zrobił znaczącą przerwę, podczas której nie było słyhać nic oprócz ciągłego szumu zdezelowanej instalacji grzewczej. Potem odchrząknął i powiedział prawie sielskim tonem:

- Kolekcjoner oczu wybiera dzieci odrzucone przez swoich rodziców.

- Dlaczego? - zapytali jednocześnie obydwaj funkcjonariusze.

Hohlfort zrobił minę, jakby udzielenie tak oczywistej odpowiedzi było poniżej jego godności. Ale w końcu łaskawie zniżył się do ich poziomu:

- Ponieważ te dzieci, podobnie jak cyklopi z greckiej mitologii, są wytworem zakazanego związku.

(jeszcze 9 godzin i 11 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Alexander Zorbach (ja)

- To błąd - powiedziała bezdźwięcznie Alina. Szybko oddychała, jej oczy błędziły niespokojnie pod zamkniętymi powiekami. - Nie powinniśmy tego robić.

- Niech pani będzie spokojna - odpowiedziałem i miałem nadzieję, że nie usłyszy rozpaczy w moim głosie. - To nie potrwa długo. - Chciałem zaprowadzić ją do pokoju, lecz z niechęcią odtrąciła moją rękę.

Rozumiem cię, pomyślałem i byłem zadowolony, że Alina nie może zobaczyć moich zapłakanych oczu.

Ja też nie chcę tam wracać. Ale teraz nie jest to już sprawa wyłącznie zawodowa. Teraz jest to sprawa osobista.

Ogłuszony prawdą, że Charlie nie żyje, na początku nie zrobiłem nic, aby stawić opór jej mężowi. Nie miałem pojęcia, jak broń nagle znalazła się w jego ręku, i szczerze mówiąc, równie mało zastanawiałem się, dlaczego w końcu do mnie nie strzelił.

Nie trzeba być psychologiem, żeby się domyślić, co w tym tragicznym osamotnieniu zamierzał zrobić ten doświadczony przez los mężczyzna. Jeśli Traunstein chciał wycelować broń w siebie, to alkohol całkowicie pozbawił go siły. Tym bardziej brakowało mu siły, żeby zastrzelić mnie, i po przerażająco długiej chwili, kiedy staliśmy naprzeciw siebie sparaliżowani szokiem wywołanym faktem, żeśmy się rozpoznali, pistolet wyslizgnął mu się z dłoni i upadł na podłogę; na gruby dywan obok kanapy, gdzie wciąż jeszcze leżał.

- Po co tu przyszliśmy? - zapytała Alina.

- Po odpowiedzi.

Wydawało mi się, że mój los jest związany z kolekcjonerem oczu niewidzialnym sznurem, który z minuty na minutę coraz ciasniej owijał się wokół mnie. Jeśli nawet z trudem znosiłem żałobę po Charlie, której prawdziwe imię poznałem dopiero przed chwilą w strasznych okolicznościach, nie mogłem tak po prostu odejść. Musiałem się upewnić, dlatego wróciłem do samochodu i przekonałem Alinę, żeby poszła ze mną do willi Traunsteinów.

- Śmierdzi tu alkoholem, tytoniem i potem - powiedziała powoli Alina. Jedną ręką mocno trzymała się klamki drzwi do salonu, podczas gdy drugą objęła moje ramię, dokładnie tam, gdzie przykleiłem plaster antynikotynowy. - Czy jest tu coś jeszcze?

O tak. Jest jeszcze coś.

Delikatnie zdjąłem dłoń Aliny z klamki i zaprowadziłem ją do dużego, ładnie umeblowanego salonu, oświetlonego tak jak wcześniej wyłącznie światłem z projektora. Zatrzymałem film, żebym nie musiał dłużej patrzeć na sceny, które były dla mnie nie do zniesienia. Sceny, które przywodziły mi na myśl, że kolejny raz straciłem osobę zajmującą ważne miejsce w moim życiu. I tym razem nieodwołalnie.

Chrząknąłem. Traunstein uniósł głowę i zaczął cicho jęczeć.

- Kto to jest? - zapytała Alina i zamarła w bezruchu. Kiedy jęki Traunsteina stały się głośniejsze, jeszcze mocniej ścisnęła moją rękę. - Do diabła, co mu jest?

- Nic. Wszystko w porządku - powiedziałem.

- To dlaczego nic nie mówi?

- Ponieważ włożyłem mu knebel do ust.

Dokładniej mówiąc chusteczkę tkwiącą w kieszonce jego marynarki.

Uwolniłem rękę z uścisku Aliny i podszedłem do obrotowego fotela na środku pokoju, do którego przywiązałem przedłużaczem Traunsteina, co z pewnością nie było najlepszą decyzją w moim i tak zmarnowanym życiu. Ale gdy tylko Stoya dowie się, że byłem w bliskich stosunkach (w których platoniczny charakter w świetle miejsca naszych spotkań i tak nikt by nie uwierzył) z jedną z ofiar, wówczas związany wdowiec będzie moim najmniejszym problemem.

Traunstein chrząknął, kiedy odwróciłem fotel tak, że miał przed sobą Alinę.

- Zakneblował pan kogoś? Czy pan oszalał? - zapytała Alina za moimi plecami.

Nie. Doktor Roth powiedział, że jestem całkowicie normalny.

- Tylko dlatego, żeby Traunstein nie zawołał sąsiadów, kiedy poszedłem po panią.

Ukląknę przed nim i ciągle byłem od niego o głowę wyższy. Po jego czole spływały strumyki potu i miał znacznie bardziej wyraziste spojrzenie niż jeszcze przed kilkoma minutami.

- Traunstein? - usłyszałem pytanie Aliny. - Dobry Boże. Czy pan torturuje ojca porwanych dzieci? Proszę natychmiast mnie stąd zabrać, nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

- Kto mówi o torturach? - Powiedziałem bezpośrednio do Traunsteina: - Niech pan posłucha. Ubijemy interes.

Wyjmę panu knebel, ale będzie pan cicho, okay? Chcę usłyszeć od pana tylko odpowiedzi na kilka

pytań, które zaraz panu zadam, czy to jasne?

Traunstein skinął głową, na co ja wyjąłem chustkę z jego ust. Zaniósł się kaszlem i minęła dobra chwila, zanim się uspokoił.

- A więc dobrze. - Zacząłem zbierać myśli, żeby krok po kroku dowiedzieć się, czy rzeczywiście ostatnia rozmowa telefoniczna miała taki przebieg, jak Alina opisała mi na łodzi. - Czy wczoraj, na krótko przed powrotem do domu, dzwonił pan do żony?

- Ona... - wycharczał i zaczął jeszcze raz: - Ona zadzwoniła.

Dyszał z wysiłku. Wydawało się, że tylko dzięki dużemu wysiłkowi język nie odmawiał mu posłuszeństwa.

- Dobrze, to ona zadzwoniła.

Do tej pory zgadzało się to z wersją Aliny.

- Co powiedziała?

Co powiedziała panu przed śmiercią kobieta, w której o mało bym się nie zakochał?

- Ona... - przełknął ślinę - dostała ataku hysterii. Ledwo ją rozumiałem.

- Czy mówiła coś o grze w chowanego?

- Co? - W oczach Traunsteina pojawił się całkowity brak zrozumienia.

Próbował mi odpowiedzieć, ale musiał zaczynać trzy razy, zanim wydobył z siebie coś, co jedynie w przybliżeniu przypominało klarowne zdanie. - Nie, nic, tylko płakała, ponieważ dzieci zniknęły.

- A pan? - wtrąciła Alina.

Byłem zaskoczony że włączyła się do rozmowy i zastanawiałem się, czy coś w głosie mężczyzny zwróciło jej uwagę.

- Tak, a co pan jej na to powiedział? - powtórzyłem jej pytanie.

Głowa Traunsteina opadła i wydawało się, że zaraz straci przytomność, ale zanim zdążyłem podnieść jego brodę, z nieoczekiwaną siłą poderwał głowę.

- Uspokój się, flądrowo. To nie pierwszy raz, kiedy te bachory uciekły.

Odetchnąłem głęboko, położyłem dłonie na jego ramionach i spojrzałem wściekłemu, zranionemu mężczyźnie prosto w mętne oczy. Z jednej strony, miałem ochotę sprać go po pysku za każdą obelgę skierowaną pod adresem Charlie. Z drugiej jednak tak naprawdę nawet go rozumiałem. Aby związek się rozpadł, zawsze potrzeba dwojga ludzi i za każdy popełniony błąd Traunstein musiał drogo zapłacić.

- Nie kazał jej pan, żeby pod żadnym pozorem nie wchodziła do piwnicy?

- *O Boże. Jak mogłem być taki ślepy. Na wszystko jest już za późno. Pod żadnym pozorem nie wchodzić do piwnicy.*

Podczas zadawania pytań obserwowałem, czy i jak zmienia się wyraz twarzy Traunsteina. W moim pierwszym życiu przeprowadziłem setki przesłuchań, a w drugim równie wiele wywiadów, sądziłem więc, że w czasie rozmowy potrafię zinterpretować niemal każdą ludzką emocję. U Thomasa Traunsteina nie odkryłem najmniejszych oznak zdumienia ani zdziwienia tym, jak udało mi się wejść w posiadanie tej informacji. Zareagował tak samo jak do tej pory

- był zmieszany i agresywny

- Piwnica? Jaka zaszra piwnica?

Tym pytaniem nieświadomie trafił w sedno. Wszystkie poprzednie ofiary zostały zamordowane w mieszkaniach lokatorskich na wyższych piętrach. We wszystkich tamtych miejscach zbrodni przestroga dawana kobietom, aby nie wchodziły do piwnicy, nie miała sensu. Jeśli w wersji Aliny tkwiło ziarenko prawdy, mogła odnosić się wyłącznie do zabójstwa Charlie.

- Nic nie mówiłem o żadnej zaszra piwnicy.

Traunstein zacharczał i najwidoczniej przełknął ślinę, ponieważ rżenie przeszło w atak kaszlu, który wstrząsał całym jego ciałem.

Okay. W ten sposób daleko nie zajdziemy. Czas na plan B.

Odwróciłem się do Aliny

- Musi pani wyświadczyć mi przysługę - wyszeptałem tak cicho, że Traunstein nie mógł mnie usłyszeć. Staliśmy blisko siebie i znów poczułem przyjemny zapach jej perfum. Włoski na karku Aliny uniosły się, kiedy poczuła mój ciepły oddech na uchu. Na jej szyi zauważyłem kawałek tatuażu, który wystawał spod opuszczonego golfa.



Kiedy zorientowała się, że na nią patrzę, podniosła kołnierz, zanim zdążyłem odczytać znaczenie wygiętych liter. Według mnie wyglądało to jak *hate*, nienawiść.

- Jaką przysługę? - zapytała.

Wziąłem ją za rękę i powoli poprowadziłem wokół fotela, aż stanęła bezpośrednio za Traunsteinem.

- Powiedziała pani, że zaczęła od jego ramion.

- Co jest? Co to ma być? - zapytał Traunstein i odchylił głowę, żeby zobaczyć, co dzieje się za jego plecami.

- Tak - potwierdziła Alina. - Ale...

- Do jasnej cholery, z kim pan rozmawia? - zapytał Traunstein i szarpnął więzami. Najwidoczniej do tej pory nie słyszał Aliny

- W takim razie niech pani zrobi to jeszcze raz - powiedziałem. *Niech pani udowodni mi, że mówiła prawdę. Niech pani jeszcze raz wejrzy w przeszłość kolekcjonera oczu.*

Poprowadziłem jej dłonie do ramion Traunsteina.

- Niech pani go dotknie i powie mi, co pani widzi.

(jeszcze 8 godzin i 55 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Philipp Stoya

(szef wydziału zabójstw)

Kolekcjoner oczu wybiera dzieci odrzucane przez swoich ojców. Ponieważ te dzieci podobnie jak cyklopi w greckiej mitologii, są wytworem zakazanego związku.

Stoya powtórzył w myślach ostatnie słowa profesora i powoli zaczął podzielać antypatię Schollego do tego wszystkowiedzącego człowieka, który celowo mówił tak, aby swoimi wypowiedziami prowokować dodatkowe pytania demaskujące ciemnotę jego publiczności.

- Jak można to rozumieć? - Stoya w końcu wyświadczył mu uprzejmość.

- Uranos był synem Gai.

- Chwileczkę, stara matka Ziemia pieprzyła się z własnym synem. - Scholle zaśmiał się histerycznie.

- Którego urodziła po niepokalanym poczęciu. Tak, Grecy nie byli wtedy tacy wrażliwi. Zeus, na przykład, również miał intymne stosunki ze swoją siostrą. Oczywiście dzisiaj coś takiego byłoby naganne.

Stoya z zadumą pokiwał głową.

- Sprawdziliśmy stosunki panujące w rodzinach ofiar. Nie znaleźliśmy śladów kazirodztwa.

Hohlfort podniósł palec wskazujący

- Kiedy mówię o zakazanym związku, nie mam na myśli kwestii prawnych. To zależy wyłącznie od punktu widzenia kolekcjonera oczu, dla którego może wystarczyć zwykły skok w bok.

- Uważa pan...

- ... że uprowadzone dzieci przypuszczalnie nie są potomkami swoich ojców. - Profiler chwycił chromowane obręcze przy kołach wózka i zaczął łagodnie przetaczać się do przodu i do tyłu. - Dlatego ich nienawidzi. Dlatego zabija matki, które tak haniebnie zdradziły mężów.

Zelektryzowany tym, o czym profesor właśnie napomknął, Stoya wstał i nerwowo złapał się za kark.

- To czyni z naszego kolekcjonera oczu mściciela!

- No właśnie! - Hohlfort dalej jeździł do przodu i do tyłu i przez to sprawiał wrażenie rozbawionego dziecka. - Morderca karze matki za ich niewierność i gra rolę Uranosa, wtrącając znieawidzone kukułcze dzieci głęboko do wnętrza ziemi. Zresztą daje to nam następny punkt zaczepienia w naszych poszukiwaniach: zapewne przetrzymuje ofiary w jakimś bunkrze albo piwnicy. W każdym razie nie na poziomie ziemi ani nad nią.

- Och, wielkie dzięki. To dramatycznie ogranicza zakres poszukiwań - wtrącił Scholle, który teraz również wstał. Brzuch wylewał mu się ze spodni, tak że nie było widać, czy nosi pasek.

- Może pan marnować czas na robienie sarkastycznych uwag. Albo sprawdzić stosunki rodzinne pod kątem zatuszowanych romansów i przelotnych miłości. Być może wszystkie te kobiety nawet spotykały się z kolekcjonerem oczu i miały z nim dzieci, których seryjny morderca nienawidzi teraz tak, jak kiedyś Uranos nienawidził swoich cyklopów.

- A może pójdę teraz do klo i podrapię się w dupę - powiedział Scholle i wykonał poniżający gest ręką. - Powoli mam po dziurki w nosie tych bzdetów o mitycznych bogach. Wolę polegać na twardych ziemskich dowodach. Bądź co bądź mamy w końcu podejrzanego, który wyraźnie dysponuje wiedzą znaną tylko sprawcy i na dodatek zostawił portfel na miejscu przestępstwa.

Hohlfort wykrzywił twarz w swoim telewizyjnym uśmiechu i pojechał do wieszaka na ubranie stojącego przy drzwiach.

- Panowie, chcieliście usłyszeć moją teorię. Przykro mi, jeśli uważacie, że zmarnowałem wasz czas.

Właśnie zamierzał zdjąć z wieszaka swój kaszmirowy płaszcz, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wpadła młoda kobieta.

- Przepraszam pana - rzuciła zdyszana i podniecona zdmuchnęła z czoła jasną grzywkę.

- Co jest? - zapytał zirytowany Stoya.

- Zorbach - powiedziała tylko i zrobiła się czerwona na twarzy.

Stoya poczuł, jak wszystko się w nim napina.

- Znaleźliście go wreszcie?

- Nie. - Podała mu komórkę. - Jest na linii.

(jeszcze 8 godzin i 52 minuty

do wygaśnięcia ultimatum)

Alexander Zorbach (ja)

- W swojej willi?

- Tak.

- Związany?

- Przedłużaczem.

- Chyba robisz mnie w balona!

Głos Stoi drżał z wściekłości. W tle słyszałem typowe odgłosy gorączkowej krzątaniny w komisariacie. Dzwoniące telefony, gwar głosów, trzaskanie drzwi i klikanie komputerowych klawiatur, wszystko to było niezwykle głośne i brzmiało raczej jak o jedenastej rano niż późnym wieczorem. Ale teraz z pewnością wszyscy będący w pełnej gotowości pracownicy mieli pełne ręce roboty; dlatego podczas fazy działania kolekcjonera oczu było zawsze tuż przed dwunastą.

- Powinniście rzucić okiem na DVD w odtwarzaczu w salonie.

- Nie mów mi, co mam zrobić, a czego nie - zaszczekał Stoya do słuchawki.

Odsunąłem telefon od ucha i dałem Frankowi nieme polecenie, aby na następnym skrzyżowaniu skręcił w lewo.

Czekaliśmy z Aliną na niego, jak się nam wydawało, całą wieczność, przed willą Traunsteinów, i mój wolontariusz przyjechał dokładnie w chwili, kiedy Stoya odebrał mój telefon, dlatego możliwie bezgłośnie i bez słowa przywitania wsiedliśmy do naszego nowego samochodu.

- Gdzie jesteś? - zapytał szef wydziału zabójstw, a w jego głosie ciągle pobrzmiwał rozkazujący ton.

- Złe pytanie. Lepiej zapytaj, dlaczego Traunstein wolał upić się do nieprzytomności, zamiast pomagać w szukaniu swoich dzieci. DVD powinno dać ci wskazówkę.

Jednak w tej chwili miałem poważne wątpliwości, czy istniał związek pomiędzy Traunsteinem i kolekcjonerem oczu, i to nie tylko dlatego, że wizje Aliny rozsypały się jak domek z kart. Nie było

drewnianej szopy, miejsce przestępstwa nie leżało dostatecznie blisko Teufelsbergu. Podłe ultimatum nie było niczym więcej niż szczęśliwym trafieniem.

Stoya zmienił taktykę i podjął kiepską próbę namawiania.

- Przyjdź na komisariat. Obiecuję, że potraktujemy cię fair.

- To tylko niepotrzebna strata czasu. Nie martwcie się o mnie. Musicie przesłuchać męża.

Przełknąłem ślinę i czułem, jak łzy napływają mi do oczu.

Charlie, do diabła...

- Uważaj, Stoya. Musisz mi uwierzyć, że ciągle gram po twojej stronie. Dlatego powiem ci teraz coś, co mnie obciąży, okay? Powiem ci to w zaufaniu, jako byłemu koledze.

Aby nie stracić panowania nad sobą, lekko uchyliłem okno po stronie pasażera i pozwoliłem, żeby zimny wiatr wiał mi w twarz.

- Żona Traunsteina miała kochanków. Wielu. - A potem wyszeptałem tak cicho, że szum samochodu i wiatru prawie połknął moje słowa: - *Ja* też dobrze ją znałem.

- Co, czy to ma być żart? Czy coś cię łączyło z Lucią Traunstein? - usłyszałem zdumiony głos Stoi.

- Nie. W żadnym razie nie to, co myślisz.

Kątem oka zauważyłem, że moje starania, aby nikt mnie nie słyszał, na nic się zdały. Frank przyglądał mi się z wysoko uniesionymi brwiami. Na szczęście wydawało się, że nic z tego nie dotarło do siedzącej z tyłu Aliny.

- Mówię to tylko dlatego, że nie powinniście z uporem maniaka trzymać się swoich ustaleń. Być może ojciec wie, gdzie są dzieci. Rozumiesz? Traunstein ma motyw, ja nie. Jego żona puszczała się z innymi facetami i on sądzi, że dzieciaki nie są jego.

- Natychmiast powiedz mi, gdzie jesteś! - Głos Stoi się zmienił. Wściekłość zeszła na dalszy plan, jeśli się nie mylę, nagle zabrzmiał dużo bardziej bezosobowo - jakbym definitywnie zburzył ostatnie resztki wątpliwości co do mojej winy.

- Jestem w drodze. Nie trudź się już szukaniem mojego volvo. Stoi na Kühlen Weg, kluczyki są w stacyjce.

Spojrzałem na Franka, który właśnie nacisnął kierunkowskaz, żeby włączyć się do ruchu na Theodor-Heuss-

- Platz. Mój samochód był pewnie dziesięć lat młodszy, ale już od dawna nie wyglądał tak świeżo jak nasz nowy środek lokomocji. Toyota sprawiała wrażenie, jakby z wyjątkiem kilku niedzielnych przejażdżek cały czas stała w garażu babci Franka. Ani jednego zadrapania na desce rozdzielczej, dokładnie dwanaście tysięcy kilometrów na liczniku i chodniki pod nogami odkurzone po każdej

podróży.

Schówek na rękawiczki był usiany starannie przyklejonymi truizmami:

Carpe diem

Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje

Łatwo jest przepowiadać przyszłość, jeśli samemu ją się tworzy

Dałem Stoi ostatnią radę:

- Opuść sobie, w moim gruchocie nie znajdziesz żadnych śladów, które łączyłyby mnie z kolekcjonerem oczu.

- Zebrałem już dość... - usłyszałem jeszcze jego słowa, zanim przerwałem połączenie.

Potem odwróciłem się do Franka.

- Czy coś cię łączyło z... - chciał właśnie dodać, ale raptownie mu przerwałem, niepostrzeżenie wskazując na Alinę.

- Dziękuję, że tak szybko przyjechałeś.

Frank skinął głową ze zrozumieniem i zaczął swój smali talk:

- Musiałem poczekać na odpowiedni moment, żeby niepostrzeżenie wymknąć się z redakcji. - Udawało mu się maskować ziewanie, lecz nie udało mu się ukryć wyraźnych oznak przemęczenia, które udzieliło się również mnie. Niedobór snu spowodowany warunkami pracy wyrzeźbił głębokie cienie pod jego oczami, a poza tym przypominał mi moje własne odbicie w lustrze po przebulanej nocy. Kilka miesięcy spędzonych w redakcji przeobraziły chłopca z twarzą z opakowania sucharów w prototyp internetowego ćpuna: nieumyte włosy, nieogolona twarz, niekompletne ubranie (w jego butach brakowało sznurowadeł, a pod puchową kurtką nosił wyłącznie wyblakły T-shirt z zespołem Depeche Mode), za to potrafił niesamowicie skupić się na pracy. Wątpiłem, czy znajdzie dziewczynę, która tolerowałaby wracanie do domu o pół do trzeciej w nocy, wcale nie po to, żeby położyć się spać, tylko żeby wziąć krótki prysznic, zanim zabierze się do mojego następnego polecenia wyszukania jakichś informacji.

- Aha, zapomniałem ci przedstawić, to jest Alina Gregoriev - powiedziałem i odwróciłem się do tyłu. - Świadek, o którym ci opowiadałem. Obok siedzi TomTom, jej ziejąca nawigacja.

- Bardzo mi miło. - Frank spojrział w lusterko wsteczne. - A ja jestem tym idiotą, który właśnie dał się wpakować w tarapaty, i to własnemu szefowi.

- Witam w klubie - powiedziała Alina.

Podniosłem ręce.

- Ludzie, nie ma powodu do paniki. Nie jestem skazany ani aresztowany. Tylko podejrzany W Niemczech nikt nie musi sam się oskarżać, a więc nikt z nas nie popełnia czynu karalnego.

- Chyba że chodzi o najście cudzego domu i tortury, do których mnie pan namawiał.

- Torturowałeś Traunsteina? - wykrztusił z niedowierzaniem Frank.

Puściłem to pytanie mimo uszu.

- Przecież pani go tylko dotknęła, Alino.

Zadumana zwlekała z odpowiedzią. Potem odwróciła głowę do okna i powoli nią potrząsnęła.

- Nic? - powtórzyłem pytanie, jakie zadałem jej już wcześniej w willi, kiedy zrezygnowana zdjęła rękę z ramion Traunsteina. - Naprawdę nic pani nie poczuła?

- Nie.

- Żadnych obrazów? Światła?

Zastanawiałem się, czy rzeczywiście poważnie liczyłem na to, że niewidoma kobieta mogłaby odpowiedzieć na moje pytanie.

- Nie rozpoznałam go - oświadczyła.

- Hej, halo? Czy jest ktoś w domu? - Frank zmienił pas i popatrzył na mnie. - Czy ktoś może mi wyjaśnić, o co tu chodzi?

- Ale nie może pani powiedzieć ze stuprocentową pewnością, że to *nie* był on? - pytałem dalej.

- Nie mogę nikogo wykluczyć - fuknęła wściekle. - Czy mógłby pan wreszcie skończyć to pieprzone wypytywanie? Mam na myśli to, że najpierw pan do mnie dzwoni i mówi, że mam przyjść do pana do lasu...

- To nie byłem ja, to był...

... ktoś, kto chce zwalić na mnie winę. Ale dlaczego? Jeśli rzeczywiście mam pokutować za przestępstwa kolekcjonera oczu, mam być kozłem ofiarnym, dlaczego on to tak komplikuje i przysyła do mnie tę niewidomą wariatkę?

- ... a potem, jak o mało nie skręciłam karku - wyliczała Alina - nie pamięta pan, że mnie zaprosił, i chciał wyrzucić ze swojej łodzi tylko po to, żeby mnie potem zwabić do jakiegoś domu, gdzie musiałam dotykać ojca uprowadzonych dzieci. Chociaż tak samo mi pan nie wierzy, jak wczoraj nie uwierzyła mi policja.

- Policja? Chwileczkę... - Frank odwrócił się do tyłu, przez co samochodem niebezpiecznie zarzuciło w prawo. Złapałem kierownicę, aby utrzymać pojazd na pasie ruchu.

- To niemożliwe - powiedział, znów patrząc przed siebie.

Włączył oświetlenie wewnętrzne nad naszymi głowami i jeszcze raz spojrział w lusterko wsteczne.

- Co? - zapytaliśmy jednocześnie z Aliną.

Na dworze znów zaczął padać śnieg z deszczem.

- Wiem, kim pani jest - oświadczył Frank i włączył wycieraczki. Guma zapiszczała jak paznokieć na suchej tablicy. - Sądzę, że spotkaliśmy się wczoraj.

- Ach tak? - Alina wyprężyła się. Ściągnęła jeden z trzech swetrów i niedbale rzuciła obok siebie. Pod kołnierzami pozostałych swetrów znów zobaczyłem kawałek tatuażu na szyi i zastanawiałem się, co mogło skłonić niewidomą kobietę, żeby zrobić sobie tatuaż.

- To pani jest tą ślepą babą, która wczoraj przywaliła mi w twarz drzwiami na komisariacie? - zapytał.

- Frank! - Chrząknąłem.

- Uderzyła mnie pani i nawet się nie odwróciła.

Zmienił pas ruchu.

- Frank!

- Czy nie ma pani oczu?

- Fraaank!

- Co? - zapytał opryskliwie.

- Ona *jest* niewidoma.

- Nie gadaj... - Frank gwałtownie odwrócił się do tyłu.

- Naprawdę?

Oboje przytaknęliśmy, a Alina otworzyła oczy. Dwie matowo wypolerowane szklane kulki. Jakby rogowkę zastąpiono mleczną szybą.

- Ja... nie wiedziałem, nie zauważyłem - wyjąkał.

- Dziękuję - powiedziała sucho Alina.

Wyłączyłem górne światło i przez jakiś czas nie było słyhać nic oprócz monotonnego szumu silnika i bzyczenia opon na mokrym asfalcie, od czasu do czasu przerywanego piskiem wycieraczek.

- Teraz, kiedy pani to mówi, oczywiście przypominam sobie, że trzymała pani w ręku laskę - wtrącił Frank.

Minęliśmy Ernst-Reuter-Platz i jechaliśmy Strasse des 17. Juni.

- Kobieto, była pani tak zdecydowana. Do diabła, wziąłem panią za osobę, która uprawia nordic

walking, kiedy przemknęła pani koło mnie.

- Byłam wściekła.

- Zauważyłem.

- Jak pani to robi? - zapytał. - Wczoraj zbiegła pani po schodach komisariatu, a dzisiaj bez niczyjej pomocy wgramoliła się pani na tylną kanapę mojego samochodu.

- Jestem niewidoma, a nie sparalizowana.

Na policzku Franka wystąpiła czerwona plama, jakby ktoś uderzył go w twarz.

- Sorry, nie chciałem pani obrazić.

- Nie zrobił pan tego. A na pewno nie bardziej niż wszyscy inni. - W głosie Aliny zabrzmiało lekkie rozgoryczenie, które sama zauważyła, a przynajmniej tak się wydawało. W następnym zdaniu już go nie było. - Niech pan się nie przejmuj. Całe życie uczyłam się wyprowadzać ludzi w pole. Kiedy na przykład podrywam kogoś w klubie, zakładam się z koleżanką, po jakim czasie ten ktoś zauważy, że jestem ślepa. - Zaśmiała się. Wyglądało na to, że obudziła ciekawość Franka.

- Wie pani - powiedział podniecony - odpracowywałem wojsko w domu opieki. W każdą sobotę spotykała się tam grupa niewidomych. Przykro mi, że powiem to tak otwarcie, w przeciwieństwie do pani wyglądali jakoś...

Zorientowałem się, że chciał powiedzieć „głupio”, jednak zanim znów zdążyłem chrząknąć, Frank sam się poprawił:

- ...wyglądali *dziwnie*. Niektórzy kołysali głowami, inni świdrowali wzrokiem. A u większości z nich twarze były nieruchome jak maski. Mam na myśli to, że były bez wyrazu, jak po zastrzyku z botoksu. Pani natomiast...

- Co jest ze mną? - Alina położyła ręce na oparciach przednich siedzeń i pochyliła się do przodu.

- Na przywitanie milcząco skinęła pani głową i uniosła brwi, kiedy pierwszy raz panią zagadnąłem. Teraz uśmiecha się pani i jednocześnie gładzi się po włosach, które, nawiasem mówiąc, wyglądają na nieco zaniedbane.

- Dziękuję - powiedziała i faktycznie uśmiechnęła się trochę szerzej. - Ćwiczyłam to.

- Co?

- Gesty i mimikę. Uważam, że to jest duży problem, kiedy niedowidzący za wcześnie zaczynają przebywać wyłącznie wśród takich jak oni. Moi rodzice bronili się rękami i nogami, kiedy po wypadku miałam iść do szkoły specjalnej. Naturalnie raz w roku jeździłam na obóz tylko z niewidomymi. Ale uczęszczałam do szkoły publicznej i bawiłam się z moimi widzącymi koleżankami i kolegami na zwykłych placach zabaw. Oczywiście były różnice. Miałam własny komputer, na którym pisałam podczas lekcji, a kiedy *jeździłam* na rowerze, dwie koleżanki musiały brać mnie w środek, żebym mogła orientować się po ich głosach. Jednak jeździłam na rowerze. Co

prawda częściej niż inni grzmotnęłam się o coś, lecz koledzy z klasy szybko przyzwyczaili się do widoku małej wariatki, która na boisku szkolnym wpadała na jakieś rusztowanie albo na inną przeszkodę, ale nie rezygnowała, natychmiast wstawała i jechała dalej.

Alina ponownie zapadła się w miękką tapicerkę tylnej kanapy. Brązowe pokrowce i rolka papieru na półce świadczyły o tym, że pojazd mógł należeć wyłącznie do emeryta. Założyłbym się o moje roczne zarobki, że w schowku na rękawiczki znalazłbym starannie podstemplowaną książkę gwarancyjną z wszystkimi papierami i numerami telefonów, które są potrzebne w razie awarii. Natomiast ja nie miałem nawet trójkąta ostrzegawczego w bagażniku.

- Nie wiem, jak to wygląda tu, w Niemczech, ale w Stanach jest wiele zakładów, w których niewidomi są w większym lub mniejszym stopniu pozostawiani sami sobie. Kiedy widzące dziecko się nudzi, zaczyna dłubać w nosie, stroić miny, rzucać klockami albo coś takiego. I wtedy przeważnie jest ktoś, kto je upomina. Kiedy niewidome dzieci przebywają ze sobą, nikt nie zauważa, kiedy zaczynają się dziwnie zachowywać, ponieważ często ich opiekunowie też są niewidomi. Albo się tym nie interesują.

Pogłaskała po głowie TomToma, który prawie przysypiał. Niczym żołnierz na froncie wykorzystywał na sen każdą nadarzającą się okazję.

- Później, kiedy człowiekowi wejdzie w krew świdrowanie oczami i kołysanie się, bardzo trudno jest się tego pozbyć. A normalni ludzie przeważnie myślą, że takie zachowanie stanowi jeden z objawów obrazu klinicznego choroby niewidomego. Jest to jeszcze bardziej przykre, niż gdybym zwróciła ci uwagę, że smark wisi ci z nosa.

Alina roześmiała się, na co TomTom ze zdziwieniem uniósł łeb.

- Miałam szczęście, że od początku wspierał mnie dobry kolega z przedszkola. John. Zawsze mnie poprawiał, kiedy śmiesznie się zachowywałam. Kiedy wyglądałam na rozżłoszczoną tylko dlatego, że byłam skoncentrowana. Albo kiedy nieświadomie przewracałam oczami i denerwowałam tym osobę stojącą naprzeciwko. John jest dla mnie czymś w rodzaju lustra.

Mimo woli spojrziałem w lusterko wsteczne, a Frank się odwrócił.

- Uczył mnie gestykulacji i mimiki. Pokazał mi wszystkie sztuczki subtelnej taktyki prowadzenia rozmowy.

Alina znów się pochyliła, nadaśała i wyzywająco oblizwała górną wargę. Potem kokieteryjnie zatrzepotała powiekami, pochyliła ukośnie głowę w geście pokory.

Frank, który obserwował te próbki jej sztuki aktorskiej, nie wytrzymał i roześmiał się.

- Od niego nauczyłam się flirtować.

I kłamać?

Im więcej czasu spędzałem z tą prawie pod każdym względem niezwykłą osobą, tym bardziej wydawała mi się nieprzenikniona. Z jednej strony, mówiła tak rozsądnie, dawała mi fascynujący wgląd w świat ciemności, w którym żyła i o którym tak naprawdę nic nie wiedziałem. Z drugiej

strony, opowiadała o nadprzyrodzonych darach, które zdumiałyby nawet Nicci. W końcu doszedłem do wniosku, że Alina musiała być albo szaloną wariatką, albo niezwykle utalentowaną aktorką.

Albo jedną i drugą.

Kiedy dzisiaj przypominam sobie tamte chwile w samochodzie, świadomy tego, co jeszcze miało nastąpić, wręcz nie mogę się nie śmiać z bezradnych pomysłów, jakie przychodziły mi wtedy do głowy.

Jednakże jest to dławiący, rżący śmiech, jak u człowieka, który za chwilę zacznie pluć krwią.

Śmiałem się, ponieważ na serio myślałem wtedy, że wziąłem swój los we własne ręce; swoimi śmiesznymi poleceniami mogłem wytyczać trasę naszej podróży, która ostatecznie przywiodłaby nas nie do mieszkania Aliny w Prenzlbergu, lecz prosto w ramiona śmierci.

Co prawda byłem przemęczony i zakłopotany, ale myślałem, że jeszcze mocno trzymam kierownicę w dłoniach. Chociaż już dawno przejął ją kolekcjoner oczu.

Miało upłynąć jeszcze tylko kilka godzin, zanim popadłem w straszliwe udręki.

(jeszcze 8 godzin i 39 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Przez resztę drogi Frank wiercił dziurę w brzuchu niezliczonymi pytaniami na zmianę Alinie i mnie, co w końcu doprowadziło do tego, że nie mogłem się pohamować i krótko streściłem mu przebieg wydarzeń z ostatnich godzin. Zacząłem od spotkania na łodzi (przy czym zataiłem dokładne położenie kryjówki oraz poprzednią wizytę u doktora Rotha), powiedziałem mu o dodatkowych siedmiu minutach ultimatum i naszym bezowocnym włamaniu do Thomasa Traunsteina.

Jego reakcja na fantastyczne wyznania Aliny była dużo mniej sceptyczna niż moja.

- Wierzysz jej? - zapytałem speszony. Po tym, jak wszystkie jej informacje, z wyjątkiem ultimatum, rozpadły się w pył, właściwie chciałem już tylko spełnić obietnicę i jak najszybciej odwieźć Alinę do domu. Na razie moje zapotrzebowanie na niewytłumaczalne zjawiska zostało zaspokojone i nie miałem najmniejszej ochoty uganiać się za następnymi mrzonkami.

- Korzystanie z pomocy medium w rozwiązaniu sprawy kryminalnej ma długą tradycję - powiedział Frank i w ten sposób wymigał się od odpowiedzi. Dojechaliśmy do Brunnenstrasse i zatrzymaliśmy się na drugim pasie na wysokości Weinbergsparku.

Już w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku szef policji kryminalnej w Lipsku, radca Engelbrecht, przeprowadził paranormalny eksperyment z mężczyzną o telepatycznych predyspozycjach w celu wyjaśnienia sfingowanego przestępstwa - pouczył mnie.

Zaparkowaliśmy na wjeździe pomiędzy dwiema jasno oświetlonymi, ale wyludnionymi galeriami sztuki. W jednej nad migoczącą żarówką wisiał rower bez siodła, w drugiej stał pomalowany na różowo kineskopowy telewizor, który pokazywał zaśnierzony obraz kontrolny. Sztuka, jeśli to w ogóle miała być sztuka, czyniła mnie jeszcze bardziej bezradnym niż paplanina Franka.

- A w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku w Wiedniu powstał nawet instytut badań kryminalno-telepatycznych, choć istniał zaledwie kilka miesięcy.

- Skąd on to wszystko wie? - zapytała Alina.

- Nie ma w głowie zainstalowanego filtra antyspamowego - wyjaśniłem. - Pamięta wszystko, co przeczyta. Zastępuje mi notes, kiedy towarzyszy mi w zbieraniu informacji.

Przeciągnąłem się na przednim siedzeniu, chciałem pilnie pozbyć się Franka i Aliny, żeby móc jak najszybciej pojechać do Rudow.

Do Nicci.

Spojrzałem na zegar na desce rozdzielczej.

I do Juliana.

Jeszcze dwie godziny do północy.

Jeszcze dwie godziny do urodzin mojego syna. Chociaż nie kupiłem jeszcze prezentu, chciałem przynajmniej złożyć Julianowi życzenia, zanim Stoya rzuci mnie na pożarcie.

- Pierwszy raz poruszenie w Niemczech wywołał w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku przypadek „wizjonerki” z Frankfurtu, Minny Schmidt.

Z ust Franka płynął nieprzerwany potok słów i wydawało się, że znalazł w Alinie wdzięczną słuchaczkę. Bo chociaż TomTom bez przerwy trącał ogonem jej dłoń, nie czyniła żadnych przygotowań, żeby wysiąść z samochodu.

- Po podwójnym morderstwie dwóch burmistrzów Heidelbergu miała wizję dokładnego miejsca znalezienia zwłok.

- Przypadek. - Ziewnąłem.

- Być może. Ale w Instytucie Obszarów Granicznych Psychologii i Psychohygieny we Fryburgu, w skrócie IOGPP piętrzą się akta spraw, w których jasnowidzący pomogli policji. Jedna z nich powinna być znana również tobie. - Kiedy spojrzał na mnie, na jego policzkach znów wystąpiły czerwone plamy. - Chodzi o sprawę zamordowanego prezydenta Związku Pracodawców Hannsa Martina Schleyera.

- I co?

- Pamiętasz nagłówki w „Bunte” z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku?

- Dziękuję, nie jestem taki stary.

- Jasnowidz ujrzał miejsce ukrycia Schleyera. - Uśmiechnął się triumfalnie. - Taki dali tytuł. Zaangażował się w to również „Stern”, a „Spiegel” przeprowadził nawet wywiad z holenderskim medium Gerardem Croisetem. Z akt IOGPP niewątpliwie wynika, że śledczy ze specjalnej grupy operacyjnej, psycholog oraz urzędnik Bundeswehry poprosili go o pomoc już w drugim tygodniu poszukiwań.

- Bundeswehra? - zapytała Alina.

- Mają oddział obrony psychologicznej.

TomTom zaskomlał, na co Alina uspokajająco podrapała go po głowie. Widocznie biedne zwierzę musiało znów się załatwić.

- Dla Federalnego Urzędu Kryminalnego było niezręczne, że włączenie do sprawy Croiseta

przedostało się do opinii publicznej. Ale dwa lata później policyjny psycholog potwierdził, że jasnowidz konkretnie wskazał na wysokościowiec w Erfstadt-Liblar, w którym przetrzymywano Schleyera. Psycholog stwierdził, że gdyby postępowali według wskazówek Croiseta, mogliby uratować Schleyera.

- Ale to jest tylko współczesna bajka - zaprotestowałem.

- Ale nie jedyna. Już na początku lat dziewięćdziesiątych ponad setka ludzi obdarzonych intuicją oferowała władzom Bawarii swoją pomoc. A w całych Niemczech jest ich dużo więcej.

Frank odwrócił się do Aliny.

- A więc nie jest pani wyjątkiem.

- Nie wiem, co jest ze mną - powiedziała Alina i w jej głosie naraz dało się wyczuć zmęczenie. - Poza tym, że jestem zmęczona. - A po krótkiej przerwie dodała cicho: - I chce mi się pić. - Otworzyła usta, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze. W następnej chwili wydawało się, że coś innego zaprzątnęło jej głowę. Jej twarz zamarła, sprawiała wrażenie bardzo wystraszonej i bez słowa wysiadła z samochodu.

- Czy coś się stało? - zapytałem i powtórzyłem pytanie, kiedy ją dogoniłem. Frank też wysiadł i uważnie przyglądał się nam ponad dachem auta. Wydawało się, że właśnie przyszła mu do głowy jakaś myśl, i wyglądało to tak, jakby za wszelką cenę próbował ją wyprzeć. Dała znak TomTomowi, żeby spokojnie się zachowywał, następnie odwróciła plecak przednią stroną od siebie, aby móc otworzyć zamek błyskawiczny przy zewnętrznej kieszeni. Poczekalem, aż minie nas parka nastolatków, która chichocząc, przytulała się do siebie pod parasolem, i zapytałem: - O czym pani pomyślała?

Krótko po tym, kiedy pani powiedziała, że chce się jej pić?

- O wczorajszym dniu. Kiedy zatrzymałam się, żeby się czegoś napić.

Wczoraj. Po morderstwie.

Poczułem skurcz w żołądku.

- Już wcześniej chciałam to panu powiedzieć, ale wtedy skręcił pan do domu Traunsteina.

- Gdzie to było? Gdzie pani się zatrzymała?

- Na wjeździe. Jestem pewna, że jechałam daleko.

- Skąd pani to wie? - zapytałem. - Myślałem, że w swoich wizjach nie ma pani poczucia czasu.

- Wciąż czuję się zmęczona i wyczerpana.

Tym, że wrzuciłaś dzieci do bagażnika...

- Miałam mokre plecy Pociłam się, znam to uczucie z joggingu. Wiem, jak to jest, kiedy wznawia

się treningi po dłuższej przerwie. Ale w dalszym ciągu byłam mokrzuteńka.

Cały czas grzebała niezgrabnymi ruchami w kieszeni plecaka i wyglądało na to, że w końcu znalazła to, czego szukała. Coś zabrzęczało i po chwili trzymała w ręku pęk kluczy. Do każdej główki klucza było przyłączone inne kółko; jedno z pęczkiem włóczki, inne z ząbkami na powierzchni. Macała jedno po drugim i zdecydowała się na średniej wielkości klucz do zamka typu yale.

- Czyli jechała pani niecałe pięć minut? - oeniłem.

Skinęła głową.

- Raczej trzy. Jak już powiedziałam, bardzo chciało mi się pić.

- Co to był za wjazd? Wjazd na podwórze, do domu czynszowego?

- Nie, nie. Źle się wyraziłam. Właściwszym słowem jest podjazd, taki, jaki mieliśmy w Kalifornii. Gdzie wjeżdża się samochodem prosto do garażu.

- A więc był to podjazd do domu jednorodzinnego?

- Tak.

- Czy był to segment?

Potrząsnęła głową.

- Wolno stojący Ale mały Sprawiał na mnie wrażenie jednopiętrowego bungalowu, choć nie jestem tego całkiem pewna.

Zastanowiłem się.

- Czy wie pani coś jeszcze? Jakież rzucające się w oczy znaki szczególne? Nowy czy stary budynek? Kolor tynku, płotu, okiennic, dachu?

Potrząsnęła głową. I wtedy nagle zamarła, mocno zacisnęła powieki i powiedziała:

- Kosz do gry w koszykówkę.

- Co?

- Na podjeździe. Ale nie zamontowany jak zazwyczaj nad garażem, lecz z boku, na drzewie rosnącym na granicy z sąsiadującą działką.

- No dobrze, Alino. Była pani w domu z koszem do koszykówki na podjeździe, gdzieś w dzielnicy Traunsteinów.

- Podeszedłem do niej, tak blisko, że mogłem jej dotknąć. - Co pani wtedy zrobiła?

Alina drżała, a ja nie byłem pewny, czy tylko z powodu zimna.

- Poszłam do kuchni.

A więc drzwi były otwarte albo miała klucz.

- Skąd wzięła pani sobie coś do picia?

- Tak. Colę. - Alina nerwowo przejechała ręką po twarzy i odgarnęła za ucho jeden z licznych warkoczyków.

- Wie pani, jak wygląda butelka?

- Biały napis na czerwonym tle. Każdy niewidomy rozpozna colę, kiedy przed nim stoi. - Zaśmiała się i przyciągnęła do siebie TomToma. - Ale to była puszka. Stała w przegródce na drzwiach. Wzięłam jedną.

- I co?

Wzruszyła ramionami.

- I nic. Nie przypominam sobie nic więcej.

Mój wzrok znów spoczął na Franku, który jak urzeczony wpatrywał się w usta Aliny.

Wykorzystałem przerwę w rozmowie, aby mu uprzytomnić, że powinien jak najszybciej wrócić do redakcji.

- Proszę, nie! - jęknął zawiedziony. - Nie teraz, kiedy właśnie robi się ciekawie.

- Sorry, mały, w redakcji na pewno rozpętało się piekło i zauważą, jeśli w czasie kryzysu nie będzie tam akurat mojego ulubionego asystenta.

Poklepałem go po wychudzonym ramieniu na pożegnanie.

- Ale ani słowa Bergdorf. I bądź w pobliżu telefonu, gdybym jeszcze potrzebował twojej pomocy!

Frank zasalutował do urojonej czapki z daszkiem, jak żołnierz, a kiedy już pożegnał się z Aliną, powlókł się przed siebie ociężałym krokiem.

Spojrzałem na zegarek i zacząłem liczyć. Według informacji, jakie policja przekazała prasie, dzieci Traunsteinów zostały uprowadzone wczesnym rankiem. Zwłoki Charlie znalazł jej mąż znacznie później, około dziewiątej, w ogrodzie za domem, na krótko przed automatycznym

włączeniem się stopera, dokładnie o 9.20.

Ponieważ w tym czasie kolekcjonera oczu na pewno już od dawna nie było na miejscu zbrodni, nie zastanawiałem się, o której godzinie psychopata zrobił sobie pierwszy przystanek w bungalowie.

Jeśli w ogóle.

Potrząsając głową, popatrzyłem za Frankiem, który szedł w kierunku postoju taksówek za najbliższym rogiem. Już sam fakt, że znów analizowałem wizje niewidomej, kazał mi wątpić w swój zdrowy rozsądek.

Po paru metrach Frank jeszcze raz się odwrócił, strząsnął z włosów kilka płatków śniegu i naciągnął na głowę kaptur puchowej kurtki.

I to był decydujący moment.

Gdyby tego nie zrobił, być może ten cały obłąd skończyłby się tu i teraz. Zamiast zameldować się u Stoi, pojechałbym do syna i moje dalsze życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Ale ta krótka chwila, kiedy mój asystent zatrzymał się przed wystawą galerii, wszystko zmieniła.

Moje następne kroki. Mój los.

Moje życie.

Jak w transie pobiegłem za Frankiem, który nie oglądając się więcej, dotarł już do najbliższego skrzyżowania.

- No to znów jestem - usłyszałem głos Aliny, która sądziła, że cały czas stoję przy samochodzie, podczas gdy ja byłem już w miejscu, gdzie Frank naciągnął kaptur na głowę.

Dokładnie przed oknem wystawowym.

Alina czekała kilka metrów od głównego wejścia do swojego domu i właśnie chciała włożyć klucz do zamka.

- Kim pan jest? - zapytałem roztargniony. Podszedłem krok bliżej do wystawy i stanąłem tak blisko, że zderzyłem się z szybą. Na kineskopowym telewizorze, który wciąż pokazywał obraz kontrolny, migotał teraz półprofil nieogolonego, ciemnowłosego mężczyzny nerwowo machającego do niewidocznej kamery w głębi galerii. Zobaczyłem *siebie samego!*

- Pić mi się chce - odpowiedziała wreszcie Alina. Kiedy odwróciłem się do niej, łagodnie się uśmiechnęła. Wyprostowana jak świeca i z zamkniętymi oczami wyglądała jak młoda dziewczyna, która ma nadzieję, że jej ukochany pocałuje ją na pożegnanie. Odwróciłem się i spojrzałem sobie prosto w twarz.

To nie było złudzenie.

Obraz w telewizorze znów się na chwilę zmienił, kiedy obok galerii przechodziło dwoje ludzi. I właśnie wtedy, kiedy Frank się odwrócił, uświadomiłem to sobie po raz pierwszy

Ta artystyczna instalacja filmuje przechodniów!

- No więc, panie wybitny reporterze? Wstąpi pan do mnie jeszcze na drinka? - zapytała Alina, teraz już trochę bardziej zniecierpliwiona.

Złapałem się za szyję, przez chwilę dziwiłem się, że głowa już mnie nie boli, ale przypomniałem sobie o połkniętej wcześniej tabletki maxaltu. Perspektywa, z której oglądałem siebie na ekranie, kazała mi wysnuć logiczny wniosek, że kamera musi być zamontowana ukośnie nad moją głową, i rzeczywiście na lewo ode mnie w rogu pod sufitem galerii dostrzegłem migoczącą diodę.

Wtedy odszedłem krok na bok, potem jeszcze jeden, aż zniknąłem z pola widzenia kamery. Trwało to tylko dwie sekundy, potem ekran znów zaczął śnieżyć.

- No tak, dziękuję za rozmowę - powiedziała Alina, ale ja dalej nie zwracałem na nią uwagi.

Zamiast tego ponownie przetestowałem czujnik ruchu, aby potwierdzić swoje podejrzenie. W tym celu znów zrobiłem krok w prawo i znów telewizor zareagował.

- Alino, o której kolekcjoner oczu był wczoraj u pani? -zapytałem, z trudem łapiąc oddech, lecz tym razem to ona mi nie odpowiedziała.

Kiedy spojrzałem na wejście do domu, Alina i TomTom znikali w klatce schodowej.

(jeszcze 8 godzin i 25 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Alina Gregoriev

W domu. Zapach mieszkania był pierwszym od wielu godzin uspokajającym przeżyciem, które mnie uspokoiło.

Dobrze znana mieszanka, składająca się z zapachów poszczególnych pokoi: w powietrzu wisiała woń zaparzonej przed wieloma godzinami kawy, drogich perfum i taniego środka czyszczącego na bazie octu, w którego moc święcie wierzyła jej pomoc domowa. Dzisiaj był czwartek, a więc sprzątaczką pod jej nieobecność zastąpiła zapach przykurzonych książek w salonie świeżym praniem.

Alina odetchnęła głęboko kilka razy i uśmiechnęła się.

I wyjątkowo nawet nie zapaliła.

- Chodź, mały, zaraz dostaniesz coś do jedzenia.

Zdjęła TomTomowi uprząż, potem uklękła, aby rozpiąć zamki błyskawiczne przy butach. Zaciekawilo ją, czy inni ludzie również na chwilę stają w drzwiach swojego mieszkania i głęboko oddychają, zanim się rozbiorą.

Inni.

Od dzieciństwa starała się, aby ludzie nie traktowali jej w specjalny sposób, ani w przedszkolu, ani w szkole, ani tym bardziej na późniejszych etapach edukacji. Jej pragnienie, aby być całkiem normalną jednostką społeczeństwa, zaszło tak daleko, że kiedyś chciała pełnić funkcję osoby stojącej przed szkołą ze znakiem „stop”

i przeprowadzającej dzieci przez jezdnię; kuriozum, które wówczas trafiło na łamy małej lokalnej gazety wydawanej przez kalifornijską gminę. Oczywiście dyrektor szkoły odrzucił jej podanie, ale przynajmniej pozwolono, by asystowała w tym zajęciu swojej najlepszej widzącej przyjaciółce. Jeszcze dzisiaj Alina była przekonana, że dałaby sobie radę. Potrafiłaby odróżnić słuchem, czy jakiś pojazd zbliża się i - co jeszcze ważniejsze - czy przyśpiesza albo przyhamowuje. Coś, czego inni przeważnie nawet nie potrafią sobie wyobrazić.

Inni, którzy nieproszeni łapią człowieka za rękę i przeprowadzają przez ulicę, chociaż na ćwiczeniach z mobilności nauczyła się poruszać bez pomocy obcych.

Inni, którzy myślą, że niewidomi chcieliby chwycić obcą osobę za twarz, żeby ją rozpoznać, co, do diabła, zdarza się jeszcze tylko na popieprzonych hollywoodzkich kiczowatych filmach.

Inni. do których nigdy nie będę się zaliczać.

Alina odstawiła plecak, następnie zdjęła z głowy perukę z warkoczykami i położyła ją na komodzie, w której przechowywała wszystkie peruki; jej „maski”, jak je nazywała.

Reportaż o zeznaniach świadków, który wiele lat temu przypadkiem obejrzała w telewizji (żaden niewidomy nie powie, że „słucha telewizji”), uzmysłowił jej, jakie sygnały wysyła fryzura i jak bardzo charakteryzuje człowieka. Przy sporządzaniu rysopisu przestępcy świadkowie najłatwiej przypominają sobie włosy; im bardziej rzucają się w oczy, tym lepiej, co psychologowie uzasadniają tym, że już od dawna człowiek po pierwsze, zwraca uwagę na głowę swojego rozmówcy, oponenta, a przede wszystkim na jego włosy. Nie bez powodu wiele naszych nazwisk, które powstały w średniowieczu, bierze początek z przydomków nawiązujących do koloru, kształtu i obfitości włosów. Tak jak Kędzior, Czarny albo Kruk.

Kiedy Alina miała dziewiętnaście lat, po raz pierwszy ostrzygła się na łyso i zaskoczyła przyjaciół długą czarną peruką. Obecnie miała około pięćdziesięciu różnych „masek”, dzięki którym mogła przeobrażać się zależnie od nastroju w tlenioną technolalkę, w kruczoczną dominę albo w wiejską niewinność z warkoczami.

A dzisiaj byłam akurat punkową manga, pomyślała, idąc długim przedpokojem i pozbywając się jednego po drugim swetrów. Jej dwupoziomowe mieszkanie znajdowało się nad piątym i szóstym piętrem starej kamienicy i wjeżdżało się do niego windą. Dawniej, kiedy jeszcze nie czuła się tak pewnie, używała jej zawsze, gdy chciała dostać się do gabinetu masażu na niższym piętrze. Teraz przeważnie korzystała z wąskich kręconych schodów.

Alina ściągnęła T-shirt przez wychudzone ramiona i z nagą górną połową ciała poszła do łazienki. Jak u większości niedowidzących osób wszystkie przedmioty miały swoje stałe miejsca. Stoły, krzesła, komody, wazony... Sprzątaczką dostała polecenie, aby niczego nie przestawiać, i musiała wciągnąć odkurzaczem każdy okruszek leżący na podłodze. Alina uwielbiała chodzić bosą po parkiecie, ale nienawidziła nadeptywać na coś.

Wszystko do dupy, pomyślała. Nie dlatego, że nikt jej nie uwierzył. Nie dlatego, że odwołała wizyty kilku pacjentów, tylko po to, aby odbyć tę bezużyteczną eskapadę.

Ale dlatego, że nie mogłam pomóc dziecku.

Ciche tykanie starego stojącego zegara zdradziło jej, że minęła balustradę nad recepcją swojego gabinetu.

Albo dzieciom.

Zastanawiała się, dlaczego *widziała* tylko jedno dziecko, chłopca, i starała się nie dopuszczać myśli, że dziewczynka mogła już nie żyć.

Nie pierwszy raz jej wizje nie odpowiadały w stu procentach prawdzie. Nie pierwszy raz groziło

jej, że przestanie wierzyć w swój dar.

Zazwyczaj przebłyski obejmowały tylko kilkusekundowe okresy. Krótkie sekwencje, w których widziała wypadki, nasiąknięte krwią prześcieradła, rękę swojego ojca, który powoli dusi młodego mężczyznę, albo rękę matki, która dodaje truciznę na szczury do papki dla niemowląt. Dręczące wizje nachodziły ją nieregularnie i już od dawna nie za każdym razem, kiedy kogoś dotykała. Dlatego przypuszczała, że zdarza się to tylko w wypadku ludzi w dużej mierze naładowanych negatywną energią, tak jak kolega z uniwersytetu, który na jednej ze studenckich imprez stał się zbyt natrętny i nawet uderzył ją w twarz, kiedy wzbraniała się iść z nim do łóżka. Dał sobie spokój dopiero wtedy, kiedy powiedziała mu, żeby wreszcie przestał gwałcić swoją siostrę.

O tym podejrzeniu natychmiast poinformowała policję, ale nikt jej nie wierzył do czasu, aż znaleziono zwłoki młodego mężczyzny, który powiesił się na strychu, ale wcześniej ostatni raz zgwałcił swoją siostrę.

Przedpokój rozszerzył się i stanęła, kiedy dookoła trochę pojaśniało.

Jak za każdym razem odwróciła się do ściany i dotknęła palcami gładkiej powierzchni odbijającej światło, które na stałe paliło się w łazience naprzeciwko.

Dzień i noc.

U większości odwiedzających ją ludzi zalany światłem pokój i liczne lustra w mieszkaniu budziły zdziwienie, zastanawiali się również, po co w salonie wisi fotografia amerykańskiego miasta poszukiwaczy złota o wymiarach dwa na dwa metry. Były kochanek opisał jej kiedyś mistrzowskie dzieło Michaela von Hassla tak dobitnie, że wręcz czuła na języku kurz zapuszczonego saloonu. I teraz *słyszała* obraz, zawsze kiedy goście zatrzymywali się przed nim z podziwem i zastanawiali, jaką techniką posłużył się artysta, tworząc to zapierające dech w piersiach dzieło.

Co się tyczy lustra, Alina lubiła uczucie chłodu i doskonałej gładkości pod opuszkami palców. Uwielbiała wyczuwać odbicia światła, co było dowodem wrażliwości na jasność i ciemność. Ostatnie doznanie, które od czasu eksplozji jeszcze łączyło ją ze światem *innych*. Poza tym często miała dosyć w swoim domu widzących gości.

Ściągnęła spodnie razem z majtkami, zdjęła skarpetki i stała teraz całkiem naga przed lustrem na ścianie.

Lekki przeciąg owionął jej kostki u nóg i poczuła, że dostała gęziej skórki. Dotknęła głowy, przejechała palcem wskazującym wzdłuż rowków labiryntu, który na jej życzenie fryzjer wyfrezował na ogolonej czaszce. Potem pozwoliła, aby ręka ześlizgnęła się z potylicy na szyję, i wyczuła podrażnienie wytatuowanej skóry. Podeszła bardzo blisko lustra, jak zawsze mając głupią nadzieję, że zobaczy przynajmniej zarys swojej postaci, tylko jeden jedyny raz, tylko przez ułamek sekundy, żeby mogła zrewidować obraz, jaki codziennie stwierdzała dotykiem.

Wiedziała, że jej piersi były za małe jak na gust większości mężczyzn, za to były twarde i nie potrzebowały biustonosza. Wydawało się, że brodawki wyrównywały ten mankament, ponieważ wszyscy jej dotychczasowi kochankowie spędzali pół wieczności na ich głaskaniu, ściskaniu albo ssaniu. Mężczyźni i kobiety. Dobrze, że była to również jej najbardziej erogenna strefa, pomijając

stopy.

Ręka Aliny ześlizgnęła się na brzuch, pogłaskała piercing w pępku i powędrowała do bioder.

- Gdybyś była samochodem, byłabyś mustangiem rocznik sześćdziesiąt osiem - zażartował kiedyś John. Często chodziła przy nim nago po mieszkaniu po prostu dlatego, że lepiej czuła się bez ubrania, a przed Johnem nie musiała udawać. - Kanciasta i zwarta, ale zawsze elegancka.

Nie wiedziała, jak wygląda ten samochód, lecz odebrała to jako komplement, zwłaszcza że dawniej jej ojciec zawsze jeździł fordem.

Ach, John.

To głupie, że właśnie pojechał na urlop z przyjacielem. Na dodatek na wycieczkę z plecakiem do Wietnamu, dokąd nie mogła po prostu zadzwonić, żeby wypłakać mu się do ucha. Zastanawiała się, która teraz godzina w Nowym Jorku, gdzie mieszkał Ivan, była ciekawa, jak zareagowałby na telefon od starszej siostry. Kiedy przeniosła się z USA do Niemiec, nie zrobili nic, aby utrzymać ze sobą kontakt. Kochali się, to nie ulegało wątpliwości, a doroczne kartki na urodziny i Boże Narodzenie były wyrazem potrzeby serca.

Ale pozostawały jedynymi oznakami życia, którymi się jeszcze wymieniali.

Nic dobrego z tego nie wyniknie, jeśli podzielę się horrorem, który właśnie przeżywam.

Alina odwróciła się od lustra. W markecie budowlanym wybrała najsilniejsze lampy halogenowe. Kiedy John u niej nocował, zawsze skarżył się na „reflektory używane podczas przesłuchania”. U niej natomiast lampy wywoływały jedynie blade wspomnienie światła. Były też dużą pomocą w orientacji, kiedy malując się, podchodziła za blisko lustra. Najlepsza przyjaciółka pokazała jej, jak się to robi, na co dzień nie radziła sobie tylko z tym przeklętym malowaniem oczu.

Schyliła się, żeby zebrać zdjęte części garderoby, i weszła do wanny. Kiedy puściła wodę, wyszukała czytnik do rozpoznawania kolorów, aby sprawdzić, czy dziś rano włożyła kolorowy, czy biały T-shirt.

- Biały - powiedział dźwięczny elektroniczny głos. Mały aparacik, który wystrzeliwał promień światła na ubranie i na podstawie odbicia określał kolor, był oprócz internetu jednym z najlepszych wynalazków.

Przynajmniej dla niewidomych, którym nie było obojętne, czy ich biała bluzka ma zielony odcień, ponieważ znowu wpakowało się do pralki kolorowe rzeczy razem z białymi.

Kiedy upewniła się i wrzuciła skarpetki oraz majtki do właściwego kosza obok sedesu, wyszła do przedpokoju i zamknęła za sobą drzwi do łazienki. W drodze do kuchni, gdzie chciała napełnić miskę TomToma dwiema garściami suchej karmy, słyszała tylko stłumiony szum wody, która z grzmiotem leciała do wolno stojącej emaliowanej wanny.

Ale nie dane jej było tam dotrzeć. Dwa kroki dalej nadepnęła na coś ciepłego.

Coś miękkiego.

- Co jest? - zapytała i szturchnęła retrievera końcami palców u nogi. TomTom nie ruszył się z miejsca nawet na centymetr, tylko jeszcze bardziej naprężył ciało.

- Co z tobą?

Alina zrobiła krok w prawo, żeby go wyminąć, pies zrobił to samo.

- Nie jesteś głodny?

Nachyliła się do niego i chciała złapać za pysk, ale inaczej niż zwykle nie polizał jej ręki.

- O co ci chodzi?

On jest zdrętwiały. Skoncentrowany. Nic nie jest w stanie odwrócić jego uwagi. Ponieważ...

Alinie zrobiło się zimno.

TomTom był wytresowany, żeby chronić swoją panią przed wypadkami. Częścią kosztującego dwadzieścia tysięcy euro szkolenia było osłanianie Aliny przed niezabezpieczonymi miejscami, które mogły stanowić dla niej zagrożenie, przeszkodami, wybojami, wejściami do metra, otwartymi szybami.

Ale na drodze do mojej kuchni nie ma nic takiego.

- Dość już, daj mi przejść - powiedziała i chciała odepchnąć go na bok. Wtedy TomTom zrobił coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyła.

Zaczął warczeć.

Groźny odgłos zmieszał się z monotonnym szumem wody i stworzył prawie hipnotyczną atmosferę.

Do diabła, co tu się dzieje? Ciało Aliny naprężyło się jak ciało TomToma.

Ponieważ nagle poczuła to, co jej pies widocznie czuł już od dawna, mianowicie, że znany zapach mieszkania się zmienił. Teraz wzbogacił się o męską nutę.

Cynamon. Goździki. Alkohol.

O mocny płyn po goleniu starszego mężczyzny.

- Halo? - rzuciła pytanie w szumiącą ciszę. Kiedy poczuła lekki podmuch koło ucha, prawie zwymiotowała ze strachu.

- Dość tej zabawy - wyszeptał jej do ucha zmieniony głos.

Mężczyzna, który zjawił się jak duch, niemal pieszczotliwie, przez co sytuacja wydawała się dużo gorsza, położył rękę na jej nagim ramieniu. Jednocześnie poczuła zimny kawałek metalu na policzku.

Odwróciła się raptownie, uderzyła w próżnię i poczuła się bezradna. Nabrała głęboko powietrza, aby móc krzyknąć. Dalej waliła rękami w próżnię, odwróciła się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara i straciła równowagę. Potknęła się i straciła ciężki wazon z komody. Szkło ołowiowe całą siłą spadło z wysokości metra na jej stopy i wywołało jej następny przeraźliwy krzyk. Równocześnie z nadejściem niesamowitego bólu jej oczy wypełniło światło.

Jasność. Jak błyskawica. Jak prześwietlone zdjęcie...

I wtedy upadła.

Na podłogę.

I doznała wizji.

W pokoju jest ciemno, kobieta nie jest sama. Słysząc oddechy na łózkach obok. Oprócz niej i chorej kobiety w pokoju przebywa co najmniej jeszcze jedna umierająca osoba.

Śmierć.

To nie ulega wątpliwości.

Zapach środków dezynfekujących nie tłumi perfum śmierci, ekstraktu z nieświeżego oddechu, odleżyn i wodnistych wydzielin.

- To znowu ja - słyszy szepczący męski głos.

Szybki, zdyszany. Zachrypnięty.

Kobieta, która ma oczy jej matki, a mimo to jest kimś obcym, nie reaguje. A jeśli ma na twarzy przezroczystą maskę ?

Cień, którego Alina nie potrafi zinterpretować, prawdopodobnie dlatego, że nie zna tego zjawiska. Bo mimo że ma trzydzieści lat, nigdy go nie widziała albo nie może sobie przypomnieć.

W pokoju coś piszczy jak natrętny elektroniczny budzik, którym nikt się nie przejmuje.

Za jej plecami skrzypią drzwi i robi się jaśniej. Ktoś klaszcze w dłonie.

- To wspaniale, że pani znów do nas zajrzała - w pokoju rozlega się kobiecy głos. Potem cień przemyka za nią do drugiego łóżka.

Szelest. Powiew powietrza wywołany podniesieniem kołdry. Trzepanie poduszek. Czyjeś jęczenie.

Alina chwyta leżącą na łóżku dłoń. Wyschnięta szara skóra na białym wykrochmalonym płótnie.

Klatka piersiowa kobiety na szpitalnym łóżku powoli unosi się i opada. Niekiedy, tak się wydaje, serce zastanawia się, czy chce jeszcze bić.

Wtedy kobieta pochyła się, odgarnia staruszce kosmyk włosów z czoła i całuje ją.

Zanim odchodzi, ostatni raz ściska jej rękę.

I wtedy, mniej więcej w chwili kiedy w oddali rozlega się alarm przeciwpożarowy, kobieta odwraca

się do szajki nocnej i widzi mały kwadratowy przedmiot.

Ramkę ze zdjęciem.

Osoba na zdjęciu nie jest ani ojcem, ani matką, a więc to może być tylko dziecko. Chłopiec albo dziewczynka. Cienia na fotografii nie da się zidentyfikować. Kobiecie udaje się rozpoznać na niej tylko oczy. Dokładniej mówiąc oko.

Drugie jest zasłonięte.

Albo w ogóle go nie ma.

Kobieta odwraca się, patrzy na otwarte drzwi, a syrena alarmowa wyje coraz głośniej. Jednocześnie świat wokół niej ciemnieje...

A błyskawice znów stają się czarnymi plamami. Obrazy stają się wszechogarniającą czernią...

... w której Alina ponownie się budzi. Obudzona alarmem galerii, sześć pięter pod nią. I wściekłym łomotaniem do drzwi mieszkania.

(jeszcze 8 godzin i 17 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Alexander Zorbach (ja)

Otworzyła mi dosłownie w ostatniej chwili. Jeszcze moment, a ciężki przedmiot wyslizgnąłby mi się z zakrwawionych rąk. Szedłem po schodach, przeceniłem swoje siły, zarówno jeśli chodziło o kondycję, jak i ciężar urządzenia, które ukradłem z galerii.

Alina drżała na całym ciele, kiedy wpuściła mnie bez słowa.

- Co się stało? - zapytała monotonicznie, kiedy już odłożyłem nagrywarke DVD. To samo pytanie mogłem zadać równie dobrze jej.

Wystarczająco frapujące było to, że stała naprzeciw mnie nagusienka, jak ją Pan Bóg stworzył, i nie wyglądało na to, żeby zamierzała czymś się okryć. Na dodatek nie miała już włosów, ale wyjaśniała to peruka leżąca na komodzie przy drzwiach. Jednak o wiele bardziej poruszający wydał mi się strach, który wydzielał się z niej wszystkimi porami ciała. Szybko oddychała, jej ręce luźno zwisały i nie potrafiła opanować drżenia dłoni. Dopiero co przykładała tak dużą wagę do mimiki, a teraz jej twarz przypominała maskę. Płakała, po jej policzkach spływały grube, zmieszane z tuszem do rzęs łzy, co jeszcze potęgowało wrażenie, że mam przed sobą płaczącą lalkę.

Instynktownie chciałem ją przytulić, ale Alina odsunęła się ode mnie.

- Nie dotykaj mnie - wyszeptała cicho i uniosła dłonie w geście obronnym.

- Co się dzieje?

Dopiero znacznie później zorientowałem się, że w tym momencie przeszliśmy na ty.

- On tu był.

- Kto?

- No a któż by?! - wrzasnęła na mnie i prawie się ucieszyłem, że była zdolna do takiego wybuchu. Jaskrawa wściekłość była zawsze lepsza niż blady strach. - Ten zasraniec miał nóż, którym... - Nie dokończyła, nie było to konieczne.

Mój wzrok wędrował po jej nagim ciele, aby sprawdzić, czy kolekcjoner oczu jej nie zranił, ale zobaczyłem jedynie trochę za smukłą, mimo to niewieścią sylwetkę młodej kobiety, którą w innych

okolicznościach na pewno uznałbym za atrakcyjną. Nie, którą nawet w tych okolicznościach uznałem za atrakcyjną. Jednak natychmiast wyparłem tę myśl.

- Gdzie on jest? - zapytałem i chciałem przejść przez przedpokój, aby sprawdzić pozostałe pomieszczenia. Przeklęty alarm na zewnątrz nareszcie się wyłączył.

- Nie trudź się - powiedziała Alina za moimi plecami.

- Już go tu nie ma. - Założyła ręce na piersiach, jednocześnie zakryła dłonią dziwny tatuaż na szyi, który w półmroku, jaki panował w przedpokoju, wyglądał jak duże znamię.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Ponieważ TomTom przestał reagować. - Spojrzałem w kierunku, gdzie, jak się domyślałem, była łazienka, w której głośno szumiała woda. Pies leżał przed nią w pozycji podobnej do sfinksa i uderzał ogonem o parkiet na powitanie.

- Już nie wyczuwa niebezpieczeństwa. Poza tym drzwi balkonowe są otwarte, myślę, że ten łajdak zszedł po drabinie przeciwpożarowej.

Podszedłem do drzwi łazienki, przez które do przedpokoju przenikały kłęby gorącej pary wodnej, i próbowałem coś dostrzec we mgle.

Nic.

Oprócz prawie pełnej emaliowanej wanny nie było tam nic niezwykłego.

Zakręciłem kran i oparzyłem się w rękę przy próbie wyjęcia korka. Wychodząc, zobaczyłem przybory do makijażu stojące przed jasno oświetlonym lustrem, ale teraz nie miałem czasu, żeby się dziwić.

- Czego chciał? - zapytałem.

- Namawiał mnie, żebyśmy przestali.

Krótko streściła, co ją tak zszokowało kilka minut temu.

- Powiedział *dość tej zabawy*, na pewno miał na myśli swoją chorą grę w chowanego. - Przerwała.
- A ty? Dlaczego wróciłeś?

- Potrzebuję twojego telewizora.

Nadstawiła w moim kierunku prawe ucho. Gest mający zapewnić, że poświęca mi całą uwagę.

- Po co?

Opowiedziałem jej o kamerze w galerii sztuki.

- Filmuje każdego, kto wychodzi z twojego domu - zakończyłem.

- I co?

- I jest połączona z nagrywarką DVD. - Bezmyślnie pokazałem na przedpokój, gdzie postawiłem urządzenie na komodzie. - Na jednej płycie można zapisać do dwudziestu czterech godzin obrazu, a być może więcej.

- Cholera, chyba nie mówisz, że to ty uruchomiłeś alarm na dole?

- Czego to nie można zrobić zwykłym brukowcem -spróbowałem zażartować. - Chodź już, to zaledwie kwestia minut, kiedy policja połączy jedno z drugim i zadzwoni do twoich drzwi.

Potrząsnęła głową, odetchnęła głęboko i wydawało się, że opadł z niej kolejny kawałek napięcia.

I choć prawdopodobnie sama przed sobą nie przyznawała się do tego, ja jednak czułem, że moja obecność trochę ją uspokoiła.

- Muszę być pieprznięta - powiedziała, ale ruszyła się z miejsca.

Poszedłem za nią, potem pośpiesznie wróciłem do komody i chwyciłem ciężkie pudło. Rana cięta, którą odniosłem, wybijając okno wystawowe, już nie krwawiła.

Przeszliśmy przez niespodziewanie jasno oświetlone mieszkanie wzdłuż poręczy obok łazienki do salonu z aneksem kuchennym. Dopiero teraz zauważyłem, że apartament miał dwa poziomy.

Szybkimi pewnymi krokami Alina ominęła kręcone schody i otworzyła drzwi salonu wychodzącego na podwórze.

TomTom powlókł się za nią, ale położył się w salonie obok tapczanu.

- Nie chcesz czegoś na siebie włożyć? - zapytałem, kiedy stanęliśmy w pokoju, który bez trudu można było uznać za sypialnię. Również tutaj dziwiła mnie duża liczba luster, jedno wisiało nawet na suficie.

- Po co? - zapytała i spokojnym krokiem podeszła do dużego telewizora stojącego naprzeciwko łóżka.

- Jesteś naga - powiedziałem i pomyślałem w duchu: *A ja jestem tylko mężczyzną.*

- Ogrzewanie jest włączone - odparła lakonicznie.

Schyliła się, żeby odłączyć kabel od odtwarzacza DVD, i przez chwilę nie wiedziałem, gdzie powinienem skierować wzrok, jeśli nie chciałem czuć się jak podglądacz. Zazwyczaj nie pociągały mnie ani piercingi, ani tatuaże, a ogolone do gołej skóry głowy, nawet jeśli były pokryte wzorem przypominającym labirynt, nie zajmowały wysokiego miejsca na mojej skali upodobań.

Kiedyś Charlie chciała mi wytłumaczyć, jak bardzo związane są ze sobą seks i ból, ale nigdy nie potrafiłem pojąć tych sadomasochistycznych teorii. Być może miała rację i na końcu był nie tylko ból, lecz nawet śmierć, do której prowadziło silne pożądanie seksualne. Inaczej nie umiałem wytłumaczyć sobie faktu, dlaczego właśnie w tej chwili zapragnąłem dotknąć nagiej skóry Aliny,

choć moje zmysły z całą pewnością były nastawione na ucieczkę przed perwersyjnym seryjnym mordercą.

I ucieczkę przed policją.

Nie był to z pewnością rozsądek, lecz smutne wspomnienie Charlie, które przypomniało mi, na czym powinienem skoncentrować się w następnej kolejności.

Alina znów wstała i oddała mi do dyspozycji telewizor. Podłączenie nagrywarki zajęło mi zaledwie kilka sekund.

- Musiałeś zbić szybę w galerii? Przecież to własność tych sympatycznych artystów.

Alina dała mi pilota i włączyłem AV

- Nie miałem wyboru. Wcześniej zadzwoniłem do Stoi i zapytałem go, czy miałby chęć obejrzeć wideo, na którym, być może, widać kolekcjonera oczu.

- I co?

Westchnąłem.

- Nie chciał marnować czasu na moje próby odwrócenia jego uwagi.

Spojrzałem do góry na Alinę, która siedziała teraz na brzegu łóżka. Była tak szczupła, że na jej brzuchu nie dostrzegłem żadnych fałd, chociaż nie była całkiem wyprostowana.

- A więc muszę sam to sprawdzić. Kiedy ten łajdak miał wczoraj u ciebie zabieg?

Kolekcjoner oczu.

- Zaraz po trzeciej.

- A kiedy się go pozbyłaś?

- Kilka minut później.

- Tak po prostu wyszedł?

- Tak, też mnie to zdziwiło. Na pewno musiał coś zauważyć. Człowieku, miałam takiego pietra, kiedy wizja nagle się urwała. Powiedziałam coś o ataku migreny i poprosiłam, żeby sobie poszedł. Zrobił to bez chwili namysłu. Śmieszne, prawda? Nawet nie chciał zwrotu pieniędzy.

Ustawiłem timer płyty na 15.00 w nadziei, że nie przeskoczyłem z a daleko ani nie stracę zbyt wiele czasu na niepotrzebne ujęcia.

15.10?, zastanawiałem się. O tej porze wygodnie rozsiadłem się na tylnym siedzeniu mojego volvo na redakcyjnym parkingu. Właściwie miała to być tylko krótka drzemka, ale brak snu w ostatnich dniach tak mnie wykończył, że spałem aż do kolegium, które zaczęło się o 17.00.

Znalezienie decydującego miejsca zajęło mi zaledwie kilka minut. Na szczęście nagrywarka nie zapisywała na okrągło, lecz tylko to, co kamera rzeczywiście uchwyciła. Co prawda wciąż nie rozumiałem, co ta instalacja miała wspólnego ze sztuką, ale postanowiłem w duchu, że wyrównam galerii wszystkie szkody, jeśli tylko będę w stanie to zrobić.

Jeśli w ogóle będę w stanie kiedykolwiek to zrobić.

Wpatrywałem się w ekran przed sobą z niedowierzaniem i szeroko otwartymi oczami. Dopiero kiedy odezwała się Alina, zorientowałem się, że od dłuższego czasu musiałem siedzieć przed telewizorem nieruchomo jak kukła.

- I co? - zapytała. - Co widzisz?

Cholera. To nie może być prawda.

Miałem sucho w ustach, kiedy szukałem przekonującej odpowiedzi.

- Rozpoznajesz coś?

- Tak - wychrypiałem, a jednocześnie wcale nie chciałem wyjawić jej prawdy. - Nie... Sądzę... Nie wiem - dukałem bezradnie, ale było to kłamstwo. Oczywiście, że coś rozpoznałem. Jednak w tej chwili nie mogłem powiedzieć Alinie, co to było. Pierwszy raz byłem wdzięczny za jej ślepotę. Ponieważ dzięki temu nie mogła zobaczyć, że facet w zielonej wiatrówce i rozczłapanych butach firmy Timberland, widoczny właśnie na ekranie telewizora, był bardzo podobny do mężczyzny, którego znałem.

Którego *bardzo* dobrze znałem.

Ponieważ tym mężczyzną byłem ja sam.

Minęła dobra chwila, zanim się opanowałem. Zanim przestałem słyszeć szum krwi w żyłach i wróciło mi czucie w palcach.

- Nie mogę rozpoznać twarzy - powiedziałem, co zresztą było zgodne z prawdą. Mężczyzna naśladował mój chód z lekko pochylonym do przodu tułowiem i styl ubierania, miał naciągnięty na głowę kaptur wiatrówki.

Coś, czego nigdy bym nie zrobił. Nawet na deszczu!

Próbowałem zobaczyć inny fragment filmu, w tym celu przewinałem obraz do przodu, potem ponownie go cofnąłem, lecz nie znalazłem lepszej perspektywy. Nie można było stwierdzić, czy mężczyzna miał mój wzrost i moją posturę, ponieważ był za bardzo oddalony od okna wystawowego.

Ale ma na sobie moją kurtkę. Moje dzinsy. Moje buty.

Poczułem ciężar w żołądku. Widok niewyraźnej postaci wywołał niepokojące *déjà vu*.

- Nie mam pojęcia, kto to jest - dodałem i poczułem się, jakbym popełnił krzywoprzysięstwo.

- Ale to dowodzi, że on tu był - powiedziała Alina. Albo zrobiło jej się zimno, albo zmieniła zdanie z innego powodu. W każdym razie stała teraz przed otwartą szafą i spokojnymi, równomiernymi ruchami wyjęła kilka sztuk ubrania.

- Nie, to dowodzi jedynie, że o tej godzinie *ktoś* wyszedł z twojego domu.

Przewinałem obraz dalej do przodu w nadziei, że mężczyzna popełnił błąd i przez pomyłkę odwrócił się do kamery. Sprawa miała się wręcz przeciwnie. Prawdopodobnie, żeby śnieg nie wiał mu w twarz, dalej szedł z pochyloną głową i patrzył pod nogi. Ale wtedy, na krótko zanim zniknął z pola widzenia kamery, coś się stało.

Zderzenie.

Ponieważ mężczyzna nie patrzył ani na prawo, ani na lewo, nie zauważył sztywnego pudła, własności bezdomnego, które stało ukośnie na chodniku. Najwidoczniej mężczyzna wpadł na nie, ponieważ rozsypało się kilka monet, a na ekranie pojawił się wściekły, chudy, wyniszczony młody człowiek.

- Twój pacjent ma sprzeczkę z bezdomnym - wyjaśniłem Alinie.

- Ten bezdomny, jak on wygląda? - zapytała.

- Średniego wzrostu. Czarne włosy, pozlepiane w strąki, nie za wiele tych włosów. I trzyma w ręku

gitarę.

- Znam go.

Odwróciłem się do niej.

- Kto to jest?

- Uliczny grajek. Gra tutaj co drugi dzień. Zawsze coś mu daję, chociaż nigdy nie słyszałam, żeby ktoś był tak na bakier ze śpiewem.

- Masz drukarkę? - zapytałem i w następnej chwili zezłościłem się z powodu durnego pytania.

- Nie. I do mojej kolekcji brakuje mi jeszcze Playstation.

Oboje się uśmiechnęliśmy. Przynajmniej Alina potraktowała to z humorem. Wyjąłem komórkę z kieszeni kurtki, ponownie włożyłem baterię, ale włączyłem w telefonie tryb samolotowy, żeby nie mógł zalogować się do sieci i nie zdradził Stoi mojej pozycji.

Jeśli nie znali jej już od dawna.

Potem sfotografowałem obraz na ekranie. Po trzech próbach miałem do pewnego stopnia udane zdjęcie ulicznego grajka i jedno nieznanego sobowtóra.

- Skończyłeś? - usłyszałem za plecami pytanie Aliny. Kiedy się odwróciłem, znów była całkowicie ubrana. Miała na sobie džinsy z naszytymi skórzanymi łatami i flanelową koszulę w czerwono-brązową kratę, którą związała na brzuchu. Całość uzupełniały pasujące do nowego stylu podarte na strzępy kowbojskie buty ze zdartymi obcasami, które wyglądały, jakby były o numer za duże.

- O nie. Nie chcę cię w to dalej wciągać - powiedziałem trochę zmieszany jej zewnętrzną przemianą. Z szarej myszki przeobraziła się w nonszalancką country girl.

- Nie pleć bzdur. Myślisz, że zostanę tutaj sama?

Pewnym krokiem przeszła z sypialni przez długi przedpokój do drzwi wyjściowych tak szybko, że z trudem za nią nadążałem.

- TomTom, chodź, musimy jeszcze raz wyjść! - zawołała, kiedy dotarła do wieszaka na ubrania. Nie zważając na mój sprzeciw, otworzyła komodę i zręcznie grzebała po omacku wśród stosu peruk. Szybko zdecydowała się na krótkie blond włosy z zaczesaną na bok grzywką.

Kiedy kilkoma wprawnymi ruchami nałożyła TomTomowi szory, chwyciła podszytą futrem sztruksową kurtkę, podeszła do drzwi i otworzyła je. Ponieważ wykonywała te wszystkie czynności, mając przez cały czas zamknięte oczy, wyglądała jak lunatyczka.

- Przecież to szaleństwo - powiedziałem raczej do siebie niż do niej.

- Być może. - Włożyła kurtkę i podniosła kołnierz. - Ale jeśli będziemy tu dłużej sterczeć, zjawi

się policja. - Kiedy wyszła na korytarz, trzymając TomToma na sztywnej smyczy, czujnik ruchu automatycznie włączył jaskrawe światło pod sufitem. - A wtedy już nie będę mogła zaprowadzić cię do ulicznego grajka, którego przed chwilą widziałeś.

(jeszcze 7 godzin i 31 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Alexander Zorbach (ja)

Jakiś niedorozwinięty umysłowo doradca od PR-u musiał kiedyś wmówić Paris Hilton, że do zdjęć powinna zawsze ustawiać się profilem, wystawiać brodę i ze sztucznym kokieteryjnym spojrzeniem uśmiechać się do obiektywu. Barman, który nieufnie wpijał się w nas wzrokiem, odkąd weszliśmy do jego wyludnionej knajpy, stał za kontuarem w podobnej pozie: podparty prawą ręką, z tułowiem ustawionym równolegle do lady i głową odwróconą o dziewięćdziesiąt stopni. Nosił bezramkowe okulary, które zsuwały mu się z nosa, co jeszcze wzmacniało wrażenie, kiedy popatrzył na nas z góry.

- Halo, Paris - powiedziałem na powitanie i zorientowałem się, że kiedyś stać mnie było na lepsze żarty na rozładowanie atmosfery. Barman nawet nie mrugnął powieką i zwątpiłem, czy w ogóle zna dziedziczkę sieci hoteli.

Alina, która widocznie orientowała się w tej ciemnej mordowni, wymacała ręką stołek i usiadła. Chciałem przełamać lody, więc najpierw zamierzałem zadbać co nieco o obroty knajpy, ale zanim zdążyłem coś zamówić, barman już otworzył usta:

- Powiem wam, czyja to wina, że świat schodzi na psy.

Okay, to powitanie wcale nie jest lepsze od mojego, pomyślałem,

lecz się przymknąłem.

Z doświadczenia wiedziałem, że nie należy przerywać gospodarzowi, kiedy chce się wyciągnąć od niego jakąś informację, nawet jeśli jego paplanina to same bzdety.

- Moda - wyjaśnił nam i znacząco skinął głową. Jego szklisty wzrok spoczął na kowbojskich spodniach Aliny. - To ta przeklęta moda nas zrujnowała.

- Aha - wtrąciłem obowiązkowo, kiedy zapanowała dłuższa cisza, ale jak się obawiałem, mężczyzna wcale nie zakończył na tym swojego wykładu.

- Co to znaczy, że rzeczy wychodzą z mody? Nic innego ponad to, że wyrzucamy dobrze działające sprzęty tylko dlatego, że jest na nich jakieś niewielkie zadrapanie. - Uderzył otwartą dłońią o ladę. - Ten kontuar ma sześćdziesiąt lat. Doznał wielu uszkodzeń. Rozbijano na nim szklanki,

butelki, a kiedyś nawet czaszkę ludzką. - Zaśmiał się wyrozumiale. - Człowieku, ludzie na nim pili, tańczyli, bili się, spali i dupczyli.

Kątem oka zobaczyłem, że Alina lekko się uśmiechnęła.

- Z pewnością nie jest to najpiękniejszy kontuar w Berlinie. Ale jest całkiem w porządku. Wytrzyma jeszcze następnych sześćdziesiąt lat. Tak samo jak reszta wyposażenia.

Wykonał znany z filmów szeroki gest ręką, kiedy ojciec mówi do syna: I to wszystko będzie kiedyś należało do ciebie. Przy czym w tym wypadku „wszystko” oznaczało brudne zasłony, kilka sztuk mebli w kolorze ochry z wytartą tapicerką, zdezelowany flipper i alkohole, w sumie całość na pewno nie przekraczała wartości dwóch tysięcy euro.

- Tutaj nic nie jest zepsute. Więc dlaczego mam odnowić lokal?

Dlatego że, być może, wtedy nie byłbyś o tej porze jedynym gościem, pomyślałem, ale jednocześnie zrozumiałem, do czego zmierzał.

- *Meble w stylu lounge design, tak mi poradził suchotniczy architekt wnętrz. Klubowe sofy, na których można się wyczillować. To byłoby dzisiaj trendy.*

Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziałem taki odrażający wyraz twarzy.

- Do diabła, co w tym fajnego, kiedy człowiek pije piwo, a ktoś podstawia mu pod nos śmierdzące stopy?

Wzruszyłem ramionami i starałem się dyskretnie spojrzeć na zegarek. Knajpa była oddalona o dwie przecznice od galerii.

- Marnujemy surowce, wysysamy naszą planetę jak pasożyt swojego nosiciela, codziennie wyrzucamy rzeczy, które są w nienagannym stanie. Mój stuknięty siostrzeniec zużył przez ostatni rok trzy komórki. I kto jest temu winny?

- Moda - powiedziałem, dziękując za piłkę, którą mi podrzucił. Przyjąłem do wiadomości jego tok rozumowania, bo w gruncie rzeczy miał rację. Wysłuchiwałem jeszcze głupszych knaj pianych filozofów.

- Dobra, co wam podać? - zapytał i obdarzył nas pierwszym uśmiechem, pokazując żółte od nikotyny zęby.

- Dwa razy dzin z tonikiem - odpowiedziałem. -

I chętnie porozmawialibyśmy o tym facecie.

Barman spojrział zdziwiony na moją komórkę, którą podsunąłem mu pod oczy nad kontuarem, i poprawił okulary.

- Mam ją już ponad cztery lata - skłamałem i w ten sposób zdusiłem w zarodku wszystkie jego zarzuty.

- I ciągle robi wspaniałe zdjęcia - przytaknął z uznaniem.

Uśmiechnąłem się.

- Poznaje pan tego mężczyznę?

- Linusa? Oczywiście.

Linus? Odwróciłem się na chwilę do Aliny, zadowolony, że poszedłem za jej wskazówką.

- Nie wie pan, gdzie mogę go znaleźć?

Stary gospodarz uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Tutaj.

Wskazał głową na drzwi w najdalszym rogu ciemnej knajpy. Na drzwi, nad którymi krzyżowały się dwa kije bilardowe.

- Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli z nim chwilę porozmawiam?

- Jeśli pan musi... Ale obawiam się, że przyszedł pan za późno.

- Za późno? - Kiedy spojrzałem na barmana pytającym wzrokiem, jego śmiech znikł.

- No dobra, niech pan idzie. Tylko żeby pan potem nie mówił, że pana nie ostrzegałem.

(jeszcze 7 godzin i 26 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Tobias Traunstein (9 lat)

Kiedyś założyli się, kto dłużej wytrzyma pod wodą. Zaraz po lekcji pływania w Krummebad - właściwie musieli już być pod prysznicem - Kevin postawił swój skompletowany zeszyt Panini poświęcony mistrzostwom świata w piłce nożnej.

Tobias przełknął, chociaż miał sucho w ustach, potem łapczywie wciągał coraz bardziej rozrzedzone powietrze z otaczającej go ciemności. Pomyślał o słomce, przez którą pije się gęste koktajle mleczne. Tak męczące stało się w tej chwili oddychanie.

Poszło o zeszyt Panini!

Człowieku, jeszcze wiele brakowało mu do kompletu.

A więc założyli się wtedy i dlatego nurkowali.

On, Jens i Kevin.

Przy czym...

Właściwie trzeba by określić to inaczej. Kevin, Jens i on. Albo Jens na pierwszym miejscu.

Tylko nie osioł, pomyślał Tobias i ponownie włożył monetę w nacięcie na łepku śrubby. Osioł nigdy pierwszy się nie wrywa.

Wiedział to od pani Quandt, nauczycielki niemieckiego, z którą czytali tekst o rozbitku. Facecie, który zawsze gryzł się w język, żeby wyprodukować ślinę.

Tobias jeszcze mocniej zacisnął zęby. *Co za bzdet. To wcale nie działa.*

Musiał odkaszlnąć, przez co znów ześlizgnęła mu się ręka.

Cholerna śruba. Cholerna ciemność. Cholerna pani Quandt.

W dalszym ciągu miał sucho w ustach. Jedyne, co się zwiększyło, to ból. Język był teraz jedną raną i w dotyku przypominał kawałek skóry i huczało mu w głowie jak wtedy, kiedy o wiele za długo pozostawał pod wodą tylko po to, aby zdobyć ten głupi kolekcjonerski zeszyt.

I poszło mu tak samo kiepsko jak otwarcie tego zamka.

Naliczył już cztery obroty. A może nawet pięć. Potem wypadła mu z ręki moneta, którą poruszał śrubę w zamku, i w trakcie jej poszukiwania usnął. Teraz nie wiedział, jak długo kimał tu w tych wiecznych ciemnościach. Gdyby tak bardzo nie bolała go głowa, nie byłby nawet pewny, czy w ogóle się obudził.

Ponownie włożył monetę w nacięcie na łepku śruby i przekręcił ją o następne pół obrotu.

Gównu, dlaczego pocę się tak bardzo, że moneta ciągle wyślizguje mi się z palców, a w ustach mam sucho jak... ?

Jak co? Nagle poczuł w sobie pustkę. W głowie mu huczało i był za bardzo zmęczony, aby znaleźć odpowiednie porównanie.

Jak w dupie, chciał powiedzieć, ale nie miało to najmniejszego sensu.

Tobias wzdrygnął się, kiedy usłyszał histeryczny śmiech, aż uświadomił sobie, że był to jego własny śmiech.

Oblizął pot z górnej wargi i zrozumiał, że popełnił błąd. Tak jak w opowieści o rozbitku, który pił morską wodę i był potem jeszcze bardziej spragniony. Wtedy zastanawiał się, dlaczego człowiek na tratwie nie pił własnej krwi.

Ale prawdopodobnie był to tak samo zaszary pomysł, jak ten numer z zamkiem tutaj.

Nigdy się stąd nie wydostanie. Nigdy nie otworzy tego czegoś, w czym leży.

Cokolwiek to jest!

Udusi się i jednocześnie wypoci na śmierć.

Ha!

Tobias zachichotał. *Wypocić się na śmierć. Czadowe powiedzenie, ale mi się udało.*

Klik!

Tobias był zaskoczony.

Klak!

Potem zaskrzypiało i usłyszał ostatnie, trochę cichsze kliknięcie.

Tobias oparł się na łokciu i napałł głową na uginające się pod naciskiem ściany. Znów zgubił służącą mu za śrubokręt monetę, ale teraz nie miało to znaczenia. To nie mogło powstrzymać go od śmiechu.

Śmiechu, który nasilał się z sekundy na sekundę, wreszcie zmienił się w głośny okrzyk radości.

Udało mi się.

Najpierw to usłyszał, a teraz mógł dotknąć: kłódka była otwarta i luźno huśtała się na otwartym zawiasie. Palce Tobiasa drżały, ale tym razem się nie ześlizgnęły, kiedy uwalniał zamek, przez który przechodził haczyk, i stwierdził, że były to dwa uszka. Dwie cienkie metalowe płytki z otworami na końcach, które obracały się jak wskazówki zegara.

Od tej pory wszystko potoczyło się bardzo szybko.

Tobias zrozumiał, że ma do czynienia z zamkiem błyskawicznym, który biegnie w ścianie nad jego głową równoległe do ciała. Ponieważ taśma była schowana pod zakładką, pomyślał, że zgrubienie jest pozbawionym znaczenia szwem. Ale naprawdę było...

... wyjściem?

Wstrzymał oddech, aby zebrać ostatnie resztki sił tkwiące w jego wycieńczonym ciele.

Potem mokrymi od potu palcami spróbował pociągnąć w przeciwne strony oba suwaki zamka błyskawicznego.

Żaden problem.

Spoko, pomyślał, coraz szerzej otwierając zamek. Suwaki ślizgały się jak sanki na torze lodowym.

Tobias chciał znów świętować, ale równie szybko jak jego siły vitalne ożyły, tak znów zamarły, kiedy poczuł nad głową plastikową folię.

Dobre wiadomości, złe wiadomości. Łatwo przyszło, łatwo poszło.

Otworzył zamek błyskawiczny, lecz nie zrobioną z tworzywa przypominającego gumę zewnętrzną osłonę, w którą najwidoczniej był zapakowany. Dlatego tak brakowało mu powietrza.

Wiercił palcem wskazującym w folii, czuł, jak plastik się ugina, jednak nie mógł go rozerwać. Jak wypluta guma do żucia, którą chce się zdrapać z podeszwy buta. Guma ciągnie się i ciągnie, ale nie daje się przerwać.

Z oczu Tobiasa popłynęły łzy Szłochał i wołał matkę.

Nie tatę, tego starego dupka. Ale mamę. Mama powinna być teraz tutaj.

Siłą rozpaczy chwycił obie połówki materiału nad sobą...

To jest torba! Jestem w zamkniętej torbie.

... i szarpnął je w przeciwne strony.

Raz, drugi. Za trzecim razem krzyknął i zagłuszył tym ciche chrupnięcie.

Przeklęte gówno!

Ściany zniknęły! Nagle. Nie widział tego, nie mógł dotknąć, ale mógł powąchać. Ponieważ powietrze było...

... *inne*.

Tobias ciągle słyszał w uszach swój krzyk, tylko że teraz przy nabieraniu powietrza z jego gardła wydobywały się świszczące dźwięki.

Oparł się na łokciu. Miał oswobodzoną głowę; mógł usiąść prosto.

Łapczywie chwycił ustami powietrze, wprowadzając coraz rzadsze, lecz znacznie bardziej treściwe niż w tym czymś, w czym tkwił do tej pory.

Kiedy minęła już pierwsza euforia, poczuł się znacznie bardziej kiepsko niż jeszcze kilka minut wcześniej.

Gdzie ja teraz jestem ?

Wypełzył na czworakach z pułapki, w której się znajdował jeszcze przed chwilą.

Pierwsze więzienie miał już za sobą.

I co teraz ?

Próbował wstać, był tak wyczerpany, że utrzymał się na nogach zaledwie kilka sekund. Potem znów upadł.

Padając, zobaczył jedynie to, że ciągle nic nie widział.

Zupełnie nic. Tu, gdzie teraz był, panowała taka sama ciemność jak wcześniej.

Czarno. Nic się nie zmieniło.

Być może oprócz tego, że nowe więzienie było trochę wyższe, ponieważ mógł się całkiem wyprostować.

I ściany nie są już miękkie, pomyślał Tobias. Wtedy uderzył głową o drewnianą podłogę.

(jeszcze 7 godzin i 24 minuty

do wygaśnięcia ultimatum)

Alexander Zorbach (ja)

On nie żyje.

To była moja pierwsza myśl. Druga zmagiała się z pytaniem, dlaczego barman wszedł za Aliną, TomTomem i za mną do sąsiedniej sali bez okien i uśmiechał się pobłaźliwie, podczas gdy na jego stole bilardowym rozkładały się zwłoki.

Mężczyzna, którego szukaliśmy, leżał w poprzek na zielonym suknie, przy czym jego głowa zwisała bezwładnie z lewej bandy pomiędzy przednią a środkową łuzą. Miał szeroko otwarte oczy, a z ust ściekała mu czerwona strużka śluzu. Kałuża krwi, która rozpościerała się pod klatką piersiową, nie wyglądała na całkiem świeżą.

- Co tu tak śmierdzi? - zapytała z odrazą Alina i zakryła dłonią usta i nos.

- Nie mam pewności, wydaje mi się...

- Bardzo ładnie się rozłożył, co nie? - zaśmiał się zadowolony barman. Zrobiłem krok do tyłu i nadepnałem mu na stopy. Kiedy starałem się przypomnieć sobie, czego dotykaliśmy w tej knajpie i czy to możliwe, że obarczą mnie winą również za to morderstwo, włączyłem komórkę.

- Niczego nie dotykaj - krzyknąłem do Aliny i wystukałem kod PIN.

Właśnie chciałem zadzwonić na policję, kiedy telefon prawie wyskoczył mi z ręki.

Alarm wibracyjny zasygnalizował kilkanaście nieodebranych połączeń, w czasie gdy telefon był wyłączony, oraz jedno nowe, które właśnie nadeszło.

- Halo? Alex?

O cholera. Nicci!

Rozumie się samo przez się, że nie była to odpowiednia chwila na rozmowę z moją żoną, ale przez pomyłkę nacisnąłem nie ten klawisz, co trzeba, i teraz miałem ją na linii.

- No wreszcie, dzięki Bogu, już od kilku godzin próbuję cię złapać.

Miała wystraszony głos. Ogarnęło mnie złe przeczucie i nagle poczułem, że jestem jeszcze bardziej żalosny niż wystrój knajpy, w której się znajdowałem.

- Julian. Niedobrze z nim.

Proszę, nie.

W tej chwili wszystko inne stało się nieważne. Alina, TomTom, gospodarz lokalu, a nawet zwłoki przestają się liczyć, kiedy twoje dziecko znajduje się w niebezpieczeństwie. W pomieszczeniu na zapleczu był bardzo słaby zasięg, dlatego bez słowa wyszedłem na zewnątrz.

- Co mu jest? - zapytałem, kiedy na wyświetlaczu komórki znów pojawiły się cztery kreski siły sygnału.

- Kaszle. Boję się, że będzie gorzej.

Żołądek podszedł mi do gardła.

- Gorączka?

- Tak, tak przypuszczam.

Co to ma znaczyć? Od kiedy termometry nie mierzą już temperatury w stopniach Celsjusza, ale w przypuszczeniach?

Powstrzymałem się od kądziwej uwagi; bądź co bądź byłem osobą, która na godzinę przed urodzinami swojego syna nie była w domu, lecz spędzała czas z niewidomą kobietą, zwłokami i w oczywisty sposób całkowicie pieprzniętym gospodarzem lokalu.

- Kiedy zmierzyłam ostatni raz, miał trzydzieści osiem i dziewięć - powiedziała.

- To jeszcze nic strasznego - odrzekłem z ulgą. Tylko trochę więcej niż podwyższona, ale dużo mniej niż wysoka gorączka.

- Czy powinnam wezwać pogotowie? - Nicci zaskoczyła mnie rozsądnym pytaniem.

Usłyszałem, że w pomieszczeniu obok Alina coś mówi. Potem znów zaśmiał się barman.

- Tak, zrób to - poprosiłem ją, chociaż szczerze mówiąc, uważałem to za przesadę. Ale zawsze lepiej się upewnić. - Tylko proszę, nie bierz prywatnego. Oni zawsze przysyłają jakiegoś bałwana, który na początek proponuje akupunkturę.

Powoli się uspokajałem. Julian był chory, jednak nie brzmiało to groźnie, a jego matka wyjątkowo nie chciała skorzystać z pomocy bioenergoterapeuty.

- Co masz przeciwko akupunkturze? - zapytała.

- Nic. Po prostu nie jest moim pierwszym wyborem przy ostrej infekcji.

Albo cokolwiek to jest, na co Julian już od dawna choruje.

Głos mi drżał, ale wydawało się, że Nicci nie usłyszała w nim wściekłości. Powoli wracał do mojej świadomości zmarły, którego znaleźliśmy w bocznym pomieszczeniu.

- Ach, Zorro - powiedziała Nicci, używając pieszczotliwego imienia, którego już od dawna nie słyszałem z jej ust.

- Nie masz większych problemów? - Westchnęła. - Właściwie dlaczego zawsze jesteś taki zgorzkniały, kiedy ze sobą rozmawiamy?

Nie mam większych problemów? Z wściekłością przełożyłem telefon do drugiego ucha. Chcesz wiedzieć, jaki mam problem? Okay powiem ci.

- Chwilowo jestem trochę wkurzony, mała, ponieważ właśnie tropię jednego zbrojnego, który, jak się wydaje, chce zrzucić na mnie winę za popełnione przez siebie morderstwa. A jedynym świadkiem, który może potwierdzić moją niewinność, jest niewidoma kobieta twierdząca, że widzi przeszłość. To jest mój problem.

Pomijając zwłoki w stanie rozkładu, które znajdują się kilka metrów ode mnie w pokoju bilardowym.

Ponownie spojrzałem na drzwi. Gospodarz nie poruszył się ani o krok, co oznaczało, że w tym czasie nie mógł zbliżyć się do Aliny

- Niewidoma?

Zamknąłem oczy. Jak mogłem być taki głupi, żeby poruszyć właśnie ten temat. Równie dobrze mógłbym podarować Nicci bilet wstępu na targi ezoteryczne. Skoro już rozbudziłem jej ciekawość, zaczęła wiercić mi dziurę w brzuchu.

- Ona jest medium, tak?

- Zapomnij, co powiedziałem.

Podszedłem do drzwi wejściowych i zamknąłem je na łańcuch, żeby następni goście nie mogli wejść do tego zwariowanego przybytku.

- Posłuchaj, Zorro. To bardzo ważne, słyszysz?

- Skarbie, nie mogę teraz dłużej rozmawiać!

W bocznym pokoju upadł na podłogę kij bilardowy, potem usłyszałem, jak Alina coś mruczy, podczas gdy Nicci powiedziała:

- Wiem, że w to nie wierzysz. W rzeczy, których nie umiemy wytłumaczyć. I nie ma w tym nic złego. Ale...

- Naprawdę muszę teraz...

Zajrzałem do pokoju bilardowego, gdzie barman zniknął z mojego pola widzenia.

- Musisz trzymać się od niej z daleka.

- Co? Dlaczego?

Teraz nic już nie słyszałem, ani Aliny, ani gospodarza, za to dobiegło mnie długie charczenie z okolicy baru. Ruszyłem w tym kierunku.

- Mówiłam ci to już tysiąc razy - usłyszałem jeszcze słowa Nicci, jej głos był zniekształcony dźwiękami w tle. Przypominającymi złowróżbną filmową muzykę, która towarzyszy aktorowi, gdy zbliża się niebezpieczeństwo.

Tylko że ja nie jestem aktorem.

- Przyciągasz zło. Jeszcze niedawno tylko o tym pisałeś, a teraz jest tak z tobą...

Rzeczywiście. Tak ze mną jest. Właśnie tutaj...

- ... i to cię zniszczy, Alex. Niewidoma, nie znam jej, ale czuję, że ona wciąga cię w coś, z czego już się nie wyplącesz, rozumiesz mnie?

- Tak - powiedziałem. Z jednej strony dlatego, że w jakimś sensie miała nawet rację, bo rzeczywiście czułem się jak tonący, który im bardziej wierzga nogami, tym głębiej i głębiej zapada się w bagno. Z drugiej strony, musiałem wreszcie skończyć tę rozmowę.

- Trzymaj się z daleka od wszystkich negatywnych energii. Nie wywołuj zła, bo któregoś dnia ono cię zniszczy. Lepiej wróć do domu - na urodziny Juliana.

Tymi słowami Nicci zakończyła rozmowę i zostawiła mnie samego z obłędem, który nazywał się moim życiem.

Z Aliną, TomTomem, gospodarzem.

I martwym mężczyzną, który zrobił do mnie oko, kiedy wszedłem do sali bilardowej.

- Czechcemnie?

Zmarły, który jeszcze niedawno ze złamanym karkiem i z kałużą krwi pod piersią leżał na suknie, siedział teraz wyprostowany na krawędzi stołu bilardowego i gadał. I robił rzeczy, które zamordowani zazwyczaj sobie darują. Na przykład oddychanie i mówienie, choćby nawet niezrozumiałym językiem.

- Niemowyspoko!

Mój wzrok powędrował do Aliny. Przysunęła sobie krzesło i teraz siedziała na nim kilka kroków od stołu bilardowego. TomTom leżał przy jej stopach i ziewał. Parę sekund później Linus robił to samo co pies.

- Myślałem, że on... - Zaciąłem się i przetarłem oczy Nagle znów rozboleła mnie głowa, tym razem jeszcze bardziej niż wcześniej. Chociaż prostokątna lampa z koronkową zasłonką wisząca nad stołem bilardowym dawała niewiele więcej światła niż świeca, poraziła mnie, kiedy popełniłem błąd i spojrzałem na nią.

- Myślałem, że on nie żyje - udało mi się dokończyć zdanie. Kiedy popatrzyłem na barmana, przed oczami tańczyły mi kolorowe kręgi światła.

- Nie żyje? Bzdura. Linus zawsze śpi z otwartymi oczami. To nie jedyny jego feler, jak z pewnością zauważyłeś.

Skinąłem głową i przesunąłem ręką po suknie, kiedy okrążałem stół.

Stopniowo stawało się dla mnie jasne, że w zdenerwowaniu całkowicie błędnie zinterpretowałem znaki. Plama była już stara i przypuszczalnie pochodziła z wylanego piwa, a być może z innego płynu ustrojowego, ale z pewnością nie była to krew z ciała Linusa, ponieważ to było nieuszkodzone. A krwawa ślina brała się z poważnego, lecz w żadnym razie nie śmiertelnego problemu z dziąsłami zaniedbanego ulicznego grajka. Co się tyczy obecnego w pomieszczeniu odoru gnicia, to wydawał się on normalnym zapachem jego ciała. Mieszanka odchodów, moczu, potu i brudu. Atrybut życia na berlińskich ulicach.

- Coje guzszuk? - wybełkotał Linus i zrobił zdziwioną minę, kiedy stanąłem przed nim.

Patrzyłem na wyniszczoną twarz, szukałem kontaktu wzrokowego z jego oczami, które były prawie tak samo zmętniałe jak oczy Aliny, i zrozumiałem, dlaczego ciągle zdarza się, że przez pomyłkę uważa się ludzi za martwych. Zaledwie dwa miesiące temu pisałem o kobiecie, która w popłochu uciekła z oddziału patologii szpitala Charite.

- Co mu jest? - zapytałem.

- Już mówiłem to pana towarzysze - powiedział gospodarz, który, jak się wydawało, chętnie opowiedziałby tę historię jeszcze raz. Najwidoczniej lubił mieć publiczność.

- Kiedyś Linus był numerem jeden. Grał z różnymi zespołami, ponoć nawet na starym Wembley.

Linus przytaknął aprobowająco, jak to robią ludzie, którzy rozmawiają o dawnych czasach, kiedy dobrze im się wiodło.

- Mówi się, że jego menedżer całkiem go oskubał. Płacił mu prochami zamiast gotówką. Ostatecznie biedak nie tylko poszedł z torbami, ale całkiem zwariował. Kiedyś za bardzo dał sobie w żyłę albo łyknął za dużo proszków i odjechał zaraz po koncercie. Od tamtej pory gada tylko swoim językiem.

- Kurczehce, ha? - wybełkotał Linus jak na potwierdzenie.

- W każdym razie przez jakiś czas był w psychiatryku. Wyszedł stamtąd jeszcze bardziej porąbany, niż był wcześniej, może mi pan wierzyć.

Podszedłem do Linusa, który ciągle siedział wyprostowany na stole bilardowym, chociaż niebezpiecznie się kiwał.

- Słyszysz mnie? - zapytałem.

Uniósł ramiona.

No dobrze. Nic mi nie robi, najwyżej plunie w twarz.

Zaryzykowałem i pokazałem mu zdjęcie w komórce. Ujęcie, na którym zderzył się z nieznanym mężczyzną.

- Pamiętasz tego faceta? - zapytałem.

Linus odpowiedział jeszcze gwałtowniejszym ruchem ramion. Nagle jego czoło przecięła głęboka gniewna zmarszczka i zaczął skubać nieliczne strąki włosów, jakie mu jeszcze zostały

- Teciulmnwal! - powiedział. Potem jeszcze kilka razy powtórzył to bezsensowne słowo.

- Czy pan wie, co to znaczy? - zapytała Alina.

- Nie mam pojęcia. Nie mówię językiem narkomanów

- zaśmiał się gospodarz.

- Pops fut git! - oznajmił Linus, znacznie mniej ubawiony. Jeśli się nie mylę, właśnie wyrwał sobie długi włos i włożył go do ust.

- Mówi o swojej gitarze, tak?

- Być może. Jeśli już ktoś potrafi przetłumaczyć ten bełkot, to jego towarzyszka. - Wzrok

gospodarza znów powędrował w kierunku Aliny i zatrzymał się na psie. - Ale ona też ma nierówno pod sufitem, wie pan, co mam na myśli.

Nazywa się Yasmin Schiller i poznali się z Linusem w klinice psychiatrycznej, ona była tam pielęgniarką. Często siada przy barze i kłapie ozorem, że chcą razem założyć zespół i takie tam. Czy można w to wierzyć? W każdym razie Yasmin powiedziała mi, że Linus po prostu tylko miksuje ze sobą różne słowa. Jego głowa jest jak shaker do koktajli.

Znów się roześmiał.

Wzrok Linusa zrobił się szklisty i zastanawiałem się, czy zdaje sobie sprawę, że o nim rozmawiamy.

- „Ciulmni” na przykład mówi bardzo często. To musi mieć jakiś związek z batami, jakie zebrał.

- A prawdopodobnie zebrał ich sporo w życiu - wtrąciła Alina.

Linus odwrócił do niej głowę.

- Pops fut git! - powtórzył i zabrzmiało to tak, jakby żądał potwierdzenia swojego przeświadczenia, ale jedynym, kto przez chwilę okazał mu większe zainteresowanie, był TomTom. Retriever, dysząc, uważnie wpatrywał się w muzyka.

- Co pan mu pokazał? Gospodarz zdjął okulary do czytania i wetknął do ust lewy zausznik. Podeszedł do mnie tak blisko, że czułem jego paskudny oddech. - Czy mogę na to rzucić okiem?

Kiedy zorientowałem się, że mężczyzna na fotografii jest bardzo podobny do mnie, było za późno, bo już podałem gospodarzowi komórkę. Ale wydawało się, że po przelotnym spojrzeniu na wyświetlacz nie zauważył tego podobieństwa.

- Mężczyzna obok Linusa jest oszustem stosującym nieczne sztuczki - powiedziałem. - Wczoraj kamera monitoringu utrwaliła, jak na niego wpada. - Na oczekaniu wymyśliłem niewinną historyjkę. - Myśleliśmy że może naprowadzić nas na jego ślad.

- Kim wy właściwie jesteście?

Jego rozbudzony wzrok przeskakiwał na zmianę ze mnie na Alinę i z powrotem. Wyjąłem legitymację dziennikarską z tylnej kieszeni dżinsów.

- Piszemy artykuł o tym facecie.

Barman roześmiał się, potem wskazał na Alinę.

- Wszystko jasne. A ślepa jest twoim fotografem, co? Pomiąłem okazję, aby coś odpowiedzieć, i poczułem, że mnie przyłapał. Ale wydawało się, że gospodarzowi wcale to nie przeszkadzało.

- No tak, w końcu to nie ma znaczenia. Najważniejsze, że nie jesteście kumplami tego zasrańca na zdjęciu.

- Chyba nie - powiedzieliśmy jednocześnie z Aliną. Schowałem legitymację i odebrałem od niego komórkę.

Wyczułem wilgoć po odciskach palców, które barman zostawił na aparacie.

- No dobrze, w takim razie powiem wam coś o dupku, którego pan tam sfotografował.

- Pan go zna?

Kolekcjonera oczu ?

- Nie. Ale wczoraj po południu, tak około czwartej, weszła tu Yasmin. Wściekła jak oszukana uliczna dziwka. Przeklinała dupka, który pokłócił się z Linusem, a potem kopnął jego futerał na gitarę.

Pops Jut git.

Spojrzałem na Alinę, która przyklękła na jedno kolano, aby pogłaskać TomToma. Skinęła głową i dała mi tym do zrozumienia, że myśli to samo co ja.

Pasuje. Zgadza się czas i miejsce. To był mężczyzna z nagrania.

- Pieniądze zebrane tego dnia rozsypały się na chodniku. Godzinę później dołączył do niej Linus i dał sobie ostro w palnik. - Kiwnął głową do muzyka, który chwiejąc się, ciągle siedział na stole. - Jeszcze teraz widać tego skutek.

- Gdzie znajdę tę Yasmin? - zapytałem.

- Czy ja wyglądam jak zaszracona sekretarka? Nie umawiam spotkań ze swoimi gośćmi. Czasem przychodzi codziennie, a kiedy indziej nie pokazuje się tu przez trzy tygodnie.

No to klapa.

Zdecydowałem, że zmarnowaliśmy zbyt wiele czasu w ślepej uliczce, kiedy rozległo się głośne klaśnięcie. Wszyscy w pokoju oprócz Linusa się wzdrygnęli.

- Stan miejsinwal! - Muzyk jeszcze raz uderzył otwartą dłońią w drewnianą bandę stołu bilardowego.

- Stan miejsinwal!

- Tak, wiem - powiedział gospodarz i odwrócił się. - Chodź, Linus, dam ci kawy. Może w kuchni są jeszcze parówki.

Widocznie w tym miejscu rozmowa się dla niego skończyła.

Poprosiłem Alinę, żeby chwilę na mnie poczekała, potem poszedłem za starym człowiekiem i zastąpiłem mu drogę, zanim schował się za kontuarem.

- Co Linus powiedział przed chwilą? Co pan wie?

Barman spojrzał na moją rękę, która spoczywała na jego ramieniu. Potem popatrzył mi prosto w oczy. Dopiero kiedy go puściłem, zaczął mówić.

- Linus jest ciągle wściekły na tego faceta. Ale nie dlatego, że tamten go potrafił. Nie dlatego również, że pół godziny szukał swoich monet w rynsztoku.

- A dlaczego?

- Ponieważ ten typ zaparkował swojego grata na miejscu dla niepełnosprawnych.

Stan miejsinwal.

Masowałem kark i uciskałem punkt leżący bezpośrednio przy kręgosłupie szyjnym odpowiedzialny za migrenę, który pokazał mi kiedyś neurolog.

Trzeba było od razu na to wpaść.

- Linus jest naprawdę w porządku. Być może ma trochę nie po kolei w głowie, ale ma dobre serce.

- Dostmand.

Odwróciłem się w stronę głosu dochodzącego zza moich pleców. Linus stał w drzwiach i uśmiechając się, wyciągnął pięść do góry. Za nim wyłoniła się Alina.

- Dostmand!

- Tak, tak. Ciesz się. To będzie drogo kosztować tego łobuza, który cię pobił.

Gospodarz ułożył palce prawej dłoni w rurkę i zrobił obsceniczny ruch.

- Co będzie drogo kosztować? - zapytałem i powoli stawało się dla mnie coraz bardziej idiotyczne, że pozwalałem, aby niezrozumiały szwargot upośledzonego umysłowo bezdomnego tłumaczył mi nie mniej dziwaczny barman. Nagle mnie olśniło i zrozumiałem, co Linus chciał powiedzieć.

Dostmand!

Kolekcjoner oczu dostał mandat.

Mandat, po którym można go zidentyfikować.

Pierwszy list kolekcjonera oczu

wysłany e-mailem

z anonimowego konta

Do: thea@bergdorf-privat.com

Temat: Prawda.

Ślepa na wszystko Pani Bergdorf,

Ten mail jest prawdopodobnie równie śmieszny jak rozpaczliwe starania moich dziecięcych figurek, aby uwolnić się z przydzielonej im kryjówki, zanim ostatecznie upłynie ich czas.

Moja próba, aby zmyć wiadro pomyj, które Pani gazeta codziennie wylewa na moją głowę, nie powiedzie się. Jest to tak samo pewne jak fakt, że w ciągu następnych godzin ten mail dostanie się w ręce dziesiątek ludzi. Rozdygotanych jak Pani. Zdenerwowanych jak technicy, którzy wylądują gdzieś w Ruandzie, kiedy od początku zaczną śledzić konto, z którego wysłałem tego maila. Będą wśród nich również spokojne profesjonalne ręce psychologów i językoznawców, które dokonają sekcji każdego sformułowania, każdego słowa, a nawet średnika. Ale proszę nie pokazywać tego listu Adrianowi Hohlfortowi, o którym powiedziałbym raczej, że prędzej zagra w reprezentacji w piłce nożnej, niż wpadnie na mój ślad. Ten „superprofiler”, jak nazywa go ten wymięty papier toaletowy, który Pani uważa za gazetę, przeoczyłby nawet to, że już w pierwszym zdaniu tego maila podałem wskazówkę mówiącą wprawdzie o *kilkorgu* dzieciach, ale tylko o jednej kryjówce! Jak się to mówi, kryjówka typu one-fits-all, do której policja ma szansę trafić tak samo jak mój kutas do cipki Madonny (aby utrzymać poziom waszych dziennikarzy o obniżonym IQ). Proszę zaoszczędzić sobie pięćdziesiąt euro wynagrodzenia za godzinę pracy, na które Mr. Inwalida wystawi rachunek, kiedy powie Pani, że byłoby oznaką szaleństwa, gdybym zgodnie ze zwyczajami seryjnych morderców, jak na przykład Zodiak, zwrócił się do mediów. Nie chcę sztydzić z ludzi, którzy mnie szukają. Nie potrzebuję sławy.

Przeciwnie, chodzi mi o to, żeby Pani wreszcie przestała pisać bzdury na mój temat. A zaczyna się to już od przezwiska, jakie mi nadaliście. Jak wygłodniały bezpański pies rzuciła się Pani na oczywisty kawałek mięsa, który podetknąłem Pani pod nos: na brakujące oczy. Nie czuję wstrętu do Pani i do nieudolnych śledczych za to, że tak łatwo daliście się wziąć na lep. Prosta sztuczka i już pasuję jak ulał do schematu paranoicznego maniaka seksualnego. A mnie przecież nie chodzi o trofea. Nie jestem *kolekcjonerem*. Jestem *graczem*. I gram fair. Kiedy już wyznaczę pionki, wytyczę plac gry i uderzę w gong rozpoczynający grę, trzymam się ustalonych zasad. Matka, dziecko, ultimatum, kryjówka - definiuję tylko warunki ramowe, których trzymam się w każdej fazie mojej gry. Gwarantuję, że każdy szukający ma uczciwą szansę na zakończenie gry w chowanym. Ze nie podsunę fałszywych śladów, jeśli nawet myśliwi za bardzo się do mnie zbliżą; i staram się nie

przedłużyć gry, jeśli nawet jest ona bardzo pasjonująca. Przyznaję, nie jestem bezstronny. Od czasu do czasu się wtrącam, ale zawsze tylko dla dobra moich przeciwników. Jest coś, czego nigdy nie zrozumieliby bez mojej pomocy. I dlatego piszę do Pani tego maila. Że tak powiem, aby sprostować wszystkie kłamstwa, które Pani o mnie wypisuje.

Nie jestem obłąkany, nie jestem potworem ani psychopatą. Działam według wytyczonego planu, moja gra ma sens. Gdyby Pani przeżyła to co ja, zgodziłaby się Pani ze mną. Być może nie zaaprobowałaby Pani moich uczynków, ale przynajmniej by je Pani zrozumiała.

Założę się, że właśnie potrząsa Pani głową. Myśli Pani: „Co to za chore gówno”, a w duchu wylicza cenę ogłoszeń, której będzie można zażądać, jeśli moje słowa ukażą się na pierwszej stronie waszej gazety. Ale co będzie, jeśli podam motyw, który ukaże moje uczynki w innym świetle? No czy teraz dalej potrząsa Pani źle uczesaną głową? Założę się, że nie.

Czy Pani mi wierzy? Czy Pani wierzy, że nie jestem zwykłym psychopatą miotanym natręctwami, lecz w moim postępowaniu kieruję się przemyślanym planem. Droga, nic niewidząca Theo Bergdorf, to dopiero byłby artykuł. Pragnie Pani dowiedzieć się, dlaczego wskrzesiłem najstarszą dziecięcą grę ludzkości. Grę w chowanego!

Okay, to by było na tyle. Niech Pani przekaże tego maila wszystkim wspomnianym powyżej osobom i czeka na następny, który napiszę, kiedy tylko znajdę na to czas. Proszę się nie martwić, to nie potrwa długo.

Krócej niż siedem godzin. Plus pół dnia, które będę potrzebował, aby pozbyć się zwłok.

(jeszcze 6 godzin i 39 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Alexander Zorbach (ja)

Objawy nasiliły się w chwili, kiedy po dłuższej fazie zielonego światła zatrzymaliśmy się przed sygnalizatorem ulicznym ustawianym w miejscach robót drogowych.

Na szczęście zachowałem przytomność umysłu, aby starą toyotę, którą Frank zawiózł nas do mieszkania Aliny, zaparkować za rogiem w bocznej uliczce, zanim zbiłem okno wystawowe w galerii. Gdybym zostawił ją w drugim rzędzie, na pewno już dawno zostałaby odholowana albo skonfiskowana przez wydział zabezpieczania śladów, który z pewnością połączyłby akt wandalizmu ze mną. Bądź co bądź osobiście przekazałem Stoi, że muszę sam starać się o informacje, jeśli ciągle ignoruje moje wskazówki. *Wskazówki widziane oczami niewidomej.*

Musiałem jednak przyznać, że z moimi oczami obecnie też było kiepsko. Łzawiły i wydawało mi się, że czerwone światło fluoryzuje. Zimny pot wystąpił mi na czoło. Aczkolwiek pragnąłem, aby coraz bardziej wyraźne pierwsze oznaki przeziębienia miały całkiem inną przyczynę.

- Ile czasu ci to zajmie? - zapytałem Franka na drugim końcu połączenia.

- Sprawdzenie mandatu? W środku nocy?

Spojrzałem na zegarek i cicho zakląłem.

Godzina 23.50. Już tylko dziesięć minut do urodzin mojego syna, który prawdopodobnie uczci je z lekarzem pogotowia zamiast ze swoim tatą.

- Na Boga, jak to sobie wyobrażasz? To można załatwić tylko dzięki kontaktom. A mój o tej porze śpi!

Mój, niestety, nie. Stoya właśnie wystawił za mną list gończy i pracuje na najwyższych obrotach.

- Okay, Frank, jeszcze raz spróbuję przekonać Stoyę.

- Nie, lepiej tego nie rób.

- Dlaczego?

- Bo prawdopodobnie już od dawna mam to, czego szukasz.

Światło zmieniło się na zielone i przez krótką chwilę miałem uczucie, że oślepiłem. Ktoś zatrąbił za mną i kiedy znów otworzyłem oczy, potrzebowałem trochę czasu, zanim przestałem widzieć ulicę jak przez mglistą woalkę.

- Jak to? - zapytałem.

Jak Frank mógł ustalić właściciela samochodu, skoro nawet nie znał numeru rejestracyjnego?

- Wyszukiwanie informacji - brzmiała jego skromna odpowiedź. Warunki były sprzyjające i mogłem słyszeć w tle swojskie dzwonki mnóstwa telefonów w hali redakcyjnej. - Jeśli coś potrafię, jest to zbieranie informacji. Zaufaj mi. - Przy następnym zdaniu zniżył głos. - Jednak pytanie brzmi, jak bardzo ufasz Stevie Wanderowi w spódnicy, który siedzi obok ciebie.

Spojrzałem w lusterko wsteczne. Alina z TomTomem zajęli miejsca na tylnej kanapie, jakbym był ich szoferem. Zresztą w tej chwili dzielił nas odpowiedni dystans akustyczny.

- Co z nią? - zapytałem cicho.

Jechaliśmy do autostrady miejskiej szeroką aleją, której nazwy nie potrafiłem sobie teraz przypomnieć. Jak dotąd nie miałem konkretnego celu, lecz głos wewnętrzny mówił mi, że lepiej się przemieszczać niż tkwić w tym samym miejscu. I przypuszczalnie instynktownie skręciłem w drogę prowadzącą do mojej łodzi.

- Popraw mnie, jeśli się mylę, ale czy Alina nie powiedziała jednoznacznie, że powinniśmy szukać wolno stojącego domu jednorodzinnego z podjazdem, przed którym kolekcjoner oczu zaparkował samochód zaraz po popełnieniu przestępstwa.

- Zgadza się. - Całkiem zapomniałem o ostatniej wizji Aliny którą opowiedziała w obecności Franka.

- Dobrze, przyjmijmy dla żartu, że nasz psychopata po dokonaniu morderstwa rzeczywiście pojechał do domu, aby się czegoś napić. Istnieje możliwość, że korzystał z tego samego samochodu, kiedy następnego dnia dostał mandat, prawda?

Jeśli mamy dom, to mamy też właściciela. Zakładając, że rzeczywistość jest zgodna z nierealnymi wizjami Aliny.

- Okay, jak dotąd się zgadza. Pomyślałem więc, że przestępca, aby nie zwrócić na siebie uwagi, będzie utrzymywał wskazówkę prędkościomierza dokładnie na zielonym polu. Następnie, opierając się na tym, co powiedziała Alina, wziąłem za podstawę obliczeń maksymalnie cztery minuty. Przyjmując za punkt wyjścia Teufelsberg, kolekcjonerowi oczu byłoby trudno opuścić w tym czasie strefę ograniczonego ruchu kołowego. W tej okolicy roi się od szkół, placów zabaw, obiektów sportowych i przedszkoli.

- Dobrze, a więc ograniczyłeś przeszukiwany obszar do kilku kilometrów kwadratowych.

- Dokładnie mówiąc, do promienia pięć, przecinek sześć, ale obejmuje on przeważnie lasy i nieużytki.

Słyszałem uderzenia palców Franka w klawiaturę komputera.

- Oprócz tego mamy tu dużo ogródków działkowych, terenów rekreacyjnych, duktów leśnych itp. Ogólna długość ważniejszych szlaków drogowych niewiele przekracza długość trasy maratonu.

- Którą oczywiście przebiegłeś - zaśmiałem się.

- Oczywiście.

Gwałtownie nadepnałem na hamulec, ponieważ na jezdnię przede mną wyskoczył pieszy, który chciał zdążyć na autobus po drugiej stronie ulicy. Siedząca na tylnej kanapie Alina skrytykowała mój styl jazdy, widocznie z trudem udało się jej zapobiec, aby TomTom nie spadł z siedzenia.

- Robisz mnie w balona? - zapytałem po sekundzie wahania.

- Słyszałeś kiedyś o Google u Earth? - odpowiedział rozbawiony.

Logiczne. No jasne.

Znów przyśpieszyłem i zwiększyłem prędkość pracy wycieraczek, co tylko doprowadziło do tego, że zabrudziły przednią szybę. Padał śnieg, płatki miały wielkość monety, ale nie były dość mokre, aby wytrzeć ze szkła zimowy brud, co spowodowało, że prawie nic nie widziałem.

Co za paralela!

Miałem wrażenie, jakby w mojej głowie pracowała taka sama zużyta para wycieraczek.

Im bardziej próbowałem dowiedzieć się prawdy, tym obraz przed moimi oczami stawał się mniej ostry. Dziwne omamy, z powodu których poddałem się terapii u doktora Rotha, robiły resztę. Jeśli nawet mój lekarz twierdził, że nie miały one psychopatologicznego podłoża, to jednak powodowały utratę koncentracji i nie pomyślałem o najprostszych narzędziach wyszukiwania informacji, którymi dysponowałem.

Jak na przykład Google Earth.

- Nawet bezpłatna wersja jest bombowa - zachwycił się Frank. - Dzięki mapie satelitarnej możesz znaleźć klucz zgubiony na trawniku w swoim ogrodzie, jeśli tylko zastosujesz dostateczne zbliżenie. - Chyba sam uznał to za przesadę, ponieważ się roześmiał. - Ale jest jeszcze lepsza wersja. W redakcji mamy...

- ... Street View. Bardzo dokładny.

Od dłuższego czasu samochody Google a wyposażone w specjalne kamery jeździły po ulicach wybranych miast na świecie, aby za naciśnięciem klawisza dostarczyć użytkownikom widok szlaków drogowych w technologii 3D. Jeszcze długo nie obejmą one wszystkich miejsc i całe zastępy prawników zmagają się z problemami, które ten projekt prowokował, ale częściowo został już zainstalowany na iPhone, a moja gazeta dysponowała rozległym próbnym dostępem, który Frank wykorzystał, aby poszukać domu pasującego do opisu Aliny.

- Każda berlińska ulica, każdy przekłety zakamarek

- powiedział z euforią i znów usłyszałem odgłosy stukania w klawiaturę. - Widok jest taki, jakbym sam tamtędy jechał.

- To potrwa jednak całe godziny.

- Nie, jeśli ma się szczęście, tak jak my. Obszar, który wchodzi w grę, składa się przeważnie z domów wielorodzinnych albo kołtuńskich osiedli domów szeregowych. Willa Traunsteinów jest tu jednym z nielicznych wyjątków!

- Ile? - zapytałem podniecony. - Ile wolno stojących domów jednorodzinnych naliczyłeś?

Spojrzałem na prędkościomierz i zauważyłem, że ze zdenerwowania przekroczyłem dozwoloną prędkość o ponad trzydzieści kilometrów na godzinę.

- Dwadzieścia siedem. Ale tylko dziewięć z nich jest jednopiętrowych i mają podjazd, odpowiadają więc opisowi twojej nowej przyjaciółki.

Zawiesił głos jak ktoś, kto na końcu długiej opowieści chce jeszcze dodać ostatnią puentę.

- ... i tylko na dwóch podjazdach wisi cholerna tablica do koszykówki!

Chociaż bungalow był prawdopodobnie najniższym domem na całym osiedlu, rzucał się w oczy już z daleka.

Znajdowaliśmy się na brukowanej ślepej ulicy, położonej na takim uboczu, że na latarni wisiał jeszcze plakat wyborczy Jakiś wolontariusz pomagający przy wyborach zapomniał usunąć ze słupa głupkowato uśmiechniętego krawaciarza z tytułem doktora i dlatego od września każdy, kto tu skręcił, był witany nic niemówiącymi słowami: „Nasza przyszłość to siła”.

Zastanawiałem się, czy prawo zmusza nawet zupełnie nieznanymi i najszeptniejszymi polityków do umieszczania swoich zdjęć na plakatach. I czy na naszej planecie znalazł się chociaż jeden człowiek, którego plakat wyborczy zmotywował do oddania głosu. Być może powinienem w swojej gazecie zainicjować sondaż na ten temat, kiedy już będzie po wszystkim.

Jeśli jeszcze będę mógł to zrobić.

Zostawiliśmy samochód za rogiem, aby nie parkować bezpośrednio przed domem, który wskazał Frank. Z każdym krokiem, który zbliżał nas do bungalowu, rosła we mnie pewność, że tylko marnujemy tu czas.

- Nie sądzę, żebyś opisała ten dom - powiedziałem do Aliny, która właśnie czekała, aż TomTom oznakuje uliczne drzewo.

- Dlaczego?

- Za bardzo zwraca na siebie uwagę! - zmrużyłem oczy i obserwowałem parę, która wydobywała się z moich ust przy każdym oddechu.

Z drugiej strony zwracający uwagę sposób postępowania jest często najlepszym kamuflażem. Nie tak dawno w środku dnia całkiem ogołoco no pół bliźniaka. Złodzieje po prostu podjechali samochodem firmy przeprowadzkowej. Nikt nie myśli o napadzie rabunkowym, kiedy widzi człowieka w ubraniu firmowym wynoszącego z domu plazmowy telewizor.

I nikt nie myśli o wyciętym oku, kiedy staje przed Świętym Mikołajem.

Alina nakazała TomTomowi, ażeby usiadł obok niej, i z zimna tupnęła nogami.

- Opisz mi, co widzisz - poprosiła.

Opisać? Wodziłem dookoła wzrokiem.

Jak miałem wytłumaczyć to tutaj niewidomej? W każdym razie musiałem mocno skorygować moje uprzedzenie, że w Westendzie ludzie bardziej powściągliwie obchodzą Boże Narodzenie.

Jednopiętrowy budynek wyglądał, jakby należał do dziesięcioletniego osieroconego chłopca z bogatego domu, który przepuścił cały spadek na świąteczne dekoracje: łańcuch niebieskich lampek halogenowych ciągnął się wokół domu wzdłuż krawędzi dachu i obramowywał również biegnące w dół rynny, po jednej z nich wspinał się do komina naturalnej wielkości Święty Mikołaj z sankami na plecach. Jednak Mikołaj miał na sobie białe ubranie, a więc oryginalny outfit z czasów, zanim geniusz od reklamy z Coca-coli wpadł na pomysł, aby przemaalować świętego na czerwono. Ale była to jedyna subtelna dekoracja. Cały ogród przed domem był zastawiony figurami reniferów, iluminowanymi bałwanami oraz postaciami Trzech Króli. Brakowało tylko Jezusa i jego kołyski, chociaż nie byłem pewny, czy nie leżeli pogrzebani pod stertą drewna kominkowego obok garażu na dwa samochody, którego drzwi zostały spryskane sztucznym śniegiem, podobnie jak okiennice i furtka do ogrodu.

I był tam jeszcze...

... kosz do koszykówki!

I znajdował się w miejscu, które opisała Alina: z boku garażu, a nie przed nim.

- Ujmę to w ten sposób - powiedziałem. - Ktokolwiek tu mieszka, z pewnością jest traktowany przez swojego dostawcę prądu na preferencyjnych warunkach.

Wydawało się, że Alina lepiej zapisała w pamięci nieliczne wizualne wspomnienia niż widzące dzieci. Być może dlatego, że od trzeciego roku życia nie doznawała nowych, które przyćmiłyby stare. W każdym razie w dalszym ciągu dobrze pamiętała okres Bożego Narodzenia z Kalifornii i bez trudu udało mi się przekazać jej przybliżony obraz feerii świateł, którą ujrzałem i która po dłuższym patrzeniu prowokowała ataki migreny. Nie bez powodu wszyscy sąsiedzi poszli za przykładem właściciela bungalowu i opuścili żaluzje w oknach na parterze swoich domów.

- Wspomniałaś o koszu i coli, ale nic nie mówiłaś o reniferach i Mikołajach!

Alina wzruszyła ramionami.

- Nic takiego sobie nie przypominam!

Zrobiłem krok w stronę kosza, od którego zielonej obręczy odbijały się światła bożonarodzeniowej dekoracji. Kosz wyglądał na dziwnie nieużywany, jakby został zamontowany dopiero wczoraj.

- I co teraz? - usłyszałem za sobą pytanie Aliny. Delikatne płatki śniegu padały na jej perukę z prawdziwych włosów i zostawały na nich, skrząc się wesoło.

Poprosiłem, aby poczekała na podjeździe, i spróbowałem otworzyć furtkę przed wąską dróżką w ogrodzie pomiędzy garażem a domem, prowadzącą do głównego wejścia.

Jak się spodziewałem, furtka była zamknięta. Normalnie bym zadzwonił, ale przy furtce nie było ani tabliczki z nazwiskiem, ani dzwonek, włożyłem więc rękę pomiędzy białe pręty kraty i przekręciłem znajdującą się od wewnątrz gałkę, a wtedy furtka gwałtownie się otworzyła. Odwróciłem się do Aliny i zapewniłem ją, że zaraz wrócę; potem udałem się na krótki spacer za

dom.

Główne wejście stanowiły masywne drzwi z twardego litego drewna, które, według wszelkiego prawdopodobieństwa, były jeszcze zabezpieczone od wewnątrz mocną stalową sztabą. Jak w tej okolicy było w zwyczaju, z występu muru wystawała ukośnie w dół kamera monitoringu, jak drapieżny ptak, który chce spaść na swoją zdobycz, gdy tylko ktoś odważy się postawić stopę na wycieraczce. Na drzwiach, mniej więcej na wysokości piersi, był przymocowany podłużny wyświetlacz.

Wyglądał dokładnie tak jak podobne wyświetlacze w oknach punktów totolotka albo tanich kasyn z automatami do gier. Tylko że czerwone elektroniczne litery, które przesuwały się z prawa na lewo po LED-owej listwie, nie reklamowały jackpota, lecz układały się w znaną świąteczną piosenkę.

Oh, jingle bells, jingle bells

Jingle all the way

Zbliżyłem się do migających drzwi i bezskutecznie szukałem dzwonka. Również z tyłu bungalowu wszystkie żaluzje były opuszczone.

Oh, what fun it is to ride

In a one horse open sleigh

Podszedłem bardzo blisko i popełniłem błąd, kiedy spojrzałem prosto na pasek. Świecące litery podziały jak rozgrzane żelazko, które chciało przycisnąć się do moich nadwrażliwych oczu.

Dashing through the snow

In a one horse open sleigh

O'er the graves we go

Laughing all the way

Szybko odwróciłem się od świecącego tekstu i chwyciłem ciężką, wykonaną z brązu kołatkę, którą uderzyłem o drewno. Rozległo się krótkie głucho stuknięcie. Nie miałem pewności, czy wewnątrz

ktoś je mógł usłyszeć, więc jeszcze dwa razy uderzyłem w drzwi pięścią.

Nic.

Ani szeleszczenia, ani człapania, ani ludzkich odgłosów, co pozwoliłoby mi sądzić, że ktoś zadał sobie trud, aby mi otworzyć.

Być może właściciele śpią, pomyślałem i tak przekonany, że stoję przed niewłaściwym domem, jeśli ten właściwy w ogóle istnieje.

Jingle bells, jingle bells, jingle all the way, zacząłem nucić w myślach.

Niewiarygodne, jak niewinna melodia tylko dzięki krótkiemu tekstowi na pasku wzarła mi się w mózg.

Dashing through the snow in a one horse open sleigh. O'er the...

Zaciąłem się. Dzwoneczki w mojej głowie raptownie umilkły. Do diabła, co właściwie chciałem zanucić?

Over the graves we go? Idziemy po grobach ?

Zastanawiałem się, skąd, na miłość boską, przyszedł mi do głowy ten makabryczny tekst, i jeszcze raz spojrzałem na pasek. Patrzyłem tak długo, aż znów pojawiły się właściwe wersy:

Dashing through the snow

In a one horse open sleigh

O'er the fields we go

Wszystko normalnie. Hm.

Przez krótką chwilę mógłbym przysiąc, że czytam zmieniony tekst, ale teraz nie było już na to dowodów.

Moje zmęczone łzawiące oczy musiały mi spłatać figla. Nic dziwnego, kiedy się zastanowiłem, że przez ostatnie dni prawie w ogóle nie spałem, tylko polowałem na szaleńca, a teraz sam jestem obiektem polowania.

Laughing all the way

Bells on bob tails ring

Właśnie znów chciałem zanucić, ale gdy zastanawiałem się, czy powinienem zastukać jeszcze raz, tekst przed moimi oczami ponownie się zmienił. Tym razem nie było żadnych wątpliwości.

*Klucz leży pod donicą,
Jeśli go użyjesz, umrzesz...*

Krzyknąłem, zatoczyłem się do tyłu i krzyknąłem jeszcze głośniej, kiedy wpadłem na postać, która czekała za moimi plecami w ciemnościach.

- Widziałaś to? - odważyłem się zapytać Alinę, która w przeciwieństwie do mnie wybornie bawiła się moim strachem.

- Szczerze mówiąc, zastanawiam się, kto z nas obojga ma jeszcze oczy w głowie - skontrowała.

- Przykro mi, ale ... - Zawahałem się, ponieważ nie wiedziałem, jak mam jej opowiedzieć o tym, co mi się właśnie przydarzyło. Zwłaszcza że teraz na pasku przesuwiał się normalny niewinny tekst piosenki i nie mógłbym dowieść moich tajemniczych spostrzeżeń nawet widzącej osobie.

- Dlaczego nie zostałeś przed domem - zapytałem szeptem i spojrzałem na TomToma, którego spuściła ze smyczy. Mimo to pies trzymał się blisko swojej pani i zlizywał śnieg z łap.

Alina uśmiechnęła się przekornie.

- Nie chciałam znów czekać pół godziny na zimnie na łaskawego pana, aż zaprosi mnie na przesłuchanie.

- To z Traunsteinem nie było ...

W tym momencie mój wzrok zatrzymał się na odwróconej rdzawej donicy, która stała na trawie kilka kroków od Aliny.

Klucz leży pod donicą.

Ukląkłem i podniosłem donicę. Oderwała się od na pół zmrożonego podłoża z soczystym młasięciem. Gromada małych chrząszczy, którym zakłóciłem ciszę nocną, pomknęła w ciemność. Potem zobaczyłem czarne etui ze sztucznej skóry. Etui było lekkie i wyczułem w nim tylko jeden klucz.

Klucz leży pod donicą,

Jeśli go użyjesz...

- Masz coś?

Powoli, jak pod wpływem silnego środka odurzającego, przeszedłem obok Aliny, kierując się do drzwi wejściowych.

Mocno przytrzymała mnie za rękaw i poprosiła, żebym wreszcie powiedział, co znalazłem, a więc z trudem jej to wyjaśniłem. Jeśli miała wątpliwości co do moich spostrzeżeń, nie dała tego poznać po sobie. Przeciwnie. Sprawiała wrażenie, jakby ogarnęła ją żądza przygód, kiedy opowiedziałem jej o przestrodze na pasku z tekstem.

- Idę z tobą - oświadczyła głosem nieznoszącym sprzeciwu, kiedy usłyszała, jak wkładam klucz do zamka.

Tylko żeby sprawdzić, czy pasuje. Na pewno, Zorbach. I co teraz? Co zrobisz teraz, kiedy już otworzyłeś zamek?

- Nie, zostaniesz tutaj i wezwiesz pomoc, jeśli nie wrócę za pięć minut - powiedziałem, dobrze wiedząc, że Alina nie była typem kobiety, która pozwoli, żeby rozkazywali jej mężczyźni. Ktoś, kto będąc niewidomy, nauczył się jeździć na rowerze, nie boi się ciemnych domów.

Coś kliknęło, potem drzwi same się uchyliły

Jeśli go użyjesz...

- Halo? - krzyknąłem przed siebie w ciemność.

Nic. Tylko gęsta, nieprzenikniona, mroczna cisza.

... umrzesz ...

No ładnie, pomyślałem i ponownie włączyłem komórkę, aby w razie czego zadzwonić po pomoc. Potem wszedłem do sieni, a tuż za mną Alina i TomTom.

To tylko niewinny bungalow, który niewidoma zobaczyła w swoich wizjach. Cóż wielkiego mogło mi się w nim przydarzyć?

(jeszcze 6 godzin i 20 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Tobias Traunstein

Tobias nie wiedział, jak długo spał. Nawet nie był pewny, czy w ogóle spał, bo kiedy obudził się w ciemności, czuł się bardziej śpiący niż kiedykolwiek wcześniej w swoim życiu.

Powietrza, było jego pierwszą myślą, ponieważ wydawało mu się, że się dusi. Potem uderzył łokciem o twardą drewnianą krawędź.

Już nie jest miękko, było jego drugą myślą. Ściany jego więzienia już się nie ugiwały i przeszło mu przez głowę, że teraz z całą pewnością leży w trumnie.

Obiema rękami badał po omacku twardą podłogę i chwilę później dotknął materiału, który jeszcze niedawno go otaczał. W dotyku przypominał wierzch jego nieprzemakalnej kurtki albo džinsy, na które kapnęła odrobina wosku, jak podczas wieczoru adwentowego, kiedy upadła mu świeca. Cienka, elastyczna tkanina z zamkiem błyskawicznym po bokach.

Chwileczkę, czy to nie jest...

... walizka? Tak, oczywiście. Zamknęli go w takim czarnym czymś na kółkach. W takim czymś, z czym tata zawsze jeździ w podróże służbowe. Tylko że to coś było dużo większe i miało dość miejsca, aby schować w nim dziecko.

Ale gdzie jestem teraz? Najpierw byłem w zasranej walizce ...

Okay. To jest zabawa, fens i Kevin gdzieś mnie zamknęli, ale też dali mi coś, żebym się uwolnił.

Monetę.

Chociaż jakoś nie mógł sobie wyobrazić, że któryś z jego przyjaciół rzeczywiście włożył mu coś w usta, nawet nie chciał myśleć o innej możliwości. Lepiej być zdanym na łaskę kumpla niż obcego.

Okay, moneta była do zamka błyskawicznego. Co tu jeszcze mamy?

Może klucz, zapalniczkę. Albo komórkę.

Tak, komórka byłaby super.

Zadzwończyby na policję albo do mamy, a jeśli byłoby trzeba, także do taty, ale on raczej by nie przyszedł, bo ma za dużo spraw na głowie i...

Zaraz, zaraz. Przecież tata zdenerwował się kiedyś, że zginęła mu komórka. Nawrzeszczał na Leę i na mnie, bo myślał, że to my ją zwiędziliśmy. Krzyczał tak długo, aż w końcu mama oddała mu telefon, ponieważ znalazła telefon w swojej torebce.

W zewnętrznej kieszeni walizki!

Oczywiście. Walizka ma kieszenie... Być może... ?

Tobias przyciągnął do siebie trolley, poszukał zamków błyskawicznych i otwierał je jeden po drugim. W końcu znalazł w małej wąskiej przegródce.

Śrubokręt?

Z niedowierzaniem wyjął podłużne narzędzie, obmacał je palcami od drewnianej rączki przez stal aż do tępego czubka - i rozpłakał się.

Jak, do diabła, mam zadzwonić do mamy zepsutym śrubokrętem?

Tym razem z oczu Tobiasa popłynęły łzy wściekłości. Popęłnił błąd i uderzył zaciśniętą pięścią w drewnianą ścianę. Uderzenie zabrzmiało głucho. A ból wywołał jeszcze bardziej gwałtowny szloch.

Cholera, Kevin, Jens ... Gdzieście mnie wpakowali?

Tobias podmuchał na stłuczone knykcie. Jego matka zawsze tak robiła, kiedy wracał do domu z guzem, którego nabił sobie w czasie zabawy. Przypomniął sobie swoje siódme urodziny. Tego dnia dostał od dziadka najgłupszy prezent na świecie. Kiedy rozpakował wstrętną, drewnianą, brzuchatą drewnianą lalkę, którą można było rozkręcić na dwie części na wysokości brzucha, zapytał dziadka, czy ona raczej nie jest dla Lei.

Ach, Lea. Dlaczego nie ma cię tu teraz? I co mam zrobić z tym zasranym śrubokrętem, któremu brakuje czubka?

- Musisz uwolnić lalki! - Usłyszał w myślach ochrypły głos dziadka i wtedy przypomniał sobie, jak nazwał ten głupi prezent.

Kiedyś dziadek opowiadał coś o Rosji i matryoszkach, i że stały się one hitem na Zachodzie, ponieważ każdą lalkę można było rozkręcić i wyjąć z niej nową matryoszkę.

O Boże, teraz też jestem zamknięty w takiej kolorowo pomalowanej lalce matryoszce.

Każdy schowek, z którego się uwolni, będzie prowadził do następnego. Najpierw walizka, potem drewniana skrzynia.

A co dalej?

Prawdopodobnie jeszcze większa trumna, w której znów będzie ciemno. I w której znów będzie

brakować powietrza.

Tobias zaczął kaszleć i miał uczucie, że traci równowagę, kiedy przykucnął. Dzięki większej skrzyni kupił sobie tylko trochę czasu.

I trochę powietrza. Ale jego też było bardzo mało.

Walizka była owinięta plastikową folią, którą ledwie mógł rozerwać. A teraz, po kilku oddechach, znów poczuł ciężar leżący na piersiach. Jednocześnie zobaczył gwiazdy, chociaż tak jak przedtem żaden promień światła nie znalazł drogi przez tę ciemność.

Tobias zastanawiał się przez chwilę, czy rzeczywiście powinien się tak nadwierać, a tym samym jeszcze szybciej zużyć pozostałe powietrze. Potem uznał, że nie ma wyboru.

Z wściekłością wynikającą z rozpaczki raz za razem uderzał zepsutym śrubokrętem ze spiętym czubkiem w to samo miejsce na drewnianej ścianie.

(jeszcze 6 godzin i 18 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Alexander Zorbach (ja)

W wieku dziewięciu lat, kiedy byłem już dość duży, żeby samemu poruszać się po Berlinie publicznymi środkami transportu, rodzice dali mi zadanie polegające na tym, że w każdą niedzielę musiałem zawozić babci obiad. Babcia niechętnie do nas przychodziła, ponieważ nie lubiła mojego ojca, który, co dziwne, był jej synem, mnie też ledwie tolerowała, kiedy przynosiłem jej ulubioną potrawę: klopsy po królewiecku.

Sądzę, że w naszej rodzinie naprawdę lubiła jedynie duży telewizor w salonie, na którym co roku w Boże Narodzenie chciała oglądać serial *Maty lord* i za każdym razem przy nim zasypiała.

Kiedy wracam do niej pamięcią, przypominam sobie jej otwarte usta i strużkę śliny, która spływała po ogromnej brodzie, podczas gdy na ekranie leciały napisy końcowe. Nie jestem pewny, ale bałem się, że babcia zejdzie z tego świata, zanim obejrzy zakończenie, i z pewnością jeszcze w zaświatach będzie wymyślać staremu hrabiemu Dorin-court, bo zawsze przegapiła jego cudowną przemianę. Odwiedzałem babcię w niedziele zaledwie przez pół roku, do momentu kiedy poślizgnęła się w swojej kuchni i trzeba było umieścić ją w domu opieki. Ale te nieliczne spotkania wystarczyły, aby ugruntować we mnie pewność, że śmierć nie jest żywą istotą; nie jest kostuchą, jaką znamy z opowieści z dreszczykiem, lecz zapachem.

Przyćmiewającym wszystko, wielowarstwowym i przenikliwym zapachem, złożonym z woni taniego płynu do czyszczenia toalet, który wybiela resztki ekskrementów równie nieskutecznie, jak miętowy cukierek maskuje nieświeży oddech starego człowieka ze źle dopasowaną protezą zębową. Kiedy babcia otwierała mi drzwi, buchały mi w twarz te „perfumy śmierci”, jak je skrycie nazywałem. Pot, mocz, likier jajeczny, odgrzewane jedzenie - wszystko zmieszane ze słodko-kwaśnym smrodem tłustych włosów i zimnych wiatrów. *Jeżeli naprawdę był to ten koncentrat*, pomyślałem, kiedy mój wzrok powoli przyzwyczajał się do półmroku, w takim razie ktoś tutaj, w tym bungalowie, rozlał tego ogromną ilość.

- Ojej - jęknęła Alina. - Trzeba tu szybko wywietrzyć.

- Halo, jest tu ktoś? - zapytałem chyba już czwarty raz, ale nie usłyszałem odpowiedzi.

Fakt, że jaskrawe zewnętrzne oświetlenie z powodu nieprzezroczystych żaluzji ledwie przedostawało się do wnętrza pokoju, wywoływał we mnie nieprzyjemne uczucie niepokoju. W orientacji pomagały mi jedynie rzadkie promienie światła, które znajdowały drogę przez do połowy

otwarte drzwi wejściowe. Wymacałem wyłącznik na ścianie, ale kiedy go nacisnąłem, nie zadziałał.

- Co to jest? - zapytała Alina, która ominęła mnie i na środku pomieszczenia badała po omacku przestrzeń dookoła. Było mało prawdopodobne, że zdziwiłaby ją panująca wewnątrz ciemność, i tak jak przypuszczałem, przeszkadzało jej zimno.

- Nie ma prądu. Prawdopodobnie dlatego nie działa ogrzewanie.

- Nie o tym mówię.

- A o czym?

- To syczenie. Nie słyszysz?

Wstrzymałem oddech i odwróciłem głowę, nie wiedząc dokładnie, z jakiego kierunku dotarło do uszu Aliny, i co usłyszałem ... *nic*.

- Syczy jak spray - wyszeptała.

TomTom również nastawił zazwyczaj obwisłe uszy i przeszedł tuż przy Alinie do końca pokoju, a tym samym wszedł głębiej w ciemność.

Jeszcze raz zaskoczyła mnie pewność siebie, z jaką Alina poruszała się po nieznanym terenie.

Być może stajemy się bardziej odważni, kiedy nie widzimy niebezpieczeństw, które przygotowuje nam świat?, pomyślałem. Możliwe, że na tym polegało jedyne błogosławieństwo jej inwalidztwa. Jeśli czegoś nie wiemy, nie niepokoimy się tym. A kiedy czegoś nie widzimy, po prostu tego *nie ma*?

Podłoga w salonie była wyłożona parkietem albo źle dopasowanym laminatem, który powodował delikatne skrzypienie butów Aliny. Teraz szedłem za nią prowadzony bardziej słuchem niż oczami. Potknąłem się o coś, co było za niskie na stół i za ciężkie na wazon do kwiatów, prawdopodobnie o dzieło sztuki: małą rzeźbę albo jedną z tych okropnych figurek porcelanowego psa, które otwartym pyskiem połykają kurz w mieszkaniach bogaczy. Potem zobaczyłem matowy strumień światła, który pokazywał mi drogę z salonu do przylegającego korytarza.

O Boże, mój zmysł orientacji i tak był już nie najlepszy, potrafiłem zabłądzić na pustym parkingu, a teraz jeszcze to!

Kiedy wyszedłem z czarnej dziury, stwierdziłem, że żółtawe światło nie dochodziło bezpośrednio z drugiego końca korytarza. Moje źrenice były na pewno wielkie jak moneta i dlatego świecąca matowo lampka nocna na listwie przypodłogowej wydawała mi się promieniem światła halogenowego.

Pomyślałem o Charlie i żółdek znów przypomniał mi o swoim istnieniu.

Charlie. Zwariowana, głodna seksu, otwarta, dzika, *zamordowana* Charlie. Zabita przez szaleńca, który wybrał mnie po to, abym był bezwolnym pionkiem w jego grze i znalazł jej dzieci. Tam gdzie się spotykaliśmy, w „Domu uciech”, również był darkroom, pomieszczenie pozbawione źródła światła z lateksowym materacem, w którym zupełnie obcy sobie ludzie mogli rzucać się na siebie.

Anonimowy seks z niewidzialnymi. Wariant przeżywania rozkoszy, którego nigdy nie byłem w stanie zrozumieć, w przeciwieństwie do Charlie, tak zrozpaczonej, że chciała w życiu spróbować wszystkiego.

Pewnego razu wszedłem tam za nią, ale szybko opuściłem pokój, kiedy poczułem na ciele obce ręce, którym nie potrafiłem nawet przyporządkować płci. Chociaż w dark-roomie nigdy nie panowała całkowita ciemność, ponieważ gdy tylko ktoś odsunął na bok ciężką filcową zasłonę w otworze wejściowym, garść uprzykrzonych fotonów padała na splecione ciała i wywoływała mgliste wspomnienie dziennego światła, jak w tej chwili lampka nocna w gniazdku na ścianie, przy samych stopach Aliny.

Była już na końcu korytarza, tuż przed wąsko uchylonymi ciężkimi metalowymi drzwiami przeciwpożarowymi. TomTom stanął przed nią, przycisnął kudłate ciało do jej nóg i nie pozwalał jej iść dalej.

- Zaczekaj - powiedziałem i dołączyłem do niej. Szybko się zorientowałem, że retriever rzeczywiście miał powód, aby zagrozić drogę swojej pańci, ponieważ zaraz za drzwiami zaczynały się strome schody prowadzące do piwnicy pod bungalowem.

- Słyszysz to? - wyszeptała Alina i po raz pierwszy wyczułem cień strachu w jej głosie.

- Tak!

Nie tylko to *słyszałem*. Również *czułem*. Równomierne syczenie sprayu stało się głośniejsze, a zapach perfum śmierci bardziej intensywny.

- TomTom zwiertzył niebezpieczeństwo - powiedziała niepotrzebnie Alina. Nie trzeba było mieć dobrego zwierzęcego węchu, aby domyślić się, że coś tu nie było całkiem w porządku.

Nie, mylisz się. Tu nic nie może być. My tylko idziemy śladem halucynacji niewidomej ezoteryczki.

Otworzyłem drzwi.

Oczywiście znałem historie o idiotach, którzy boso schodzili do piwnicy, gdzie czekał na nich morderca z siekierą, zamiast posłuchać rady publiczności kinowej, że lepiej wziąć nogi za pas i uciekać jak najdalej. I dlatego nawet nie pomyślałem, żeby chociaż postawić stopę na schodach. Jeśli nawet gnała mnie tam czysto zawodowa ciekawość. Jeśli nawet istniała możliwość, że znajdowaliśmy się zaledwie kilka metrów nad kryjówką kolekcjonera oczu, gdzie czekali na nas zrozpaczeni Lea i Tobias.

Instykt TomToma i tym razem go nie zawiódł. Nie powinniśmy narażać się na niebezpieczeństwo. To było dla mnie całkowicie jasne. Przynajmniej w pierwszych sekundach. Choć tylko do momentu, kiedy usłyszałem to przerażające, nieludzko zniekształcone rżenie, które mogło wydawać wyłącznie stworzenie potrzebujące mojej pomocy teraz, *natychmiast*, a nie dopiero za pół sekundy.

- Cholera, co to jest? - zapytała Alina, a w jej głosie zabrzmiał jeszcze większy strach.

Tam na dole ktoś umiera, pomyślałem i otworzyłem klapkę w komórce. Wystukałem esemes do Stoi, w którym napisałem, gdzie może mnie znaleźć.

To stało się zaraz po tym, kiedy nacisnąłem klawisz „wyślij” i zszedłem mniej więcej do połowy schodów. Czujnik ruchu włączył plafon na suficie. Akurat tutaj, w piwnicy, bezpośrednio pod salonem, nagle zrobiło się widno jak w dzień.

Niestety.

Kiedy przed moimi oczami zniknęły czarne plamy, spojrzałem w dół, do małego pomieszczenia z grubo ociosanymi ścianami, które z powodu wypukłego sklepienia przypominało piwnicę na wino, i zadrżałem.

Jak bardzo pragnąłem wrócić do ciemności, z której przyszedłem.

Oddałbym wszystko, aby oszczędzić sobie tego widoku.

Kiedy światło przenika przez naszą rogówkę, przechodzi przez źrenicę i w końcu trafia na wrażliwe fotoreceptory siatkówki, powstaje tam obraz, przynajmniej na bardzo małym kawałku tej błony, na plamce żółtej, macula lutea. Ściśle rzecz ujmując, nie generuje się wyłącznie jeden obraz, ponieważ nasze mięśnie oczne powodują, że oko podczas patrzenia nigdy nie jest całkowicie nieruchome, lecz w ułamkach sekundy odczytuje obiekt, aż z niezliczonych fragmentów tworzy się całkowity obraz. Tak powstaje potok bodźców nerwowych, które nasz mózg przerabia na wzorec obrazu. Ściśle rzecz biorąc, oko jest tylko przedłużonym narzędziem naszego właściwego wizualnego narządu zmysłu - mózgu, który nigdy nie pozwala nam oglądać rzeczywistości, lecz zawsze tylko jej interpretację.

Widok, który tutaj w piwnicy bungalowu z całej siły walił jak młotem w moją czaszkę, nie był wzorem. Mój mózg nie przypominał sobie niczego, co mogłoby dorównać temu straszemu widokowi. Nigdy wcześniej nie widziałem niczego tak koszmarnego.

Kobieta sprawiała wrażenie eksponatu z kolekcji anatomicznej, z tą różnicą, że jej ciało, poddane na dużej powierzchni sekcji, jeszcze żyło. Najpierw myślałem, że tylko syczący obok pryczy respirator sprawiał, że jej rozcięta klatka piersiowa jeszcze się unosi i opada. Ale, niestety (Boże, wybac mi, tak bardzo bym chciał, żeby umarła), otworzyła usta pod maską z rurą intubacyjną i zarzęziła. Na dodatek przewróciła oczami, kiedy zasłoniłem ręką usta.

To nie mogła być prawda. To nie dzieje się naprawdę. To nic innego jak tylko optyczne złudzenie. Przecież my tylko podążamy tropem halucynacji niewidomej...

Zamrugalem, ale nie mogłem wymazać przerażającego widoku. Ani pryczy, ani respiratora, ani...

... telefonu? Co, do diabła, robił telefon na szpitalnej szafce nocnej obok umierającej kobiety?

Płec ofiary rozpoznałem tylko po długich włosach i piersiach, których brodawki już zgniły. Nie była uprowadzoną dziewczynką, ponieważ jej wzrost nie pasował do dziewięciolatki. Nie dało się określić wieku kobiety, zwłaszcza że brakowało jej wszystkich zębów, a także niektórych palców u rąk i stóp

- Co się tam dzieje na dole? - Alina wyrwała mnie z zamyślenia. Widocznie sprzeciwiła się TomTomowi i teraz stała tam, gdzie włączyłem czujnik ruchu, w połowie schodów. TomTom czekał stopień przed nią, dysząc i drżąc /

z podniecenia.

- Nie mogę - jęknąłem zduszonym głosem, cały czas starając się, aby nieopatrzonym ruchem nie dotknąć czegoś na miejscu zbrodni.

Nie wiem, co powinienem zrobić. Wielki Boże, nie wytrzymam tego tutaj.

Widok kobiety, która była jedną oddychającą raną, nie chciał zniknąć, nawet kiedy na chwilę zamknąłem oczy.

Była związana w sposób, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem, całe ciało zostało owinięte przezroczystą folią, jakby było kawałkiem mięsa, które ktoś włożył do torebki foliowej. Szaleniec, który wykazał się tą perwersją, musiał naprawdę wyssać całe powietrze pod folią, która wskutek tego ściśle przylegała do mięśni pod poszarpaną na strzępy skórą.

Kiedy to do mnie dotarło, zacząłem wymiotować.

Ze względu na sąsiadów. Żeby było mniej czuć, kiedy zwłoki rozkładają się przy żywych.

Naprawdę została zapakowana w folię termokurczliwą, jak artykuł spożywczy w przezroczystą folię.

- Potrzebujesz pomocy? - zapytała Alina.

- Nie, ja ...

Pomocy Tak. Naturalnie, że potrzebuję pomocy

Spojrzałem na moją komórkę i jęknąłem.

Logiczne. Jesteśmy w piwnicy. Brak zasięgu.

Jeszcze gorzej! Połączenie musiało się przerwać już przy wejściu, ponieważ telefon pokazywał mi jeszcze esemesa w skrzynce nadawczej. Wysłanie wiadomości nie powiodło się. Stoya nie wiedział, gdzie jestem.

Szybko odwróciłem się od widoku męczeństwa przede mną i wróciłem na schody

- Musimy stąd wyjść. Musimy natychmiast...

Szszszsz!

- Alina?

Prawie wykrzyczałem jej imię, tak bardzo przestraszył mnie niespodziewany szmer za plecami. Ona również drżała teraz nie mniej niż TomTom.

- Co to było?

Nie, błagam, nie. Niech to nie będzie to, co przypuszczam...

Od góry schodów poczułem powiew zimnego świeżego powietrza.

Psiakrew!

Zostawiliśmy otwarte wszystkie drzwi, od wejścia przez sień po te tutaj, do piwnicy. Wiatr na

dworze przybrał na sile. Był jeszcze słaby, dużo brakowało mu do zimowej burzy, ale dość silny, aby wywołać przeciąg, który hulał po pokojach i...

- Kurde!

Przecisnąłem się obok Aliny i TomToma, wbiegłem na górę i z wściekłością połączoną z rozpaczą kopnąłem w drzwi do piwnicy, które dopiero co się zatrzęsęły.

Najpierw szarpnąłem klamką, potem napałem na nie barkiem, lecz moje kości okazały się bardziej ustępliwe niż metalowa płyta, która zagrażała nam powrotną drogę. Nawet tutaj, na najwyższym stopniu schodów, moja komórka pokazywała brak zasięgu, a więc ponownie przecisnąłem się obok Aliny i TomToma i zszedłem do piwnicy

- Co planujesz? Powiedz wreszcie!

Zignorowałem jej niecierpliwe pytanie i jeszcze raz sprawdziłem, czy telefon na nocnym stoliku ciągle działa.

Rzeczywiście. Ten stary przedpotopowy aparat był podłączony do sieci.

Miał okrągłą tarczę do wybierania numerów, jakiej już nie widziałem od lat osiemdziesiątych.

Jak u babci. Wszystko jest jak u babci. Nie tylko perfumy śmierci.

Aparat miał nawet blokadę wybierania numerów. Relikt z dawnych czasów, kiedy rozmowy międzymiastowe kosztowały majątek i przed wyjazdem na urlop zabezpieczano telefon mechanicznie przed niepożądanymi połączeniami. Jak było wtedy w zwyczaju, również tu mała blokada została tak zamontowana, że tarcza obracała się tylko o dwie cyfry - jeden i dwa.

Ale to mi wystarczy. Nie potrzebuję więcej cyfr, aby wybrać numer alarmowy. Wcisnąłem palec wskazujący do otworu tarczy.

1... 1... 2.

Staromodny terkot tarczy nieprzyjemnie współbrzmiał ze stojącym obok respiratorem. Wstrzymałem oddech i ze wszystkich sił starałem się nie patrzeć w prawo. Na żyjące zwłoki.

W słuchawce rozległ się sygnał.

Jeden. Drugi.

Przy trzecim dzwonku nagle zrobiło się ciemno.

(jeszcze 6 godzin i 11 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Frank Lahmann (wolontariusz)

- Gdzie on jest?

Thea Bergdorf niepostrzeżenie zbliżyła się do Franka i stała teraz za jego plecami. Zastanawiała się, jak długo go obserwuje.

- Wiem, że się z nim kontaktujesz, więc nie rób ze mnie wariata, mały!

Stojąca przed nim naczelną przypominała bramkarza zdecydowanego w ostateczności posunąć się do przemocy fizycznej, aby obronić swoje pole karne. Thea Bergdorf zazwyczaj nosiła obcisłe kremowe spodnie, które pasowało do niej mniej więcej tak, jak garnitur w jodełkę, który zbiegł się w praniu, do wykidajły Fakt, że nie przywiązywała większej wagi do wyglądu zewnętrznego, nie przeszkadzał jej w kontaktach z ludźmi.

- Zrobiłam karierę nie *mimo*, lecz z powodu mojej dużej dupy - poinformowała osłupiałych menedżerów Izby Gospodarczej na przyjęciu noworocznym swojej gazety.

- Gdybym była młoda, ładna i przeraźliwie chuda, musiałabym marnować zbyt wiele czasu na dupczenie się z niewłaściwymi facetami. - Miała zatem poczucie humoru. Ale w tej chwili Frank nie zauważył jego najmniejszych oznak ani w jej mimice, ani w butnym, rozkazującym tonie głosu.

- Ostatni raz: gdzie w tej chwili jest Zorbach?

Frank jęknął wyczerpany i przejechał ręką po włosach.

- Poprosił mnie, żebym nikomu tego nie mówił.

- Jestem jego szefową, gdyby to panu umknęło.

- Wiem, ja jestem tutaj zwykłym stażystą, a *on* jest moim bezpośrednim przełożonym.

- Ach, i myśli pan, że wciągnie to pana w konflikt interesów, co? - Thea wykrzywiła usta w drwiącym uśmiechu.

- No dobrze, w takim razie wybawię pana od tego konfliktu. Jest pan wylany! - Odwróciła się na pięcie i odeszła.

- Co? - Frank zerwał się z fotela Zorbacha i pobiegł za nią. - Dlaczego?

Nawet się nie odwróciła.

- Bo nie mogę tolerować tego, że podwładni ukrywają ważne informacje. Prosiłam pana, żeby mnie natychmiast powiadomić, kiedy Zorbach się zgłosi. Pan to zignorował i chciał grać według własnych reguł? Miał pan pecha.

- Ale to pani nic nie da! - krzyknął z wściekłością Frank. - Skoro już tu nie pracuję, niczego więcej się pani ode mnie nie dowie.

- Och, nie musi pan już nic mówić. - Wreszcie się zatrzymała, wprowadzie tylko po to, żeby wskazać wejście do hali redakcyjnej, której elektryczne szklane drzwi właśnie się otworzyły.

Do redakcji weszli dwaj mężczyźni.

Thea uśmiechnęła się diabolicznie.

- Z pewnością policja ma bardziej skuteczne metody, aby wyciągnąć z pana prawdę.

(jeszcze 6 godzin i 10 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Alexander Zorbach (ja)

- Tak, halo? - Już sam dobrze usposobiony głos na drugim końcu linii był irytujący, a dochodzący z głębi hałas jeszcze mniej przypominał odgłosy centrali telefonu alarmowego. Wydawało się, że mieszanka śmiechów pod wpływem alkoholu i fałszywy śpiew pochodzą raczej z baru karaoke.

- Przycisz wreszcie tę muzykę - jakby na potwierdzenie wrzasnął mężczyzna do rozbawionych kompanów i rzeczywiście wydawało się, że ktoś go usłyszał, ponieważ naraz przycichły basy dyskotekowych rytmów.

- Do jasnej cholery, czy ja rozmawiam ze stacją pogotowia alarmowego?

- Co? Ach tak, tak. Numer alarmowy. Jasne! - Roześmiał się równie szeroko, jak przeciągał samogłoski. Najwyraźniej mężczyzna był podпиты. Natomiast z pewnością nie był tym kimś, kogo chciało się mieć przy aparacie po wybraniu numeru 112. - Sorry, nie spodziewałem się, że tak szybko zadzwonisz.

Nie spodziewałem się?

- Żarty pan sobie robi? - wrzasnąłem. - Stoję tu obok kobiety, która natychmiast potrzebuje pomocy... - Przerwałem. Coś zaczęło wibrować i nie był to respirator.

- Ach, tak. Gra w killera. Rozumiem. Chwileczkę.

Usłyszałem szelest przewracanych kartek, potem głos męczyzny zabrzmiał tak, jakby czytał przygotowany wcześniej tekst:

- Ostrzegałem cię. Nie powinieneś mnie prowokować, ale ty koniecznie chcesz ze mną zagrać. A więc dobrze, uważaj. Oto reguły gry.

- Reguły?

Wibrowanie stało się bardziej intensywne i nałożyło się teraz na szum, który z daleka przypominał mi odkurzacz.

Co tu się dzieje? Do diabła, co tu się z nami dzieje?

- W takich grach zawsze są jakieś cholerne reguły, stary!

Facet przy telefonie cicho beknął, po czym śmiejąc się, przeprosił.

- Kim pan jest? - krzyknąłem.

- O cholera, wszystko spieprzyłem, sorry Człowieku, to chwilowa pomyłka. Normalnie dostaję instrukcje już tydzień wcześniej. Ale dzisiaj mamy tu małe święto i jestem już po paru głębszych, dlatego nie skapowałem od razu, rozumie pan?

Nie, nie rozumiem. Nie rozumiem, dlaczego muszę rozmawiać z podpitym idiotą, skoro wybrałem numer alarmowy, żeby ratować rozkładającą się kobietę, z którą ja i moja niewidoma towarzysząca jesteśmy zamknięci w ciemnej piwnicy.

- O czym pan mówi?

- Okay, jednak musi mi pan obiecać, że nikomu więcej tego nie powie, dobrze? Dawniej robiłem to częściej, dlatego mój numer ciągle jest w intencie. Ale te fikcyjne zabawy coraz bardziej mnie nudzą. Wygadywałem tutaj te dyrdymały tylko dlatego, że facet obiecał mi za to sto euro.

Fikcyjna zabawa? O Boże, kolekcjoner oczu przekierował rozmowę do jakiegoś studenta, który myśli, że może zarobić kilka euro na interaktywnej zabawie w podchody, jeśli przekaże wskazówkę uczestnikowi gry.

Tylko że to tutaj nie jest grą. Chyba dla nikogo z wyjątkiem samego kolekcjonera oczu.

- Ten mężczyzna, który dał panu pieniądze, żeby podszedł pan do telefonu, kiedy wybiorę ten numer, co on panu polecił?

- No, przeczytać ten e-mail.

Zakaszlałem i nagle ogarnęło mnie nieprzyjemne uczucie, jakby powietrze, którym oddychałem, zrobiło się bardziej suche.

- Masz powietrza jeszcze tylko na piętnaście minut - czytał dalej mężczyzna. Monotonny szum odkurzacza przeszedł w stałe dudnienie. - To potrwa tak długo, aż pompy wciągną powietrze z piwnicy. Jeśli nie przyszedłeś sam, żeby rozwiązać zagadkę, zostało ci jeszcze mniej czasu. Ale wiesz, gra jest grą. I nie ma gier bez szans. Możesz wyłączyć pompy i wygrać! - Zrobił przerwę, podczas której ktoś w tle krzyknął coś sprośnego.

- Dalej?

- Nic więcej tu nie ma. - Zaśmiał się zmieszany.

- Co znaczy, nic więcej tu nie ma?

Jak miałem po ciemku wyłączyć te przeklęte pompy, które z naszego lochu zrobią próżnię, skoro nawet nie wiedziałem, gdzie jesteśmy?

Chwyciłem się za wyschnięte gardło.

- Hej, partnerze, chyba pan mu nie powie, że to spieprzyłem, co? Muszę się teraz rozłączyć.

Muzyka znów stała się głośniejsza. Widocznie mężczyzna przeszedł do innego pokoju i stał teraz na środku parkietu do tańca.

- Nie, nie rozłączać się. - Teraz przekrzykiwałem jednocześnie hałas w tle i szum silnika pompy ssącej. - Tam musi być coś jeszcze.

- Nie, stary Serio, jest... chwila.

Zamilkł, a ja jeszcze mocniej przycisnąłem do ucha starą słuchawkę.

- Dupa blada. Temat maila. O mało co go nie przegapiłem.

- Co? - zapytałem tak spokojnie, jak tylko potrafiłem w tej chwili.

Zachować spokój. Oddychałem powoli i głęboko.

Masz jeszcze mnóstwo czasu, próbowałem sobie wmówić. Jeśli nawet Alina i TomTom również zużywają tlen, a piwnica ma tylko kilka metrów sześciennych objętości - dziesięć minut to cholernie dużo czasu na wymyślenie planu.

- Do jasnej cholery, co jest napisane w temacie?

Na drugim końcu połączenia ostatni raz zaszeleściło, potem mężczyzna powiedział coś, co ostatecznie odebrało mi rozum:

- Tylko cztery słowa, stary. Jest napisane: *pomyśl o swojej matce!*

Moja matka umarła rankiem dwudziestego maja w naszej kuchni, zaraz po tym jak wciągnęła nosem trochę mąki, kiedy piekła ciasto. Jej najlepsza przyjaciółka Babsi, która przypadkiem przyszła z wizytą, krzyknęła do lekarza pogotowia, cudzoziemca, żeby zajrzał jej do nosa.

- *Ona zatkała sobie nos!*

Babsi powtarzała to co najmniej tuzin razy: kiedy przenosili mamę na nosze, kiedy na oczach sąsiadów pakowali ją do karetki, a także lekarzom na oddziale intensywnej terapii w Virchow:

- *Tylko dlaczego zatkała sobie nos?*

Dla Babsi było jasne jak na dłoni, że spowodowało to podciśnienie w mózgu, śródczaszkowe, powstające przy pęknięciu tętniaka. Dopiero dużo później pewien lekarz ze zmęczonymi oczami i wystającymi zębami wyjaśnił mi, że mama nie uniknęłaby zawału, nawet gdyby całkiem zwyczajnie wysmarkała się w chusteczkę do nosa.

- *Krwotok mózgowy przypuszczalnie został wywołany odruchowym kichaniem. Albo był to czysty przypadek, że pana matce coś wpadło do nosa dokładnie w chwili, kiedy pękł tętniak. Ale nie to spowodowało udar.*

Jakie to pocieszające. A więc życie mojej matki nie zależało od baterii najnowocześniejszej techniki szpitalnej, ponieważ była ona za głupia na kichanie. Jakie to uspokajające. Po prostu przyszła na nią pora.

Dzisiaj, pięć i pół roku po tym nieszczęściu, leżała na oddziale klinicznym prywatnego domu opieki. Jej jednoosobowy pokój wyglądał jak showroom urządzony na potrzeby zaawansowanej technologii wykorzystywanej w medycynie intensywnej. Oficjalna nazwa medyczna jej stanu brzmiała: syndrom apaliczny. Stan wegetatywny. Zawsze, kiedy ją odwiedzałem, starałem się zdjąć kartę szpitalną przyczepioną w nogach łóżka, przekreślić diagnozę i zamiast tego napisać „zmarła”. Ponieważ dla mnie była: *martwa*.

Mogło być tak, że matka nie odczuwała stanów jawy i snu, a jej narządy wewnętrzne nie zaprzestały pracy dzięki dużej ilości proszków, wlewów, rurek i aparatury. Dla lekarzy, pielęgniarzy i siostr mogło to śmiało wyczerpywać definicję życia. Dla mnie umarła w naszej kuchni dwudziestego maja, pięć i pół roku temu.

I wiedziałem, że widziałyby to dokładnie tak samo, gdyby jej umysł był zdolny do jeszcze jednej klarownej myśli.

- *Obiecuj mi, że to nigdy nie zajdzie tak daleko!*

Niemal błagała mnie wtedy, w powrotnej drodze z domu opieki. Odwiedziliśmy tam babcię i tego

dnia było jeszcze straszniej niż zwykle. W jadalni babcia rzucała na wszystkie strony kałem („Zobaczcie, co potrafię”), a potem próbowała jeść swoje włosy. Kiedy nas do niej dopuścili, unosiła się już w siódmym farmaceutycznym niebie i ślinała jak dawniej, kiedy zasypiała przed telewizorem.

- Dobry Boże, nie chcę tak skończyć. - Mama rozplakała się w samochodzie i zjechała na prawe pobocze. A potem zaklęła mnie na wszystko i zmusiła do złożenia przerastającej mnie obietnicy, że nigdy nie dopuszczę do sytuacji, w której nie będzie już panią swoich zmysłów.

- Powinni odłączyć całą aparaturę. - Wzięła mnie za rękę, spojrzała głęboko w oczy i powtórzyła jeszcze raz: - Obiecuj mi, Alex, gdyby kiedyś przydarzył mi się wypadek i gdybym miała potem tylko wegetować jak babcia, chcę, żebyście zrobili wszystko, żebym nie skończyła jak ona, słyszysz?

- Powinni odłączyć całą aparaturę.

Gdyby napisała dyspozycję pacjenta. Gdyby mój ojciec jeszcze żył, mógłby podjąć decyzję za mnie. Gdybym po prostu sam zdobył się na odwagę, żeby poważnie potraktować jej ostatnią wolę.

Kiedyś spróbowałem, pojechałem do sanatorium z silnym postanowieniem, że wyłączę zasilanie respiratora -i poniosłem sromotną klęskę. Po tragedii na kładce dla pieszych nie miałem siły, aby odebrać życie następnemu człowiekowi. I to ja ponosiłem winę za to, że moja matka, ta niegdyś energiczna, kochająca życie, wyemancypowana kobieta, która nigdy nie pozwoliła, żeby szatniarz pomógł jej włożyć płaszcz, była teraz narażona na humory niedostatecznie wynagradzanego personelu pielęgniarskiego, bez którego pomocy nie mogła już nawet kontrolować wypróżniania.

Nie chciałyby tego. Wolałyby umrzeć, wyraźnie mi to powiedziała, ale tego dnia nie potrafiłem jej zabić.

I wyglądało na to, że kolekcjoner oczu to wie.

Pomyśl o swojej matce.

Musiał mnie dobrze znać: zdawał się wiedzieć, że przez parę sekund wpatrywałem się w wyłącznik respiratora, co położyłoby kres całemu cierpieniu i sprowadziło na mnie proces za nielegalną eutanazję.

Wiedział, że byłem za miękki. Strzał do Angelique całkowicie wyczerpał moją odwagę potrzebną do zabicia innego człowieka, nawet jeśli śmierć mogła zmniejszyć jego cierpienie i być może była nawet największym pragnieniem.

Dlatego kolekcjoner oczu postawił przede mną zadanie, z którego nie byłem w stanie się wywiązać.

Gra jest grą. I nie istnieje gra bez szans na wygranie.

Nie zachęcał mnie do znalezienia pompy ssącej. Jeśli chciałem uratować życie swoje i Aliny, musiałem wyłączyć zupełnie inną maszynę: tę, która zaledwie krok ode mnie utrzymywała przy życiu torturowaną kobietę.

Możesz wyłączyć pompę i wygrać!

Respirator obok łóżka nieznanej kobiety!

Wykrzychałem studentowi przy telefonie swój adres, błagałem go, żeby przysłał pomoc.

Nerwowo wyrzucałem z siebie słowa, tłumacząc mu, że to nie jest zabawa, tylko coś śmiertelnie poważnego. Ale tylko się zaśmiał:

- Tak, tak. Facet uprzedził mnie, że będzie pan wygadywał takie bzdury - i odłożył słuchawkę.

Przycisnąłem widełki, ponownie wybrałem 112, ponownie się rozłączyłem i czekałem na sygnał „wolne”. Bezskutecznie.

Nie miałem pozwolenia na drugą rozmowę.

Stary telefon został wyłączony.

(jeszcze 6 godzin i 4 minuty

do wygaśnięcia ultimatum)

Frank Lahmann (wolontariusz)

- Co to za pieprzenie - powiedział śledczy który jako następny usiadł naprzeciw niego. - Razem z niewidomym świadkiem szuka właściciela źle zaparkowanego samochodu? I ja mam uwierzyć w te bzdury?

Tłusty tyłek komisarza wbił się w kant masywnego szklanego stołu, przy którym go posadzili. Frank przypuszczał, że na zewnątrz, przed salą konferencyjną redakcji nagłówków, czeka na niego Thea i być może nawet podsłuchuje pod drzwiami. Jakże chętnie weszłaby razem z nimi, ale nie pozwolił jej na to drugi policjant. Był on nie tylko szczuplejszy, lecz również porządniej ubrany, mimo to nie wyglądał mniej nędznie niż jego niezgrabny kolega. Ciemne podkrążone oczy, łuszcząca się skóra, nabiegłe krwią oczy - Frank dobrze znał u siebie te oznaki przemęczenia. Coś takiego pojawia się, kiedy czas pracuje przeciwko człowiekowi, a sen jest luksusem, na który nie można sobie pozwolić. Frank zobaczył w ich twarzach nawet skutki uboczne działania środka antystresowego. Facet, na którego wołali Scholle, topił potrzebę snu w kawie i red bullu. Jego szczuplejszy przełożony w garniturze sięgał po silniejsze specyfiki. Jego ogromne źrenice mówiły równie jednoznacznym językiem jak fakt, że nieustannie pociągał nosem - jak Kowalla z redakcji sportowej, który wciągał kokę.

- Niech pan po prostu sprawdzi te informacje - poprosił Frank. - Być może Zorbach ma rację i facet z mandatem to ten, którego pan szuka?

Frank jeszcze raz podał im adres przy Brunnenstrasse, gdzie człowiek, którego Zorbach uważa za kolekcjonera oczu, zostawił swój samochód na miejscu dla niepełnosprawnych.

- Niech pan to sprawdzi. Co ma pan do stracenia?

- Czas - odpowiedział człowiek, który przedstawił się jako Philipp Stoya. - Ultimatum wygasa, a ja nie chcę znaleźć kolejnych zwłok dziecka tylko dlatego, że zmarnowałem czas na sprawdzanie wykroczeń drogowych!

Kąciki ust Stoi drżały, kiedy starał się powstrzymać ziewanie. Potem pośpiesznie wyjął chusteczkę z kieszeni spodni, w ostatniej chwili, zanim kilka razy kichnął. Kiedy skończył, z prawej dziurki jego nosa pociekła cienka strużka krwi. Wydawało się, że główny śledczy sam to zauważył, ponieważ przeprosił i wyszedł z sali konferencyjnej.

No świetnie. Po prostu zostawia mnie samego z tym Rambem, pomyślał Frank i stał się jeszcze bardziej nerwowy.

Scholle uśmiechnął się do niego. Nic więcej. Po prostu siedział na brzegu stołu, bujał prawą nogą, jakby balansował piłką, i szczyrzył zęby. Szeroko. Przyjaźnie. Bez złośliwości. Patrzył na niego jak na starego kumpla. I nic nie mówił.

Frank opuścił wzrok i zastanawiał się.

Czy powinienem dać mu adres?

Zorbach prosił go, żeby nic nie robił, dopóki on telefonicznie nie wyrazi na to zgody. Ale teraz nie zgłaszał się już od dziesięciu minut. A kiedy na krótko przed przyjściem policjantów Frank chciał do niego zadzwonić, nie podszedł do telefonu.

Żądany abonent jest chwilowo nieosiągalny.

- To nie był Zorbach - powiedział, z pewnością już po raz trzeci podczas krótkiego przesłuchania. - Straciecie więcej czasu, szukając mojego szefa, niż gdybyście wreszcie sprawdzili ten mandat.

Brak reakcji. Scholle uśmiechał się dalej.

Cholera.

Frank domyślał się, co jeszcze nastąpi. Znał takich facetów. Jeśli nawet z powodu młodzieńczego wyglądu i niewielkiego doświadczenia życiowego uważano go tu w redakcji za żółtodzioba, to jednak poważnie traktował ludzi, którzy przyzwyczaili się do tego, że dostawali wszystko, czego chcieli. Znał ich już choćby dlatego, że byli tak podobni do jego ojca. Prywatnie Scholle mógł być dobrodusznym tatusiem rodziny, który na zabawie w ogrodzie specjalnie dla ciebie kładzie na grillu najgrubszy stek i sam nosi swoje dzieci na barana. Kiedy jednak w pracy zabrnął w ślepią uliczkę, z pewnością ze wszystkich sił starał się rozwiązać sprawę. Być może tylko dlatego grał drugie skrzypce. Prawdopodobnie brakowało mu cierpliwości i wrażliwości, a subtelną taktykę przeprowadzania przesłuchań, w przeciwieństwie do swojego wciągającego kokę partnera, znał jedynie ze słyszenia.

Do momentu kiedy Zorbach dał mu szansę w redakcji, Frank był przez całe życie outsiderem. Kimś, kto nigdy nie stał w samym środku, lecz zawsze tylko z boku. Na najlepszej pozycji, jeśli człowiek chce obserwować innych ludzi. Ciężką pracą już w dzieciństwie wyrobił w sobie ogromną empatię. Dlatego wiedział, że uśmiech Schollego był wszystkim innym, tylko nie gałązką oliwną. I raczej zapowiedzią czegoś bardzo, bardzo nieprzyjemnego.

I nie mylił się.

Płynnym ruchem, o co Frank nie posądzałby śledczego z tak dużą nadwagą, Scholle zerwał się na równe nogi i zaszedł go od tyłu. Frank poczuł szarpnięcie w szyi, jakby ucisnął sobie jakiś nerw, potem przeszył go ostry ból biegnący od kręgosłupa szyjnego do lędźwi.

- Koniec żartów! - Scholle wcisnął mu łokieć pod brodę i jeszcze bardziej zacieśnił chwyt, którym dusił Franka.

- Twój przyjaciel zgubił portfel na miejscu przestępstwa. Na dodatek wrócił tam jeszcze raz, żeby napaść na Traunsteina.

W kręgosłupie Franka coś chrupnęło. Zamachał rękami, próbował się podnieść, ale jego tułów był jak odlany z betonu.

- Posiada wiedzę o sprawcy i ucieka przed nami.

On jest szalony.

- Więc nie mów mi, że szukamy nie tego człowieka, co trzeba!

Ten wredny typ jest szalony i chce mnie zabić.

- Może będę miał teraz postępowanie dyscyplinarne. Może tortury są w Niemczech zabronione. Ale wiesz co?

- Scholle zadarł głowę Franka tak wysoko, że jego wzrok niechybnie musiał padać na duży zegar wiszący na ścianie w przeciwnym końcu sali konferencyjnej. - Mam to w dupie, kiedy chodzi o dzieci. Czas nam ucieka i raczej wylądujesz w szpitalu, niż dopuszczę, żeby z powodu takiego małego dupka jak ty umarło jeszcze jedno dziecko!

Frank stwierdził z ulgą, że mimo nacisku na krtań może jeszcze oddychać, i ponownie spróbował uwolnić się z brutalnego chwytu. Potem zamarł. Uspokoił się. Nie drgnął nawet o milimetr, jeśli nie prosił go o to Scholle. Miał świadomość okropnego bólu, który występował natychmiast, gdy zaledwie o kilka stopni obrócił głowę.

- Wiesz, jak w najcięższych sprawach sporządzam notatki?

Frank nie odważył się nawet skinąć głową. Jego tętno szalało i pocił się teraz na całym ciele.

Pan jest zboczony! - miał już na końcu języka, ale nie chciał ryzykować, że jeszcze bardziej rozwścieczy Schollego. Nie chciał, żeby ostro zakończony przedmiot, który czuł w uchu, został wprowadzony głębiej.

- Ołówkiem - powiedział śledczy i zaśmiał się. - Zawsze noszę przy sobie długi, świeżo zaostrzony ołówek.

Ciepły wilgotny oddech policjanta trafił na mokrą od potu skórę na karku Franka. Chłopak się wzdrygnął.

- Okay, okay, już powiem - jęknął Frank.

- Ach tak? - Żelazny uchwyt nie rozluźnił się nawet o milimetr. Ołówek uwierał tak nieprzyjemnie, jak za głęboko włożony do ucha suchy patyczek kosmetyczny. - Nawet ci wierzę, że teraz będziesz śpiewać. Wiesz, jaka jest różnica pomiędzy mną a moim partnerem? - Frank znów nie mógł skinąć głową, nie ryzykując, że Scholle uszkodzi mu błonę bębenkową. - Stoya też jest u kresu. Ale w przeciwieństwie do mnie nie jest pewny, czy twój szef rzeczywiście jest tym dupkiem, którego

szukamy. Prawdopodobnie dlatego nie pozwoliłby sobie na żadne groźby. Ograniczyłby się do postraszenia.

Frank zaczął dyszeć ze strachu.

- Ja natomiast chcę mieć pewność, że wiesz, co się stanie, jeśli teraz wpuścisz mnie w kanał - powiedział Scholle i jeszcze mocniej zacisnął dłoń na ołówku, żeby móc silniej pchnąć.

(jeszcze 6 godzin i 2 minuty
do wygaśnięcia ultimatum)

Alina Gregoriev

- Nie mogę!

- Czego nie możesz? Proszę, powiedz mi wreszcie, co tu się dzieje!

Już wchodząc do piwnicy, Alina zwróciła uwagę na prędkie, głucho echo. Jej słowa brzmiały z lekkim pogłosem, kiedy odbijały się od ścian. Dlatego wiedziała, że pomieszczenie, w którym zostaliśmy zamknięci, nie mogło być duże. Poza tym kiedy schodziła po schodach, uderzyła się w głowę. Stała więc w niskiej, skalistej piwnicy, gdzie niedawno zgasło światło. Cienka woalka, którą jeszcze niedawno widziała dzięki resztkę wizualnych odczuć, znikwała

- podobnie jak tlen, którego potrzebowaliśmy do oddychania.

Od czasu rozmowy telefonicznej, jaką przeprowadził Zorbach, wydawało się, że powietrze tu na dole robi się coraz rzadsze, czuło się coraz większy ucisk w płucach.

- Tutaj leży chora kobieta - usłyszała jego jęczenie. Mówił, jakby mu brakowało tchu, a jego głos był pełen konsternacji: - Muszę ją zabić, jeśli chcemy się stąd wydostać.

Od momentu wejścia do bungalowu oddychała tylko ustami, żeby lepiej znieść nieznośny smród. Zresztą w tej chwili słodkawo-zjełczały zapach spleśniałego jedzenia był jej najmniejszym problemem. Byli zamknięci w otoczeniu, którego nie znała, słyszała koszarne odgłosy, miała trudności z oddychaniem, a Zorbach, jak się wydawało, postradał rozum.

- Stój, nie, nie podchodź bliżej! - ofuknął ją, kiedy wpadła na niego. Zazwyczaj nawet w nieznanym terenie dysponowała czymś w rodzaju zmysłu orientacji. Nie był on zbyt wybitny i nie zawsze obecny, ale w niektórych sytuacjach czuła, kiedy coś stało jej na drodze, na przykład na krótko przed tym, jak uderzyła się o jakiś przedmiot, zmieniał się opór powietrza. Ale tu na dole, w zimnym rozwrzeszczanym otoczeniu, okazało się to bezużyteczne.

Za wiele rozprasających odgłosów. Za duże wymagania jak na moje zmysły.

Słyszała nieprzyjemne syczenie, szum pomp ssących, czuła smród i słyszała panikę w głosie Zorbacha. Nic dziwnego, że się z nim zderzyła i musiała podeprzeć się niezgrabnym ruchem - i to na...

A właściwie na czym?

Po omacku badała dłońmi folię, jakby obmacywała zapakowany kawałek mięsa.

- Co to jest? - zapytała, ale zanim zdążyła dokładniej zbadać ciepłą folię obiema dłońmi, Zorbach szarpnął ją za rękę.

- Nie. Nie dotykaj jej.

Jej?

- O kim ty mówisz?

Wściekł się.

- Przecież powiedziałem ci, że tu leży kobieta. Jedna z jego ofiar. Uwierz mi, na pewno nie chciałyś wiedzieć nic więcej.

Nie, sądzę, że masz rację. Być może naprawdę nie chcę wiedzieć. ..

Mimo to się dowiedziała. Nie od niego, Zorbach bez słowa w dalszym ciągu powstrzymywał jej rękę, prawdopodobnie chciał uchronić ją przed widokiem, jaki sam musiał znosić przez cały czas.

Dowiedziała się prawdy, kiedy przeszła w inne miejsce, i Zorbach nie mógł już trzymać jej za rękę. Jej palce zbadały obraz męczarni lepiej, niż dało się to opisać słowami. Przed nią, pod cienką folią, leżała otwarta paląca rana. Dotykaniem wyczuwała mięśnie, ścięgna, mięso, a częściowo nawet gołe kości.

Fasciitis necroticans, przeleciało mi przez głowę koszarne podejrzenie.

Znała tę rzadką chorobę bakteryjną, która powoduje, że ciało ludzkie dosłownie rozkłada się jeszcze za życia. Ktokolwiek tu leży, musi cierpieć nieludzkie męki, porównywalne z mękami zaniedbanego pacjenta, wymagającego stałej pielęgnacji, który ma na całym ciele odleżyny. Kiedyś leczyła pewnego biznesmena, który przebył tę ciężką chorobę i w czasie stosowania fizykoterapii musiał od nowa uczyć się normalnie poruszać.

- Wręcz się rozkładałem - opowiadał jej pacjent, który został zakażony w szpitalu. - Najpierw wszystko obrzmiewało, robiło się gorące, skóra pękała i zaczynała gnić, całym moim ciałem wstrząsały gorączkowe dreszcze! - Życie uratowały mu niezliczone operacje i wagon rozmaitych antybiotyków. Środki, na które z całą pewnością było już za późno dla zdychającej tu kobiety, nawet jeśli nie cierpiała na tę chorobę.

Być może wcale nie została zakażona. Być może gnije tylko dlatego, że nie może ruszać się pod folią.

- Kim ona jest? - zapytała Alina i musiała odkaszlnąć. Powietrze tu na dole było już mocno nasycone jej własnym dwutlenkiem węgla.

- Nie mam pojęcia. Nie wiem. Wiem tylko, że ten chory parszywiec musiał sprzęgnąć zasilanie z respiratorem. Myślę, że kiedy wyłączę maszynę, zapali się światło i otworzą drzwi.

Zorbach też ciężko sapał i zaczął dyszeć, jakby chciał dorównać TomTomowi.

- Ale nie mogę tego zrobić. Nie zrobiłem tego także mojej matce!

Alina skinęła głową. Co prawda nie zrozumiała, co chciał przez to powiedzieć, lecz teraz nie było czasu na wypytywanie go o historie rodzinne.

- Ile czasu nam jeszcze zostało? - zapytała i znów ostrożnie szukała po omacku ręki kobiety

- Nie mam pojęcia. Pięć minut. Może mniej.

Jej palce błądziły po chrząstce, po kawałku obumarłej skóry. I ostrożnie powędrowały w górę.

- Uważam, że prawdopodobnie uwolnimy ją od cierpienia. Pewnie by nam podziękowała, gdyby jeszcze mogła mówić!

Alina usłyszała, że Zorbach płacze, i również jej łzy stanęły w oczach.

Prawdopodobnie. Pewnie. Na pewno jeśli to, co tu czuła, było tylko w połowie tak bolesne, jak podpowiadał jej zmysł dotyku.

Prawdopodobnie i pewnie, i gdyby nie wystarczały, żeby poświęcić niewinnego człowieka, aby samemu przeżyć.

Nie mogła oceniać Zorbacha. Ale wiedziała, że sama nigdy nie znalazłaby w sobie tyle siły, aby żyjącemu człowiekowi odłączyć aparaturę podtrzymującą jego funkcje życiowe.

Przynajmniej dopóki miała jeszcze trochę powietrza do oddychania.

Trochę powietrza.

Pięć minut. Może mniej.

Czternaście minut i czterdzieści trzy sekundy po kapitulacji Franka siedmioosobowy oddział antyterrorystów opuścił centralę i pojechał pod adres, który świadek Frank Lahmann wskazał śledczemu.

Odprawa zajęła następnych pięć minut, odbyła się w samochodzie podczas jazdy i prowadził ją dowódca grupy antyterrorystycznej.

Kiedy jedenaście minut i trzynaście sekund później mężczyźni w pełnym umundurowaniu, kamizelkach kuloodpornych, tytanowych hełmach i z bronią palną zajęli pozycje przed bungalowem, na miejscu były już trzy wozy policyjne i dwie karetki.

Podczas gdy obaj lekarze jeszcze dyskutowali o tym, dlaczego wezwano dwie załogi pogotowia, sąsiadom z działek graniczących z posesją zakazano opuszczać swoje domy.

W tym czasie na miejsce akcji przybyli obaj śledczy, Philipp Stoya i Mike Scholokowsky, z zespołu oddelegowanego do sprawy „kolekcjoner oczu”.

Kamerę termowizyjną, której obraz powinien wykryć miejsce pobytu ludzi, zostawili w bagażniku. Bożonarodzeniowe oświetlenie sprawiało, że przekazywany przez nią obraz był bezużyteczny. Dowódca sekcji zastanawiał się pięć sekund, czy powinien wyłączyć prąd, ale postanowił nie ostrzegać sprawcy lub sprawców w domu, że lada chwila zacznie się akcja.

Ponieważ wszelka zwłoka tylko zwiększała niebezpieczeństwo, plan przewidywał, aby bez ostrzeżenia wyważyć drzwi i po kolei zabezpieczyć wszystkie pomieszczenia jednopiętrowego budynku. Użycie siły okazało się jednak niepotrzebne, ponieważ tylne drzwi były otwarte.

Po upływie mniej niż czternastu sekund już było oczywiste, że na parterze nie ma żywej duszy. A więc należało wyważyć drzwi do piwnicy.

O godzinie 01.07 siły natychmiastowego reagowania wysadziły zamek masywnych drzwi przeciwpożarowych i dwóch ludzi pod osłoną tarcz zbiegło po schodach do piwnicy.

Właśnie upłynęły dwadzieścia trzy minuty, odkąd Frank Lahmann wyjawiał miejsce pobytu podejrzanego.

Te wszystkie informacje o czasie wynikały ze szczegółowego raportu, który sporządził dowódca oddziału specjalnego, zanim policyjny lekarz wysłał go na tygodniowe zwolnienie.

W raporcie nie odnotowano tych niedających się znieść sekund, kiedy policjanci zastygli jak sparaliżowani strasznym widokiem, który zastali w piwnicy. Sekundy, w czasie których kilku najtwardszych ludzi w Berlinie przeżyło traumę, ponieważ jeszcze nigdy w życiu nie widzieli takiego *przeróżającego gówna* (słowa z pierwszego komunikatu na temat, co się dzieje tam na dole).

Już po akcji lekarze pogotowia czuli wdzięczność, że nie byli zdani sami na siebie. Żaden z nich nie wstydział się łez, kiedy zorientowali się, że jest już za późno na jakąkolwiek pomoc medyczną.

Bardziej ślepy od ślepca jest tchórz,

brnie po omacku,

Dreszczem nadziei napawa go myśl,

Że Zło jest Złem.

Serdecznie otwiera mu drzwi,

Bezbronny, niestety, lecz strachem znużony,

Pełen nadziei...

Aż jest już za późno.

Max Frisch,

Biedermann i podpalacze

(przeł. I. Krzywicka i J. Garewicz)

Od strony jeziora nadciągnęła mgła i stworzyła baśniowy świat marzeń. Otuliła jedwabną powłoką trzcinę, iglaste i liściaste drzewa oraz dolną część pali, na których wznosiła się myśliwska ambona. Szary brudny jedwab, który pachniał bagnem, mokrą korą i pozostawiał cienką powłokę na skórze. Z powodu zimna i późnej pory tutaj, na skraju miasta, trudno było spotkać żywą duszę. Kto spaceruje o pół do drugiej w nocy po Grunewaldzie? Na przylegających działkach mgła przy gruncie w znacznej mierze się rozwiła i czuło się ją tam jeszcze tylko jako rzadki opar. Ale nad samą wodą, tam gdzie wszystko się zaczęło, okolica wyglądała, jakby pokrywa chmur opadła na ziemię. Kłęby mgły stałyby się wyraźnie widoczne dopiero po kilku godzinach, po wschodzie słońca. Do tej pory ściana, składająca się z drobnutkich kropelek, była tylko przecuciem, ciemnym cieniem za źle umyтыми oknami starej łodzi, przed którą stałem z telefonem w dłoni.

- Przykro mi, wiem, że jest już późno, ale naprawdę chciałbym z nim porozmawiać!

- Ach, Zorro - jęknęła Nicci. - Dopiero pół godziny temu przeszedł mu kaszel i jestem szczęśliwa, że Julian wreszcie zasnął.

- Jasne - mruknąłem smutnym głosem. To cud, że zachowywała się tak spokojnie, chociaż wyrwałem ją z łóżka w środku nocy. Ale byłem przeświadczony, że na moim miejscu zrobiłaby to samo. Każdy człowiek, który właśnie uniknął pewnej śmierci, potrzebuje bliskości rodziny, bez względu na to, na jakim etapie rozpadu się ona znajduje.

Zastanawiałem się, czy powinienem ją przekonać, aby jednak poszła na górę i sprawdziła, czy dzwonek telefonu nie obudził Juliana - lecz, jak się okazało, nie było to już konieczne.

- Co ty wyprawiasz?

Nicci odsunęła słuchawkę od ust, mimo to usłyszałem, jak zaprotestowała przeciwko bosym stopom mojego syna, który powoli i ostrożnie zszedł po schodach.

- Chcesz umrzeć z przeziębienia?!

Z powodu elektrosmogu nie tolerowała w domu telefonów bezprzewodowych. Modliłem się, żeby nie odesłała Juliana z powrotem na górę.

Coś zaszeleściło na linii, a potem rozmawiałem z osobą, którą kochałem ponad wszystko na świecie.

- Hej, kolego, *happy birthday*.

- Dzięki, tatau! - Głos Juliana był zaspany, ale szczęśliwy. Mieszanka, z którą w tej chwili z trudem sobie radziłem.

- Przepraszam, że cię obudziłem. Chciałem tylko...

Julian wykorzystał moje zająknięcie, żeby mi radośnie przerwać:

- Mama powiesiła dzisiaj coś na sznurku.

Moja dłoń mocniej ścisnęła komórkę, z ogromnym wysiłkiem powstrzymywałem łzy.

Sznurek. Dawniej do mnie należało przymocowanie go do poręczy schodów prowadzących na pierwsze piętro. Przez cały rok gromadziliśmy z Nicci drobiazgi, które mogłyby ucieszyć Juliana. Kalkomanie do albumu, słuchowisko na CD, nowy piórnik, ale również duże prezenty, jak na przykład iPod albo najnowsze PlayStation. Te wszystkie niespodzianki wisiały teraz, pojedynczo zapakowane, pomiędzy owocami i słodyczami na tym urodzinowym sznurku i Julianowi było wolno, począwszy od pierwszego dnia adwentu, zdejmować codziennie jeden prezent. Największy w urodziny. Ostatni w Boże Narodzenie.

- Przyjdę dzisiaj i też coś powieszę - obiecałem.

- Serio? Kupiłeś go? - zapytał tak rozentuzjasmowany, że omal nie pękło mi serce.

W tym roku na jego liście znalazł się cyfrowy zegarek z wbudowanym radiem. Oczywiście nie miałem czasu, żeby go kupić.

- Kiedy go dostanę?

- Gdy tylko wstaniesz z łóżka, kolego!

Zamknąłem oczy, zanim napełniły się łzami.

Z upływem lat nasze życie coraz bardziej opiera się na niespełnionych obietnicach. Oczywiście zawsze znajdzie się dobry powód, dlaczego nie można iść z synem na szkolne przedstawienie albo na wywiadówkę. Dlatego podczas urlopu wysyła się rodzinę na plażę, a samemu czeka się w pokoju hotelowym na e-mail. Zapewne kiedy Bóg dał ludziom świadomość śmiertelności, myślał, że tworzy raj na ziemi. Świat pełen ludzi, którzy zdają sobie sprawę z doczesności i dlatego krótki czas, który jest im dany, wykorzystają w przemyślany sposób. Bzdura. Większość ludzi, których znam, bardzo dobrze wie, że w życiu codziennie dostają nową szansę, aby tracić czas na zarabianie pieniędzy. A mają tylko jedną szansę, żeby świętować jedenaste urodziny swojego dziecka. Szansę, którą właśnie zmarnowałem.

- O siódmej? - zapytał Julian. Była to najwyższa pora na śniadanie, jeśli nie chciał spóźnić się na pierwszą lekcję, chociaż wątpiłem, czy w tym stanie Nicci pozwoli mu iść do szkoły.

- Przyjdę - obiecałem i czułem, że mówię serio. -

O siódmej. Słowo honoru. Wybaczysz mi, że nie przyszedłem dzisiaj wieczorem, kiedy nie było z tobą najlepiej.

- Nie ma problemu - zaśmiał się. - Przecież mama powiedziała mi, że szukasz człowieka, który porywa dzieci.

Ach tak? Zrobiła to?

- Teraz jest już okay Tamto jest ważniejsze.

Całkowicie osłupiałem i szukałem słów. Zanim zdążyłem zapytać, co mama jeszcze o mnie mówiła, Julian zaczął nagle kaszleć. W chwilę później Nicci znów była przy aparacie.

- Lepiej zaniosę go z powrotem do łóżka.

- Dziękuję.

- Za co? Jestem jego matką.

- Mam na myśli to, co mu powiedziałaś. Wiem, że nie lubisz mojej pracy, i z pewnością to ona przyczyniła się do tego, że teraz dzieli nas rów, większy niż uskok San Andreas. Ale naprawdę jestem ci wdzięczny, że nie wykorzystujesz jej, żeby wbić klin pomiędzy mnie i Juliana.

Milczenie. Przez jakiś czas słyszałem tylko szelest liści na zewnątrz łodzi i trzaskanie brzoźowego drewna w kominku, potem Nicci pociągnęła nosem.

- Ach, Zorro, tak mi przykro.

- Mnie też - zapewniłem ją. Potem dołożyłem następne postanowienie do góry moich złamanych obietnic.

- Powiedziałem Julianowi, że zajrzę o siódmej. Co sądzisz o tym, żebyśmy razem zjedli śniadanie?

- Okay.

- Zrobimy prawdziwe urodzinowe śniadanie, tak jak dawniej. Pamiętasz, jak zawsze Julian, jeszcze śpiąc, schodził na dół i budził się dopiero na widok świeczek na swoim torcie?

Znowu pociągnęła nosem i poczułem, że nie powinienem teraz niszczyć tej bliskości dalszą gadaniną, więc się pożegnałem.

- To na razie - powiedziała i wtedy, jeszcze zanim się rozłączyła, zadała cios. - Ale nie zapomniałeś o czwartku, prawda?

Sześć słów. Sześć noży, które przecięły pęcherz nadziei.

Czwartek.

Wstępna rozprawa rozwodowa.

- Nie - odpowiedziałem i poczułem się jak nędzny przygłup, którym zapewne byłem. - Będę tam. Z moim adwokatem.

(jeszcze 4 godziny i 8 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Alexander Zorbach (ja)

Najpierw poczułem jej dłoń na ramieniu. Potem oddech, który owionął mój kark razem ze słowami:

- Czy mogę cię o coś zapytać?

Alina stała bezpośrednio za mną. Tak blisko, że nie mógłbym się odwrócić, żeby jej nie dotknąć. Ale w tej chwili wcale tego nie chciałem. Chciałem stać przed oknem i wpatrywać się w ciemność lasu tak dobrze pasującą do mojego obecnego stanu umysłu.

- Możesz - odpowiedziałem i sprawdziłem, czy połączenie z Nicci rzeczywiście się urwało. W komórce miałem anonimową kartę prepaidową, podstawowe wyposażenie reportera policyjnego, a mimo to nie byłem pewny, czy Stoya może mnie zlokalizować. Zdecydowałem, że teraz i tak nie ma to znaczenia, a opcja, że następną noc spędzę w areszcie śledczym po tym, co nas dziś spotkało, przestała już być tak przerażająca.

- To, czego byliśmy świadkami... - powiedziała cicho Alina.

To w piwnicy...

- Co... co to było?

Nie odpowiedziałem, chociaż wiedziałem, do czego zmierza.

Alina, w najprawdziwszym sensie tego słowa, właśnie zetknęła się ze *złem*. Kolekcjoner oczu szczelnie zawinął swoją ofiarę w przezroczystą folię i w ten sposób uruchomił proces rozkładu żyjącego ciała. Potem, aby przedłużyć cierpienia nieznannej kobiety, celowo utrzymywał ją przy życiu; założył jej cewnik i inne urządzenia, które zapewniały jej niezbędne medyczne zaopatrzenie, ze sztucznym oddychaniem włącznie.

Odwróciłem się do Aliny i spojrzałem na nią. Fakt, że od początku naszej ucieczki miała zamknięte powieki, wydał mi się jednoznacznym znakiem. Chciała się odizolować. Chciała definitywnie przerwać wizualne połączenie ze światem, w którym istniał perwersyjny psychopata domagający się ofiar z ludzi.

- Zrobiłeś to? - zapytała po chwili.

Co zrobiłem? Przestawiłem wyłącznik? Wyłączyłem respirator, żeby znów pojawiło się światło - i żeby otworzyły się drzwi? Czy zabiłem kobietę, żebyśmy my mogli żyć?

- Nie wiem - odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Oczywiście biednej kobiecie nie można było już pomóc.

To wiedziałem. Tak samo jak w wypadku mojej matki cała aparatura medyczna nie przedłużała jej życia, lecz umieranie. Mimo to zabrakło mi odwagi, aby drugi raz uśmiercić człowieka w zbożnym celu.

W zbożnym celu!

Ponieważ w żadnym momencie nie byłem pewny, że prawidłowo rozwiązałem zagadkę kolekcjonera oczu.

Możesz wyłączyć pompę i wygrać...

- Na szczęście nie musieliśmy podejmować tej decyzji

- powiedziałem, zdjąłem z ramienia rękę Aliny i usiadłem na sofie, na której zastałem ją wczoraj po południu.

Usiadła obok mnie i ostrożnie badała szczupłymi palcami blat stołu przed swoimi kolanami. Podsunąłem jej ciężki kubek z kawą, którą zaparzyłem przed rozmową telefoniczną. Uniosła brwi, ale nic nie powiedziała. Potem wypijała duży łyk. Kiedy odstawiła kubek, jej wargi błyszczały w świetle świecy, którą, podobnie jak ogień w kominku, zapaliłem zaraz po naszym przyjściu. W końcu powiedziała:

- Tak, na szczęście nam się udało.

Wbrew moim dobitnym ostrzeżeniom Alina nie posłuchała mnie w piwnicy bungalowu. Kiedy badała dotykiem ramiona, ręce, a także palce umierającej kobiety, natknęła się na małe pudełeczko, w którym znajdował się palec wskazujący ofiary: sfigmometr fotoelektryczny, jaki zakłada się operowanym pacjentom, aby monitorować uderzenia serca podczas zabiegu.

Rozważania Aliny były proste i logiczne. Samo wyłączenie respiratora nie gwarantowało śmierci tej godnej pożałowania kobiety. Dopiero brak tętna dałby kolekcjonerowi oczu pewność, że jego ofiara nie żyje. Na szczęście nie musiałem wyłączać aparatury podtrzymującej życie, aby wywołać pożądaną reakcję łańcuchową, dzięki której odzyskałem wolność.

Niespodziewane zderzenie bardzo mocnej folii z pokaleczonym ciałem i zdjęcie sfigmometru z palca kobiety trwało kilka pełnych napięcia sekund. Kiedy w końcu sobie poradziłem, nie stało się nic.

Absolutnie nic.

Dalej było ciemno i dudnienie pompy ssącej też nie ustało. Ale potem, kiedy już prawie zacząłem się dusić z braku powietrza, usłyszałem skomlenie TomToma. I zapanowała cisza. Grobowa cisza.

Niedługo później zamek w drzwiach do piwnicy otworzył się z delikatnym kliknięciem, a respirator dalej pompował powietrze do płuc rozkładającej się kobiety. Wydawało się, że nie wiedziała, co się wokół niej dzieje. Nawet nie miałem pewności, czy jej pierwsze reakcje, które zauważyłem, kiedy zszedłem do piwnicy, były umyślnym albo nieumyślnym niekontrolowanym odruchem.

Kiedy biegłem, ciągnąc za sobą za rękę Alinę, po schodach na górę, a potem przez salon wypadłem z bungalowu, żeby na dworze pozbyć się owego zapachu śmierci i nabrać do płuc zimnego powietrza, wybrałem po drodze numer alarmowy

- *Szybko. Tu ktoś umiera!*

Potem pobiegliśmy dalej przez nieogrodzony ogród, który kończył się wąską drogą, nie zwracaliśmy uwagi na przykryte liśćmi psie odchody, na których się ślizgaliśmy. Biegliśmy za TomTomem, który prowadził nas do miejsca, gdzie zostawiliśmy samochód.

Przez chwilę pomyślałem, aby dać za wygraną. Zatrzymać się i opowiedzieć o wszystkim Stoi.

Ale co miałem mu powiedzieć? Że wizje niewidomej zaprowadziły mnie do izby tortur kolekcjonera oczu?

W końcu to Alina mnie ponagliła. Krzyknęła na mnie, żebym nie marnował czasu i wreszcie odjechał.

Z tego miejsca grozy, koncentratu wszystkich przyszłych koszmarów.

Kiedy siedziała obok mnie na sofie, usłyszałem, jak zakłada nogę na nogę, i zaskoczony otworzyłem oczy. Prawie zasypiałem wyczerpany koszmarnymi wspomnieniami.

- W takie dni jak ten przeklinam swój los - powiedziała cicho. - I nie mam na myśli tego, że jestem ślepa.

Wypiła następny łyk kawy. Jej dolna warga drżała i nie chciała przestać nawet wówczas, kiedy ją przygryzła.

- Mówię o moim *darze*. - Z jej prawego oka popłynęła łza.

Wyciągnąłem do niej rękę.

- To znów się zdarzyło - zapytałem cicho - przed chwilą, w piwnicy, kiedy dotknęłaś tej umierającej kobiety, mam rację?

- Nie. - Podniosła wzrok. - Jest gorzej.

- Co masz na myśli?

Czy może być coś gorszego niż to, co przeżyliśmy do tej pory?

- Odkryłam coś tam na dole, w piwnicy.

- Coś, co dotyczy kolekcjonera oczu? - zapytałem.

- Nie, mnie.

Zerwała z głowy perukę, dotknęła czoła i z wściekłością potrząsnęła ogoloną czaszką. - W tej piwnicy odkryłam coś strasznego, coś, co dotyczy *mnie* samej!

(jeszcze 3 godziny i 59 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Philipp Stoya

(szef wydziału zabójstw)

- Gdzie on jest?

- Przykro mi, ale tym razem naprawdę nie mam zielonego pojęcia.

Frank potarł prawe ucho i wydawał się zadowolony, że podczas drugiego przesłuchania, tym razem w siedzibie wydziału zabójstw, brakowało Schollego. Stoya w dalszym ciągu nie był pewny, co by się stało, gdyby wrócił z toalety do sali konferencyjnej sekundę później. Ujrzał, jak Scholle błyskawicznie rozluźnia chwyt i wyjmuje podłużny przedmiot z ucha wolontariusza.

- To był tylko żart, trochę go połaskotałem - zapewnił Scholle. Nienawiść w jego oczach i nieskrywana agresja w głosie partnera mówiły coś przeciwnego.

Dźgnąłby go!

Philipp wiedział, do czego Scholle był zdolny, kiedy pracował nad jakąś sprawą i nie posuwał się naprzód. Przy czym nie zawsze był tak bezwzględny. To po rozwodzie zmienił się z dobrodusznego policjanta w nieobliczalnego śledczego. Małżeństwo z rosyjską tancerką, poznaną podczas obławy w nocnym klubie, od samego początku źle rokowało. Czasem Scholle mylił miłość z litością, co było bezpośrednim skutkiem ubocznym jego wyraźnego syndromu pomocnika. Wykupił ją z burdelu, sprawiał nowe ubrania, pokazywał jej te części świata, gdzie mogli pojechać przy jego zarobkach, i miał nadzieję, że dziewczyna skończy z narkotykami, kiedy się z nią ożeni i przeprowadzą się do Brandenburgii. Próby terapii skończyły się w dniu, kiedy przyłapał Nataschę z jakimś frajerem, którego znała jeszcze z dawnych czasów, w ich małżeńskim łóżku.

Gdyby wtedy sędzia nie przyznał matce prawa do corocznych wyjazdów na wakacje z ich dzieckiem, być może Scholle ciągle byłby dobrym kumplem, dla którego cotygodniowe kręgle okazywały się ważniejsze niż zakończenie postępowania.

Scholle spóźnił się wtedy tylko minutę. Siedział w komisariacie i zastanawiał się, czy naprawdę powinien pozwolić, żeby Natascha i jego syn Marcus polecili do Moskwy. Pewnie, że ugoda dotycząca prawa do wychowywania dziecka była jednoznaczna i popełniłby czyn karalny, gdyby pojechał teraz na lotnisko i przeszkodził Nataschy opuścić kraj z Marcusem.

W końcu zwyciężyło przeczucie. Pognał na Schónefeld, zaparkował służbowy samochód na miejscu, gdzie obowiązywał zakaz zatrzymywania, i pobiegł do terminalu odlotów. Za późno. Maszyna Aeroflotu stała jeszcze na płycie lotniska, ale drzwi były już zamknięte. Od minuty.

Wziął sobie pół roku wolnego w pracy, żeby przeszukać wioski wokół Jarosławia. Bez rezultatu. Jakby rosyjska ziemia pochłonęła Nataszę i Marcusa i już nie oddała.

Kiedy Scholle wrócił z pustymi rękami i rozdartym sercem, przysiągł sobie, że już nigdy do czegoś takiego nie dopuści. Że już nigdy nie będzie wahać się nawet minuty i myśleć o przestrzeganiu przepisów, kiedy przeczucie podpowiada mu coś przeciwnego.

- Ostatni raz. Gdzie ukrywa się Alexander Zorbach? -zapytał Stoya.

- Gdyby nawet wyjął pan teraz ołówek, jak pana kolega... - Frank wzruszył ramionami. - Nie mogę panu powiedzieć.

- Doprawdy? - zapytał Stoya. - A o tej sprawie? - Otworzył brązowy kartonowy segregator i wyjął kilka zrobionych z bliska zdjęć, które rozłożył na stole przed Frankiem. O tym tutaj też nie ma pan nic do powiedzenia?

Młody człowiek zamknął oczy.

- Katharina Vanghal, pielęgniarka, pięćdziesiąt siedem lat, wdowa - Stoya komentował zdjęcia z miejsca przestępstwa, które wydawały się pochodzić prosto z piekielnej rzeźni. - Sąsiedzi opisali ją jako osobę skrajnie samotną. Żadnych przyjaciół, mężczyzn, nawet domowego zwierzaka. Jeśli nie brać pod uwagę jej powszechnie znanego bzika na punkcie Bożego Narodzenia, który zmienił jej dom w skupisko reflektorów, dalej prowadziłaby całkowicie nierzucające się w oczy nudne życie. - Zrobił krótką przerwę. - Aż kolekcjoner oczu postanowił zmienić jej piwnicę w próżniową trumnę i torturować ją tam przez ostatnie dni jej życia.

- Okropne. - Frank się odwrócił.

- Tak, oczywiście. Okropne. Szalenciec zawiązał jej ciało w plastikową folię. Z powodu ucisku opatrunku i niemożności poruszania się żyjące ciało dosłownie się rozłożyło.

Żeby nie umarła za wcześnie, kolekcjoner oczu podawał jej środki uspokajające, położył na materacu chłodzącym i utrzymywał w stałym stanie zawieszenia pomiędzy życiem a śmiercią. Najwidoczniej kolekcjoner oczu był nie tylko człowiekiem obeznanym z medycyną, lecz również technikiem hobbystą, ponieważ w ogrodzie znaleźliśmy generator prądu zamontowany dodatkowo tylko do zasilania piwnicy. - Stoya uniósł do góry dwa palce i niezamierzenie zrobił znak zwycięstwa. - Generator do dwóch pomp, którymi mógł wyssać powietrze z piwnicy!

- Pan wie, że Zorbach ma dwie lewe ręce - odpowiedział Frank. Wyglądał na zmęczonego i miał spękane usta. Stoya postanowił, że jeszcze trochę go przycisnie, zanim zaproponuje mu szklanekę wody

- Ale on ma motyw.

- Słucham?

Stoya mimochodem skinął głową, jakby zrobił uwagę na temat pogody.

- Katharina Vanghal jeszcze dwa lata temu pracowała w Park-Sanatorium, gdzie obecnie leży matka Zorbacha. Była tam pielęgniarką, zanim zwolnili ją ze skutkiem natychmiastowym. W jej aktach jest napisane, że kilkoro jej pacjentów miało odleżyny czwartego stopnia. Owrzodzenie ran, które sięga aż do kości, ponieważ jej obłożnie chorzy podopieczni często zbyt długo leżeli bez ruchu.

- Chyba sam pan w to nie wierzy. - Frank zaśmiał się bezdźwięcznie. - Mój szef mści się na byłej pielęgniarce swojej matki?

- Nie. Szczerze mówiąc, nie *chcę* w to wierzyć. Ale jeśli on nie ma nic wspólnego z tą sprawą, to dlaczego wszędzie w tej piwnicy znajdujemy jego odciski palców?

Wolontariusz, wzdychając, odchylił do tyłu głowę i wpatrywał się w sufit.

- O Boże, ile razy jeszcze. To ta niewidoma. To ona go tam zaprowadziła.

- Gównu. - Stoya walnął otwartą dłońią w stół. - Mam po dziurki w nosie tych ezoterycznych idiotyzmów. A teraz chcę się w końcu dowiedzieć, co...

- Przepraszam.

Szef wydziału zabójstw odwrócił się raptownie. Krzyczał tak głośno, że nie usłyszał pukania nieumudrowanej policjantki.

- Co takiego?

Podąła mu dokument.

- Co to jest?

- Mandat, który mieliśmy sprawdzić.

- I co?

Górna warga nieśmiałej policjantki drżała z nerwów, ale ona sama miała zdecydowany głos.

- Należy do zielonego VW passata, rok produkcji dziewięćdziesiąt siedem. - Potem wymieniła nazwisko właściciela.

Stoi zaczęło szumieć w uszach i zaschło w gardle. Musiał się szybko czegoś napić.

- Proszę powtórzyć jeszcze raz.

- Jest zarejestrowany na Katharinę Vanghal.

To niemożliwe.

Stoya spojrzął na Franka, który w tym momencie sprawiał wrażenie równie zdumionego jak on.

To niemożliwe.

Samochód torturowanej pielęgniarki naprawdę stał wczoraj po południu na miejscu dla inwalidów, tak jak cały czas twierdził Zorbach.

- Widzi pan! - triumfował Frank, kiedy policjantka zamknęła za sobą drzwi. - Kolekcjoner oczu był wczoraj u niewidomej fizykoterapeutki, tak jak panu powiedziałem. Został sfilmowany przez kamerę monitoringu, kiedy wychodził z domu czynszowego. Informacja, którą pan zbyt długo ignorował. Nie mam pojęcia, skąd ta niewidoma to wszystko wie, ale myślę, że powinien pan wreszcie zacząć jej słuchać.

- Tak, powinienem? - Stoya wściekle rzucił akta z mandatem przed siebie na stół. - Czy naprawdę uważa pan, że powinienem iść tropem wskazówek jakiegoś widma?

- Widma?

Stoya zaśmiał się krótko, kiedy zobaczył wyraz zaskoczenia w oczach Franka.

- Sprawdziłem ją. Wczoraj nikt nie wciągnął do protokołu zeznania Aliny Gregoriev. Żaden z moich ludzi nie widział jej tu wczoraj. Nie było jej w komisariacie, rozumie pan, co chcę powiedzieć?

Frank słuchał z otwartymi ustami.

- Dobrze, ale to jeszcze nie wszystko. W komputerze też brak informacji na jej temat. Alina Gregoriev nie jest zameldowana w Berlinie. W całych Niemczech nie ma fizykoterapeutki o takim nazwisku. A więc proszę nie opowiadać mi pierdoł o ślepym medium, które przez dotknięcie dłoni potrafi zobaczyć przeszłość. Skąd Zorbach czerpie informacje, jeśli sam nie jest sprawcą? - Oparł się obiema rękami o stół i spojrzął wolontariuszowi prosto w oczy. - I niech mi pan nie mówi o Alinie Gregoriev. Ponieważ taka kobieta nie *istnieje!*

(jeszcze 3 godziny i 31 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Alexander Zorbach (ja)

Czułem to. Alina zamykała się w sobie. Zasygnalizował mi to jej język ciała: założone na piersi ręce, mocno ściśnięte nogi i opadające kąciki ust. Pomimo męskiego wyglądu, kowbojskich butów i połatanych džinsów sprawiała wrażenie małej krnąbrnej dziewczynki, która z nic niemówiącą miną puściła mimo uszu moje polecenie, aby piła kawę, póki jest jeszcze gorąca.

Co jest? Czyżbyś przypomniała sobie coś strasznego, co dotyczy bezpośrednio ciebie?

Alina zamykała się z każdą chwilą, a jednocześnie, byłem tego pewny, chciała mówić. Potrzebowała wentyla. Pytanie brzmiało, co ostatecznie wzięło górę: pragnienie zrzucenia psychicznego balastu czy strach przed otwarciem się.

Cała moja działalność, zarówno jako negocjatora, jak i dziennikarza, nauczyła mnie, aby na człowieka, który znalazł się w tego rodzaju emocjonalnej rozterce, ani nie naciskać, ani nie dawać mu zbyt wiele czasu do namysłu. Było to balansowanie na skraju przepaści.

Najlepsze rezultaty osiągałem, kiedy przenosiłem rozmowę na domniemany bezpieczny teren, zadając pytanie, na które mój rozmówca mógł odpowiedzieć nawet przez sen. Pytanie, które bez wątpienia zadawano mu już sto razy.

Jeśli chodzi o Alinę, przyszło mi do głowy tylko jedno:

- Jak to się stało? - Przyglądałem się badawczo jej dłoniom, wargom i oczom, czy okaże jakąś reakcję fizyczną. - Powiedz mi, jeśli nie chcesz o tym rozmawiać, ale naprawdę interesuje mnie, jak straciłaś wzrok.

Odetchnęła ciężko. Nabrała powietrza, zatrzymała je i wypuściła, robiąc długi wydech. Potem cicho westchnęła.

- To był wypadek.

Otworzyła oczy i wskazała na zamglone gałki oczne, w których odbite blade światło świecy przypominało matową glazurę. Potem rozpięła zamek błyskawiczny sztruksowej kurtki, wyjęła paczkę papierosów i przytknęła jeden do świecy.

- To stało się dwadzieścia dwa lata temu. Miałam wtedy trzy lata i razem z moją nową,

mieszkającą po sąsiedzku przyjaciółką chciałam zbudować zamek z piasku. Po tym, jak zjeździliśmy z ojcem cały świat z jednej wielkiej budowy na drugą, od niedawna mieszkaliśmy w Kalifornii. Tutaj zatrudnili tatę jako inżyniera przy projekcie potężnej zapory wodnej; miało to trwać długie lata, dlatego pierwszy raz kupiliśmy dom na łonie natury. Taki typowy amerykański drewniany, z białym płotem i garażem na podjeździe. - Zacięła się. - Garaż - powiedziała jakby do siebie.

- Co z nim?

Zrobiła głęboki wdech i wydmuchała papierosowy dym prosto na migoczącą świecę.

- Poprzedni właściciel wykorzystywał go jako warsztat, był tam stół do smarowania klejem tapet, pilarka taśmowa, narzędzia na ścianach i mnóstwo puszek po farbach. Ojciec zamierzał jak najszybciej pozbyć się tego wszystkiego. Ale ja byłam szybsza.

Przełknęła ślinę.

Teraz będzie poważnie. Teraz wnikiemy do czerwonej strefy pamięci. Tam gdzie są pogrzebane bolesne wspomnienia.

- Kiedy potrzebowałyśmy formy do budowy zamku z piasku, przyniosłam z garażu stary słoik. Byłam porządną dziewczynką. Prawdopodobnie bardziej porządną, niż jestem teraz. - Zaśmiała się melancholijnie. - W każdym razie chciałam go wypłukać i to był błąd.

- Dlaczego?

- W słoiku był karbid, licho wie, do czego potrzebował go poprzedni właściciel. Na szczęście nastąpił głośny wybuch, inaczej matka nie dowiedziałaby się tak szybko o wypadku. - Alina zamrugała oczami, jakby zamkniętymi powiekami przewijała teraz widziany tylko przez siebie film.

- Karbid w połączeniu z wodą wytwarza acetylen, toksyczny gaz. Gdyby tak szybko nie pojawił się na miejscu helikopter ratunkowy, eksplozja by mnie zabiła. A tak tylko straciłam wzrok. - Przy słowie „tylko” Alina zrobiła umowny znak, oznaczający cudzysłów. - Mam zniszczoną rogówkę. Nieuleczalnie.

- Przykro mi.

- Shit happens - powiedziała lakonicznie i zgasła papierosa.

- To okropne - odrzekłam cicho.

W wieku trzech lat. Na długo, zanim człowiek może zobaczyć cuda tego świata. To zrozumiałe, że jest zgorzkniała.

- Czy dlatego wytatuowałaś sobie słowo nienawiść?

- Nienawiść? Skąd ci to przyszło do głowy? - zapytała zdziwiona. Potem na jej ustach pojawił się słaby uśmiech. - Poczekaj.

Wstała, zdjęła kurtkę i rozpięła pierwsze trzy guziki bluzki.

- Masz na myśli to tutaj?

Ponownie usiadła przy mnie i wyciągnęła gołą szyję. Runiczne litery na jej skórze układały się w angielskie słowo *fate* - nie *hate*!

- Przeznaczenie - przetłumaczyłem cicho. W ciepłym świetle świecy tatuaż połyskiwał jak mokry atrament.

Uśmiechnęła się.

- Zależy, jak na to patrzeć.

Jak na to patrzeć. Do widzenia. Chwileczkę...

Nasz język jest pełen wizualnych zwrotów frazeologicznych i zaciekało mnie, czy wszyscy niewidomi posiłkują się nimi tak naturalnie jak Alina. Zdziwiła mnie jeszcze bardziej, kiedy odwróciła się do mnie plecami.

- Spójrz!

W pierwszej chwili nie rozumiałem, do czego zmierza, ale kiedy spojrzałem ponad jej ramieniem, wręcz podskoczyłem.

- To jest ambigram - powiedziałem zdumiony, przy czym nie byłem pewny, czy rzeczywiście to właściwe określenie. Ambigramy, które znałem, na przykład z thrillera *Iluminati*, były symetrycznymi grafikami, które można odwracać o sto osiemdziesiąt stopni, a mimo to okazują się tym samym słowem. Najprostszym przykładem jest kombinacja liter WM. Tatuaż Aliny był inny. Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś takiego. Jeśli odwrócić do góry nogami łukowaty ciąg liter, powstawało całkiem nowe słowo o zupełnie innym znaczeniu.

- *Luck* - wyszeptalem. - Szczęście.

Skinęła głową.

- Albo przypadek. Wolę to drugie tłumaczenie.

Przeznaczenie albo przypadek, pomyślałem. Jak w życiu. To

zależy tylko od sposobu interpretacji.

- Mówiąc dokładniej, to jest asymetryczny ambigram. Mimo że człowiek ma go przed oczami, to na początku nie pojmuję jego znaczenia, rozumiesz? Dlatego kazałam go sobie zrobić. Nasze oczy nie są ważne. Dowód na to będę zawsze nosić na moim ciele.

Jej duże zmatowiałe oczy były skierowane prosto na moje usta.

- Myślę, że nie jest ważne, co widzimy, lecz tylko to, co się nam wydaje, że widzimy. W każdym razie próbuję sobie to wmawiać. Ale wiesz co?

Zamrugła, lecz już nie mogła się powstrzymać. Tama pękła. Po jej twarzy popłynęły łzy, równie nagle jak gwałtownie.

- To po prostu nie działa.

- Alino...

Wziąłem ją za rękę, którą natychmiast cofnęła. Dotknąłem jej ramienia, wtedy odwróciła się do mnie plecami.

- Często wmawiam sobie, że nie potrzebuję oczu - powiedziała zdławionym głosem. Podciągnęła nogi, postawiła buty na kanapie i przycisnęła głowę do kolan jak pasażer samolotu, który przygotowuje się do mającej nastąpić za chwilę katastrofy maszyny.

Albo katastrofy duszy.

- Że nie muszę widzieć świata, w którym żyję...

Spróbowałem jeszcze raz i pogłaskałem ją po plecach.

Ale tylko jeszcze bardziej zamknęła się w sobie. Skuliła się, jakby moje dotknięcia były razami, przed którymi chciała ochronić jak największą powierzchnię ciała.

- Mogę się modnie ubierać, malować, tatuować i wmawiać sobie, że to czyni moją ślepotę trochę mniej ślepa, rozumiesz? - Dygotała na całym ciele. - Ale to tak nie działa

- powtórzyła.

- Pozwól mi sobie pomóc!

- Pomóc! - krzyknęła na mnie. - Jak? Przecież nie masz pojęcia o świecie, w którym żyję. Zamykasz oczy, robi się ciemno i wtedy myślisz: Aha, a więc tak to jest, kiedy człowiek jest ślepy. Ale to nie tak.

- Wiem...

- Gówno wiesz. Czy kiedykolwiek zdarzyło ci się, że ktoś chwyta cię za ramię i wbrew twojej woli prowadzi przez ulicę, ponieważ myśli, że trzeba pomagać niepełnosprawnym? Czy kiedykolwiek wściekałeś się na osoby jeżdżące na wózkach inwalidzkich, dla których obniża się krawężniki, i dlatego, do jasnej cholery, teraz nie wiem, gdzie kończy się chodnik, a zaczyna jezdnia. Czy w twojej obecności ludzie zachowują się tak, jakbyś był powietrzem, i rozmawiają tylko z osobą, która ci towarzyszy? Myślę, że odpowiedź brzmi nie, mam rację? - Przełknęła ślinę. - Przyjmujesz to ze zrozumieniem, ale tak naprawdę jesteś ignorantem, Alex. Cholera, założę się, jeszcze nigdy nie pomyślałeś o wypustce na przycisku z piątką w telefonie. Dotykasz jej codziennie, ponieważ jest na *każdej* piątce. W telefonie, kalkulatorze, bankomacie, komputerze. To jest nasz znak orientacyjny, żebyśmy my, niewidomi, mogli dzwonić i domyślać się cyfr. Dzień za dniem stykasz się z moim światem, a mimo to nawet przez chwilę nie myślisz o nim. A więc nie opowiadaj mi, że cokolwiek wiesz o mnie i o moim życiu.

Pociągnęła nosem, łokciem wytarła łzy z twarzy i głęboko odetchnęła. Dużą część jej napięcia rozładowała burza słów. Mówiła dalej, już trochę spokojniejszym tonem. Choć jeszcze długo nie mogła się z tym uporać. Czuję, że najważniejsze, co miała mi do powiedzenia, dopiero nastąpi.

- Czasem w nocy śni mi się, że wpadam do studni. Spadam i spadam, spadanie w ciemności się nie kończy. Jednocześnie wokół mnie robi się coraz ciemniej. Wyciągam ręce, chcę dotknąć ścian studni, ale ich tam nie ma. Ulatniają się, tak jak moje ostatnie wspomnienia świata przed wypadkiem.

Drewniane polano w kominku przerwało milczenie, które zapanowało po jej ostatnich słowach.

- Znikają, rozumiesz? Wszystko znika. Moje wspomnienia światła, kolorów, kształtów, twarzy, przedmiotów. Im głębiej spadam, tym bardziej blakną. I wiesz, co w tym jest najstraszniejsze?

Że to się nie kończy; kiedy się budzisz.

- Budzę się z krzykiem i przestaję spadać - powiedziała, a jej głos zabrzmiał, jakby była niesamowicie wyczerpana. - Ale tylko spadać. Reszta się nie zmienia. Ciągłe jestem w tym stanie. W tej czarnej dziurze, tej nicości. I potem, cała drżąc, siadam na łóżku, przeklinam dzień, w którym chciałam upiec to ciasto z piasku, pytam się, czy w ogóle jeszcze egzystuję. - Odwróciła głowę w moją stronę, jakby chciała mi się przyjrzeć. - Czy na zewnątrz w ogóle jest świat?

Nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć. Zwłaszcza na krępujące pytanie, które zadała mi w następnej kolejności.

- Czy ja istnieję? - Chwyciła rąbek swojej bluzki i zmięła go jak kawałek papieru. - Czy ja tu jestem, Alex?

Zawahałem się, potem wziąłem ją za rękę i ostrożnie poluzowałem jej zaciśnięte w pięści palce.

- Tak, jesteś.

- Udowodnij mi to, proszę, pokaż mi, że mogę w to wierzyć.

Po omacku dotykała mojej twarzy. Delikatnie głaskała mnie po brodzie, przejechała palcami po ustach i na krótko zatrzymała je na moich zamkniętych oczach.

Przeżyłem jedną z rzadkich chwil w życiu, w której zanikają wspomnienia. Już nie myślałem o dziecku na kładce ani o moim nieudanym małżeństwie, moje wewnętrzne oko przestało dostrzegać nawet twarz Charlie, której dzieci chciałem uratować ze szponów kolekcjonera oczu. Zamiast tego ogarniało mnie uczucie, o którym już prawie zapomniałem.

Ostatnio czułem to, kiedy pierwszy raz zobaczyłem Nicci. Nie oczami i nie umysłem, tutaj Alina się myliła, jeśli sądziła, że w ten sposób można rozpoznać naprawdę ważne rzeczy. Jeśli chcesz być tak blisko człowieka, że najchętniej zamieniłbyś się z nim na ciała, wyłączasz rozum i jedynym jeszcze funkcjonującym narządem zmysłów staje się dusza.

- Pokaż mi - jeszcze raz powtórzyła nieznoszącym sprzeciwu głosem. - Pokaż mi, że jeszcze tu jestem.

Przycisnęła wargi do moich ust i byłem zaskoczony tym, jak bardzo tego pragnąłem.

(jeszcze 2 godziny i 47 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Frank Lahmann (wolontariusz)

- Halucynacje wywołane tlenkiem węgla - powiedział mrukliwy głos. Głos dochodził z głośnika telefonu stojącego przed nimi na pokrytym brązowym laminatem stole w pokoju przesłuchań. Profesor Hohlfort mówił ze swojej willi w Dahlem. - Stawiam na indukowane zaburzenia urojeniowe.

- Alina istnieje - zaprotestował Frank. Spojrzał na Stoyę. - Przecież na własne oczy widziałem niewidomą kobietę!

Najpierw coś zatrzeszczało, potem nastąpiło głośne syczenie pochodzące z atmosfery, zanim ponownie z głośnika dotarł do nich głos profilerera.

- Zakładam, że od miesięcy współpracuje pan blisko z poszukiwanym, panie Lahmann?

- Tak.

- Jest pan pod wpływem stresu, przeważnie sypia pan mniej niż cztery godziny dziennie, i to od wielu tygodni?

Tym razem Frank tylko skinął głową na potwierdzenie.

- A więc u ludzi poddanych takiej presji wielokrotnie zaobserwowano zjawisko polegające na tym, że zdrowy umysłowo człowiek przejmuje halucynacje swojego partnera. Przeważnie zdarza się to osobom, które łączy wyraźny stosunek nad- lub podrzędności, na przykład w małżeństwach silnie zdominowanych przez jedną ze stron. Możliwa jest również silna zawodowa zależność pomiędzy wolontariuszem i jego mentorem.

- Chce mi pan powiedzieć, że jestem stuknięty?

- Nie, Frank. Pan jest jedynie osobą indukowaną, która przejęła halucynacje od człowieka, do którego ma pan szczególne zaufanie. Co prawda jest to dość niezwykle, ale możliwe, jeśli człowiek wyobraz sobie szczególne fakty, z którymi musiał się wspólnie z nim zmierzyć w ostatnich tygodniach. Bądź co bądź był pan prawie bez przerwy konfrontowany z najokrutniejszymi zbrodziejstwami ostatnich dziesięcioleci.

Frank wpatrywał się z otwartymi ustami w telefon. Czy ten stary ramol faktycznie tak myśli?

- Nie jestem wariatem. I mój szef też nim nie jest.

- Taaak, tylko że w jego karcie chorobowej napisano coś innego, prawda?

Stoya potwierdził słowa Hohlforta ubolewającym wzruszeniem ramion.

- Zorbach i ja byliśmy kolegami, a kiedy przez wiele lat współpracuje się z kimś tak blisko, trudno coś ukryć. Jest publiczną tajemnicą, że od czasu sprawy z dzieckiem chorym na syndrom Ondyny Zorbach leczy się psychiatrycznie. Nie jest pierwszym i na pewno nie ostatnim byłym gliną, którego nazwisko widnieje w terminarzu doktora Rotha.

Frank potrząsnął głową.

- Nie wierzę.

Znów zasyczało na linii.

- Niech mu pan pokaże - powiedział Hohlfort.

Frank spojrzał pytająco na Stoyę. Główny śledczy otworzył małego laptopa. Po niecałych dwudziestu sekundach pojawił się obraz, który Stoya odwrócił do Franka.

- Znaleźliśmy to w komputerze Zorbacha w redakcji. Frank unióśł brwi i wpatrywał się w ekran.

- E mail? - zapytał.

Do: a.zorbach@gmx.net

Temat: Motyw kolekcjonera oczu.

Jego wzrok powędrował od nagłówka do tekstu maila.

- Wysłał go sam do siebie - usłyszał głos Stoi. Zabrzmiało to jak pytanie.

- Często to robi - potwierdził Frank. To jego metoda, sporządza kopie zapasowe. Inni przegrywają ważne pliki do pamięci USB. Alex wysyła je do siebie. Ma to tę zaletę, że można otworzyć materiał na każdym komputerze na świecie.

- Ciekawe. Ale czy potrafi pan wyjaśnić nam treść? -zapytał Hohlfort.

Frank wpatrywał się przez chwilę w ekran i potrząsnął głową.

Do: a.zorbach@gmx.net

Temat: Motyw kolekcjonera oczu.

Dlaczego wszyscy myślą ciągle tylko o oczach? Oczy służą tylko do odwrócenia uwagi. Jak w wypadku magika, który z prawej strony robi wybuch, żebyśmy nie zobaczyli królika, którego wyciąga z kapelusza z lewej strony. Dużo ważniejsza jest rodzina. On po prostu przeprowadza test miłości!

- Czy pan wie, co on ma na myśli, panie Lahmann? Mówiąc o teście na miłość.

Stoya stanął za jego plecami i rzucił cień na monitor.

- Nie, nie mam pojęcia. Nigdy o tym ze mną nie rozmawiał.

- W takim razie myślę, że nadszedł najwyższy czas, aby z nim porozmawiać - zaskrzeczał w głośniku głos Hohlforta.

Stoya zamknął komputer.

- Pan dobrze wie, że pana szef dysponuje niewytłumaczalną wiedzą na temat sprawcy. Nie tylko zna torturowaną pielęgniarkę, lecz również najnowszą ofiarę, Lucię Traunstein, na której komórkę dzwonił wiele godzin po jej zamordowaniu. To może być dowodem jego niewinności albo zaburzeń percepcji. Teraz wiele wskazuje na to, że zna również motyw kolekcjonera oczu. Nie mam pojęcia, co znaczy ten przeklęty test miłości. Wiem też, jak naprawdę głęboko jest zamieszany w tę sprawę Zorbach. Wiem jedno, że muszę go jak najszybciej znaleźć. Za wszelką cenę.

Stoya oparł się obiema rękami o stół i groźnie zmierzył wzrokiem Franka. Jego twarz była tak blisko, że Frank widział cienkie strużki krwi, które osadziły się na drgających włoskach w nozdrzach Stoi.

- Znajdę go. A pan mi w tym pomoże, Frank. Czy pan tego chce, czy nie.

(jeszcze 2 godziny i 29 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Alexander Zorbach (ja)

Akurat kiedy poczułem, że niewiele brakuje, abym stracił nad sobą kontrolę, przestała. Tak po prostu. Dalej siedziała na mnie okrakiem ze skrzyżowanymi za głową rękami, ale już się nie poruszała.

- Co jest? - zapytałem zmieszany i wsunąłem dłoń pod jej bluzkę. Jeszcze przed chwilą miałem wrażenie, że mogę czytać w jej myślach, tak bardzo czułem się z nią połączony, i nagle oddaliła się ode mnie o całe kilometry, chociaż jeszcze w niej byłem.

- Nic nie czuję - ciężko wydyszała.

Spojrzałem na nią nieprzytomnie. Głośno krzyczała i gryzła mnie w kark, podczas gdy jej ciałem wstrząsały fale rozkoszy.

- Ach tak? - próbowałem żartem znów zmniejszyć dystans między nami. Złapałem ją za biodra i przysunąłem trochę bliżej. Jęknęła i przycisnęła mi dłoń do ust. - Naprawdę nic nie czujesz?

- Idiota. Nie to mam na myśli.

Szybkim ruchem uwolniła się z mojego objęcia i zeszła ze mnie.

- A co?

Stopami badała podłogę przed stolikiem w poszukiwaniu dzinsów.

- Po prostu nic się nie dzieje, kiedy cię dotykam. Z kolekcjonerem oczu wystarczyło, że tylko dotknęłam ramion. A z tobą mogę się kochać i ... nic. - Potrząsnęła głową. - Wiesz, że miałam już wielu mężczyzn. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że zwykły kontakt nie wystarczy. Tylko tak często zastanawiałam się, dlaczego zawsze to mi się zdarza tylko z dupkami, którzy sprawiają mi ból. A nie z kimś takim jak ty, z kim po prostu jest pięknie.

Z kim po prostu jest pięknie.

Czasem nie potrzeba wielu słów, aby ułożyć wiersz.

- Nie potrafię zobaczyć twojej przeszłości - oświadczyła mi jeszcze raz.

- Wierz mi, że oboje powinniśmy być z tego powodu szczęśliwi.

Nie zaśmiała się. Nawet się nie uśmiechnęła. Po prostu siedziała obok mnie z jedną nogą w dżinsach, a drugą opartą na kanapie i wzdychała.

- Być może nie mam w sobie tej negatywnej energii - powiedziałem. Jeszcze kilka godzin temu radziłbym jej, aby z powodu zaburzeń percepcji skorzystała z pomocy psychologa. Ale odkąd jej wizje zaprowadziły nas do piekła kolekcjonera oczu, mój sceptyczny światopogląd uległ zachwianiu.

- Nie, to nie to.

Zapięła guziki dżinsów i podciągnęła nogi na kanapę.

- Do dzisiaj ja też myślałam, że to może mieć coś wspólnego z negatywną energią osoby, której dotykam. Ale ta biedna kobieta w piwnicy była jej pełna, a mimo to nie czułam nic oprócz tego, co wyczuły również twoje palce.

I wtedy stało się dla mnie jasne. Naraz zrozumiałam, dlaczego czasem mam to uczucie, a czasem nie.

- Dlaczego? - zapytałem cicho.

Czego dowiedziałaś się o sobie w piwnicy?

- Nie tylko dotyk pozwala mi zobaczyć przeszłość niektórych ludzi.

- A co jeszcze?

- Ból!

Chciałem cofnąć rękę, ale Alina ją przytrzymała.

- Widzę ją tylko pod wpływem bólu. - Teraz z jej ust popłynął potok słów: - Pierwszej wizji doznałam, kiedy miałam siedem lat, krótko po tym, jak potrącił mnie samochód. Jeszcze dzisiaj czuję brzydki oddech kierowcy, kiedy tylko o tym pomyślę. Śmierdział resztkami jedzenia i tanim alkoholem, kiedy pomagał mi się podnieść. Kiedy próbowałam obciążyć prawą nogę, przeszła mnie błyskawica. I w tym promieniującym bólu zobaczyłam wypadek drugi raz.

- *Zobaczyłaś, jak cię potrącił?*

Skinęła głową.

- Z perspektywy kierowcy, jego oczami. Widziałam, jak odkręca butelkę, z której już łyknął jednego na ostatnich światłach. Potem zobaczyłam dziecko wybiegające na ulicę. Usłyszałam jeszcze jego przekleństwo i potem nastąpiło cięcie. W kolejnym ujęciu nachylał się nad małą płaczącą z bólu dziewczynką na asfalcie. Nade mną.

- Ale w piwnicy...?

- ... tam byłam zdenerwowana, przestraszona, liczyłam się ze śmiercią, nie było tak jak wtedy, kiedy potrącił mnie ten mężczyzna, albo na krótko przed masażem, kiedy uderzyłam się w palec u nogi.

- Czy to ma znaczyć... ?

- Tak. - Skinęła głową. - Musisz sprawić mi ból.

Wstałem tak gwałtownie, że TomTom, który bujał w obłokach obok nas, aż się wzdrygnął.

- Ja wiem, że trudno w to uwierzyć, Alex. Ale kiedy w moim mieszkaniu spadł mi na stopę wazon, znów się to zdarzyło. Przypomniałam sobie następne szczegóły.

- Nie mówisz tego poważnie. - Teraz ja też zacząłem szukać swoich dzinsów.

- Ależ tak! - Pociągnęła mnie lekko za ucho, jak zawsze, kiedy poświęcała komuś całkowitą uwagę.

- Ból nie tylko wywołuje u mnie nowe wizje. Jeśli jest dość silny, przywołuje także stare.

W końcu znalazłem na podłodze spodnie i obmacałem kieszenie w poszukiwaniu telefonu.

- Co zamierzasz? - zapytała Alina.

- Dzwonię na policję. Oddamy się w ich ręce.

- Co? Nie!

- Tak!

Dość tego. Koniec i kropka.

- To szaleństwo musi mieć swój koniec, tu i teraz.

Kiedy włączyłem telefon, zaczął wibrować.

Siedem nieodebranych połączeń. Jeden esemes.

Rzeczywiście jest mandat!, przeczytałem zwiastun tekstu i szybko otworzyłem resztę wiadomości od Franka.

Policja znalazła samochód kolekcjonera oczu.

Kiedy przeczytałem adres, zakręciło mi się w głowie.

To nie ma sensu. Po co miałby to robić?

Kolekcjoner oczu zostawił swój samochód przed domem opieki, w którym przebywała moja matka.

Frank Lahmann (wolontariusz)

- Dobrze pan zrobił.

Stoya położył rękę na ramieniu Franka i odebrał mu komórkę, z której chłopak wysłał esemesa. Młody wolontariusz wzdrygnął się pod jego dotykiem.

- Tak - powiedział. - Tylko dlaczego czuję się jak zdrajca?

(jeszcze 62 minuty
do wygaśnięcia ultimatum)

Alexander Zorbach (ja)

Coś tu się nie zgadza.

Zdałem sobie z tego sprawę już w chwili, kiedy wszedłem do sali chorych.

Alina z TomTomem zostali w samochodzie, który zaparkowałem na bocznej ulicy za sanatorium. Nawet jednemu widzącemu człowiekowi było dość trudno niepostrzeżenie wślizgnąć się do placówki. Trio z psem i laską zatrzymaliby już przy recepcji.

- Cześć, mamó - szepnąłem i wziąłem ją za rękę. Ściskające serce uczucie, że dzieje się tu coś niedobrego, nasiliło się. - To znowu ja.

Coś się zmieniło.

Przez całą drogę liczyłem się z najgorszym. Miałem nadzieję, że spotkam pielęgniarkę, która właśnie ścieli puste łóżko matki. Odwróci się, nerwowo przewróci oczami, ponieważ nikt mnie dotąd nie poinformował i to niewdzięczne zadanie znów spadło na jej barki.

- ... niestety, musimy panu zakomunikować, że dzisiejszej nocy pana matka ...Ale nie zdarzyło się to całkiem niespodziewanie... Być może nawet ulga, w pewnym względzie...

Ale tak nie było. Nie było pustego łóżka, pielęgniarki, a aparatura, która przeszkadzała matce umrzeć, nie została odłączona.

Jeszcze nie.

Maszyny buczały brzęczały i syczały swoją elektroniczną pieśń pochwalną na cześć medycyny intensywnej. Makabryczną symfonię graną dla apatycznej publiczności, która już od dawna nie słyszała szumów w swoim otoczeniu.

Wszystko po staremu.

Prawie.

Spróbowałem usunąć wąż do oddychania, który zniekształcał jej twarz, ale wystarczyło, że tylko spojrzałem w jasnoszare, wodniste oczy, które patrzyły w górę na matowe oświetlenie halogenowe

na suficie, aby się zorientować, że leżąca tu w stanie wegetatywnym kobieta rzeczywiście jest moją matką. Od czasu do czasu wstrząsały nią drgawki. To też było normalne. Odruchy nieświadome. Odbicia na matowym ekranie starego telewizora, którego wtyczka została już dawno wyciągnięta.

Wszystko po staremu. Także jej stękanie i zapach mleczka do ciała, którym codziennie ją nacierano. Całkiem normalnie.

Mimo to. Coś się nie zgadzało.

W tym momencie zabręczała moja komórka i ponownie poinformowała mnie, że już przed paroma godzinami na mój numer przyszła wiadomość przekierowana z telefonu stacjonarnego. Odsłuchałem ją.

- To plaster. - Doktor Roth, człowiek, którego najmniej się spodziewałem, zabrzmiał tak, jakby wygrał w lotto.

Przełożyłem telefon do drugiego ucha w mglistej nadziei, że dzięki temu lepiej usłyszę to, co ma mi do powiedzenia.

- Środek antynikotynowy, który pan przyjmuje, zawiera vareniclinę. Ta substancja ma bardzo podobne działanie do złotokapu, nadzwyczaj trującej rośliny. W USA używanie jej zostało już zabronione pilotom ze względu na bezpieczeństwo lotów, ponieważ lek, podobnie jak złotokap, wywołuje omamowe sny na jawie.

Wsunąłem rękę pod T-shirt i wymacałem samoprzylepny pasek na ramieniu.

- Tak zwane varenic dreams. W pana krwi znaleźliśmy silne ślady varenicliny, panie Zorbach. Być może to jest powód pańskiej nerwowości i nie zdziwiłoby mnie, gdyby intensywniej postrzegał pan kolory, odgłosy i światła.

- Doktor Roth się roześmiał. - Pan nie ma schizofrenicznych wizji. Po prostu niech pan da z tym spokój, a wszystko znów będzie w porządku.

Wszystko w porządku? Zgniotłem plaster palcami i rozłączyłem się.

Tu nic nie było w porządku. Nie mogłem złapać Franka, byłem poszukiwany przez policję, podejrzany o morderstwo, a mój psychiatra mówi mi, że nie powinienem martwić się zaburzeniami percepcji.

Spojrzałem na ciemne okno, za którym jeszcze nie wzeszło słońce. Mój wzrok wędrował po linoleum w szare cętki, po baterii urządzeń medycznych, których nazw nie znałem, a których instrukcje obsługi musiały mieć grubość książki telefonicznej. Potem mój wzrok zatrzymał się na szafce nocnej skrywającej stary pamiętnik matki, który czytałem jej podczas każdych odwiedzin. Sama nie mogłaby nawet wziąć go do ręki, aby przewracać kartki i oddawać się nostalgicznym wspomnieniom na przykład dnia, kiedy odkryliśmy ścieżkę w Nikolskoer Forst, prowadzącą do mojego późniejszego schronienia. Właśnie chciałem sprawdzić, czy mała, oprawiona w skórę książeczka ze złotym grawerunkiem jeszcze leży w szufladzie, kiedy zorientowałem się, co mnie tak niepokoiło przez cały czas.

Fotografia.

Co do diabła... ?

Kiedy odwiedziłem matkę ostatni raz, jeszcze tam nie stała. Już sama piękna ramka; dostała ją ode mnie wiele lat temu na Boże Narodzenie razem z jednym z nielicznych zdjęć, które nawet ja lubiłem. Zdjęcie zrobił mój ojciec przed drzwiami wejściowymi do naszego domu i przedstawiało siedmioletniego Aleksa, jak ze skoncentrowaną miną wiąże buty. Kiedy na nie patrzyłem, zawsze nastrojało mnie melancholijnie, ale przypominało mi czasy, gdy moje największe zmartwienie polegało na tym, że w szkole wyśmiejają mnie z powodu tanich butów.

W ramce ciągle tkwiło moje zdjęcie na kamiennych schodach, ale już nie takie, jakie znałem. Było szersze.

Jak to możliwe?

Skurczyłem się, mniej więcej do połowy pierwotnej wielkości. Przez co wycinek obrazu urósł i dzięki temu nie byłem już...

... nie byłem już sam ?

Zaczęły mi drżeć ręce, kiedy zobaczyłem drugą postać, która siedziała na schodach, po mojej prawej ręce, i przyglądała się, jak zawiązuję buty.

Kim jesteś?, wyszeptałem w myślach. Kim, do diabła, jesteś?

Rysy twarzy wydały mi się znajome, ale dziecko było jeszcze młodsze niż ja wtedy, i nie rozpoznawałem żadnego z moich ówczesnych przyjaciół.

Co robisz na moim zdjęciu?

Odwróciłem ramkę, otworzyłem klamerki, którymi fotografia była przymocowana do tektury, i wyjąłem ją.

I skąd się znalazłeś na szafce nocnej mojej matki?

Chłopiec miał jasnoblonde włosy i kolorowy plaster na lewym oku, jaki przylepia się małym dzieciom, które mają zeza.

... na lewym oku...

Jeszcze bardziej się zmieszałem, kiedy na odwrocie odkryłem napis ołówkiem.

Grünau, 21. 7. (77)

Nie zdążyłem już odstawić fotografii na miejsce. Kiedy jeszcze rozmyślałem o znaczeniu daty i fakcie, że w dzieciństwie nigdy nie byłem w Grunau, zostałem aresztowany.

doręczony e-mailem

z anonimowego konta

Do: thea@bergdorf-privat.com

Temat: ... i tylko prawda!

Ślepa na wszystko Pani Bergdorf,

Niestety, ciągle muszę Panią tak nazywać. Ponieważ w dalszym ciągu jest Pani tak *ślepa* jak pionki do gry w mojej kryjówce.

Oczy otworzy Pani dopiero teraz drugi mail, który -mam nadzieję, z wdzięcznością przyjmie Pani do wiadomości - wysyłam jeszcze przed zakończeniem gry. Przy czym teraz wychodzę z założenia, że prywatne konto sprawdza Pani o wiele bardziej nieregularnie niż służbowy adres mailowy, inaczej już dawno zauważyłaby Pani mój pierwszy list i przesłała go władzom albo przynajmniej opublikowała na swojej stronie internetowej.

A więc zapewne potrafi Pani zrozumieć, że nie nadążam ze wszystkim, ponieważ w tym gorącym okresie jestem trochę zajęty; dlatego od razu przechodzę do rzeczy: do mojego motywu, który dostarczam Pani do domu za darmo tylko po to, aby Pani i żalosna fabryka kłamstw, którą Pani nazywa redakcją, w przyszłości trochę złagodziła wymierzoną przeciwko mnie szkalującą kampanię. (Wow, z pewnością było to o wiele za długie zdanie dla kogoś, kto pracuje w ogłupiającej ludzi gazecie, drukującej wyłącznie zdania, w których nie występuje nawet jeden przecinek).

Wszystko, co robię, robię w imię jedyne go prawdziwego systemu wartości, o który w ogóle opłaca się walczyć na tym świecie: rodziny.

Pani gazeta, która (pardon) jest mniej warta niż gówno na stronach, którymi czytelnicy wykładają klatki dla ptaków, potępia mnie jako kogoś, kto niszczy rodziny. *Mnie!* Sprawa ma się wręcz przeciwnie! Nic nie leży mi bardziej na sercu niż przywrócenie normalnych zdrowych relacji. Relacji, których mój brat i ja nigdy nie mogliśmy doświadczyć. Myślę, że z powodu braku miłości naszego ojca najbardziej cierpiał mój młodszy brat.

Być może dlatego, że ciężka choroba spowodowała, że był bardziej wrażliwy ode mnie. Utrata lewego oka w wieku pięciu lat zmieniła wtedy więcej niż tylko siłę widzenia. Wyglądało to niemal tak, jakby rak pożerał jego duszę, kiedy już nie mógł zaspokoić głodu operacyjnie usuniętym okiem.

Byłem bardziej stabilny psychicznie niż mój brat. Łatwiej przyzwyczailem się do nieustannej nieobecności ojca, którą odczuwałem nawet wtedy, kiedy wyjątkowo nie był w podróży służbowej

ani nie spędzał czasu z przyjaciółmi.

Mama w jakimś momencie też nas zostawiła, i to nie tylko w sensie przenośnym. Pewnego dnia spakowała małą sportową torbę, z którą przeważnie jeździła na treningi fitnessu, zabrała całą biżuterię, dokumenty oraz gotówkę i już nigdy nie wróciła.

Ojciec szalał. - Co ja mam z wami, smyki, teraz zrobić? - krzyczał na nas. Wydawał się mniej złościć tym, że mama dała nogę, niż faktem, że nie zabrała nas ze sobą.

Mój młodszy brat najpierw nie chciał tego zrozumieć, tylko kilka godzin szukał matki po całym domu. W piwnicy, na strychu, w domku w ogrodzie, wszedł nawet do szafy, płacząc, zagrzebał się w ubraniach, wąchał zapach jej perfum i zauważył, że nie wzięła ze sobą ulubionej bluzki.

Jedwabna łososiowa bluzka była dla niej bardzo ważna. My, dzieci, już jej nie pasowałyśmy.

Kiedy tego wieczoru mój brat znów wspomniał o teście miłości, pierwszy raz zgodziłem się z jego słowami. Przedtem była to zawsze tylko mrzonka. Depresyjna fantazja samotnych dzieci, która nigdy się nie ziści. Brat wymyślił sobie test, za pomocą którego mogliśmy sprawdzić, czy nasi rodzice w ogóle nas lubili. W gruncie rzeczy był prosty: jeden z nas musiał umrzeć.

Do tego dnia rozmawialiśmy tylko o tym, że będziemy ciągnąć zapałki. Ten, kto wygra, miał sprawdzić na pogrzebie, czy mama i tata naprawdę płaczą.

Ale owego dnia, kiedy matka nas zostawiła, zaproponowałem młodszemu bratu inny sposób przetestowania miłości naszego ojca.

Musieliśmy się schować!

Nie w domku na drzewie ani w szałasie nad jeziorem, lecz gdzieś, gdzie jeszcze nigdy nas nie było.

- Jeśli tata jeszcze nas kocha, będzie nas szukał. A im szybciej nas znajdzie, tym jego miłość jest większa.

To było dziecinne równanie, jakie może wykombinować tylko siedmiolatek ze swoim zrozpaczonym bratem, ale w ich dziecięcej naiwności tkwiła ujmująca w swojej prostocie logika, która jeszcze dziś, wiele lat później, ciągle mnie fascynuje.

Już następnego wieczoru znaleźliśmy odpowiednią kryjówkę. Ten, kto porzucił w lesie starą zamrażarkę, zadał sobie przynajmniej trud, aby umyć ją gorącą wodą.

Ani resztki żywności, ani naklejki, ani zapachy nie wskazywały na to, co w niej przechowywano, zanim do niej weszliśmy.

Ucieszyliśmy się, że taka przestronna rzecz stała tak blisko naszego domu; na skraju leśnej polany, na dodatek przy popularnej wśród joggerów ścieżce, którą tata biegał codziennie wieczorem. Właściwie nie można było jej nie zauważyć i dlatego w ogóle się nie zmartwiliśmy, kiedy nie udało nam się ponownie podnieść pokrywy zamrażarki, gdy zamknęliśmy ją nad naszymi głowami.

Na początku nawet żartowaliśmy z popsutego śrubokrętu z drewnianą rączką, który musiał zostawić w skrzyni poprzedni właściciel i który teraz wbijał mi się w tyłek. Później, kiedy powietrze robiło się coraz rzadsze, pomógł nam tak samo niewiele jak moneta, którą znalazłem w kieszeni spodni.

Pokrywa zamknęła się na dobre. A ponieważ skrzynia miała już parę lat na karku, nie była wyposażona w zamek magnetyczny stosowany obecnie ze względów bezpieczeństwa, tylko w rygiel, który można było otworzyć wyłącznie od zewnątrz.

Nasz test miłości niechęć przerodził się w egzamin decydujący o życiu lub śmierci.

- Tata zaraz przyjdzie - powiedziałem.

Wciąż to powtarzałem. Najpierw głośno i zdecydowanie, potem, kiedy się zmęczyłem, coraz ciszej. Mówiłem to na krótko przez zaśnięciem i tuż po przebudzeniu.

- *Tata zaraz przyjdzie.*

Mój młodszy brat słyszał to z moich ust, kiedy się moczył, kiedy zaczynał płakać i kiedy budził się z pragnienia. Wreszcie powtarzałem to również wówczas, kiedy usnął i nie chciał się już obudzić.

- *Tata zaraz przyjdzie. On nas kocha, więc będzie nas szukał i znajdzie.*

To było kłamstwo. Tata nie przyszedł.

Ani po dwudziestu czterech godzinach. Ani po trzydziestu sześciu, ani po czterdziestu.

W końcu uwolnił nas pracownik leśny.

Po czterdziestu pięciu godzinach i siedmiu minutach. Do tego czasu mój młodszy brat już się udusił. Później powiedziano mi, że ojciec sądził, że mama się rozmyśliła i wróciła, aby zabrać nas ze sobą. Więc zamiast nas szukać, zrelaksowany włóczył się po knajpach z przyjaciółmi.

Jeszcze dziś nie potrafię sobie wyobrazić, jak mógł raczyć się zimnym piwem w chwili, kiedy mój brat, oszalały z pragnienia, zerwał plaster z martwego oka i zaczął go żuć.

Moi dziadkowie, do których odesłał mnie urząd do spraw nieletnich, gdy już fizycznie doszedłem do siebie, wyznali mi kiedyś, jak bardzo się martwili, że brak tlenu w zamrażarce mógł spowodować trwałe uszkodzenie. Dziadek, który do późnego wieku był aktywnym wiejskim weterynarzem, uważał, że dobrze zrobi mi towarzystwo potrzebujących pomocy stworzeń. Zabrał mnie do swojej lecznicy, pozwolił asystować i stopniowo zdradzał tajemnice weterynarii, które przydają mi się jeszcze dzisiaj. Jak obliczyć dawkę ketaminy stosownie do wieku, wagi i stanu zdrowia stworzenia, aby gwarantowała stabilną narkozę podczas operacji. Jak bernardynowi nałożyć maskę tlenową, zanim rozetnie mu się brzuch. Albo jak kotu usuwa się oko ślepe z powodu nowotworu. Dziadek chwalił mnie za zręczność i głód wiedzy.

A ponieważ dziadkowie nigdy nie znaleźli szczątków bezdomnych wiejskich kotów - ani tych, które zakopywałem żywcem, ani tych, które najpierw wkładałem do worka, zanim polałem je benzyną - z czasem przestała ich martwić również mokra pościel, w której regularnie się budziłem.

- *Przecież to nic dziwnego po tym wszystkim, co chłopak musiał wycierpieć* - powtarzali za każdym razem.

Byli dobrymi przybranymi rodzicami.

Kochanymi.

Starymi.

I niczego nie podejrzewali.

(jeszcze 59 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Alexander Zorbach (ja)

Poczekali z przeprowadzeniem akcji, aż zniknąłem w sali chorych. Przez chwilę obserwowali mnie przez szparę w przymkniętych drzwiach do łazienki, prawdopodobnie, aby się upewnić, że nikt za mną nie przyjdzie i że nie noszę przy sobie broni. W końcu, kiedy byłem zajęty fotografią i obiema rękami trzymałem ramkę, rzucili się na mnie. Dwaj nieumundurowani mężczyźni, jeden młodszy z Wąsami, drugi starszy, który co prawda dysponował mniejszą siłą, ale na jego korzyść przemawiał moment zaskoczenia. Wypadli z łazienki i złapali mnie od tyłu.

Nie było potrzeby przyciskać mnie do podłogi ani wiązać nadgarstków plastikowymi kajdankami. I tak nie chciałem stawiać oporu.

- Oczywiście, że nie chcesz - roześmiał się cynicznie Scholle, kiedy tamci dwaj prowadzili mnie do wind, przed którymi już na mnie czekał, szczerząc zęby - Z całą pewnością nie chcesz stawiać oporu.

Zastanawiałem się, dlaczego szpitalny korytarz nie został opróżniony przed moim aresztowaniem. Co prawda o tak wczesnej porze prawie nie było tu ruchu, obok nas przemknęła tylko jedna przestraszona pielęgniarzka, ale co by się stało, gdybym naprawdę był kolekcjonerem oczu? A gdybym stawiał większy opór i wziął zakładników?

W związku z tym jeszcze bardziej zdziwił mnie fakt, że obaj policjanci najwidoczniej nie należeli do oddziału, który specjalizuje się w aresztowaniach niebezpiecznych przestępców.

Scholle pobieżnie sprawdził plastikowe kajdanki, potem wszedłem razem z nim i nieumundurowanymi funkcjonariuszami do windy towarowej.

- Minus jeden? - powiedziałem ze wzrokiem skierowanym na rząd przycisków. - Wyprowadzicie mnie przez piwnicę?

Młody z wąsami wlepił wzrok w gołe ściany, które przesuwają się wokół nas. Starszy nonszalancko żuł gumę i jednocześnie patrzył na mnie, jakbym był powietrzem. Tylko Scholle zareagował na moje pytanie.

- A co ty byś zrobił? - Spojrzał na zegarek. - Zostało nam jeszcze pięćdziesiąt siedem minut do wygaśnięcia ultimatum, więc powiedz mi, co byś zrobił na moim miejscu?

- Po jego czole spływały krople potu. Wytarł je gołą ręką i wydawało się, że chce mnie

zahipnotyzować wzrokiem. - A gdyby to było twoje dziecko?

Minęliśmy pierwsze piętro.

- Czy na moim miejscu marnowałbyś czas na jazdę z podejrzanym na komendę i czekał tam na adwokata, który ma w nosie dobro społeczne, podczas gdy Julian dusi się w jakiejś pieprzonej kryjówce?

Julian? Czy znał imię mojego syna z akt, a może już kiedyś rozmawialiśmy prywatnie o naszych dzieciach?

Próbowałem sobie przypomnieć, co wiem o Schollem. Od niedawna był w wydziale zabójstw, kiedy ja tam pracowałem. Oprócz kilku spotkań w stołówce i na policyjnym letnim festynie nigdy nie rozmawiałem z nim osobiście. Oczywiście znałem jego historię. Znał ją każdy na posterunku. Prasa najczęściej opisywała wyłącznie historie zagranicznych ojców, którzy odbierali swoim niemieckim żonom ich wspólne dziecko i uprowadzali na przykład do kraju, gdzie panuje reżim fundamentalistyczny. To, że takie wypadki nie są domeną konkretnej religii ani płci, Scholle przekonał się na własnej skórze.

- Na Boga, żeby uratować dziecko, strzeliłeś kobiecie w głowę. W takim razie co byś zrobił, gdyby stał przed tobą kolekcjoner oczu?

Zdziwiony stwierdziłem, że poważnie zastanawiam się nad retorycznym pytaniem Schollego.

Spojrzałem w jego małe, zalane potem oczy. Ujrzałem w nich wywołane wściekłością przekonanie o własnej racji i skinąłem głową.

Tak mało łączyło mnie z tym człowiekiem, a tak dobrze rozumiałem, co chciał mi powiedzieć.

Scholle był jak nakręcony. Był kimś, kto kiedyś stracił bliską osobę, ponieważ zbyt długo się wahał. I nie mógł popełnić tego błędu drugi raz.

Nie w moim wypadku.

Dwa razy gwałtownie szarpnęło, potem winda dotarła do celu.

Minus 1.

- Brać go - rozkazał Scholle obu policjantom i popchnął mnie w lewo w piwniczny korytarz oświetlony zimnym światłem energooszczędnych lamp

- Kiedyś zrobiłbym dokładnie to samo co ty - powiedziałem. - Spuściłbym kolekcjonerowi oczu porządne manto, żeby zdradził mi kryjówkę. Ale odkąd zabiłem tę kobietę na kładce, wszystko się zmieniło.

Przeszliśmy dwadzieścia metrów do końca korytarza i zatrzymaliśmy się przed dużymi dwuskrzydłowymi drzwiami z polerowanej stali szlachetnej.

- Czyżby? - Kazał zaczekać policjantom przed drzwiami. - A dlaczego?

- Bo teraz wiem, jak to jest, kiedy człowiek nie jest pewny, czy złapał właściwą osobę.

Roześmiał się.

- Robisz błąd. Nie jestem kolekcjonerem oczu.

Scholle kolejny raz wytarł pot z brwi i zmrużył oczy.

- Zobaczymy - powiedział i mrugnął do mnie.

Potem otworzył drzwi i popchnął mnie w ciemność.

(jeszcze 55 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Tobias Traunstein

Matrioszka. Byłem uwięziony w tej lalce. Tobias nie miał pojęcia, na co zamienił drewnianą trumnę, ale teraz przynajmniej skończyły się problemy z powietrzem, wreszcie skończyły się kłopoty z oddychaniem. Pierwszy raz od wielu, wielu godzin nie miał uczucia, że unosi na piersi skrzynkę z oranżadą. Także gwiazdy już nie tańczyły mu przed oczami i utrzymywał równowagę, nawet kiedy stanął wyprostowany. Ponieważ mógł to zrobić w swoim nowym, stalowym otoczeniu.

Pewnie że w dalszym ciągu wokół panowała ciemność, a ból głowy dawał się we znaki jeszcze bardziej niż na początku w walizce. Nic dziwnego, tak długo uderzał śrubokrętem w drewnianą ścianę, aż zaczął odłupywać najpierw pojedyncze drzazgi, potem całe kawałki i w końcu przebił płytę na wylot. Najpierw wyrąbał tylko malutki otwór, w sam raz, aby włożyć w niego palec wskazujący. Później, kiedy już mieściła się w nim cała dłoń, a potem przedramię, uświadomił sobie, że musi zacząć jeszcze raz z przodu, trochę bardziej w prawo. I trochę wyżej. Miał pecha, lecz mogło być jeszcze gorzej. Gdyby zaczął parę centymetrów niżej, nie wymacałby rygla, który zamykał pokrywę skrzyni. Co prawda jego palce już go dotykały, ale zasuwa była za daleko, aby ją poruszyć.

Gdzie teraz jestem ?

Tobias poczuł, jak przez jego ciało przepływa nowa fala strachu. Nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wcześniej przebywał w pomieszczeniu, którego ściany były tak zimne i gładkie.

Śmieciarka, pomyślał w panice. Tak wyobrażam sobie wnętrze śmieciarki.

Na szczęście nie śmierdziało tu tak mocno. Zapach przywoływał na myśl raczej warsztat albo statek.

Tak, kurczę blade. Tutaj pachnie jak na motorówce, którą chciał sobie kupić tata.

Olejem smarowniczym i słońną wodą. A poza tym lekko bujało.

Tobias przeszukał całą podłogę, wszystkie ściany, a nawet z powrotem wczuł się do drewnianej skrzyni, ale tym razem nie znalazł żadnego przedmiotu, który mógłby poradzić sobie z metalowymi ścianami.

Co prawda na środku jednej z nich wymacał cienką szczelinę, lecz nie znalazł miejsca, gdzie

mógłby wetknąć śrubokręt i rozpruć ją. Po trzeciej próbie metalowy pręt wysunął się z drewnianego uchwytu i spadł z głośnym brzękiem. Teraz leżał bezużytecznie na podłodze.

Na kołyszącej się podłodze.

Na początku myślał, że jest to kolejne zaburzenie równowagi. W końcu od paru dni nic nie jadł ani nie pił i czuł się słaby i wyczerpany. Nic dziwnego, jeśli człowiek myśli sobie, że ugina się pod nim podłoga. Na dodatek jeszcze te odgłosy. Jakby trzeszczenie mocno napiętej liny.

Ooo... o znowu!

Tobias walczył ze zmęczeniem; tym niewymownie ciężkim, ołowianym zmęczeniem, które go ogarnęło tak nagle jak ciemność, w której się obudził.

Strach, głód, pragnienie, stres, wyczerpanie - prawdopodobnie wytrzymałby jeszcze pół godziny, gdyby nie zabrakło mu tego czegoś, czego teraz potrzebował jeszcze bardziej niż odzyskanego powietrza. A była to; nadzieja.

Nie wyobrażał sobie, że kiedykolwiek stąd wyjdzie. Nie o własnych siłach. Tych zabrakło mu już teraz, gdy tylko spróbował ostatni raz się podnieść. Kiedyś słyszał, że ofiarom wypadków nie wolno zasnąć. Że muszą zachować przytomność, aby nie umrzeć.

A więc muszę wstać. Jeszcze nigdy nie zasnęłam na stojąco. Tylko leżąc. Nie wolno mi...

- Cholera!

Serce Tobiasa waliło jak młotem pod przepoconym T--shirtem.

Co to było ?

Zatoczył się krok do tyłu i znów poczuł to na ramieniu.

Przecież to niemożliwe. Skąd to się nagle wzięło?

Przed chwilą musiał przejść obok liny

Liny? Po co w tym stalowym pomieszczeniu z sufitu zwisa lina?

Sięgnął do góry, ostrożnie zacisnął na niej palce i zsuwał je w dół, aż w jego dłoni znalazł się plastikowy uchwyt przymocowany na końcu splątanej liny ze sztucznego tworzywa.

I co teraz?

Tobias się zawahał. Tylko przez chwilę, potem zrobił to, co zrobiłby każdy człowiek, któremu poda się rękę w ciemności.

Pociągnął za nią.

O nie, proszę, nie...

Tobias szybko puścił linę, ale było już za późno.

Nie chciałem... proszę, nie...

Podłoga pod jego stopami znów zaczęła się kołysać. Tylko tym razem silniej niż przedtem.

(jeszcze 49 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Alexander Zorbach (ja)

Białe, pokryte kurzem kafelki, matowy polerowany aluminiowy stół, okap kuchenny nad warsztatem - w pierwszej chwili bałem się, że wylądowałem na oddziale patologii.

Potem zobaczyłem kredensy i brudną taśmę produkcyjną na środku pomieszczenia i zacząłem się domyślać, gdzie jestem. Scholle nie chciał włączyć neonówek nad naszymi głowami, jedynym źródłem światła były nieliczne słabe promienie latarni na parkingu, które wpadały do wewnątrz przez okna w suterenie. Półmrok sprawiał, że widziałem tylko cienie i kontury. Miałem uczucie, że widzę siebie na czarno-białej fotografii.

- Kiedyś była tu kuchnia - powiedział Scholle i wskazał na trzy duże kotły, które stały ukośnie na prawo od niego i których spodziewałbym się raczej w browarze. - Dzisiaj gotują zupki w nowej przybudówce. Cały ciąg kuchenny jest już nieczynny, co znaczy, że nikt nie będzie nam tu przeszkadzał.

Kawałek tynku rozkruszył się pod skórzaną podeszwą jego buta, kiedy podszedł do szafkowego kombajnu kuchennego, który zajmował dobrą jedną trzecią nieczynnej kuchni. Urządzenie miało mniej więcej wielkość samochodu kompaktowego, cztery pola grzejne, dwa zlewozmywaki i pokryty brązowymi płytkami blat roboczy zavalony obowiązkowymi śmieciami, które zbierają się w każdym opuszczonym piwnicznym pomieszczeniu: popsute gniazdko rozdzielacza, urwany przewód elektryczny, brudne papierowe talerze, zaadaptowane na popielniczki plastikowe kubki i do połowy pełna butelka coca-coli. Scholle zmiotł łokciem ten cały majdan na podłogę.

- Czy Stoya wie, że tu jesteśmy? - zapytałem.

Roześmiał się.

- No jasne, że wie. Ale oficjalnie nigdy się do tego nie przyzna. Wiadomo, ten tchórzliwy drań nie chce zaprzepaścić swojej kariery nielegalnym aresztowaniem. W przeciwieństwie do mnie Stoya nie wierzy, że to jesteś ty. Ta fujara nawet nie zadzwoniła jeszcze do prokuratora.

Nielegalne aresztowanie?

- Nie macie nakazu aresztowania?

- A jak sądzisz, dlaczego za drzwiami stoją Pat i Pataszon, a nie zawodowcy? Obaj są mi winni przysługę.

Scholle wyjął z kieszeni kurtki plan miasta i rozłożył go na ceramicznych polach grzewczych, które także uprzątnął.

- Stoya chciał z tobą tylko porozmawiać. Jak glina z byłym gliną. Chciał dać ci ostatnią szansę, dowiedzieć się, po co zjawiłeś się dzisiaj na dwóch miejscach przestępstwa i skąd znasz tyle szczegółów tej sprawy. Na szczęście udało mi się go przekonać, że w tym wypadku ja lepiej się do tego nadam i trochę szybciej wyciągnę z ciebie odpowiedzi.

No jasne. Prawdopodobnie Stoya oficjalnie przy świadkach powiedział mu, że ma mnie doprowadzić na rozmowę w cztery oczy na komendę, a nieoficjalnie mrugnął okiem.

Wykorzystałem moment, kiedy Scholle odwrócił się plecami, aby rozejrzeć się za wyjściem awaryjnym, które musiało znajdować się w pomieszczeniu kuchennym, ale Scholle nie bez powodu nie włączył światła. Zobaczyłem jedynie cztery małe świetliki, do których nie miałem nawet szansy się zbliżyć przed tym, zanim gruby śledczy rzucił się na mnie. W normalnych warunkach nie byłby dla mnie przeciwnikiem, którego musiałbym traktować poważnie. W przeciwieństwie do mnie znał boks tylko z telewizji. Wzrost i masa ciała nie mogły rekompensować długoletniego treningu. Ale kajdanki na moich rękach już tak.

- Wypuść mnie, Scholle. Jeszcze nie jest za późno.

- No pewnie. - Zerknął na zegarek i westchnął. - Czas biegnie, więc darujmy sobie tę gadkę i zróbmy prosty deal: ja powiem ci wszystko, co wiem, a ty opowiesz mi to, co ja chcę usłyszeć, okay?

- Robisz duży błąd, Scholle...

- A więc załatwione, ja zaczynam. Znaleźliśmy samochód, którym wiozłeś dzieci. Patrol z Köpenick namierzył go mniej więcej dziesięć minut jazdy samochodem stąd, na parking opuszczonego składu odpadów.

Stuknął palcem w punkt w prawej dolnej jednej trzeciej części mapy.

- To nie jestem ja - powiedziałem.

- W bagażniku znaleźliśmy jednoznaczne dowody. Włosy, włókna, złamane paznokcie.

- Być może, ale to nie ja zostawiłem tam samochód.

W ogóle mnie nie słuchał.

- Na miejscu jest już Stoya. Obecnie okolicę przeszukuje osiem psów policyjnych, lecz, jak sam widzisz, jest to cholernie duży teren przemysłowy.

Jego zuchwa ruszała się wściekle, kiedy mówił, jakby musiał przeżuwać słowa, zanim rzucił mi je w twarz.

- O wiele za duży, żeby im się udało w czasie, który nam jeszcze został. Dlatego jestem zdany na twoją współpracę.

- Scholle, proszę...

- A więc to tyle z mojej strony. Teraz twoja kolej. Powiedz mi, gdzie one są.

- Nie wiem.

- Gdzie jest kryjówka, w której topisz dzieci?

Topisz?

- Przysięgam. Szukam tego drania tak samo jak ty.

Potrząsnął głową i popatrzył na mnie jak ojciec, który powoli traci cierpliwość do swojego krnąbrnego dziecka.

- No dobrze - powiedział i złożył plan miasta. - Przynajmniej tu na dole jeszcze jest prąd.

Usłyszałem bzyczenie, elektrostatyczny szmer, jakby ktoś włączył stary telewizor. W tej samej chwili zapaliła się czerwona lampa w przedniej części bloku kuchennego.

I wtedy wydarzyło się jednocześnie kilka rzeczy.

Najpierw poczułem powiew, potem przeszył mnie ból w plecach i nie mogłem poruszyć głową. Czuję, że mam złamany kark. Ramię Schollego wyciskało ze mnie powietrze, nie mogłem nawet krzyknąć, kiedy z całą siłą poderwał mnie z krzesła i popchnął do kombajnu, którego pola grzejne już się słabo żarzyły.

Potem kopnął mnie z tyłu w nogi, osunąłem się na ziemię. Moje kolana twardo uderzyły w płytki na podłodze, i wtedy nagle zrobiło się jasno.

Najpierw pomyślałem, że rażące błyski, które padły na moją siatkówkę, to efekt promieniującego bólu, lecz potem nad głową zamigotały neonówki i zrozumiałem, że ktoś musiał włączyć światło.

Stoya?, pomyślałem i modliłem się, żeby Scholle pomylił się w ocenie swojego partnera.

Ale wtedy zobaczyłem w drzwiach kuchni parę zabłoconych butów i moja ostatnia nadzieja, że jednak uniknę tortur, umarła.

- Przecież mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać...

Scholle rozluźnił chwyt i zaśmiał się zdziwiony.

- Popatrz, co tu mamy.

Popchnął mnie na bok, przewróciłem się i ciężko dysząc, leżałem obok kombajnu.

- Właśnie chciałem zrobić sobie kawę na korytarzu na górze, kiedy zapytała portiera o matkę Zorbacha - usłyszałem głos jednego z policjantów.

Cholera, Alina. Miałaś czekać w samochodzie, aż wrócę.

- Mówiłeś o niej wcześniej, pomyślałem więc, że prawdopodobnie będziesz chciał z nią porozmawiać, Scholle.

Zmiażdżona krtań bolała mnie tak bardzo, że musiałem użyć wszystkich sił, aby znów wpompować do płuc świeże powietrze, dlatego minęła dobra chwila, zanim zdołałem unieść głowę. Ale poznałem ją już po wytartych kowbojskich butach, zanim splunęła Schollemu w twarz.

- Nie dotykaj mnie, ty zboczeńcu.

Śledczy z krzywym uśmiechem podziękował policjantowi i poprosił go, żeby opuścił pomieszczenie. Poczekał, aż zamkną się za nim drzwi, potem złapał Alinę za rękę, zabrał jej laskę i grubiańsko popchnął w moim kierunku.

- No popatrz, a więc zjawą jednak istnieje!

Zjawą?

Oparłem się o kuchnię. Z chęcią wymasowałbym sobie szyję, ale miałem ręce związane na plecach.

Do diabła, o czym on mówi?, pomyślałem i w następnej chwili zdziwiłem się, że Scholle odpowiedział na moje pytanie. Widocznie powiedziałem je na głos.

- W rzeczywistości nie nazywa się Alina. Tak, co tak głupio wytrzeszczasz gały, Zorbach? Twoja niewidoma przyjaciółka nigdy też nie składała u nas zeznań.

Nie to imię? Nie ma protokołu?

Dudniący ból w głowie ustępował bardzo wolno i tak to trwało, aż moja świadomość wypracowała pytania, na które musiałem znać odpowiedź.

- Czy to prawda? - wychrypiałem.

W jaskrawym świetle Alina wyglądała jak żywy trup. Miała bladą cerę, wydawało się, że z jej pełnych warg całkowicie odpłynęła krew, a zgaszone oczy przypominały oczy wybrakowanej lalki.

- Wcale nie byłaś na policji?

Musiałem jeszcze raz przemyśleć wszystko, co powiedziała mi podczas naszego pierwszego spotkania na łodzi. Wizje ostatniego przestępstwa kolekcjonera oczu, niektóre z nich okazały się prawdziwe: ... *czterdzieści pięć godzin i siedem minut, bungalow z koszem do gry w koszykówkę obok garażu...*

Wymieszane ze wspomnieniami, które okazały się całkowicie nieprawdziwe: ... *tylko jedno dziecko. Nie uprowadzono dwojga...* Albo w ogóle bez sensu: ... *potem kobieta zaśmiała się i powiedziała...* *Właśnie bawię się z naszym synem w chowanego...* *Nie mogę go nigdzie znaleźć...* *O Boże... pod żadnym pozorem nie wchodzić do piwnicy.*

- Bzdura - fuknęła. - Oczywiście, że byłam na tym zasranym komisariacie. Skierowali mnie do jakiegoś tępaka, który prawdopodobnie zawałił papierkową robotę. - Nadal bezskutecznie próbowała strącić ręce Schollego z ramienia. - A odkąd to nie wolno używać w pracy pseudonimów?

Shiatsu jest sztuką, Alina Gregoriev to mój pseudonim. Na Boga, skoro nie potrafi pan zdobyć najprostszych informacji, nic dziwnego, że nie może pan złapać kolekcjonera oczu.

- Zobaczymy.

Scholle złapał Alinę za nadgarstki, zawlókł ją do kombajnu i przywiązał jedną rękę do zlewozmywaka naprzeciwko mnie.

- Wypalony były glina i ezoteryczna ślepa jaszczurka -powiedział, kręcąc głową. - No to mamy wreszcie towarzystwo w komplecie.

- Robisz duży błąd - odezwałem się. Sekundę później nie mogłem już nawet szeptać. Scholle przeszedł na moją stronę blatu i z całej siły kopnął mnie w żołądek. Zanim ponownie zdołałem nabrać powietrza, już leżałem na kombajnie w poprzek blatu roboczego. Przerażony odchyliłem głowę do tyłu i zastygłem w tej pozycji. *Nie opuszczać...* Brzuch i pierś leżały na zimnej płycie ceramicznej, a twarz - *nie opuszczać, w żadnym razie nie opuszczać głowy* - bezpośrednio nad rozżarzonym palnikiem!

W ostatniej chwili, zanim pomyślałem, że spłonę, zobaczyłem, jak Alina wyciera sobie pot z czoła rękawem kurtki. Stała niecałe dwa metry ode mnie, jednak z powodu dzielącego nas kombajnu nie miało to znaczenia, mogłaby równie dobrze znajdować się w całkiem innym pomieszczeniu. Nawet gdyby wyciągnęła nieskutą kajdankami rękę nad płytą grzejną i tak nie udałoby jej się dotknąć mnie choćby czubkami palców.

Poza tym Scholle nie był żółtodziobem. Aby uniknąć przykrych niespodzianek, kazał usunąć z naszego zasięgu stare wiadra, szpachle, zwoje drutu, po prostu wszystkie śmieci na podłodze, które mogłyby posłużyć za broń albo pocisk.

Już po mnie, pomyślałem i zastanawiałem się, czy jeszcze przez sekundę wytrzymam gorąco na twarzy. Potem było jeszcze gorzej.

- A więc jeszcze raz - zapytał Scholle ledwie dysząc - dokąd zaprowadziłeś dzieci?

Odległość pomiędzy brodą a palnikiem zmalała. Scholle położył łapska na mojej głowie i bezlitośnie przyciskał ją do dołu.

- Nie wiem! - wydyszałem. Kropla potu pękła z sykiem na rozżarzonej spirali tuż przed moją twarzą. Potem spirale zbliżyły się jeszcze bardziej i musiałem zamknąć oczy, zanim wyschły.

- Gdzie jest ta pieprzona kryjówka?

O Boże, on jest szalony, pomyślałem. On jest kompletnie szalony i nie mogę nic na to poradzić.

Chrupnęło mi w szyi i czułem, jak tracę siły. Nie mogłem dłużej napinać pękających mięśni karku.

- Nie wiem - wycharczałem i nie miałem pojęcia, czy Scholle w ogóle mnie słyszy.

Gorąco paliło jak ogień piekielny. Mój nos dzieliła od płyty grzejnej zaledwie grubość palca i miałem uczucie, że topią mi się włosy w nozdrzach.

- Przestań - krzyknął kobiecy głos, który, jak zakładałem, należał do Aliny. Moja zdolność postrzegania była zredukowana do niezbędnego przeżycia minimum. Sądziłem, że słyszę, jak Alina jeszcze mówi: - To nie ma sensu - albo

- Torturuje pan nie tego człowieka - ale w chwili, w której niewiele brakowało, żeby moje usta pocałowały rozżarzony palnik, nie byłem już niczego pewny. Krew uderzyła mi do głowy, która, wydawało się, nabrzmiała do podwójnej pierwotnej wielkości. Krew pulsowała w żyłach, w uszach i pod skórą, która w moich wywołanych strachem wizjach już odrywała się od czaszki.

Siłą rozpaczę oparłem się łokwi naciskającemu na tył głowy, ostatni raz otworzyłem oczy... i chciałem krzyknąć.

O Boże, nie, pomyślałem jeszcze, speszony cieniem Schollego, który pojawił się obok kombajnu i stawał się coraz większy.

Miałem nadzieję, nie, modliłem się w duchu, żeby Alina nie była tak zwariowana, jak myślałem, ale wtedy dała próbkę swojego obłądu:

- Musi pan sprawić *mi* ból, jeśli chce pan usłyszeć odpowiedź.

Scholle zdołał jeszcze wyszeptać przerażonym głosem:

- O kur... - ponieważ Alina już położyła lewą dłoń na rozżarzonej do czerwoności palniku.

(jeszcze 39 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Dwaj policjanci

(przed wejściem do opuszczonej kuchni)

- I co teraz będzie? - zapytał starszy policjant i przesunął językiem gumę do żucia na drugą stronę ruszającej się żuchwy.

Jego młodszy kolega zamarł w bezruchu, kiedy właśnie chciał otworzyć duże drzwi wejściowe do starej kuchni sanatoryjnej, za którymi Alexander Zorbach przeraźliwie krzyknął.

- Niiieeeeeeeeeeeee...

- Myślisz, że...

- Co?

Teraz zaczęła krzyczeć także kobieta, jeszcze głośniej i bardziej udręczonym głosem niż mężczyzna wcześniej.

Młody policjant z wąsami zbladł.

- Trzeba to sprawdzić. Myślę, że powinniśmy tam zajrzeć.

- Posłuchaj, mały. On był już wściekły, kiedy przyprowaodziłem tę niewidomą. Powiedział, żeby mu nie przeszkadzać. Obojętnie, co się będzie działo.

Coś przecięło krzyk kobiety na pół. Górna, ostra część od razu umarła. Niskie charczące dźwięki było słyhać jeszcze przez chwilę.

- Coś ci powiem - wyższy rangą odezwał się cicho, ale stanowczo. - Jak myślisz, co tu jest grane? Człowieku, w tej części budynku jesteśmy samiuteńcy jak palec.

Coś zadudniło i Scholle zaklął na cały głos:

- Cholera, co, do diabła...

Dłoń młodego policjanta znów powędrowała do klamki.

- Chłopcze, jeśli tam teraz wejdiesz, twoje życie całkiem się zmieni. Musisz powziąć decyzję. I nieważne, co zrobisz, potem nic nie będzie już takie, jak było wcześniej, to ci gwarantuję.

Zza drzwi dobiegł odgłos najpierw głuchego uderzenia, potem stękanie Zorbacha i coś, co przypominało hałas, jakby ktoś ciągnął worek po kamiennej podłodze.

- Wyobraź sobie, że zobaczysz coś, o czym będziesz musiał zameldować - mówił dalej starszy policjant. - A wtedy zrobisz sobie wroga na całe życie i już nikt nie będzie chciał, żebyś był jego partnerem.

Guma do żucia znów zmieniła stronę.

- Rób jak ja. Skoro już musisz gdzieś iść, pobiegnij na górę i weź sobie kawę z automatu, okay? - Zaśmiał się. - Tylko nie przyprowadź mi tu następnej niewidomej.

Żółtodziób nerwowo złapał się za krótko ostrzyżony kark.

- Słuchaj, jeśli o tym nie zamelduję, do końca życia nie będę mógł spojrzeć w lustro.

- I co zameldujesz?

- No o tym gównie, tam w środku.

- O czym ty mówisz? - zapytał starszy. Przyłożył dłoń za prawym uchem. - Ja nic nie słyszę.

Faktycznie.

Młodszy wstrzymał oddech i skoncentrował się na hałasie, który już umilkł.

Za drzwiami dawnej kuchni panowała cisza.

Śmiertelna cisza, pomyślał i zrobiło mu się niedobrze, kie dy powoli zdejmował palce z klamki.

- Sorry, ale mam mały mętlik w głowie. Właśnie bawię się z synem w chowanego. To głupie, ale wiesz co? Nie mogę go nigdzie znaleźć.

Alina jakby z oddali słuchała zdenerwowanego głosu kobiety. Ból, który prawie całkowicie odbierał jej świadomość i przywoływał wspomnienia, rozlewał się w niej jak potok lawy. Przez krótką chwilę wahała się pomiędzy męczącą rzeczywistością, w której czuła zjełczało-słodkawy zapach przypalanej skóry - *jej własnej skóry* - a światem wizji, w który coraz bardziej się zapadała i w którym zdumiony ojciec przesyłał swojej żonie ostatnie ostrzeżenie przez telefon ustawiony na tryb głośnomówiący:

- O Boże. Jak mogłem być taki ślepy? Już po wszystkim. Pod żadnym pozorem nie wchodź do piwnicy.

Alina poczuła jeszcze, jak upada na posadzkę, a potem z tego całego bólu zostało już tylko światło, które szalało za jej oczami i już po raz drugi *zobaczyła* ostatnie sekundy przed uprowadzeniem.

Z kryjówki za drzwiami piwnicy. Oczami kolekcjonera oczu!

- Słyszysz mnie? Nie wchodź do piwnicy.

Ostatnie słowa ojca przed śmiercią jego żony ucichły, a potem ktoś nastawił film w jej głowie na szybkie przewijanie.

Musiała jeszcze raz przeżywać, jak wślizguje się w obce ciało i łamie kark matce, ciągnie ją do ogrodu, przenosi dziecko... - *tylko jedno dziecko... Wielkie nieba, gdzie on*

ukrył drugie? - z altany do bagażnika samochodu. Jedzie na wzgórze, przez lornetkę widzi nadbiegającego ojca, który pada na trawę przed zamordowaną żoną. Potem reżyser jej koszmaru robi cięcie i przeskakuje sekwencję, w której jedzie do bungalowu i pije coca-colę. Zamiast tego ukazuje się jej zupełnie nowe wspomnienie i tu nie pojawiają się już jednolite sceny, lecz jakby losowo nakręcone po sobie obrazy, jak w ostro pociętym zwiastunie filmowym.

Wózek inwalidzki. Głowa dziecka oparta nieruchomo o podgłówek. Duże męskie stopy w tenisówkach, które pchają wózek po żwirze, a potem w górę po podjeździe...

Nie, nie po podjeździe. To raczej jest...

Mostek. Tak, pomost do cumowania łodzi.

Pod deskami poszycia widziała wodę, czarną jak atrament. Dokoła jest dużo białych plam, dużo cieni. Zastępcze symbole przedmiotów, których nie знаła przed utratą wzroku i dlatego nie *widziała* ich w swoich wizjach.

Film znów przeskoczył do przodu. Teraz widzi oko, oko jest brązowe, mruga i przybliża się do lustra.

Boże, widzę jego oczy. Widzę oczy mordercy. Nie widzę ich w lustrze, lecz...

... w soczewce wizjera w drzwiach.

Oko znika, kiedy czuje, jak jej rzęsy dotykają zimnych metalowych drzwi...

... białych i grubych, z rygłem służącym do otwierania, jak w starej amerykańskiej lodówce, tylko dużo większych.

Potem zagląda do środka. Do kryjówki. Zauważa dziecko na gołej podłodze, podkulone nogi, ciało w pozycji embrionalnej. Widzi, że chłopiec ma drgawki, obserwuje go, jak się dusi i przyciska dłonie do szyi, i nagle zauważa, że trzyma w ręku zegarek.

To musi być coś w rodzaju stopera, który pokazuje, że zostało już tylko kilka sekund.

Następnie czuje łązy.

Wtedy słyszy krzyk i tym razem nie jest to obcy, lecz jej własny głos. Próbuje walić rękami i nogami w pancerne drzwi, ale ściana, za którą upływały niewykorzystane ostatnie sekundy ultimatum, zniknęła.

Uderza mocniej, krzyczy głośniejszym głosem, a kiedy czuje, że ból znów się odzywa, otwiera oczy.

Film się urywa. Obrazy znikają.

Alina wraca do dobrze znanej, pochłaniającej wszystko czarnej nicości swojego życia.

(jeszcze 26 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Alexander Zorbach (ja)

- Już do ciebie jadę - krzyknąłem do komórki, którą trzymałem w ręku, i nacisnąłem pedał gazu. Siedząca obok mnie Alina jęknęła, ponieważ znów próbowała zgiąć palce. Nieopatrzona skóra na wewnętrznej stronie dłoni wyglądała jak zanurzona w wosku i już tworzyły się na niej pęcherze.

- Chwileczkę... - Stoya był całkowicie zmieszany. - Zorbach? To ty?

Tak, dziwisz się, co?

Spojrzałem w lusterko wsteczne na Franka, który mechanicznie drapał TomToma. Wyglądał, jakby nie mógł pojąć tego, co właśnie się wydarzyło.

Swojego wdarcia się do kuchni tylnym wejściem. Samookaleczenia Aliny. Walki. Ucieczki.

W ciągu kilku sekund wydarzyło się tak wiele, że mózg Franka z pewnością będzie potrzebował tygodni, aby to przetrawić. W dodatku ciągle robił sobie wyrzuty, że uległ presji Stoi i wysłał mi sfingowany esemes, którym wywabił mnie z kryjówki. Ale nie mogłem mieć tego Frankowi za złe. Stoya, ta parszywa Świnia, obiecał mi, że nie zostanę aresztowany, lecz tylko przesłuchany. Nikt nie mógł przewidzieć, że ostatecznie sprawa przybierze taki obrót. Poza tym Frank, uwalniając nas, z nawiązką zrekompensował swój błąd.

- Gdzie jest Scholle? - zapytał Stoya.

- Myślę, że ktoś powinien zajrzeć do starej kuchni.

Powstrzymałem się od dalszych wywodów. Oczywiście mógłbym mu wyjaśnić, że popełnił błąd, puszczając wolno mojego wolontariusza tylko dlatego, że o nic go nie podejrzewano. Być może Frank nie miał nic na sumieniu, a jedynym jego przestępstwem była lojalność wobec mnie. Gdy tylko zrozumiał, że Scholle chce mnie aresztować, wsiadł do taksówki i pojechał do Park-Sanatorium. Najpierw zamierzał wysiąść przy tylnym wejściu, potem poprosił kierowcę, żeby zaparkował obok toyoty, którą minęli w wąskiej bocznej uliczce. Jeszcze kiedy płacił, zauważył Alinę, która w odległości około stu metrów powoli badała laską chodnik przed sobą.

Krzyknął jej imię, ale wiatr porwał jego słowa w przeciwnym kierunku. Naciągnął więc na głowę kaptur płaszcza i stał się pozbawionym twarzy gościem, który przyszedł do lecznicy w odwiedzinie.

Kiedy wreszcie dotarł do recepcji, zobaczył, jak do Aliny podchodzi policjant, krótko z nią rozmawia i gdzieś ją prowadzi. Najpierw zdziwił się, że mężczyzna idzie z nią do wind towarowych. Potem, że winda, jeśli wierzyć wyświetlaczowi, zjechała do piwnicy.

Winda zatrzymała się na poziomie minus 1.

Frank poszedł schodami.

Prace budowlane. Nie ma przejścia, informowała tabliczka w pierwszej suterenie. Zdziwienie zastąpiło uczucie pewności, że coś tu jest nie w porządku.

Drzwi, zapewne ze względów bezpieczeństwa, nie były zamknięte.

Pat i Pataşon nie zauważyli go, kiedy od razu skręcił w prawo i wszedł od tyłu do opuszczonej kuchni przez również niezamknięte wyjście awaryjne.

Mógłbym to wszystko opowiedzieć Stoi, łącznie z faktem, że Frank wyłonił się z ciemności w chwili, kiedy jego sadystyczny partner chciał mi wypalić piętno na twarzy. Cień za moimi plecami stawał się coraz większy i nie należał do Schollego, lecz do Franka, który - uzbrojony w metalowy pręt znaleziony na podłodze - wykorzystał chwilowe przerażenie Schollego. Uderzył, kiedy śledczy, wstrząśnięty samookaleczeniem Aliny, na moment rozluźnił chwyt wokół mojej głowy. Zostało nam jeszcze dwadzieścia pięć minut do wygaśnięcia ultimatum i nie chciałem ich zmarnować na opowiadanie Stoi, jak wyjściem awaryjnym uciekliśmy do toyoty, którą teraz gnaliśmy po autostradzie miejskiej.

- Gdzie teraz jesteś? - zapytał Stoya, wyraźnie starając się, aby jego głos brzmiał możliwie spokojnie.

- W drodze do ciebie. Ale to teraz nieważne. Lepiej powiedz mi, czy znaleźliście jej samochód w pobliżu wody?

- Jaki samochód?

- Oszczędź sobie tych gierek i nie marnuj więcej czasu. Tak albo nie. Rzeka, kanał, jezioro - obojętne. Czy w pobliżu jest woda?

Chwila wahania, potem wreszcie krótkie, zwięzłe:

- Tak.

- Dobrze. To tylko strzał w ciemno i nie pytaj, proszę, jak na to wpadłem...

Sam ledwie w to wierzę.

- ... ale powinniście szukać dzieci na łodzi.

- Na łodzi?

- Na frachtowcu, żaglówce, na czymkolwiek, co pływa.

Zwłaszcza jeśli człowiek podda się szaleństwu i uzna, że ostatnie „wspomnienia” niewidomej mają sens.

- Niedobrze mi - stęknęła cicho Alina i na chwilę odsunąłem słuchawkę od ucha. Po raz któryś energicznie odrzuciła moją propozycję, że z powrotem odstawię ją do kliniki.

- Cholera, nie mamy czasu na przeszukiwanie każdej łajby - usłyszałem wrzask Stoi w komórce, którą znów przyłożyłem do ucha. - Zostało nam niecałe pół godziny. Jeśli teraz naprowadzasz mnie na zły ślad...

- Przecież nie macie żadnego śladu - przerwałem mu. - A jeśli kryjówka jest na wodzie, to nic dziwnego, że do tej pory psy niczego nie wywęszyły, mam rację?

Cisza. Nie słyszałem nic oprócz szumu ruchu ulicznego, przez który się przebijałem.

- Nie mogę powiedzieć ci na sto procent, że mam rację

- dalej próbowałem przekonać Stoyę. - Szczerze mówiąc, sam nie jestem o tym przekonany. Ale skoro i tak błądzimy po omacku, co szkodzi spróbować?

Przerwa w rozmowie, jaka nastąpiła po tym stwierdzeniu, była dłuższa niż za pierwszym razem. Dopiero po dwudziestu sekundach, które wydawały się dwudziestoma minutami, usłyszałem, jak Stoya podjął decyzję, która miała okazać się błędem.

(jeszcze 15 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Philipp Stoya (szef wydziału zabójstw)

Z daleka nie wyglądasz tak ładnie.

Linijka tekstu hymnu Berlina Petera Foxa, trafnie oddającego rzeczywistość, nie chciała wyjść Stoi z głowy, kiedy jego wzrok błędził po skąpo oświetlonym parkingu: popękany asfalt, wykrzywiona przez wiatr budka strażnika z wybitym oknem i zniszczony szlaban przy wjeździe, niedbale wyrzucane śmiecie na całym terenie.

Zakład utylizacji odpadów, który splajtował już lata temu, był kolejnym dowodem na to, że stolica schodziła na psy. Normalnie pozostawiony tu samochód rzuciłby się w oczy dopiero wtedy, gdyby przyjechały koparki, aby zrównać z ziemią spalarnię wraz z kominem. Komisarz, który dotąd nie zdawał się na przypadki, teraz nagle zarządził wzmożone poszukiwania. Młodociani rozrabiacy musieli wybrać sobie akurat zielonego VW passata pielęgniarce Katharine Vanghal, żeby wyładować wściekłość po nieudanej wyprawie na dyskotekę (bramkarz nawet ich nie wpuścił). I to w momencie gdy obok przechodził niewyspany patrol policji, w sytuacji kiedy samochód, który miał wybitą jedną boczną szybę i brakowało mu obu zewnętrznych lusterek, już figurował w aktach. Dlatego w komputerze zapaliły się wszystkie lampki ostrzegawcze, kiedy kilka godzin później zaczęto poszukiwania pojazdu w związku ze sprawą kolekcjonera oczu.

- Ile obiektów wchodzi w grę? - Stoya zapytał przez radio dowódcę oddziału specjalnego i odwrócił się w stronę ulicy.

- *Tak albo nie. Rzeka, kanał, jezioro - obojętne. Czy w pobliżu jest woda?* - przypomniał sobie niedawno zakończoną rozmowę z Zorbachem. Na widok, który właśnie pojawił mu się przed oczami, najchętniej wybuchnąłby histerycznym śmiechem.

Do jasnej cholery, Zorbach. Jesteśmy w Köpenick, tu wszędzie jest woda, pomyślał. Tylko dziesięć milionów możliwości, gdzie kolekcjoner oczu może utopić swoją ofiarę.

Teren przemysłowy, który do tej pory bezowocnie przeczesali, leżał nad trójkątnym zbiornikiem wodnym, w miejscu, gdzie zlewały się Dahme, Szprewa i kanał Teltow. Nawet nazwy ulic miały mokrą konotację. W tej chwili stał na skrzyżowaniu Regattastrasse [*ulica Regatowa*], na rogu Tauchersteig [*Ścieżka Nurków*], przy czym druga nazwa jawiła się jak zły omen.

Tauchersteig.

Krótkofalówka w jego ręku zatrzeszczała, nadeszła odpowiedź dowódcy oddziału specjalnego.

- Tu roi się od prywatnych przystani. Mamy około tuzina łodzi zacumowanych tu na zimę.

- Zapomnijcie o łodziach.

Zorbach mówił coś o dużym pomieszczeniu z masywnymi stalowymi drzwiami i tego czegoś nie było na rekreacyjnej jolce.

- To musi być coś dużego, prawdopodobnie statek używany do celów przemysłowych.

- W takim razie w grę wchodzi tylko dwa.

Stoya przytaknął. Węglowiec i kontenerowiec. Księżyc słabo przeświecał przez grubą pokrywę chmur, ale pirs załadunkowy wylaniał się w żółtym świetle kilkunastu latarni, więc Stoya dobrze widział statki ze swojego stanowiska.

Z powodu nadchodzącej zimy transport towarów na wodach wokół Berlina bardzo zmalał i wyglądało na to, że oba statki zawiesiły swoją służbę i stały nieruchomo przy przeciwległym brzegu kanału Teltow.

- Węglowiec jest bliżej pirsu - powiedział przez krótkofalówkę dowódca oddziału.

Stoya ponownie przytaknął. Z tego powodu wrócił na parking. Aby wyrobić sobie obraz tego, jak kolekcjonerowi oczu najłatwiej było przenieść odurzone dzieci stąd do kryjówki.

- *Na wózku inwalidzkim* - utrzymywał Zorbach. A więc sprawca musiał robić wszystko dwa razy. Dwa razy otworzyć bagażnik, dwa razy posadzić odurzoną ofiarę na wózku, dwa razy niepostrzeżenie podjechać do pirsu na drugiej stronie ulicy, aby je potem...

No aby co zrobić? Jeśli kolekcjoner oczu nie uciekł, wciąż pozostawała mu jedna możliwość. Musiał wsadzić je do łódki, którą przepłynął na drugi brzeg.

Ale po co? Dlaczego od razu nie pojechał samochodem na drugi brzeg?

- Bierzemy kontenerowiec - powiedział Stoya i w duchu zastanawiał się, czy teraz zwariował tak samo jak Zorbach.

Gnojek najwyraźniej całkiem sfiksował, ale wydawało się, że coś wie. Najpierw ultimatum, potem mandat i w końcu bungalow - wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć, że jego dawny kolega był wpłątany w tę sprawę, nie dało się jednak od ręki zweryfikować, że dysponował informacjami od kogoś, kto znał sprawę. A kiedy Scholle najwidoczniej zawiódł, nie mieli już czasu na dalsze analizowanie sytuacji, no bo jak. Do diabła, nie mieli nawet czasu, aby dokładnie sprawdzić halucynacje niewidomej.

- Z pirsu szybciej dostaniemy się na węglowiec - powiedział dowódca grupy.

Stoya słyszał odgłos silnika pontonu, którym dowódca oddziału specjalnego, czterech jego ludzi i pies tropiący przeprawiali się teraz na drugi brzeg. Warkot dochodził jednocześnie z telefonu i biegł po wodzie. Wyglądało na to, że go posłuchali i trzymali kurs na drugi statek, na którym piętrzyło się

co najmniej czterdzieści stalowych kontenerów ustawionych jeden na drugim w trzech warstwach.

- Właśnie dlatego, że kotwiczę trochę dalej, jest naszym pierwszym celem - oznajmił Stoya.

Podczas gdy węglowiec był dobrze widoczny również z ruchliwego skrzyżowania, kontenerowiec stał jakby w jego cieniu. Za pomostem przeładunkowym rozciągała się budowlana pustynia idealna dla kogoś, kto chce przemyścić na pokład coś niewygodnego.

Poza tym węglowiec wydaje się zbyt niski, pomyślał Stoya. Zbyt niski, aby mógł zmieścić pod pokładem kryjówkę, jak ją opisał Zorbach.

Tę myśl zachował dla siebie. Gdyby się pomylił, mogliby później ukręcić na niego stryczek za to, że nie oparł swojej decyzji na faktach, lecz wyłącznie na wskazówkach ślepego medium.

I wskazówkach głównego podejrzanego!

- O rany, ależ to wielkie - powiedział dowódca, którego ponton zbliżał się do celu.

- No. Nie ma czasu, aby wejść na oba statki!

Stoya zdjął spocone palce z mikrofonu krótkofalówki i zaczął się modlić, aby decyzja okazała się właściwa.

(jeszcze 13 minut

do wygaśnięcia ultimatum)

Tobias Traunstein

Kiedyś po lekcji WF-u Kevin dla żartu rozwiązał rzemień, którym ciężki niebieski materac ze sztucznego tworzywa był przymocowany do ściany sali gimnastycznej. Tobias, który właśnie zawiązywał sobie buty, nie mógł zareagować dość szybko, został dosłownie pogrzebany pod tym monstrem.

Jeszcze silniej niż gruba ściana z tworzywa piankowego jego małe ciało przyciskał do parkietu paraliżujący strach. Nie mógł wstać, ponieważ inne dzieci, śmiejąc się, skakały dla żartu na materacu, aby mu w tym przeszkodzić. Był wtedy mocno przekonany, że za parę sekund się udusi. Krzyczał...

... jak dziewczyna, cholera, co za wstyd...

... zaczął wyć...

Dobrze, że nie zsikatem się w spodnie. Chociaż niewiele brakowało. ..

A potem, kiedy pan Kerner zakończył to „powstanie karłów”, przez tydzień nie rozmawiał z Kevinem.

A może to był Jens? Ach, nieważne...

Teraz, kiedy leżał na zimnej posadzce z podkulonymi nogami, odczuł, jaki śmieszny był wtedy jego strach. Materac nie dotykał wszystkimi rogami podłogi i Tobias miał dość powietrza do oddychania. Teraz też, odkąd uwolnił się ze skrzyni, nie było już problemu z tlenem. Docierał przez szpary metalowej kabiny, w której leżał. Ale przeciwnie niż owego dnia w sali gimnastycznej, powoli uświadamiał sobie, że tu nie było pana Knera; nie było nauczyciela WF-u, który zakończyłby te wybryki i ściągnął materac z jego głowy. Wtedy koszmar minął już po paru sekundach, a teraz Tobias już prawie dwa dni leżał w ciemności. Bez wody, bez jedzenia. Jego loch śmierdział moczem i kałem, ale już tego nie zauważał. Całkiem odpłynął.

... czy wziąłem ze sobą atlas, zastanawiał się. Po WF-ie jest przecież geografia, a ja zapomniałem atlasu...

Usłyszał krótki trzask, bezpośrednio pod stalową podłogą, do której przyłożył ucho. Podłoga przestała się kołysać, co być może było dobrym znakiem. W ogóle wydawało się, że całe pomieszczenie już się nie porusza, tak jak wtedy, kiedy pociągnął za tę cholerną linę.

- Lina! - jęknął. - Po co to zrobiłem?

Potem wrócił do gorączkowych myśli o świecie, w którym największy strach wzbudzało wpisanie uwagi do dziennika klasowego.

Pan Pohl postawi mi minus, jeśli znów nie będę miał ze sobą atlasu. To byłby trzeci minus i tata będzie naprawdę wkurzony...

Z zamyślenia wyrwał go następny szmer. Tym razem zabrzmiał przyjemniej niż wcześniejsze dudnienie. Był jak cichy szept. Łagodny i usypiający Tobias znów chciał odpłynąć.

... ponieważ przy trzech minusach w dzienniku będę musiał za karę zostać po lekcjach...

Ale zapobiegło temu nowe, całkiem realne odczucie. Ponieważ nagle wszędzie, gdzie się oparł, wszędzie, gdzie w ciemności włożył palce, dotykał podłogi, pojawiła się zimna, lodowata, niewidoczna wilgoć!

Łapczywie otworzył usta i jak pies zaczął lizać językiem mokrą podłogę.

Woda. Nareszcie.

Tak długo nic nie pił, że pierwsze krople podziały jak kwas, który przeżera szorstkie gardło. Potem było trochę lepiej. Woda, skądkolwiek pochodziła, wdzierała się do kryjówki od dołu i z sekundy na sekundę jej poziom się podnosił, co ułatwiało mu picie, lecz był zbyt pazerny.

Zakrztusił się i zaczął dusić. Kiedy zwymiotował, myślał, że rozsadziło mu czaszkę i jej kawałki wpadają obok niego do tej lekko słonej brei.

Już nie mogę, pomyślał zrozpaczony Tobias i nagle poczuł, że nawet nie ma siły pić.

Woda opłukiwała najpierw kilka centymetrów, potem coraz większe rejony jego ciała, wyziębiała i sprawiała, że wstrząsnęły nim gwałtowne dreszcze.

To koniec. Poddaję się.

Przełykanie, nawet samo otwieranie ust wymagało nadludzkiej siły. W ogóle nie myślał o tym, żeby wstać. Było mu nawet ciężko leżeć. Zachowanie przytomności wydawało się niemożliwe.

A więc najlepiej będzie, jeśli znowu zasnę, pomyślał, będę wówczas w połowie w świecie rzeczywistym, a w połowie już w łaskawym świecie marzeń.

Może tata nie będzie zły, jeśli usnę? Przecież we śnie nie dostanę minusa, prawda?

Leżał na podłodze na boku, zwinięty w kłębek, woda całkiem już zakrywała lewe oko, kiedy gdzieś za ścianą kryjówki ktoś głośno krzyknął jego imię.

(jeszcze 10 minut
do wygaśnięcia ultimatum)

Oddział specjalny
(na kontenerowcu)

- Tobias?

Kilka minut po tym, jak mężczyźni weszli na pudełkowany statek i zrozumieli bezcelowość swoich działań, zaczęli głośno wykrzykiwać imiona dzieci.

- Lea! Tobias!

Mimo wezwanych posiłków, które dołączyły do nich od strony brzegu, nie mieli możliwości, aby w czasie, który im został, otworzyć i przeszukać każdy kontener. Zwłaszcza że psy nigdzie nie czekały: ani na mostku, ani w pomieszczeniu na dolnym pokładzie, śmierdzącym przepracowanym olejem i ropą; tylko raz krótko przed wewnętrzną kajutą, ale był w niej jedynie śmiertelnie wystraszony kapitan, który został obudzony rumorem wyłamywanych drzwi i zwleczony z koi przez mężczyzn w czarnych panterkach i kominiarkach na twarzy.

Minutę później trzech funkcjonariusze wdarli się do wewnętrznych ładowni, podczas gdy siły specjalne na pokładzie zaczęły Syzyfową pracę i zrywały plomby z kontenerów.

- Tobias! Lea!

Wołanie biegło z pokładu przez wodę kanału Teltow aż na brzeg, gdzie zgromadzili się gapie. Dwóch joggerów, spacerowicz i właścicielka psa, którzy chcieli się dowiedzieć, co o tak wczesnej porze robi tu coraz większa liczba transporterów, karettek i samochodów policyjnych.

Wołanie mężczyzn we wnętrzu statku pozostawało bez odpowiedzi pomiędzy stalowymi płytami, rurami grzewczymi i szybami na kabie dolnego pokładu.

Policjanci czuli się coraz bardziej bezsilni, częściowo zapomnieli o własnym bezpieczeństwie, kiedy otwierali drzwi, aby wpaść do jakiegoś zakamarka albo oświetlonego korytarza, nie sprawdzając go wcześniej.

Jeszcze siedem minut.

Nie uda się, pomyślał Stoya, który tymczasem pojawił się na statku.

Pomyliliśmy się, pomyślał właśnie, kiedy w maszynowni rozszczękały się psy.

(jeszcze 5 minut
do wygaśnięcia ultimatum)

Alexander Zorbach (ja)

- Za późno. - Wpatrywałem się w nieszczęsne migające światła samochodu policyjnego i wiedziałem, że operacja nie miała szans.

- Co widzisz? - zapytała mnie Alina, która razem z Frankiem i TomTomem również wysiadła z samochodu.

Zaparkowaliśmy toyotę w bezpiecznej odległości od bariery, około dwustu metrów przed ulicą prowadzącą do mostu nad kanałem Teltow

Most!

Znów walczyłem z czasem i znów przeznaczenie zaprowadziło mnie na most.

Przeznaczenie albo przypadek?, pomyślałem i przed moim wewnętrznym okiem pojawił się tatuaż Aliny.

- Mamy za mało ludzi, nie mogą przeszukać wszystkich statków - zacząłem odpowiadać na jej pytanie, kiedy zadzwoniła moja komórka. Spodziewałem się Stoi, ale kiedy spojrzałem na wyświetlacz, moja rozpacz wzrosła.

- Jedziesz już?

Nie usłyszałem banalnego powitania, imienia. Tylko krótkie oskarżające pytanie.

Wydawało się, że Nicci już zna odpowiedź, ponieważ w jej głosie sączyło się z wątpienie.

Nie, kurczę blade. Nie, nie dam rady.

Zacząłem się jąkać, nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Prawda bowiem, że właśnie stałem się świadkiem, jak oddział policji bezskutecznie próbował uratować dwoje dzieci od śmierci przez uduszenie, była tak nieprawdopodobna, że nie chciałem jej użyć jako wymówki.

- Do diabła, Alex. Obiecałeś mu. Nie śpi już od godziny i jest strasznie podekscytowany, ponieważ powiedziałeś mu, że o siódmej przyjdiesz do nas na śniadanie. Czy ty sobie w ogóle wyobrażasz, jak mu będzie smutno, kiedy za chwilę zejdzie na dół i okaże się, że własny ojciec zapomniał o jego

urodzinach.

- Nie zapomniałem.

- Ale nie ma cię tu. Nie będzie wspólnego śniadania, a prezent od ciebie nie zawiśnie na sznurku.

Westchnąłem i zrozpaczony przycisnąłem ręce do czoła. Frank popatrzył na mnie badawczo.

Prezent! Tylko dlaczego obiecałem Julianowi zegarek? Tak okrutną śmiertelną rzecz, która przecież w końcu nie służy do niczego innego, jak tylko do przybliżania nas do śmierci z sekundy na sekundę.

Spojrzałem na mój staromodny zegarek - pamiątkę rodzinną po ojcu - miałem nadzieję, że drogi szwajcarski egzemplarz po raz pierwszy się śpieszy. Że z jakiegoś powodu wskazówki za szybko przeskoczyły do przodu. Zamrugałem i nagle poczułem, że mój umysł zarejestrował coś w niedalekim otoczeniu; coś, czego w tej chwili nie potrafiłem natychmiast wskazać. Zamknąłem oczy i starałem się przypomnieć sobie, o czym myślałem, zanim ten głęboki strach wpełzł do moich wszystkich porów, i wtedy to rozpoznałem. Otworzyłem powieki, odchyliłem głowę do góry i rzeczywiście to coś tam stało.

Tabliczka z nazwą ulicy!

- Dostanie swój prezent - wyszeptałem do telefonu i rozłączyłem się.

- Co jest? - zapytał Frank.

Kiedy zdejmowałem zegarek, poczułem, że palce tak mi zdrętwiały, jakby nie dochodziła do nich krew.

- Co prawda to nie jest marka, jakiej zażyczył sobie Julian, ale za to jest dziesięć razy droższy.

Podąłem mu go drżącą ręką.

- O nie, nie. - Frank potrząsnął głową. - Nie zostawię cię teraz samego.

- Proszę, zrób mi tę przysługę. Wiesz, gdzie wcześniej mieszkałem. Zawieź go Nicci, powiedz, żeby go wypolerowała i zapakowała, i powiedz jej jeszcze, że jej to wynagrodzę.

- Nie.

- Proszę, nie mamy czasu.

Alina, która nieruchomo opierała się o samochód, odwróciła ucho w moją stronę. Ona również sprawiała wrażenie niezwykle spiętej, jakby czuła zagrożenie, które ja dopiero co dostrzegłem.

Na tabliczce z nazwą ulicy.

- A jeśli będziesz potrzebował pomocy?

Frank spojrział mi prosto w oczy i poczułem, że to wie. Był młody, ale nie był głupi, udowodnił to wiele razy. Frank potrafił policzyć do dwóch i oczywiście domyślił się, że odprowadzam go stąd nie bez powodu.

- Teraz najbardziej mi pomożesz, jeśli zawieziesz prezent mojemu synowi, okay?

Zobaczyłem, jak składa usta w ciup, aby sformułować ostatni zarzut, jednak odniosłem wrażenie, że zamknął się w sobie. Bez słowa wsiadł do samochodu, rzucił mi smutne, zawiedzione spojrzenie i odjechał bez pożegnania.

Ponownie popatrzyłem na tabliczkę z nazwą ulicy. Według wyblakłego napisu znajdowaliśmy się na Grünauer Strasse, i to nie w byle jakim miejscu, lecz bezpośrednio przed ciemnym magazynem.

Grünauer Strasse?

To było to, co zobaczył mój umysł, zanim jeszcze zobaczyły to moje oczy.

Grünauer Strasse 217.

Cyfry na odwrocie zdjęcia, które znalazłem na nocnej szafce matki, nie były datą. Lecz numerem domu.

Grünau 21.7.

A my staliśmy bezpośrednio przed nim.

(jeszcze 3 minuty

do wygaśnięcia ultimatum)

Alexander Zorbach (ja)

Nie tak dawno temu, kiedy zwiedzałem z Julianem tereny wytwórni filmowej w Babelsbergu, przyglądaliśmy się kulisom filmu wojennego, który tam kręceno. Pamiętam, jakie wrażenie wywarła na nas kopia zbombardowanego domu. Rozwalone ściany, potłuczone szyby w oknach, wypalona więźba dachowa. Dekoracja wznosiła się z gruzów ku niebu jak roztrzaskane na kawałki kości - cała inscenizacja była do złudzenia realistyczna. Ale wszystko to stanowiło nędzną kopię tego, co zobaczyłem teraz.

Dlaczego on to robi? Po co kolekcjoner oczu daje mi te wszystkie wskazówki?

Stałem na pierwszym tylnym dziedzińcu zdewastowanego terenu fabrycznego przy Grünauer Strasse 217 i coraz bardziej przepełniało mnie uczucie, że jestem prowadzony na zgubę na niewidzialnej smyczy.

On rozgrywa grę, porządkowałem myśli. W chowanego. Najstarszą dziecięcą grę na świecie. Podążam za jego wskazówkami, które rzuca mi pod nogi jak kartki podczas podchodów.

- Musisz mi pomóc - poprosiłem Alinę.

Już niedługo wstanie dzień, poranny Berlin leżał jeszcze pod grubą pokrywą chmur. Spojrzałem w niebo, księżyc przypominał latarkę pod puchową kołdrą. Do przejść, które łączyły różne dziedzińce, prawie nie dochodziło światło.

- Potrzebuję twojej wskazówki.

Alina zacisnęła lewą dłoń i zobaczyłem, jak ból wykrzywia jej twarz.

Potrzebuję następnej wizji!

Oczywiście poinformowałem już Stoyę, ale śledczy nie pozostawił mi wątpliwości, że nie oddeleguje nawet jednego człowieka tylko po to, aby podążyć za moim nowym urojeniem. A nawet gdyby przysłał mi całą armię, i tak by to nie wystarczyło.

- Po prostu teren jest za duży, Alino. Są tu co najmniej cztery dziedzińce i dookoła same ruiny, to wszystko, co stąd widzę.

- Przykro mi, Alex.

Uniosła powieki, ale natychmiast je zamknęła, kiedy do oka wpadł jej drobny, nieprzyjemny płatek śniegu.

- Wszystko, co do tej pory zobaczyłam, to statek. Nie fabryka i nie magazyn.

To niemożliwe. Zdjęcie, cyfry. To nie może być przypadek.

Dlaczego wizje Aliny tylko częściowo są zgodne z rzeczywistością, a częściowo w ogóle nie?

- Zresztą teraz już nic nie widzę, ponieważ...

- Ponieważ co?

- Nic. - Odwróciła się, ale wiedziałem, co o mało się jej nie wymknęło.

- *Ponieważ dzieci już nie żyją.*

- A co z TomTomem? - zapytałem.

- Nie może nam pomóc. Nawet gdybyśmy mieli próbkę zapachu dzieci, nie jest psem tropiącym.

Wiem.

Wiedziałem też, że ultimatum prawie dobiegło końca. Co prawda nie miałem już zegarka, żeby to sprawdzić, jednak domyślałem się, że zostały nam tylko sekundy.

Myśl, Zorbach, myśl.

Ze wszystkich stron otaczały mnie puste ciemne budynki. Wszystkie wyglądały podobnie. W żadnym nie paliło się światło, wszystkie bramy były otwarte, przed każdym wejściem piętrzyły się tajemnicze przedmioty. Widziałem tak wiele, a jednak nie zobaczyłem ani jednego charakterystycznego znaku, ani jednej wskazówki albo drogowskazu.

Kolekcjoner oczu chce grać. Ustanowił jasne reguły. Czterdzieści pięć godzin, siedem minut...

Już pierwszy dziedziniec był tak ogromny, że sterta opon do ciężarówek na jego środku wyglądała jak szczątki ciężarówki-zabawki. Były tu miliardy możliwości ukrycia bliźniaków. Na Boga, mogły znajdować się bezpośrednio pod nami albo po tamtej stronie przy ścianie, przed którą piętrzyły się puste puszkami po karmie dla kotów.

- Dokąd idziesz? - usłyszałem wołanie Aliny, kiedy jeszcze raz wróciłem do wjazdu na pierwszy dziedziniec, który prowadził na ulicę. Kierowałem się bardziej potrzebą zrobienia czegokolwiek niż konkretnym planem, kiedy otworzyłem komórkę i słabym światłem wyświetlacza oświetliłem tablicę ze starymi szyldami firmowymi.

Na najwyższej i największej widniał napis „Köpenicker Textilfabrik”. Inne emaliowane szyldy były albo zniszczone, podrapane, albo tak brudne, że z trudem można było odczytać napisy informujące o

poszczególnych działach: drukarnia, grafika, administracja, sklep...

Oparłem się dłonią o zimną tablicę.

Myśl, Zorbach, myśl. On chce, żeby szukać dzieci. To jest gra. W każdej grze jest szansa wygrania. Skoro daje ci wskazówki, to tylko po to, żeby szanse były równe.

Czy po to zwabił cię w to miejsce, żebyś teraz zawiódł?

Być może chce cię upokorzyć. Zobaczyć, jak ponosisz klęskę, tak blisko celu ?

Zrobiłem krok w bok i oświetliłem teraz jedną z tych obowiązkowych tablic z ostrzeżeniem, która zabraniała osobom nieuprawnionym wstępu do grożącej zawaleniem zakazanej strefy.

Następna karta do gry?

- Uwaga, zagrożenie życia - przeczytałem na głos.

Jakie stosowne...

Potem mój wzrok padł na drugie ostrzeżenie znajdujące się bezpośrednio pod pierwszym:

- Piwnica siedemdziesiąt siedem całkowicie pod wodą! Krzyknąłem tak głośno, że TomTom rozszczękał się na dziedzińcu.

Piwnica 77!

Czy to było rozwiązanie? Kolejna karta?

Kiedy jeszcze wracałem biegiem do Aliny, w mojej pamięci znów rozbłysła fotografia.

Grünau 21.7. (77)

Od tej chwili wszystko nagle zaczęło iść zbyt łatwo.

(jeszcze 1 minuta
do wygaśnięcia ultimatum)

Tobias Traunstein

Pływał. Wierzgał nogami. Umierał.

Przed tymi dniami spędzonymi w ciemności Tobias nigdy poważnie nie myślał o śmierci. Zresztą po co, miał dopiero dziewięć lat.

- W tym wieku człowiek ma jeszcze tyle przed sobą -mówił zazwyczaj jego dziadek, kiedy Tobias wpadał do niego od święta.

Kurczę, dziadku. Nic mnie już nie czeka. Prawie dotykam głową sufitu tej metalowej trumny, mam jeszcze malutką szparę, przez którą dostaje się tu powietrze, ale też napęlnia się wodą.

Rozpłakał się i znów wypuł pierwsze krople, które chciały wpłynąć mu do ust. Woda wdzierąca się przez wszystkie szpary metalowego pojemnika, przez podłogę, spoiny w ścianach. Z boku, z góry i od dołu, powódź napływała ze wszystkich kierunków i przybrała kształt studni, która sięgała teraz prawie sufitu. Głębokiej, ciemnej, zimnej studni, w której Tobiasowi groziło utonięcie.

Duszę się, pomyślał, tak jak wtedy pod materacem do ćwiczeń, tylko że tym razem było całkowicie inaczej. Wtedy też dyszał, ale w skrytości ducha wiedział, że kiedyś przyjdzie pan Kemer i go uwolni. Dzisiaj nie było tu sali gimnastycznej, a jego ojciec nie był nauczycielem WF-u, który zdjąłby mu materac z głowy, żeby znów mógł oddychać. Jego ojciec był...

...jakby go nie było. Tata nigdy nie miał dla mnie czasu, dlaczego miałby mieć teraz? Już prędzej przysłaby mama.

Tak, mama na pewno by go szukała. Tak jak wtedy, kiedy poszli na sanki i zupełnie stracili poczucie czasu, a ona zatroskana szła im naprzeciw drogą przez las.

Tobias, wołała raz za razem. Lea, Tobias...

A on cieszył się i wstydził jednocześnie, ponieważ oczywiście było mu smutno, że mama przez niego płakała. Ale dzięki temu przynajmniej dowiedział się, jak bardzo przeżywała jego nieobecność.

Tobias, odezwij się! Tobias, gdzie jesteś? Wydawało mu się, że przedtem, zanim woda (w żadnym razie nie jest caldo, tylko molto freddo) ostatecznie go obudziła, ktoś zawołał jego imię.

Tak, mama. Nie tata. Chrzanić tatę, jego zasady zachowania się przy stole i jego słaby włoski, jego

obce wyrazy, których człowiek nie rozumie, a przede wszystkim chrzanić jego pracę, która go zawsze odrywała od bawienia się z nim w ogrodzie. Tata nie przyjdzie. Ale mama...

Usta Tobiasza wessały ostatnią odrobinę powietrza ze szczeliny pomiędzy powierzchnią wody a metalowym sufitem. Potem poziom podniósł się o następny milimetr i jego głowę całkowicie otoczyła woda. Wiedział, że tonie. Mimo to miał stuprocentową nadzieję, że mama wkrótce go znajdzie.

(ostatnia minuta ultimatum)

Philipp Stoya (szef wydziału zabójstw)

(na kontenerowcu)

- Co tam jest? - Stoya walnął pięścią w stalowe drzwi.

- Nie może pan ich otworzyć - odpowiedział kapitan.

- Dlaczego?

- To jest gródź. Jeśli pan ją otworzy zgasną tu światła. Stoya złapał za obrotowy zamek przy drzwiach. Chociaż szarpał go z całej siły nie zdołał przekręcić nawet o milimetr.

- Hej, co to ma znaczyć, nie słyszy pan? - Kapitan zaprotestował na cały głos, kiedy Stoya zapytał dowódcę oddziału o materiał wybuchowy C-4. - Stracę robotę, jeśli pan to otworzy.

- Dlaczego?

- Człowieku, a jak sądzisz, dlaczego tu cumujemy? Ta stara łajba jest dziurawa jak sito. - Kapitan pokazał na stalowe drzwi. - Za nimi woda sięga panu do szyi. Niech mi pan wierzy, wasze psy wywęszą tam tylko parę szczurów wodnych.

Alexander Zorbach (ja)

(na terenie fabryki przy Grünauer Strasse 217)

Najczęściej analizujemy nasze błędy. Nigdy natomiast nie analizujemy naszych sukcesów. Jeśli coś idzie dobrze, uważamy to za rzecz naturalną. Martwimy się, kiedy tracimy pieniądze albo kiedy porzuciła nas miłość naszego życia. Ale dlaczego z nami jest, zastanawiamy się równie rzadko, jak dziwimy się, że zdaliśmy egzamin. A przy tym według mnie mniej winne są tu błędy, dzięki którym możemy poznawać ludzi, niż sukcesy, na które nie zasługujemy. Jeśli się w nie wgłębiamy, usypiają nas, stajemy się zadufani w sobie i możemy ich już nigdy nie powtórzyć.

Zaczęła się ostaną minuta ultimatum, kiedy zapomniałem o własnej mądrości życiowej.

Wejścia do pomieszczenia z numerem 77 trudno było nie zauważyć, znajdowało się na drugim dziedzińcu. Po raz pierwszy Alina szła przodem, ponieważ tu, w budynku dawnego magazynu, było ciemno w nocy. Jedyne oczy, które, być może, coś jeszcze widziały, były oczy TomToma.

Wyglądało to tak, jakbyśmy tańczyli coś w rodzaju niesamowitego poloneza. Położyłem rękę na jej ramieniu i Wchodziłem za nią po schodach śmierdzących zużytym olejem i słoną wodą. Modliłem się, żeby moje poczucie czasu mnie myliło i żebyśmy mieli jeszcze kilka minut. Jednocześnie błagałem niewidzialne moce, abym nie stał się bezmyślną zabawką w rękach szaleńca, który z pełną satysfakcją prowadził mnie donikąd.

W końcu nie miałem nawet sekundy, aby zastanowić się nad przyprawiającą mnie o obłąd sytuacją, w której właśnie się znalazłem. I to nie oczy TomToma, tylko moje zobaczyły pierwszy znak życia.

Czerwony, świecący, okrągły.

Mały przycisk na ścianie, którego się szuka, kiedy na klatce schodowej zgaśnie światło.

Świecił, co oznaczało, że w tym budynku był prąd.

- Ktoś tu był - powiedziałem cicho i poczułem, jak pod moją dłońią raptownie napięły się mięśnie barku Aliny.

Nacisnąłem przycisk i to, co się wtedy stało, było podobne do eksplozji.

Światło!

Ktoś tutaj, właśnie w budynku numer 77 przy Grünauer Strasse 217, wkręcił korki.

Albo zamontował generator. Tak jak przedtem w bungalowie...

- Co się dzieje? - zapytała Alina. Rozbłysk światła był tak nieoczekiwany i silny, że nawet ona musiała zauważyć zmianę.

- Jesteśmy w przedsionku dawnego magazynu - powiedziałem. - Na prawo przed nami są schody, na lewo winda towarowa.

A prosto przed nami...

- Gdzie chcesz pójść?

Nie wiem już, czy Alina mi odpowiedziała przed czy po tym, jak nacisnąłem klamkę i gwałtownie szarpnąłem drzwi.

Być może w ogóle nic nie powiedziałem. Sięgając pamięcią wstecz, przypominam sobie jeszcze tylko mój własny okrzyk ulgi, kiedy ciężkie potężne drzwi z głośnym mlaśnięciem oderwały się od gumowej uszczelki i zobaczyłem oczy, które wpatrywały się we mnie z wnętrza.

Z wnętrza starej amerykańskiej lodówki.

- Mama? - zapytał cicho dziecięcy głos, który należał do oczu.

Stojąca za mną Alina westchnęła z ulgą. Z jej oczu płynęły łzy

- Nie, nie jestem twoją mamą - powiedziałem.

Charlie nie żyje. Została zamordowana przez szaleńca, który cię tu zamknął.

- Ale mimo to ci pomogę.

Wyciągnąłem rękę w kierunku ciemnych, bardzo wystraszonych oczu. Natychmiast chwyciły ją dwie małe dłonie.

Ciało było tak lekkie, że jedną ręką bez trudu wyniosłem je z więzienia.

Z kryjówki kolekcjonera oczu.

- Okay, posłuchaj, już nic ci teraz nie grozi - powiedziałem i jednocześnie zbadałem puls na nadgarstku.

Słaby, lecz regularny.

- Ale teraz ktoś inny potrzebuje twojej pomocy.

Nieśmiałe skinięcie głową wyrażające zrozumienie.

- Lea - zapytałem i starałem się ukryć rozpacz w głosie

- czy masz choćby blade pojęcie, gdzie jest twój brat?

- W windzie?

- Hm! - Lea przytaknęła nieśmiało. - Gdzie jest mama?

- Później, skarbie.

Później będziemy razem opłakiwać Charlie. Najpierw musimy ratować twojego brata.

- Słyszałam, jak zjeżdżała na dół - powiedziała.

Pogłaskałem ją po przepoconych włosach i odwróciłem się do windy towarowej za moimi plecami.

Na dół? Proszę, tylko nie to, niech winda nie zjeżdża do piwnicy.

Znów zobaczyłem przed sobą tablicę ostrzegawczą przed wejściem na pierwszy dziedziniec.

Uwaga - zagrożenie życia. Piwnica 77 całkowicie pod wodą.

Od tej chwili wydarzenia następowały szybko po sobie. Najpierw spróbowałem rozsunąć drzwi windy samymi rękami, ale na szczęście nie zmarnowałem nawet dziesięciu sekund na to szalone przedsięwzięcie. Przypomniałem sobie żelazną sztangę leżącą na kupie gruzu, na którą wdrapaliśmy się po drodze, lecz także tutaj istniało zbyt duże ryzyko, że w ciemnościach nie znajdę jej wystarczająco szybko.

Wypiąłem TomToma z uprzęży i wcisnąłem pałąk uchwytu w szczelinę w drzwiach. Co prawda aluminium trochę się wyginało, ale było dość mocne, abym mógł na tyle powiększyć szczelinę, żeby wetknąć w nią najpierw palce dłoni, a w końcu stopę. Następnie wcisnąłem się w szparę ramieniem do przodu i napałem kolanem na stalowe drzwi, które najwidoczniej były zaprogramowane na to, żeby się otworzyć, kiedy coś stało im na drodze. Nie doznałem jeszcze uczucia ulgi. Tym bardziej że moim oczom ukazał się pusty szyb.

Cholera, nie. Spojrzałem w dół. Dach windy znajdował się półtora metra przede mną. Co znaczyło, że wyciąg zjechał do piwnicy po wygaśnięciu ultimatum.

Do wody!

Wetknąłem psią uprząż w drzwi windy, wskoczyłem do szybu i o mało co nie wyłożyłem się jak długi.

Wielki Boże, pomóż mi!

Cały dach windy był pokryty wodą.

Minutę? Dwie minuty? Jak długo dziecko może wytrzymać pod wodą bez powietrza?

Szybko znalazłem źródło. Woda wypływała z włazu wejściowego, który szczwany konstruktor przewidział dla techników i w razie nagłych wypadków, przy czym na pewno nie myślał o dziecku, które topiło się we wnętrzu windy.

Usłyszałem nad sobą, jak Alina wzywa pomocy przez moją komórkę, kiedy ja w tym czasie bez trudu otworzyłem wąż.

Za późno, jest już za późno!, pomyślałem, chociaż do tej pory wszystko szło zadziwiająco gładko.

Zbyt gładko!

Teraz woda ciemna jak atrament przelewała się przez wąż.

- Tobiasz? - zawołałem głupio. Wyciągnąłem rękę w ciemną nicość pode mną i wstrzymałem oddech, kiedy zimna woda otoczyła mnie jak mankietem.

Bez sensu. To wszystko nie ma już sensu. Gorączkowo szukałem jakiejś możliwości. Innego wyjścia.

Ale takiego nie było. Nie miałem wyboru.

Zrobiłem kilka wdechów i wydechów, nabrałem w płuca jak najwięcej powietrza - potem zsunąłem się, stopy przed sobą, do zimnej wody.

Istnieje taki punkt, w którym wzrostu zimna nie mierzy się już stopniami Celsjusza, lecz bólem, i osiągnąłem ten punkt w momencie skoku w lodowatą nicość. W mojej skórze utkwily miliony cienkich igieł. I z każdym metrem, który przybliżał mnie do dna, igły wbijały mi się w ciało głębiej i głębiej. Przez chwilę szok był tak duży, że skoncentrowałem się wyłącznie na tym, aby przeżyć. Potem uderzyłem pieszczelą w twardą krawędź, zanim moje buty dotknęły wreszcie podłogi windy.

Tobiasz?

Wyciągnąłem ręce i otworzyłem oczy w nadziei, że albo poczuję dziecko, albo je zobaczę, ale nic takiego się nie stało.

Gdzie prąd znosi tonącego? Do góry? Tonący opada na dno? A może unosi się pośrodku jak ryba?

Do diabła, nie miałem odpowiedzi na żadne z moich pytań i czułem, że kończy mi się powietrze.

I to mimo iż jesteś tu zaledwie od kilku sekund.

Mój Boże, to naprawdę nie ma już sensu, przebiegło mi przez głowę ponownie i wtedy pomyślałem, że pękne.

Moja krew, resztki powietrza w płucach, wszystko wydawało się uciskać moje ciało, wydawało się, że ciało chce się rozpaść - i było to najwspanialsze uczucie, jakie kiedykolwiek przeżyłem, ponieważ wreszcie...

... wreszcie czegoś dotknąłem.

Wycisnąłem z płuc trochę powietrza, opuściłem się głębiej i w duchu wydałem radosny okrzyk szczęścia, ponieważ się nie myliłem.

Włosy, uszy, usta. Tak, tak, tak... To naprawdę była twarz.

Trzymałem w ręku jego głowę, przyciągnąłem ją do siebie i po raz pierwszy od wielu, wielu godzin moja nadzieja była większa niż strach.

Być może nie wszystko stracone. Być może jeszcze nam się uda...

Jazda stąd!

Chciałem już tylko stąd się wydostać, teraz, kiedy wreszcie znalazłem Tobiasa. Ale wraz z nadzieją wróciło również uczucie wyczerpania. Brakowało mi snu, byłem niemal torturowany, przeżyłem najgorsze godziny w życiu, a teraz niepokoiłem się jeszcze tym, że niska temperatura wody odbiera mi resztę sił. W tej chwili nie wiedziałem, czy Tobias jeszcze żyje w moich zwiotczających ramionach, jednak czułem się bardzo dobrze, kiedy mój własny puls zwolnił.

Bumbum, bum... bum...

Odstępy pomiędzy uderzeniami serca zwiększyły się.

A więc jazda stąd, w górę. Do światła.

Złapałem Tobiasa trochę nieszczęśliwym chwytem wokół szyi i odepchnąłem się od podłogi windy.

W tym momencie zakrztusiliśmy się.

Czerń. Ciemność. Nicość.

Światło nad moją głową - *do diabła, czy w ogóle tam było?* - zgasło tak nagle, że Tobias o mało nie wyslizgnął mi się ze strachu. Z sekundy na sekundę woda zmieniła się w nieprzejrzystą olejową błonę i już nie wiedziałem, w którym kierunku powinienem płynąć.

Do diabła, gdzie jest światło? Gdzie włącz wyjściowy?

Na górze, na dole, w prawo, w lewo. Te słowa były bez znaczenia, straciłem orientację.

Moja panika osiągnęła punkt, od którego nie mogła już dalej rosnąć. Być może z tego powodu nagle tak się uspokoiłem. Jak w zaworze, który przy przekroczeniu pewnej granicy puszcza, tak samo ze mnie zeszło napięcie.

A może jest tak, kiedy się tonie? Czy sam nie pisałem kiedyś o tym, jak tonący cierpi nieskończone męki w chwili, kiedy woda wdiera mu się do płuc, a potem te męki przechodzą w stan przypominający odurzenie?

Wiedziałem, że wkrótce się tego dowiem. Że nie będę mógł długo opierać się pokusie otwarcia ust i wzięcia głębokiego, bardzo głębokiego oddechu.

To słodkie, nieprzeparane uczucie. Jak nałóg. Śmiertelny narkotyk, któremu człowiek chce się poddać.

Czułem, jak moje dłonie chcą się uwolnić od ciała Tobiasa, mniej więcej w chwili kiedy moja noga zaplątała się w linę.

Lina? Cholera, do diabła, skąd się tu znalazła lina?

Szarpałem nią wolną ręką i byłem zdziwiony, że nie ustępuje. I tak nie byłem już zdolny do trzeźwego myślenia, i w ogóle nie zastanawiałem się, czy lina jest przymocowana do podłogi, czy przykręcona do sufitu, jeśli nawet mogło to oznaczać różnicę decydującą o życiu albo śmierci. Ponieważ od tego zależało, w którym kierunku teraz zwiisałem. Ja i Tobias Traunstein, który z sekundy na sekundę robił się coraz cięższy i bez życia w moich ramionach.

Machałem nogami jak nurek, tylko że na nogach nie miałem płetw, ale ciężkie buty, które ciągnęły mnie do dołu.

Czy rzeczywiście do dołu?

Kawałek po kawałku podciągałem się jedną ręką do góry

Albo do dołu?

Czy posuwałem się w złym kierunku? Ku swojej zgubie?

Otworzyłem oczy, chociaż nie wierzyłem, że cokolwiek zobaczę w czarnej jak smoła ciemności, ale czułem się tak, jakby za chwilę miała mi pęknąć głowa, i był to raczej śmieszny odruch niż świadoma decyzja. Prawie jakbym poprzez oczy chciał spowodować wyrównanie ciśnienia albo przefiltrować tlen ze słonej wody. Tym bardziej się zdumiałem, kiedy naprawdę coś zobaczyłem.

Światło!

Faktycznie, tam gdzie kończyła się lina, był mały cienki promień.

Głupi ma zawsze szczęście, naszła mnie ostatnia myśl, zanim lina wyślizgnęła mi się z palców.

To już koniec. Przedzieramy się przez zimną ciemną nicość, ale kiedy wszystko się kończy, widzimy jasne światełko w tunelu.

Uśmiechnąłem się i głęboko odetchnąłem.

(55 minut po wygaśnięciu ultimatum)

Alina Gregoriew

- Czy może mi pan powiedzieć, co się dzieje? - zapytała Alina mężczyznę, który ani się jej nie przedstawił, ani w ogóle nie powiedział jeszcze słowa, gdy opatrywał jej ranę po oparzeniu.

- Sorry, nie jestem do tego upoważniony - odparł zaskakująco dźwięcznym głosem, który brzmiał bardzo cienko jak na jego posturę.

Co prawda do tej pory czuła tylko dłoń sanitariusza pogotowia, ale na ogół to wystarcza niewidomym, aby ocenić wagę ciała swojego rozmówcy. Kiedy Alina chciała wyobrazić sobie figurę człowieka, na chwilę obejmowała jego nadgarstek i już wiedziała. Wprawdzie w tej chwili nie istniało nic, co byłoby jej bardziej obojętne niż widok mężczyzny z nadwagą, który właśnie chciał ją powstrzymać przed opuszczeniem ambulansu.

- Stać, jeszcze nie skończyliśmy.

Uległa naciskowi jego rąk, które ponownie przycisnęły ją do noszy.

- Ołać mnie, co z innymi?

Z Zorbachem? Z chłopcem ?

Znów nie wiedziała, czy powinna być wściekła, czy wdzięczna, że nie mogła zobaczyć tego, co ujrzeli ludzie Stoi, kiedy wreszcie pośpieszyli im na pomoc w magazynie numer 77.

Obrazy w jej głowie, wspomnienie strasznych minut spędzonych przed windą towarową, składały się prawie wyłącznie z odgłosów i zapachów.

Słyszała, jak drzwi windy ponownie się zamknęły. Jak aluminiowy pałak, który Zorbach w nie wetknął, najpierw wysunął się z głośnym skrzypieniem, a potem upadł na podłogę. Wtedy zgasło światło, jak potwierdziła jej Lea.

Lea, dzielna mała dziewczynka, która cicho popłakiwała w duszy, podczas gdy Zorbach, całkowicie bezradny, siedział w szybie windy. Bez narzędzi. Bez światła. Uwięziony w pieczarze, którą Alina mogła wyobrazić sobie wyłącznie na podstawie wszechobecnych zapachów: cuchnącej stęchlizną wody, zapleśniałych ścian, śmieci i ekskrementów.

Gdyby wiedziała, że więzienie Tobiasa już dawno zalała woda, jej strach o nich obu wzrósłby

niewyobrażalnie. Poprosiła Leę, żeby ponownie przycisnęła wyłącznik, co i tak nie miało teraz większego znaczenia dla Zorbacha. Na klatce schodowej znów zrobiło się widno, ale tam na dole, do szybu, skąd już od dłuższego czasu nikt nie odpowiadał na jej wołanie, mogło nie docierać światło. I to, co wcześniej udało się Zorbachowi, teraz było niemożliwe. Pałak przy upręży TomToma był wygięty, a ona nie miała dość siły, żeby ponownie otworzyć drzwi windy. Ani TomTom, ani Lea, ani oparzona lewa dłoń nie były dużą pomocą w jej bezskutecznych usiłowaniach.

I nie pozostało jej nic innego, jak tylko czekać i uspokajać trzęsącą się z wyczerpania dziewczynkę, zanurzając twarz we włosach Lei.

Alina całkowicie straciła poczucie czasu, mimo to była pewna, że mężczyźni przybyli o wiele za późno.

Czterej policjanci. Wiele minut za późno.

Wpadli do budynku prawie jednocześnie, hałas był taki, jakby przez klatkę schodową przetaczała się zwarta masa. Masa rozplynęła się, kiedy zobaczyli Leę. Przedtem dostali polecenie aresztowania Zorbacha. Widok uprowadzonej żywej dziewczynki w ramionach Aliny wszystko zmienił.

Dopiero teraz zaczęli mi wierzyć, pomyślała Alina, ale w tej myśli nie było satysfakcji.

- Są tu jeszcze? - zapytała mężczyznę w ambulansie, który w dalszym ciągu bandażował jej dłoń.

A może już ich stąd zabrali?

Poczuła łagodny ruch ciała i przyjęła, że jego przyczyną było skiniecie głową sanitariusza.

Albo potrząśnięcie głową.

- Do diabła, niech pan mnie nie traktuje jak dziecka, któremu nie wolno nic wiedzieć. Przecież wszystko słyszałam.

- *Było już za późno. Już się nie ruszali, kiedy ich wyciągnąłem*

- powiedział policjant, który pół godziny temu palił papierosa przed ambulansem i rozmawiał o akcji z kolegą.

- *Już prędzej przywróciliby oddech misiowi mojej córki.*

Najchętniej wyskoczyłaby z samochodu, uderzyła mężczyznę w twarz i nakrzyczała na niego: - *Jak możesz tak mówić, ty dupku? Zgadza się, otworzyłeś drzwi. Aby znów mieli światło. Wskoczyłeś do szybu, poświeciłeś latarką na wodę i wyciągnąłeś rękę, aby wciągnąć linę, w którą się zaplątali. Ale, do diabła, przyszedłeś za późno.*

- Czy miał pan już kiedyś do czynienia z topielcem?

- zapytała smutno sanitariusza, który właśnie przyklejał koniec bandaża plastrem. Tym razem udało jej się jeszcze powstrzymać łzy.

- Hm, hm.

Albo mężczyzna dostał polecenie, żeby nie odpowiadać na jej pytania, albo sam był za bardzo przerażony tym, co się rozegrało na terenie fabryki.

- Jak długo trwa... - Alina przełknęła ślinę. - Mam na myśli, kiedy zaprzestaje się reanimacji po utonięciu?

Najwidoczniej uroił sobie, że porusza się po bezpiecznym terenie.

- Trudno powiedzieć. Kiedyś ocuciliśmy człowieka po dwudziestu minutach. Ale to wyjątkowa sytuacja.

- A jak jest zazwyczaj?

Alina badała dotykiem opatrunek na swojej lewej dłoni.

- Minuta do dwóch.

Dwie minuty?

Tyle trwało już samo wejście Zorbacha do szybu windy. Dobry Boże, jak długo Tobias był już wtedy pod wodą.

W stresie minuty przelatują jak spadające gwiazdy, tak szybko, że przeważnie w ogóle się ich nie zauważa. Ale być może jest raczej jak przy leczeniu kanałowym zęba. Być może sekundy wydawały się godzinami, a w rzeczywistości wskazówka zegara wcale nie przesunęła się tak daleko, jak się obawiała?

Alinie zrobiło się niedobrze. Sprawa przeżycia lub śmierci dwóch ludzi stała się zwykłym zadaniem matematycznym. Dodawaniem czasów, których końcowa suma daje pewną śmierć. *Pięć minut do otwarcia drzwi windy; dwie minuty które Zorbach musiał spędzić w lodowatej wodzie w kabinie; następne dwie minuty aż został wyciągnięty na górę...*

O wiele za długo. Za długo dla dziecka, dla Aleksa, i w końcu nagle uświadomiła sobie, że także dla niej było to o wiele za długo. Z Zorbachem było tak jak z jej wzrokiem. Dopiero w chwili jego utraty poznała prawdziwe znaczenie możliwości widzenia dla swojego życia.

Nie powinien oddać zegarka, pomyślała i chociaż zdawała sobie sprawę, jak bardzo dziecinna była ta myśl, nie mogła się od niej uwolnić.

Tym samym oddał swój czas.

Rozpłakała się i nie usłyszała, jak siedzący obok niej sanitariusz wstał. Chrząknął zakłopotany

- Czy wiesz, że światowy rekord we wstrzymywaniu oddechu wynosi siedemnaście minut i cztery sekundy?

Uczucie, które raptownie w niej wybuchło, było tak obezwładniające, że niemal się udusiła.

- David Blaine, rekordzista w nurkowaniu z zatrzymanym oddechem. Ale najpierw przez dwadzieścia trzy minuty podawano mu tlen.

W jej niewidzących oczach zebrały się grube łzy. Z sekundy na sekundę zmienił się cały świat. Bieguny Ziemi przesunęły się, Niemcy już nie leżały w Europie, Berlin znajdował się na innej planecie i nie było już ludzi, wyłącznie energia.

- Ale prawie trzy minuty bez treningu to też całkiem nieźle, co?

Pozytywna energia.

Alina raptownie zerwała się na równe nogi i chciała tylko jednego: wpaść w ramiona człowieka, do którego należał zachrypnięty łamliwy głos i który stał przed drzwiami ambulansu.

- Ty żyjesz? - Płakała i była szczęśliwa.

- Tak, ale ciesz się, że nie widzisz, jak nędznie teraz wyglądam.

Zorbach wpadł jej w śmiech. Usłyszała, jak usiłuje wdrapać się do niej do samochodu.

- A Tobiasz?

Oparła się o krawędź noszy, na których do tej pory leżała, i poczuła, że Zorbach się zatrzymał.

Nie, proszę, nie.

Ukryła twarz w dłoniach.

- Był sześć minut pod wodą - usłyszała straszną informację i zdziwiła się, dlaczego Alex ciągle mówił tak opanowanym głosem. Spokojnie, niemal wesoło. - Dwa razy tracił przytomność. Ale wygląda na to, że twarda sztuka z niego. Serce znów bije. Jeszcze jest w stanie krytycznym i trzeba będzie długo utrzymywać go w śpiączce farmakologicznej, jednak lekarze mają nadzieję, że postawią go na nogi.

W tej sekundzie już nie wytrzymała. Wyciągnęła ramiona, zapomniała o ostrożności i po prostu biegła w kierunku otwartych podwójnych drzwi ambulansu, do schodków, gdzie na najwyższym stopniu spodziewała się Zorbacha. Śmiała się pełna euforii na myśl, że Alex ją złapie, gdyby miała upaść.

Alexander żyje. Uwolnił oboje dzieci.

Teraz, była tego pewna, wszystko będzie dobrze. Już nic nie może się nie udać.

Rzadko się zdarza, żeby człowiek tak się mylił.

(1 godzina po wygaśnięciu ultimatum.

Godzina 7.27)

Alexander Zorbach (ja)

Zdarzają się nieliczne momenty, kiedy nam, ludziom, udaje się żyć tylko chwilą. Kiedy nie ma przyszłości ani przeszłości, lecz tylko tu i teraz.

W moim życiu były dwa takie momenty, które potrafię sobie świadomie przypomnieć. Kiedy po raz pierwszy wziąłem Juliana na ręce. I kiedy, otulony w ciepłe koce, czekałem na uścisk Aliny, stojąc na miękkich nogach na metalowym stopniu ambulansu.

To była chwila mojej największej euforii i zarazem wyczerpania. Minutę wcześniej musiałem wywalczyć sobie drogę do tego miejsca; mijając zaniepokojonych lekarzy, którzy po udanej reanimacji nie chcieli odłączyć mnie od aparatury; mijając Stoyę, który najchętniej przesłuchałby mnie w tej samej sekundzie, w której stwierdzono bicie mojego serca.

W oskrzelach miałem jeszcze wodę, wymagałem intensywnej opieki medycznej, tak jak Tobias, który znacznie dłużej musiał dawać sobie radę bez tlenu. Ale w owej chwili bezgranicznej radości moje zdrowie było mi tak samo obojętne jak tysiące spraw, które musieliśmy jeszcze wyjaśnić, gdy wreszcie dojdziemy do siebie.

Dlaczego Alina zawsze widziała tylko jedno dziecko? Dlaczego myślała, że umarło w swojej kryjówce, skoro Tobias wciąż żyje?

Często zastanawiałem się w ostatnich godzinach, dlaczego jej niedające się wytłumaczyć wspomnienia częściowo odpowiadały prawdzie - nieludzkie ultimatum, opis bungalowu - ale w decydującym momencie o mało nie wprowadziły nas w błąd.

- *Czułam tylko statek. Nie było tam fabryk ani magazynu.*

Pytanie, dlaczego kolekcjoner oczu uczynił mnie pionkiem w swojej grze, wysłał do mnie Alinę, zaprowadził do umierającej kobiety i postawił zdjęcie na szafce nocnej mojej matki, również przestało się liczyć. Nawet nie chciałem wiedzieć, kim był kolekcjoner oczu, któremu w ostatniej sekundzie wydarliśmy ofiary. Ponieważ w tej chwili nie było przeszłości; nie było przyszłości. Tylko teraźniejszość.

Teraźniejszość, w której Alina zrobiła niezręczny ruch. Ruch, który wszystko zmienił.

Potknęła się.

Jej stopa ugrzęzła w zabezpieczeniu przenośnej leżanki, kiedy chciała podbiec do mnie. Zachwiała się, instynktownie próbowała się podeprzeć, ale oczywiście nie widziała uchwytu zamocowanego na ścianie obok szafki na lekarstwa. Wskutek tego jej ręka ześliznęła się bezradnie, zerwała defibrylator, który spadł na podłogę, i uderzyła zranioną ręką w krawędź metalowej półki.

Śmiech znikł z jej twarzy, ból spowodował, że do jej oczu napłynęły nowe łzy.

- Twoja dłoń! - krzyknąłem, jakbym mógł w ten sposób sprawić, że to, co się już stało, w ogóle się nie zdarzyło, i wskoczyłem do karetki.

Twoja lewa dłoń, oparzona.

Oparła się na niej całym ciężarem ciała. Metalowa krawędź werżnęła się w ciało przez opatrunek.

- Już dobrze - jęknęła, kiedy ukląknęłam przy niej. Zagryzła zęby. - Nic się nie stało. - Na jej czole błyszczała cienka warstwa potu. Wydawało się, że ból jeszcze nie ustąpił, kiedy ją objąłem. Przycisnąłem. Trzymałem się jej kurczowo jak tonący i nie chciałem już nigdy puścić. - Wszystko w porządku! - usłyszałem jeszcze jej głos. Chciała powtórzyć to jeszcze raz, ale już się jej nie udało. Zresztą i tak bym jej nie uwierzył.

Bo kiedy moje ramiona obejmowały ją coraz mocniej, stawiała coraz silniejszy opór. Wydawało się, jakby w jej żyłach nagle przestała płynąć krew, a ja nie trzymam żywej istoty, lecz marmurowy posąg, kiedy powiedziała cicho:

- Poczułam coś!

Nie!

Zamknąłem oczy.

To nie jest sam dotyk... Przypominam sobie tylko pod wpływem bólu.

Nogi mi drżały, kiedy się od niej odsunąłem.

- Co?

- Twój telefon!

Spojrzałem do góry, na wieszak, na którym sanitariusz powiesił sztruksową kurtkę Aliny.

Brzęczenie stawało się coraz głośniejsze.

- Co z nim? - zadałem pytanie i wstałem.

- Nie podchodź - wychrypiała Alina i zanurzyła zapłakaną twarz w dłoniach. - Proszę, nie podchodź.

Cynicy mówią, że umieranie zaczyna się w chwili narodzin. Jak każda spolaryzowana teza to zdanie również zawiera drastyczną iskierkę prawdy. Każdy człowiek osiąga kiedyś punkt, w którym kończy się jego życie i zaczyna umieranie. Nieskończenie krótka, ale wymierna, logiczna sekunda, w której przekraczamy niedzielną granicę wyznaczającą punkt zwrotny naszej egzystencji. Za tą granicą jest to wszystko, co niegdyś uważaliśmy za przyszłość. A przed nami jest już tylko śmierć. U większości ludzi ten punkt graniczny znajduje się gdzieś na ostatniej ćwiartce linii życia. Ci, którzy na przykład cierpią na śmiertelną chorobę, prawdopodobnie stykają się z tą granicą już na półmetku. Mało kto przekracza ją świadomie. Tylko nieliczni potrafią powiedzieć, kiedy kończy się ich życie, a zaczyna umieranie. Tak jak ja. Ja mogę to wam powiedzieć bardzo dokładnie.

Moje umieranie zaczęło się w chwili, kiedy w ambulansie przyłożyłem komórkę do ucha i usłyszałem nerwowy śmiech mojej żony:

- Sorry, ale mam mały mętlik w głowie. Właśnie gram z naszym synem w chowanego. I wiesz, co jest w tym najgłupsze? Nie mogę go nigdzie znaleźć.

Bum.

Głęboko we wnętrzu mojej duszy zatrzasnęły się drzwi i za nimi na zawsze zostało wszystko to, co było celem mojego życia.

O Boże, pomyślałem i powiedziałem to głośno:

- O Boże!

Świat wokół mnie zaczął wirować, podczas gdy ja jak odurzony wytoczyłem się z karetki.

- Jak mogłem być taki ślepy?

Te niewyjaśnione pytania. Te otwarte odpowiedzi. Wszystko nabrało teraz strasznego koszmarne sensu.

- Na wszystko jest już za późno - wychrypiałem z płaczem do słuchawki, sparaliżowany przeświadczeniem, że cały czas patrzyliśmy w złym kierunku. Wstecz, do tyłu.

Alina nie potrafiła spojrzeć w przeszłość. Nigdy jej nie znała. Wszystko, co mi opowiedziała, nigdy się nie zdarzyło.

Jeszcze nie.

Tymczasem ja też się potknąłem, leżałem na kolanach przed karetką, ciężko dysząc, z twarzą w mokrym żwirze. Chciałem zwymiotować, kiedy uświadomiłem sobie prawdziwe znaczenie swojego przeświadczenia.

To wszystko dopiero się zdarzy.

Koszmar był jeszcze przede mną. Alina nigdy nie widziała przeszłości. Zawsze tylko przyszłość.

- Pod żadnym pozorem nie wchodź do piwnicy. Słyszysz mnie? - krzyknąłem przerażony do słuchawki i ponownie odżyłem.

Wyjście? Gdzie jest mój samochód ?

- Nie wchodź do piwnicy - powtórzyłem.

To było szaleństwo, ale jeśli miały się sprawdzić moje najgorsze przypuszczenia, musiałem trzymać się scenariusza kolekcjonera oczu, który już wcześniej przeczytała mi Alina. Tylko że ja, inaczej niż w wizjach Aliny, za wszelką cenę musiałem dotrzeć z moim ostrzeżeniem do Nicci, jeśli miała przeżyć.

- *Nie wchodź do piwnicy!*

Potykałem się, traciłem równowagę, ale nie mogłem się poddać. Musiałem stawić czoło nieuniknionemu, które cały czas miałem przed oczami, choć nigdy go nie widziałem. Nawet wtedy, kiedy Nicci wypowiedziała ostatnie zdanie w swoim życiu:

- Skarbie, przestraszyłeś mnie.

Potem usłyszałem odgłosy walki.

Mężczyzna za drzwiami do piwnicy. Rzuca się na nią. Łamie jej kark. Ciągnie do ogrodu...

Odgłosy pasowały do scenariusza, który opisała mi Alina.

Zacząłem krzyczeć, kiedy uświadomiłem sobie, że na działce Nicci stała drewniana altana.

Alexander Zorbach (ja)

Później (dużo później) zastanawiałem się w nielicznych krótkich chwilach, kiedy koktajl z antydepresantów i środków uspokajających pozwalał logicznie myśleć, jak mogłem tak długo nie dostrzegać śmiertelnej pomyłki.

Nigdy wcześniej Alina nie rozmawiała z nikim tak szczegółowo o swoim darze. Gdyby to zrobiła w mniej nerwowej atmosferze, być może dużo wcześniej zauważyłaby, że ani jeden szczegół jej wizji nie dowodził wyraźnie, że przypomina sobie *przeszłość*. Na przykład wypadek z pijanym kierowcą: sądziła, że widzi siebie leżącą na asfalcie, ale dlaczego Alina miała być ostatnią dziewczynką, którą potrafił pijak? Albo natrętny student, któremu wmawiała w żywe oczy, że zgwałcił swoją siostrę? Tutaj było to nawet włączone do akt! Student zrobił to co najmniej jeszcze raz, zanim odebrał sobie życie, i przypuszczalnie Alina zobaczyła gwałt, który dopiero miał się zdarzyć, a nie już zaistniały.

Ślepi. Byliśmy tacy ślepi.

Jazda z Grünauer Strasse do Rudower Dórferblick zazwyczaj trwa kwadrans. Mnie zajęło to dziesięć minut, a i tak przyjechałem o całą wieczność za późno.

- Wtedy złamałam jej kark. Usłyszałam odgłos, jakbym zgmiotła surowe jajko. Umarła natychmiast.

Zdania, które Alina powiedziała mi już wczoraj, wędrowały w mojej głowie od ucha do ucha jak tani efekt stereo. Waliłem pięściami w czaszkę, włączyłem radio, nastawiłem je tak głośno, jak się dało, ale nie mogłem zagłuszyć wspomnienia naszej pierwszej rozmowy na łodzi.

- Co pani zrobiła z ciałem?

- Wyciągnęłam ją za kabel na zewnątrz... przez salon do drzwi na taras, a potem do ogrodu... W końcu zostawiłam ją blisko płotu, obok małej szopy.

Znów modliłem się do Boga, w którego już nie wierzyłem, błagałem go, żeby mnie zdemaskował jako głupca - *nikt nie potrafi wejrzeć w przyszłość, to niemożliwe* - kiedy parę sekund później skręciłem w ulicę, przy której razem z Nieci spędziłem dwanaście lat mojego życia.

Gdyby w tej chwili ulica przede mną się rozstąpiła i samochód by się zapadł, zareagowałbym w sposób bardziej opanowany. Prawdopodobnie nawet bym się ucieszył, ponieważ zostałaby mi oszczędzona przyszłość.

- Co stało się potem? - usłyszałem swój własny głos w wizji Aliny.

- Ma pan na myśli potem, jak wcisnęłam stoper do ręki tej martwej kobiety?

Nacisnąłem pedał gazu. Pomknąłem do domu na końcu ulicy

- *Poszłam do szopy na narzędzia... Była drewniana, nie metalowa... Zwinięty kłębek na podłodze wyglądał jak stary dywan, ale było to jeszcze jedno ciało. Trochę mniejsze i lżejsze niż ciało kobiety, która leżała teraz martwa na trawniku.*

Julian!

- Czy jeszcze żył?

Stado czarnych ptaków wzbiło się w powietrze, kiedy zaparkowałem toyotę na podjeździe.

Tylko nie to, dobry Boże, tylko nie to. Nie pozwól, żebym dzisiaj zapłacił za błąd na kładce dla pieszych.

Wyskoczyłem z samochodu i zacisnąłem zęby na dłoni, aby od razu nie zacząć krzyczeć, i straciłem równowagę. Tu na obrzeżach miasta było zimniej i śnieg leżał dłużej. Poślizgnąłem się, nogi ugięły mi się na gładkiej zwirowej drodze i w chwili, kiedy wyłożyłem się jak długi, pękło we mnie coś, czego już nigdy nie da się skleić.

Pełzłem na czworakach, potem wstałem i pobiegłem do ogrodu obok dużej lipy, na której kiedyś chciałem zawiesić huśtawkę, i potknąłem się na trawniku.

- Nicci! - zawołałem głośno, uniosłem głowę i w końcu upadłem.

Wykrzykiwałem jej imię raz za razem i coraz głośniej, lecz jej martwe oczy nie chciały już zabłysnąć. Jej usta już nigdy się nie otworzą.

W tej chwili chciałem być tak samo martwy jak ona i nienawidziłem siebie za to, że jeszcze żyję. Nienawidziłem siebie za swoje życie, które było jednym wielkim błędem, za który musiała umrzeć moja żona i za który mój syn pokutuje teraz w męczarniach...

- *Boże w niebiosach, Julian!*

Spojrzałem na szopę. Drewniany rygiel był odsunięty, a drzwi szeroko otwarte.

- *Zaniosłam małego do samochodu, który stał za płotem na skraju lasu. Myślę, że był wczesny ranek, zaraz po wschodzie słońca. Nagle wszędzie znów zrobiło się ciemno i już sądziłam, że moje wizje się skończyły. Potem zapaliły się dwa czerwone światła w bagażniku samochodu, do którego włożyłam chłopca.*

Uderzyłem się w głowę, jakbym chciał wybić z niej gorzką prawdę.

- *Pamiętam jeszcze, że przez chwilę jechaliśmy pod górę, było dużo zakrętów, potem samochód znów się zatrzymał i wysiadłam.*

- *Co pani wtedy zrobiła ?*

- *Absolutnie nic. Po prostu tylko stałam i przyglądałam się.*

- *Przyglądała się pani?*

- *Tak. Nagle poczułam w dłoniach coś ciężkiego.*

Kiedyś, dawno temu, kiedy Julian był jeszcze niemowlęciem i nie wyobrażałem sobie, że mógłbym być złym ojcem, znalazłem się razem z nim w tym miejscu, gdzie teraz rozdzierał mnie ból psychiczny.

Przycisnąłem do piersi jego śpiącą główkę; delikatnie, aby nie opadła na bok, niemal tak, jak teraz trzymałem martwe ciało Nicci.

Jakie mieliśmy wtedy marzenia? Jakie plany scalały dawniej naszą małą rodzinę? I jak szybko udało mi się to wszystko zniszczyć.

Wyjąłem stoper z zimnych palców Nicci i wstałem.

Chcieliśmy się zestarzyć tu, u podnóża Rudower Dörferblick, punktu widokowego na obrzeżach Berlina, na wysokości osiemdziesięciu sześciu metrów, skąd w słoneczne dni roztaczał się wspaniały widok na trzy dzielnice. Bohnsdorf, Schönefeld i Wassmannsdorf. I oczywiście na naszą działkę.

Spojrzałem w dół na martwe ciało mojej zamordowanej żony, a potem w górę, na wierzchołek góry gruzu porośniętej zielenią, u której podnóża zrodziły się wszystkie nasze nadzieje, a potem rozpadły się na zawsze i nie byłem pewny, czy łzy w oczach mnie nie zwodzą.

A może naprawdę zobaczyłem tam człowieka, którego lornetka odbijała się w promieniach chłodnego zimowego słońca.

Ostatni list kolekcjonera oczu,

wysłany e-mailem

z anonimowego konta

Do: thea@bergdorf-privat.com

Temat: Ostatnie słowa

Wielce Szanowna Pani Bergdorf,

Myślę, że na długo będzie to ostatni mail, jaki Pani ode mnie otrzyma. Z pewnością zauważy Pani, że mój nagłówek wyraża większy szacunek dla Pani, niż to miało miejsce w poprzednich listach, chociaż nie jestem pewny, czy Pani okaże mi równy szacunek w swoich przyszłych artykułach.

Prawdopodobnie mimo uwolnienia bliźniąt uważa mnie Pani za potwora, który zasłużył na swój przydomek. Przy czym nie jest tak, jakoby widok, który ujrzałem przez lornetkę, w ogóle mnie nie poruszył. Kiedy obserwowałem z mojego stanowiska na wzgórzu załamanie Zorbacha, czułem głęboki wewnętrzny smutek.

Widzieć w tym stanie Aleksandra Zorbacha, człowieka, którego tak lubię i darzę zaufaniem - załamanego, postarzałego o całe lata, jak gdyby w chwili, kiedy niesie na rękach swoją martwą żonę, uszło z niego całe życie - rozdarł mi serce.

Był moim mentorem, ojcem, którego nigdy nie miałem. Kimś, komu chciałem dorównać, kto był dla mnie przykładem. Nie tylko w miejscu pracy, gdzie naśladowałem jego zapał i poczucie humoru. Chciałem być do niego podobny nawet z wyglądu, dlatego potajemnie kupiłem kilka sztuk ubrania, które on nosił ze szczególnym upodobaniem. Ubranie, w którym zostałem sfilmowany przez kamerę galerii po wyjściu z gabinetu Aliny.

Czego to ja nie robiłem, żeby tylko być blisko niego, a teraz on wszystko zniszczył. Tylko dlaczego tak długo zamykał na to oczy? Czy nie chciał tego widzieć? Moich niezliczonych wskazówek, które powinny unaocznic mu niebezpieczeństwo gry i ostrzec, żeby nie pakował się w to bez zastanowienia! Przyznaję, chciałem grać. Ale nie z nim. W tej rozgrywce nie było dla niego miejsca.

Na pewno może mi Pani zarzucić niejedno. Nie tylko to, że byłem nieuczciwym graczem. Już raz to Pani napisałem, a teraz ma Pani dowód: trzymam się zasad, które wyznaczyłem, a jeśli zdarza mi się je zmieniać, to zawsze na korzyść moich niezliczonych przeciwników.

Jeśli chodzi o Zorbacha, jeszcze na długo przed rozpoczęciem rozgrywki pozostawiłem mu decyzję, czy w ogóle chce wziąć udział w grze.

Głosy w radiu policyjnym wywołane przez mały nadajnik zakłócający, który zbudowałem z kilku elementów, jakie można kupić w każdym dobrze zaopatrzonym sklepie elektronicznym. Następnie portfel, który ukradłem mu w redakcji i podrzuciłem na miejsce przestępstwa. W ten sposób zaprowadziłem go na rozstaje. Teraz do niego należało odczytanie tych znaków. Czy nakazywały mu ścigać kolekcjonera oczu, żeby samemu oczyścić się z podejrzeń? Czy też nakazywały mu zadbać o to, co naprawdę jest ważne w życiu: o rodzinę.

Zorbach powziął decyzję. Postawił pracę ponad dobro swojego dziecka i zdecydował się na ściganie kolekcjonera oczu, czyli mnie. Tak jak wszyscy inni ojcowie, których dzieci do tej pory ukrywałem. Ojcowie, którzy przez całe życie mieli wybór, czy wolą zarabiać pieniądze, czy bardziej troszczyć się o swoje potomstwo. Ojcowie, którzy byli tak egoistyczni i bezwzględni jak mój ojciec, co to wolał się włóczyć po knajpach ze swoimi kumplami od kieliszka niż uwolnić nas z zamrażarki. Egoizm, który mojego brata kosztował życie, a mnie rozum. Przynajmniej tak zanalizował to pewien psychiatra. Oczywiście, chętnie przyznaję, zwraca uwagę to, że zawsze ustalam warunki ramowe, jakie były wtedy dane mnie i mojemu bratu. Matka, która umarła dla nas i dlatego już na początku trzeba ją usunąć z pola gry. Ojciec, który zaniedbuje swoje dzieci. Kryjówka, w której znajduje się powietrze na czterdzieści pięć godzin i siedem minut, i zwłoki, którym, tak jak mojemu bratu, brakuje lewego oka.

Długo głowiłem się nad tym, jakie dokładne ultimatum mogę zagwarantować, ponieważ byłoby sprzeczne z zasadami mojej gry, gdyby jej uczestnik udusił się przed upływem terminu. Nieuczciwe byłoby również to, gdybym jednemu dziecku dał więcej czasu niż innym. Mój brat również dostał tylko czterdzieści pięć godzin i siedem minut i nie miał dzokera, którego mógłby wyciągnąć, żeby dokupić więcej powietrza. Najchętniej ja też wykorzystałbym zamrażarkę, niestety nie da się z góry obliczyć, jak długo można przeżyć w takim hermetycznym więzieniu. Ktoś, kto w panice szybko oddycha, szybciej zużywa zapas powietrza niż ten, kto śpi. Ja sam jestem żyjącym dowodem na to, że jeden człowiek może dłużej obyć się bez powietrza niż drugi. Zobaczyłem zatem jedyną możliwość stworzenia chociaż w przybliżeniu identycznych warunków brzegowych, tak aby powietrza w kryjówce starczyło tylko na z góry określony przeze mnie czas. Moja próba, aby w bungalowie pielęgniarki wyssać za pomocą pompy powietrze z piwnicy, nie była za bardzo przekonująca, wątpiłem również, czy Zorbach i Alina uduszą się tam, na dole, ponieważ nie udało mi się hermetycznie zamknąć piwnicy. Zdecydowałem się więc na inne rozwiązanie, mające pozbawić kryjówkę tlenu - w tym celu napełniłem ją wodą.

Gra pan w straszng, chorą grę, zawoła Pani. A ja odpowiem, w uczciwą grę. Nawet ofiary mają w niej realną szansę, widać to na przykładzie małego To-biasa.

Przez te wszystkie godziny wcale nie musiał się tak bardzo trudzić. Gdyby nawet został w walizce i nie uwolnił się ze skrzyni, nie umarłby przed upływem ultimatum, po prostu by usnął. Oczywiście nie dałem mu narzędzi, żeby mieć perwersyjną przyjemność z jego daremnych wysiłków. Ani moneta, ani śrubokręt nie były dodatkami do grobu, lecz prawdziwymi pomocami, i dawały mu szansę, aby samemu się uwolnić, której mój brat i ja nigdy nie mieliśmy. Niestety, Toby za bardzo był zdezorientowany, kiedy winda zjechała parę metrów w dół, tylko dlatego że pociągnął za linę. Gdyby zachował trzeźwość umysłu i wciągnął się po linie, mógłby otworzyć właz, przez który później wszedł Zorbach.

Ale Tobias zmarnował swoją szansę i po krótkim czasie winda ostatecznie zjechała do zalanej

piwnicy. Dokładnie po czterdziestu pięciu godzinach i siedmiu minutach. Również tutaj widzi Pani, jaki jestem wspaniałomyślny, ponieważ do moich wyliczeń nie dołączyłem czasu, jaki zdrowy człowiek może spędzić pod wodą.

Jeśli pyta Pani teraz: - *A co z Leg? Dlaczego nie było jej w windzie?* - już sama ta myśl świadczy o tym, że Pani w ogóle niczego nie rozumiała. Przecież nie chodzi mi o to, aby zgładzić całą rodzinę. Ja wtedy przeżyłem, ale najbardziej kochana przeze mnie osoba umarła, w tej grze również ktoś może pozostać przy życiu. W lodówce Lei jeszcze na długo wystarczyłoby tlenu. Prędzej udusiłaby się w swojej kryjówce.

Jeśli Pani chce, można rozpatrywać to w różnych kategoriach: gra jest sprawiedliwa i jeszcze nigdy nie była rozgrywana tak fair jak z Zorbachem. Ostrzegałem go, chociaż każde ostrzeżenie było zarazem próbą. Ale czy nie jest tak z każdym grzechem, jaki popełniamy w życiu? Jeśli na paczce papierosów czai się trupia czaszka, od razu wiemy o odurzającym działaniu jej zawartości. Każde ostrzeżenie jest jednocześnie pokusą. Tak jak Alina, moja niewidoma prorokini, którą wysłałem do Zorbacha na jego łódź. Adres zdradziła mi jego matka. Oczywiście nie osobiście, ponieważ nie jest już w stanie mówić. Pamiętnik na jej nocnej szatce, który Zorbach czytał jej za każdym razem, kiedy znajdował czas, aby ją odwiedzić, zawiera szczegółowy opis tego dnia, kiedy przypadkiem odkryli sekretną ścieżkę przez las. Pożyczyłem sobie tę książkę, kiedy odwiedziłem moją babcię w sanatorium.

Na pewno nie jest przypadkiem, że babcia z domu opieki, gdzie była tak męczona, została przeniesiona właśnie do sanatorium, w którym Zorbach umieścił swoją matkę. Sam postarałem się o to, pisząc artykuł, że przyszła do ośrodka, w którym lepiej dbają o pacjentów. Tutaj, w Park-Sanatorium - dowiedziałem się tego dzięki przeprowadzonej przeze mnie kwerendzie

- pracowała Katharina Vanghal, pielęgniarka, która dopuściła się takich zaniedbań wobec mojej babci. W końcu została zdemaskowana i zwolniona w trybie natychmiastowym. Kilka miesięcy wcześniej, zanim została ponownie zatrudniona przez niekompetentnego szefa kadr w innym domu opieki, aby pozwoliła gnić mojej babci w jej własnym łóżku, aż ciało odchodziło jej od kości. Odleżyny. Męczarnie, za które odpłaciłem Vanghal tą samą monetą, kiedy wdarłem się do jej domu, uśpiłem ją i zawiązałem w plastikową folię. W tym momencie była to wyłącznie błoga oczyszczająca zemsta. Nie wiedziałem jeszcze, że również jej rozkład za życia nada sens mojej wielkiej grze.

Kiedy Zorbach i Alina chcieli, żebym sprawdził, na kogo został wystawiony mandat, wysłałem ich do bungalowu Vanghal. To była przynęta. Równocześnie wyraźnie ostrzegłem Zorbacha, żeby tam nie wchodził. Dałem mu nawet znak na pasku elektronicznym na drzwiach, że mogę to zmienić jednym prostym esemesem.

Również tutaj miał wybór: kontynuować to, co zaczął, albo skapitulować.

I znów Zorbach podjął decyzję przeciwko rodzinie, postawił na grę. Mimo że jego dziecko było chore. Mimo że Julian miał urodziny, przestąpił bramy piekieł. Znów zachował się tak samo jak wszyscy inni ojcowie, którzy na długie miesiące opuszczają swoje dzieci, zapominają o ich urodzinach, a w nocy zostawiają maluchy same w łóżkach z dręczącym pytaniem: Czy tata w ogóle mnie jeszcze kocha?

Widzi Pani, jaki jestem fair? Odkryłem karty przed polującymi na mnie myśliwymi, wysyłając

maila z komputera Zorbacha na jego własną skrzynkę pocztową, w którym wskazałem na mój prawdziwy motyw. Zostawiłem nawet obciążające zdjęcie na nocnej szafce matki Zorbacha - fotomontaż, na którym był mój brat - opatrzone decydującą wskazówką na odwrocie! I wreszcie kiedy mój zawodnik miał zostać zmieniony, ukróciłem nieczystą grę Schollego i ponownie wpuściłem na boisko Zorbacha.

Pyta Pani dlaczego? Odpowiedź jest bardzo prosta: ja, kolekcjoner oczu, nie chcę wygrywać. Wierzę w miłość, w miłość ojców do swoich dzieci. Dlatego wystawiam ich na próbę, daję im możliwość, aby udowodnili to mnie i światu. Jestem szczęśliwy, kiedy przegrywam! Dlatego pomagam przeciwnikom i osobiście doprowadziłem Zorbacha do rozstrzygającego finału przy Grünauer Strasse.

I znów tylko od niego zależało, w jakim kierunku pójdzie: do przodu, ku zgubie, albo do domu do syna, który spodziewał się prezentu urodzinowego od ojca. Hohlfort miał rację tylko w jednym punkcie: nie jestem kolekcjonerem. Jestem testerem. Testuję miłość ojców do własnych dzieci. Zawsze i bez przerwy, w nadziei że wreszcie osiągnę rezultat inny niż ten, którego sam doświadczyłem.

Przypadek czy przeznaczenie?

Pytanie, które nurtuje mnie od dawna i po ostatnich wydarzeniach chyba już nigdy nie da mi spokoju.

Czy to był przypadek, czy przeznaczenie, kiedy w moje ręce wpadła Alina, właśnie na komendzie policji, gdzie chciała złożyć zeznania na temat kolekcjonera oczu? Zaledwie parę godzin po tym, jak odwiedziłem ją w jej gabinecie, żeby uwolnić się od bólu, który spowodował niewłaściwy ruch podczas pakowania dzieci Traunsteinów do samochodu.

Co niewidoma mogła wiedzieć o kolekcjonerze oczu, człowieku, którego twarzy nie widziała jeszcze nigdy nawet osoba widząca.

Musiałem to wy badać, zanim kobieta porozmawia ze śledczym, podałem się więc za policjanta, zaprowadziłem ją do pustej poczekalni, zmieniłem głos i zachowywałem się tak, jakbym przyjmował jej zeznanie do protokołu. Drzwi otwierały się od czasu do czasu, ale dla osoby z zewnątrz moje „przesłuchanie” musiało wyglądać na całkiem normalną rozmowę.

Potem wysłałem ją do Zorbacha, aby ponownie wystawić go na próbę. Z pamiętnika matki wiedziałem, gdzie się zaszywa, kiedy chce być sam i potrzebuje miejsca, aby móc spokojnie pomyśleć. Było dla mnie jasne, że tam pojedzie, gdy tylko spłoszę go informacją, że szuka go policja. Odeśle Alinę, a sam będzie mógł pozostać w ukryciu. Jeszcze lepiej, pojedzie do Juliana i będzie świętować jego jedenaste urodziny. Przyznaję jednak, że mogę zrozumieć zmieszanie Zorbacha i nawet je podzielać po tym, jak Alina zdradziła podłe ultimatum.

Im więcej o tym myślę, tym jestem bardziej pewny, że istnieje logiczne wytłumaczenie tych wszystkich zdarzeń. Musi istnieć. Co Pani sądzi o tym:

Tego dnia w gabinecie Aliny byłem zmęczony. Kiedy czekałem na rozpoczęcie masażu, zamykały mi się oczy. Może nawet usnąłem, uspiony łagodnymi dźwiękami relaksującej muzyki? Czy

mówiłem przez sen? Czy wymruczałem liczbę?

Czterdzieści pięć godzin i siedem minut.

Być może Alina niedawno czytała coś o kolekcjonerze oczu albo usłyszała w telewizji i była zatopiona w myślach o nim, kiedy uderzyła bosą stopą o wazon.

Ból zagłuszył wszystkie inne odczucia i zapomniała o tym, co uchwyciła jej podświadomość.

Czterdzieści pięć godzin i siedem minut...

Podłe ultimatum.

Ale skąd mogła być tak pewna, że to ja byłem tą bestią, której szuka cały świat?

Przeznaczenie albo przypadek?

Otwarcie przyznaję, że tego nie wiem. Nie jestem pewny, czy teraz, w tej chwili, jeszcze jestem panem moich postępów. Czy Alina widziała ustaloną z góry kolej rzeczy, czy tylko podsunęła mi pomysł?

Jedno jest pewne, pierwotnie miałem zupełnie inne plany co do Juliana. Ale potem pojawiła się ta niewidoma i bezustannie opowiadała o grze w chowanego, podczas której znika dziecko. Dla mnie ta historia miała w sobie coś genialnego. Co za paralela? Co za symbolika? Porywam dziecko podczas zabawy w chowanego, aby kontynuować grę na nowym egzystencjalnym poziomie. Gra w grze!

Oczywiście miałem do końca skrupuły, czy na następną ofiarę powinienem wybrać Juliana. Ale to, że Zorbach po raz ostatni chciał uniknąć spotkania z synem i posłał z zegarkiem właśnie mnie, wtedy uznałem za znak. Kiedy zatrzymałem się przed domem Nicci, wybiegł mi naprzeciw Julian. Znał mnie, byłem tam kiedyś z Zorbachem, nie musiałem więc za bardzo się wysilać, żeby podszeptać Julianowi, aby namówił matkę do gry w chowanego. To wcale nie było potrzebne, ponieważ - przyznaję, że nawet trochę się ucieszyłem - właśnie w to grali. Co prawda poradziłem mu, żeby schował się w szopie na narzędzia, gdzie w końcu go ogłuszyłem. Ale jakoś nie pozbyłem się myśli, że nawet bez mojej pomocy i tak wybrałby tę kryjówkę. Tak jak Nicci sama z siebie wypowiedziała dokładnie te same słowa, które Alina włożyła jej w usta już kilka godzin wcześniej.

- Sorry, ale mam maty mętlik w głowie. Właśnie bawię się z naszym synem w chowanego. I wiesz, co jest w tym najgłupsze, nie mogę go nigdzie znaleźć.

Czy to wszystko było rzeczywiście z góry ustalonym przeznaczeniem, tak jak zobaczyła to Alina?

Albo przypadkiem, bo co innego mogła powiedzieć matka w takiej sytuacji?

Nie wiem, co mam myśleć, ale jedna opcja wydaje mi się bardziej nieprawdopodobna niż inne. Pewne jest tylko to, że swoją ostatnią wizją Alina podsunęła mi dobry pomysł. Teraz, kiedy nie mogłem już użyć wypróbowanej windy, najpierw poczułem się trochę bezradny, bo nie wiedziałem, gdzie mam zabrać Juliana. Ponieważ moja tożsamość mogła być znana, uznałem, że ruchoma kryjówka będzie znacznie bardziej sensowna. Statek, którego tym razem tak szybko nie znajdą.

Wiem, co Pani myśli. Ale proszę przypomnieć sobie naklejkę na desce rozdzielczej samochodu mojej babci: *Łatwo jest przepowiadać przyszłość, jeśli się ją samemu tworzy, czyż nie tak?*

Alina nie mogła zobaczyć przeszłości i nie jestem pewny, czy rzeczywiście patrzy w przyszłość. Ale tak czy inaczej, współtworzyła scenariusz moich przyszłych uczynków i muszę stwierdzić, że trzymanie się w dużej mierze tego scenariusza sprawia mi ogromną przyjemność.

Przypadek czy przeznaczenie?

Nie wiem, czy nie gram w mojej grze tylko z tego powodu? Żeby dowiedzieć się, czy ojcom uda się zmienić to, co zostało ustalone z góry?

Czy uda się to Zorbachowi? Czy będzie szukał syna i go uwolni, teraz, kiedy już jest poinformowany o moich następnych krokach? I czy mnie uda się uwolnić od przepowiedni Aliny i samemu wpłynąć na swój los?

Nie jestem pewny, ale się tego dowiem.

Czas biegnie.

Gra toczy się dalej.

Dobrej zabawy życzy Pani

Frank Lahmann

Alexander Zorbach (ja)

Czy was nie ostrzegałem? Przed opowieściami, które coraz głębiej i głębiej wbijają zardzewiałe haki w świadomość tego, kto musi ich słuchać.

Perpetuum mobile. Opowieści, które nigdy się nie zaczęły i które nigdy się nie kończą, ponieważ traktują o wiecznym umieraniu.

Z pełnym przekonaniem radzę wam, żebyście nie czytali dalej. Te wiersze, Bóg wie, jak na nie trafiliście, nie były przeznaczone dla was. Dla nikogo. Nawet dla waszego największego wroga.

Mówię to z doświadczenia.

Teraz wiecie: opowieść człowieka, któremu łzy jak krople krwi stają w oczach - opowieść człowieka przyciskającego do siebie zwinięty kłębek ludzkiego mięsa, które jeszcze przed kilkoma minutami oddychało, kochało i żyło - ta opowieść, którą właśnie przeczytaliście, nie jest książką.

Ona jest moim losem.

Moim życiem.

Ponieważ człowiek, który w szczytowym punkcie swoich męczarni musiał zrozumieć, że umieranie dopiero się zaczęło - tym człowiekiem jestem ja.

Rozdział pierwszy. Początek

(jeszcze 45 godzin i 7 minut do wygaśnięcia ultimatum)

Poszukiwania się zaczęły...

O książce i podziękowania

Zwykle zaczynam podziękowania od złożenia wirtualnego ukłonu osobie, która dla mnie, autora, jest najważniejsza, czyli Tobie, Czytelniku. Tym razem mogę kilkoro z Was wymienić nawet z imienia, ponieważ nigdy wcześniej podczas pisania książki nie otrzymałem tak licznego wsparcia od moich czytelników, jak przy *Kolekcjonerze oczu*.

Ledwie ogłosiłem na twitterze na początku 2009 roku, że w mojej następnej powieści ważną rolę odegra niewidoma fizykoterapeutka, otrzymałem pierwsze reakcje niewidomych osób, które konsumują moje dzieła w postaci audiobooków i które zaoferowały mi pomoc w wyszukiwaniu materiałów - na ogół związaną ze wskazówką: „Napisano i nakręcono o nas tyle głupstw, proszę, nie popełnij tego samego błędu, tak jak wielu innych”.

Ostrzeżenie, które potraktowałem bardzo poważnie i które doprowadziło do tego, że od pierwszych zdań byłem w ciągłym kontakcie z ludźmi niewidomymi i niedowidzącymi.

Zbieranie materiałów zacząłem od tego, że sporządziłem ankietę, na podstawie której chciałem uzyskać dostęp do tego obcego dla mnie świata. Jakie utarte błędne szablony o nim krążą? Co śni się niewidomym? Jak radzą sobie w codziennym życiu przy komputerze, z telefonowaniem, praniem itp.? Wybór oryginalnych odpowiedzi możecie znaleźć na www.sebastianfitzek.de.

Aby uniknąć popełnienia większych błędów, stworzyłem postać Aliny Gregoriev, której pierwowzorem była realnie żyjąca osoba: Mike May, który również stracił wzrok w wypadku w wieku trzech lat. Jeśli przeczytaliście już moją książkę, a interesuje Was jego ciekawe i prawdziwe życie, gorąco polecam jego biografię *Odzyskać wzrok* pióra Roberta Kursona. Mike May, będąc dzieckiem, przejechał samotnie wiele kilometrów na rowerze, przeprowadzał dzieci przez jezdnię i zjechał z góry na nartach z prędkością 105 km/h - rekord świata niewidomych! Jego zdolności są tak niewyobrażalne, że tworząc postać Aliny, musiałem je trochę umniejszyć. W przeciwnym razie nikt nie uwierzyłby w prawdziwość tego, co tu napisałem.

Kolejna książka, którą powinniście koniecznie przeczytać, nie *obejrzeć*, o ile nie została już wykupiona, nosi tytuł *Ich weiss, wo ich bin* [Wiem, gdzie jestem] Ulrike Zollitsch. Ten wywierający silne wrażenie tom pokazuje obrazy narysowane własnoręcznie przez dzieci niewidome od urodzenia. Dzięki metodzie rysowania dotykiem, polegającej na tym, że dzieci wyciskają ołówkiem na specjalnej folii do rysowania swój świat wyobrażeń, powstały „Praobrazy duchowego przeżycia”. Bezpośredni wgląd w świat człowieka, który jeszcze nigdy *niczego* nie widział!

Warta polecenia jest również strona www.anders-sehen.at, na której znajdują się odpowiedzi na niemal wszystkie pytania, jakie laik może zadać na temat zaburzeń wzroku i ślepoty, i dlatego była dla mnie bardzo ważnym źródłem. Czy wiecie na przykład, jakie wybitne umiejętności trzeba mieć, żeby na zakupach na ślepo i bez niczyjej pomocy zapłacić rachunek? (przy okazji wymacajcie w kieszeni spodni odpowiednie monety, nie patrząc na nie, albo spróbujcie z zamkniętymi oczami podpisać pokwitowanie).

W końcu dałem do przeczytania grupie niewidomych i słabo widzących osób najważniejsze rozdziały. W tym miejscu chciałbym szczególnie podziękować Uwemu Röderowi, który zorganizował wiele czatów przez telefon, a także Jenni Grulke, która była gotowa przeczytać te rozdziały wszystkim uczestnikom. Tylko dzięki temu mogłem uniknąć dużych błędów; na przykład tego, że pies przewodnik niewidomego nigdy nie śpi tak spokojnie w obcym otoczeniu, jak to opisałem w pierwszej wersji mojej książki. Nauczyłem się, że niektórzy niewidomi malują się i tatuują, dużo dowiedziałem się o ich zmartwieniach i lękach oraz o niepojętym i obraźliwym traktowaniu przez osoby widzące.

Za te oraz niezliczone inne cenne spostrzeżenia dziękuję w tym miejscu, oprócz już wymienionych powyżej, także innym osobom, a są nimi: Feeodora Ziemann, Andrea Czech, Petra Klewes, Günther Sollfrank, Christine Klocke, Sahre Wippig, Roswitha Wagerer, Niels Luithardt, Helge Jörres, Anke Mädler, Nuray Gürler, Andreas Heister, Brigitte Rieger, Fanny Holz, Karina Scheulen, Johanna Sopart i Victoria Amwenyo.

Jestem głęboko wzruszony gotowością udzielania pomocy i otwartością wszystkich wymienionych tu osób. W ostatnich miesiącach dowiedziałem się i nauczyłem tak wiele interesujących rzeczy, że nie potrafię umieścić tych wszystkich informacji w jednej książce. Również dlatego biję się z myślami, czy Alina i Zorbach nie powinni pojawić się w następnym thrillerze.

Muszę jednak szczerze przyznać, że osoba widząca jak ja nie potrafi całkowicie wczuć się w świat człowieka niewidomego. Mimo intensywnego zbierania informacji, wielogodzinnych wywiadów i rozmów, mimo licznych autoeksperymentów, np. w ciemnej restauracji, i mimo wstępnej lektury książki przez niewidomych prawdopodobnie nie udało mi się uniknąć błędów (za które oczywiście tylko ja ponoszę odpowiedzialność).

Winna jest temu okoliczność, że *Kolekcjoner oczu* nie jest książką popularnonaukową, lecz historią czysto fikcyjną, a Alina Gregoriev oczywiście za sprawą swojego „daru” wypada z ram. Jednak, mam taką nadzieję, książka oddaje mój głęboki szacunek dla ludzi, którzy doskonale radzą sobie w życiu, mimo że są pozbawieni wzroku. Szacunek, który rósł z każdym napisanym przeze mnie zdaniem.

W związku z tym chcę szczególnie wyróżnić Lisę Manthey, szesnastoletnią dziewczynę, która udzielała mi odpowiedzi na każde pytanie, jakie zadawałem jej na temat powszedniego dnia w szkole niewidomej nastolatki.

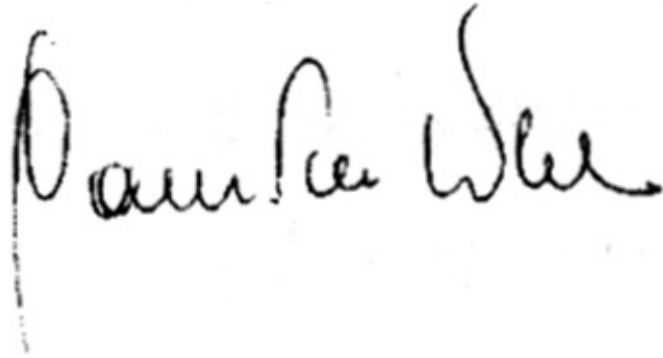
* * *

A teraz przyszła pora, aby przedstawić resztę naszej bandy. Nie wiem, jak to jest u Was, ale podziękowania, jakie znam, w większości są jak napisy umieszczane na końcu filmu oglądanego w kinie. Nikt nie patrzy na nie, ponieważ i tak nikt nie zna nazwisk, które szybko przesuwają się po ekranie.

Aby uniknąć tego efektu osłabienia uwagi, zawsze dodaję w tym miejscu kilka słów o osobach, u

których jestem zadłużony po same uszy. (Wzmianka w książce wychodzi taniej niż zaproszenie na kolację, a z niektórymi z tych ekstremistów, którzy mnie inspirują, człowiek niekoniecznie chce być widziany publicznie, mam rację Fruti?).

Zacznijmy od Wydawnictwa. Tu szczególnie muszę znów wyróżnić Hansa-Petera Ubleisa i Beate Kuckertz. Oboje mają nieomyślne wyczucie dobrych historii i - co zawsze mnie wyjątkowo cieszy - przepiękny podpis. Który prezentuje się naprawdę super pod moimi umowami.

A handwritten signature in black ink, reading "Hansa Peter Ubleis". The signature is written in a cursive, flowing style.

Dwa następne nazwiska muszą być wydrukowane szczególnie tłustym drukiem - Carolin Graehl i Regine Weisbrod, mój lektorski dream team. Przeliczyłem wszystko jeszcze raz: mój pierwszy szkic opatrzyłyście dokładnie 252 uwagami; ale sześć z nich było pozytywnych. Chyba mam jakąś sadomasochistyczną żyłkę, skoro Was za to kocham. Tysiącrotne dzięki, znów wycisnęłyście z mojej książki to, co najlepsze.

Również produkcja ponownie przeszła samą siebie -dziękuję, Sibylle Dietzel! Jestem ciekaw, ile osób skarżyło się tym razem na odwrotną numerację stron. (Tak powinno być!).

Co roku rzuca się na rynek ponad 100 tysięcy nowych książek. Aby moja leżała trochę wyżej na tej górze papieru, mam po swojej stronie dwoje mistrzów świata w rzucie książką na odległość (dyscyplinie zwanej również marketingiem): Kerstin Reitze de la Maza i Christian Tesch.

Nie mam pamięci do nazwisk i dlatego moje podziękowanie następującym osobom proszę przyjąć jako podziękowanie dla całego zespołu wydawnictwa Droemer: Suzanne Klein, Monika Neudeck, Iris Haas, Andrea Bauer, Konstanze Treber, Noomi Rohrbach, Georg Regis, Andreas Thiele, Katrin Englberger, Heide Bogner.

Również tym razem w żadnym razie nie chciałbym zapomnieć: o osobie, która mnie odkryła, pani dr Andrea Müller (z powrotem w wydawnictwie), oraz o Klausie Kluge (w dalszym ciągu wiarołomny ;-).

Lista pomocników nie kończy się na wydawnictwie:

Roman Hocke - jesteś człowiekiem, który zrobił ze mnie autora, załatwiłeś mi kontrakt, chociaż wszyscy inni mi odmówili. Dziękuję również reszcie twojego crew z AVA: Christine Ziehl, Uwe Neumahr, Claudii Bachmann i Claudii von Hornstein.

Dziwi mnie, że lista moich najlepszych przyjaciół i powierników nie staje się krótsza z książki na książkę, ponieważ pisanie absorbuje mnie tak bardzo, że zostaje mi coraz mniej czasu na podtrzymywanie kontaktów towarzyskich. Ale Zsolt Bäcs, Oliver Kalkofe, Thomas Koschwitz, Peter

Prange, Dirk Stiller, Andreas Frutiger, Arno Müller, Jochen Trus, Ivo Beck zgłaszają się do mnie regularnie, i to nie tylko dlatego, że jeszcze nie oddałem im ich DVD albo że znów nieprzekonująco zrezygnowałem z leczenia kanałowego zęba, mam rację Uli? (Ulrike Heintzenberg - najlepsza dentystka na świecie!). Simonowi Jagerowi dziękuję za jego cudowny głos, który uszlachetnia moje audiobooki, i Michaelowi Treutlerowi za jego fantastyczny wkład w audible.

Dziękuję Gerlinde, z którą mogę wytrzymać nawet najbardziej niedorzeczne wieczory autorskie i która również ma dryg do pisania. Twoja historia jest super, napisz ją wreszcie! No już, bierz się do roboty...

Thomas Zorbach - Tobie dziękuję za wspaniałe nazwisko, które wolno mi było wypożyczyć, i za Twoje niewiarygodne wsparcie w realizacji całkowicie zakręconych pomysłów przy pomocy Twoich chłopców i dziewcząt z vm people (marketing wirtualny).

Oczywiście dziękuję Manueli Raschke, którą zawsze przedstawiam jako mój mózg, ale która wygląda dużo lepiej i która zarządza moim całym życiem. (W związku z tym chcę wspomnieć również o Barbarze Hermann).

Manu - nie mogę za bardzo Cię tu chwalić, bo następnym razem Twój mąż Kalle (były trener fitness Graciano Rocchigiani) zrobi sobie ze mnie worek treningowy.

Tymi dwiema osobami, bez których nie mogę się obyć i które uczestniczyły od początku w tym projekcie, są Sabrina Rabów (Pani żona, jeśli chce Pani trafić do prasy)

i Christian Meyer (Pani mąż, jeśli ktoś miałby Pana znów ratować).

Dziękuję trojgu członkom rodziny Fitzków - Clemensowi, Sabine i Freimutowi, zgadujcie do trzech, kto z nich jest moim ojcem - doradcą w sprawach fachowych, ale przede wszystkim emocjonalnych. Nie bez powodu we wszystkich moich książkach rodzina odgrywa ważną rolę, tylko że w przeciwieństwie do moich bohaterów ja mam to szczęście, że nasza jest ciągle zdrowa. A do tej rodziny zalicza się oczywiście Sandra, której udaje się dzielić życie z wariatem, co w środku zdania po prostu przestaje mówić, ponieważ właśnie inna myśl...

... aaa.... gdzie to ja byłem? Ach tak... policjanci!

Na koniec muszę przedstawić osoby, które w ogóle podsunęły mi pomysł napisania *Kolekcjonera oczu*: moja fizykoterapeutka Cordula Jungbluth, która już cztery lata magluje mnie shiatsu i po każdym zabiegu zaskakuje mnie trafnymi spostrzeżeniami na temat mojego życia i mojej psychiki, które rzekomo miała „wyczytać” podczas leczenia mojego ciała. Najpierw ubawiło mnie, kiedy powiedziała, że jako mały chłopiec byłem outsiderem (kto nim nie był?). Ale potem pomyślałem sobie: „Chwileczkę, jeśli za pomocą samego dotyku ona naprawdę może zobaczyć moją przeszłość, to co by się stało, gdybym był seryjnym mordercą? Czyby się zorientowała, gdybym na krótko przed masażem zamordował kogoś w mojej piwnicy?”. I tak narodził się pomysł. (Oczywiście nie ten, żeby pójść do piwnicy, lecz do biurka...).

Zresztą niezbyt niedawno pani Jungbluth przerwała masaż i powiedziała: „W pana nowym thrillerze jest mowa o uduszeniu, prawda?” - a przecież nie opowiadałem jej niczego o *Kolekcjonerze oczu*. Powiedziała, że zrobiło jej się duszno, kiedy mnie masowała. Pani Jungbluth - chylę przed

Panią czoło i cieszę się na nasze następne spotkanie!

Teraz kończę jak zawsze wdzięcznymi ukłonami dla wszystkich Pań i Panów księgarzy, dla wszystkich zajmujących się dystrybucją i dla każdego, kto pracuje w bibliotece i troszczy się o to, żeby ta książka właśnie tu mogła trafić w Wasze ręce.